

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**WIKTOR HUGO**

**CZŁOWIEK  
ŚMIECHU**

**TOM II**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## KSIĘGA TRZECIA POCZĄTEK PEKNIĘCIA

### I. GOSPODA »TADCASTER«

Londyn miał w tej epoce tylko jeden most, most Londyński. Stały na nim po obu stronach domy. Most ten łączył Londyn z Southwark, przedmieściem, gdzie między płataniną ciasnych, wąskich uliczek; brukowanych lub też wysypanych żwirem z Tamizy, tłoczyły się domki niewielkie i liche, po większej części drewniane, jak i w samym mieście; zbieranina bezładna, łatwopalna, dogodna dla pożaru. Dowiódł tego rok 1666.

Nazwę „Southwark” wymawiano wówczas „Sudrik”, dziś wymawia się ją: „Susuork”, jakoś tak mniej więcej. A zresztą najlepszym sposobem wymawiania słów angielskich jest niewymawianie ich w ogóle. Mówcie więc po prostu: „Stpntn”.

Słowo „Chatam” wymawiano wówczas *Je t'aime*.

Ówczesny Southwark tyle podobny był do dzisiejszego, ile Vaugirard podobne jest do Marsylii. Była to wieścina, dzisiaj jest to miasto. W przystani na rzece jednak i wówczas już ruch był niemały. W starym, długim murze z ciosowych kamieni, zbudowanym wzdłuż Tamizy, umocowane były pierścienie; uwiązano do nich pasażerskie barki. Mur ten nosił nazwę muru Effroca lub Effroc-Stone. York nazywano Effroc za czasów saksońskich. Legenda głosiła, że jeden z książąt Effroc utopił się u podnóża owego muru. Woda jest tam rzeczywiście dostatecznie głęboka nawet i dla księcia. Dobre sześć sążni podczas odpływu. Przystań ta, niewielka, lecz dogodna, przywabiała nawet i morskie statki; stara galiota holenderska „Vograat” zawijała do Effroc-Stone. Galiota „Vograat” regularnie co tydzień odbywała podróż z Londynu do Rotterdamu i z powrotem. Inne pasażerskie statki wyruszały stąd dwa razy dziennie bądź do Deptford, bądź do Greenwich, bądź do Gravesend, odjeżdżały z odpływem, wracały z przypływem. Podróż do Gravesend, odległego przecież o dwadzieścia mil, trwała zaledwie sześć godzin.

Statki tego typu co „Vograat” dzisiaj oglądać można już chyba tylko w muzeach morskich. Przypominał on nieco dżonkę. W epoce owej, kiedy to Francja naśladowała Grecję, Holandia naśladowała Chiny. „Vograat”, ciężki kadłub o dwu masztach, miał grudź dzielącą go poprzecznie, nisko położoną kajutę pośrodku i dwa pokłady, przedni i tylny, umieszczone tuż nad poziomem wody i otwarte jak w dzisiejszych stalowych statkach z krytą nadbudówką, dzięki czemu przy złej pogodzie trudniej było fali dostać się do wnętrza statku, załoga natomiast wobec braku nadburcia narażona była na bezpośrednie jej uderzenia. Nic nie ochraniało tam człowieka przed wpadnięciem do morza. Toteż częste wypadki i wielkie straty w ludziach sprawiły wreszcie, że zaprzestano żeglugi na tym statku. „Vograat” w podróży swojej do Holandii nie zatrzymywał się nigdzie, nie przystawał nawet i w Gravesend.

Odwieczny gzyms kamienny, w części kuty w skale, w części ułożony z głazów, ciągnął się u podnóża Effroc-Stone. Był on zdatny do użytku przy każdym poziomie morza i umożliwiał dostęp do statków zakotwiczonych przy murze. Mur w kilku miejscach przecinały schody. Znajdował się on na południowym krańcu Southwark. Na górze był nasyp, przy którym nieraz przystawali przechodnie opierając się niczym o poręcz nadbrzeżnego bulwaru. Widać było stamtąd Tamizę. Po drugiej stronie rzeki Londyn kończył się. Były tam już tylko pola.

Powyżej Effroc-Stone, przy zakręcie Tamizy, prawie naprzeciw pałacu Saint-James, tuż za Lambeth-House, nie opodal promenady nazywanej wówczas Foxhall (*vaux-hall* zapewne), pomiędzy garncarnią, gdzie wyrabiano porcelanowe garnki, i hutą szklaną, gdzie wyrabiano malowane flaszki, leżała jedna z tych rozległych, a nie określonych bliżej przestrzeni, które we Francji nazywano niegdyś *malls* – miejsca spacerów – w Anglii zaś *bowling-green*. Zielony dywan, po którym toczyć można piłkę. Stąd francuskie słowo *boulingrin* – trawnik. Dziś mamy trawniki takie w swoich mieszkaniach; tyle tylko, że znajdują się one na stole, że są nie z trawy, lecz z sukna i noszą nazwę bilardu.

Właściwie nie wiadomo po co, skoro mamy już we francuskim języku słowo *boulevard* (*boule-vert* – zielona kula), czyli właśnie *bowling-green*, zostało wymyślone jeszcze słowo *boulingrin*. Jest to doprawdy zadziwiające, żeby osobistość tak poważna, jak słownik, pozwalała sobie na te niepotrzebne zbytki.

*Bowling-green* w Southwark nazywano Polem Tarrinzeau, teren ten był bowiem niegdyś własnością baronów Hasting, którzy noszą również tytuł baronów Tarrinzeau i Mauchline. Z rąk lordowskiej rodziny Hastingów Pole Tarrinzeau przeszło w ręce lordowskiej rodziny Tadcaster. Lordowie Tadcaster udostępnili je mieszkańcom miasta ciągnąc z tego zyski, podobnie jak później książę Orleański ciągnąc będzie zyski z Palais-Royal. Pole Tarrinzeau przeszło wreszcie na własność parafii i stało się nędzną, zaniedbaną łąką.

Na polu tym odbywało się coś na kształt nieustającego jarmarku. Roilo się tam od kuglarzy, siłaczy, sztukmistrzów i grajków występujących na swoich kocujących scenach, roilo się od gapiów, co „przychodzili oglądać diabła”, jak mawiał arcybiskup Sharp. Oglądać diabła – czyli przypatrywać się widowisku.

Dokoła tego placu, miejsca nieustającego święta, stało kilka gospód otwartych przez okrągły rok, które i odbijały publiczność wędrownym teatrom, i dostarczały im widzów. Były to zwykłe budki, kramiki, czynne tylko za dnia. O zmierzchu oberżysta zamykał swoją oberżę na klucz i szedł do miasta. Jedna tylko z tych gospod była prawdziwym domem. Był to też jedyny zamieszkały budynek na całym placu, bowiem jarmarczne budy wędrownych linoskoków zniknąć mogą w każdej chwili, nic ich na miejscu nie trzyma. Kuglarze nie zapuszczają korzeni.

Gospoda ta, zwana gospodą „Tadcaster” od imienia dawnych panów placu, bardziej była karczmą niż szynkownią, bardziej zajazdem, niż karczmą, posiadała bramę wjazdową i dość obszerne podwórze.

Brama wjazdowa, łącząca podwórze z placem, była, oficjalnym, wejściem do gospody „Tadcaster”. Obok niej znajdowały się niewielkie niskie drzwi, przez które dostać się można było do środka. I zazwyczaj też używano tylko tych niskich drzwiczek właśnie. Wchodziło się tedy wprost do właściwej gospody, do długiej, zadymionej izby o niskim pułapie, zastawionej stołami. Nad drzwiami tymi, na wysokości pierwszego piętra, znajdowało się okienko. Do okuć jego przytwierdzono wiszący szyld gospody. Duża brama zaryglowana była na stałe, nigdy jej nie otwierano.

Chcąc dostać się na podwórze trzeba było przejść przez izbę.

W karczmie „Tadcaster” mieszkał tylko karczmarz i chłopiec do posług. Karczmarz nazywał się imię Nicless, chłopiec – Govicum. Imię Nicless – Mikołaj zapewne, zniekształcony przez angielską wymowę – był wdowcem, skąpym i trwożliwym, szanującym wszystkie przepisy prawa. Miał krzaczaste brwi i owłosione ręce. Czternastoletni chłopiec, co nalewał gościom szklanki i przybiegał, kiedy zawołano: Govicum, było to stworzenie poczciwe i wesołe, wiecznie przepasane fartuchem. Głowę miał ogoloną przy skórze na znak, że służy.

Sypiał na parterze, w komórce, w której niegdyś trzymano psa, Komórka ta zamiast okna miała niewielki otwór wychodzący wprost na plac Tarrinzeau.

## II. ELOKWENCJA NA WIETRZE

Pewnego wieczora, kiedy chłodno było i wietrzno, kiedy pogoda zachęcała ulicznych przechodniów do jak największego pośpiechu, człowiek pewien, idący przez plac Tarrinzeau, tuż pod murem gospody „Tadcaster”, zatrzymał się nagle. Działo się to w jednym z ostatnich miesięcy zimowych roku 1705. Człowiek ów, z odzienia wyglądający na marynarza, był wysoki i postawny, co jest obowiązkiem tych, którzy znajdują się u dworu, a co nie jest zakazane zwykłym śmiertelnikom z ludu. Po cóż zatrzymał się? Aby posłuchać. A czego słuchał? Głosu, co rozprawiał po drugiej stronie ściany, na podwórzu zapewne, głosu starczego już wprawdzie, lecz tak donośnego, że nawet i na ulicy słyszeli go przechodnie. Spoza ściany dawał się słyszeć również gwar tłumu. A głos mówił:

– Mieszkańcy i mieszkanki Londynu! Oto jestem i pięknie się wam kłaniam. Z całego serca wieszczę wam, żeście Anglikami. Jesteście wielkim ludem. Powiem więcej – jesteście wielkim pospółstwem. Wasze pięści są jeszcze piękniejsze niż wasze szpady. Apetyt macie dobry. Jesteście narodem, co zjada inne narody. Funkcja to chwalebna. Wysysanie całego świata na zupełnie osobnym miejscu stawia Anglię. W polityce i w filozofii, w zarządzaniu koloniami, ludami i ich wytwórczością, w chęci robienia innym tego złego, co by wam na dobre wychodziło – jesteście nieporównani, jesteście zdumiewający. Nadchodzi chwila, w której na kuli ziemskiej umieszczone zostaną dwa ogromne napisy. Jeden głosić będzie: „Strona ludzi”, drugi – „Strona Anglików”. Stwierdzam to ku waszej chwale, ja, co nie jestem ani Anglikiem, ani człowiekiem, mam zaszczyt bowiem być doktorem. A jedno łączy się z drugim. Nauczam, szanowni panowie. Czego? Rzeczy dwu rodzaj, tych, które wiem, i tych których nie wiem. Sprzedaję leki i rozdaję myśli. Zbliźcie się i słuchajcie. Przyzywa was oto nauka. Otwórzcie ucho wasze. Jeżeli jest ono małe – niewiele w nim prawdy zostanie; jeżeli jest duże – wejdzie doń wiele głupstwa. A więc uwaga! Wykładam naukę zwaną *Pseudodoxia Epidemica*. Mam towarzysza, co pobudza do śmiechu, ja pobudzam do myślenia. Mieszkamy obaj pod jednym dachem, śmiech bowiem jest równie wysokiego rodzaju, co i wiedza. Kiedy zapytywano Demokryta: „Skąd masz swoją mądrość?”, odpowiadał: „Śmieję się.” A gdyby mnie ktoś zapytał: „Dlaczego się śmiejesz?”, odpowiedziałbym: „Bo wiem.” Nie śmieję się zresztą. Jestem tym, co prostuje powszechne błędy. Postanowiłem oczyścić umysły wasze. Wiele w nich śmiecia. Z dopustu bożego lud i oszukuje się, i jest oszukiwany. Porzućmy głupi, fałszywy wstyd; wyznaję szczerze, że wierzę w Boga i wtedy nawet, kiedy nie ma on racji. Ale kiedy widzę śmiecie – a błędy to śmiecie – wymiatam je. Skąd wiem to, co wiem? To moja sprawa. Każdy zdobywa swoją wiedzę, jak może, Laktancjusz zadawał pytania odlanej w brzoju głowie Wergiliusza, a ona odpowiadała mu; Sylwester II rozmawiał z ptaszkami; czy ptaki umiały mówić? czy papież umiał ćwierkać? Pytania nie rozwiązane. Umarłe dziecko rabina Eleazara przemówiło do świętego Augustyna. Mówiąc między nami, nie wierzę w te wszystkie historie z wyjątkiem ostatniej. Być to może, że umarłe dziecko przemówiło; lecz miało ono pod językiem złotą płytkę, na której wryte były najrozmaitsze konstelacje. A zatem oszukiwało. Oto i wytłumaczenie. Widzicie, jak dalece miarkuję się w sądach. Oddzielam prawdę od fałszu. Proszę bardzo, a oto inne mylne mniemania, które wy, biedni ludzie z ludu, podzielacie zapewne, a od których pragnąłbym oswobodzić was. Dioskurides wierzył, że w błekocie kryje się bóg. Chryzyp doszukiwał się go w liściach cynopastu, Józef w korzeniu rzepy, Homer – w roślinie moly. Otóż mylili się oni. W roślinach tych kryje się nie bóg, lecz szatan. Sprawdziłem to sam. To nieprawda, że wąż, który kusił Ewę, miał, jak Kadmos, ludzką twarz. Garcias de Horto, Cada-Mosto i Jan Hugo, arcybiskup Trewiru, zaprzeczają, jakoby dla schwytania słonia dość było podpiłować drzewo. Przychyłam się do ich zdania. Obywa-

tele, fałszywe poglądy powstają za usilnym staraniem Lucyfera. Gdzie ten książę panuje, tam pojawiają się meteory błędu i zguby. Narodzie, Klaudiusz Pulcher nie dlatego umarł, że kurczęta nie chciały wychodzić z kurnika; w rzeczywistości – to Lucyfer, który przewidział śmierć Klaudiusza Pulchera, postarał się, aby te ptaki jeść przestały. Belzebub, co obdarował cesarza Wespazjana władzą prostowania nóg kulawym i przywracania wzroku niewidomym jednym dotknięciem dłoni, popełnił czyn sam w sobie chwalebny, lecz motywy jego nieczyste były. Cni panowie, wystrzegajcie się, fałszywych mędrców, co używają białej dyni, co wyrabiają maść na oczy z miodu i koguciej krwi. Nauczcie się odróżniać prawdę od łgarstwa. Nie jest dokładne podanie, jakoby Orion został zrodzony przez Jowisza podczas załatwiania przez niego swej potrzeby naturalnej; w rzeczywistości Merkury stworzył tę gwiazdę w taki właśnie sposób. To nieprawda, jakoby Adam miał pepek. Kiedy święty Jerzy zabijał smoka, nie było przy nim córki żadnego ze świętych pańskich. Święty Hieronim nie miał w gabinecie swoim zegara na kominku: po pierwsze – ponieważ mieszkając w jaskini nie miał on gabinetu; po wtóre – ponieważ nie miał kominka, po trzecie – ponieważ nie istniały jeszcze wówczas zegary. Prostujmy błędy! Prostujmy błędy! O mili moi, którzy mnie słuchacie, jeżeli ktokolwiek powie wam, że każdemu, co powącha waleriany, rodzi się w mózgu jaszczurka, że gnijące ścierwo wołu w pszczoły się przemienia, konia zaś – w szerszenie, że człowiek zmarły więcej waży niż żywy, że krew capa rozpuszcza szmaragd, że gąsienica, mucha i pajak na tym samym drzewie spostrzeżone zwiastują głód, wojnę i mór, że wielką chorobę wyleczyć można za pomocą robaka wylęgłego w głowie sarny – nie dawajcie wiary, to banialuki! Oto, co jest prawdą: skóra morskiego cielecia chroni od grzmotu; ropucha żywi się ziemią i tworzy się jej wskutek tego kamień w głowie; róża jerychońska kwitnie w Wigilię Bożego Narodzenia; węże nie znoszą cienia jesionu; słoń nie ma stawów i musi spać stojąc, oparłszy się o drzewo; posadźcie ropuchę na kogucim jajku, a otrzymacie skorpiona, z którego narodzi się salamandra; ślepiec odzyskuje wzrok kładąc jedną rękę na lewej stronie ołtarza, a drugą rękę na swoich oczach; dziewictwo nie wyklucza macierzyństwa. Zacni ludzie, tymi oto niewątpliwymi prawdami karmcie się. W Boga zaś wierzyć możecie na dwa sposoby: albo na podobieństwo wiary pragnienia w pomarańczę, albo na podobieństwo wiary osła w bat. A teraz zaprezentuję wam moich współpracowników.

W tym miejscu silniejszy podmuch wiatru wstrząsnął futrynami i okiennicami karczmy stojącej samotnie na otwartej przestrzeni. Przeciągly szmer przebiegł powietrzem. Mówca odczekał chwilę, po czym głos jego, zwycięski w zawodach z zawieją, dał się słyszeć znowu:

– Przerwał mi. Trudno. Mów, akwilonie. Szanowni państwo, nie gniewam się o to wcale. Wiatr jest rozmowny jak wszyscy, co żyją samotnie. Tam, w górze, nikt mu nie dotrzymuje kompanii. Gada więc sobie. Lecz wracam do mego wątku. Macie oto przed sobą stowarzyszenie artystów. Jest nas czworo. *A lupu principium*. Rozpaczynam od przyjaciela mego, wilka. Nie kryje się on z tym wcale. Przyjrzyjcie się mu. Jest wykształcony, poważny i bystry. Niewątpliwie opatrność kiedyś, w jakiejś chwili, miała zamiar uczynić z niego doktora uniwersytetu; lecz na to trzeba być trochę głupcem, a on nim nie jest. Dodam tu jeszcze, że nie ma on żadnych przesądów, żadnej rodowej pychy. Nieraz zdarzało mu się obcować z suką, jemu, co miałby wszelkie prawo do wilczycy. Jego następcy tronu, jeżeli ich w ogóle ma, łączą zapewne w miły sposób szczekanie matki z wyciem ojca. Bo on wyje. Z ludźmi trzeba wyć. Szczeka również, czyniąc ustępstwo na rzecz cywilizacji. Łagodnieje przez wspaniałość. Homo jest udoskonalonym psem. Oddajmy cześć psu. Pies – dziwaczne zwierzę – ma pot na języku, a uśmiech w ogonie. Homo dorównuje mądrością nieowłosionemu wilkowi z Meksyku, słynnemu ksoloitzeniski, a przewyższa go serdecznością. I jest pokorny. Ma on skromność wilka, co pożytecznym jest dla ludzkiego rodzaju. Jest miłosierny i uczynny nie chępiąc się tym wcale. Jego lewa łapa nie wie nic o dobrym uczynku, który prawa spełnia. Oto, jakie są jego zasługi. O drugim moim przyjacielu powiem tylko jedno słowo: jest to potwór. W podziw was wprawi. Został on niegdyś porzucony przez piratów u wybrzeży dzi-

kiego oceanu. A ta oto jest ślepa. Czyżby była to rzecz wyjątkowa? Nie. Wszyscy jesteśmy ślepcami. Skąpiec jest ślepcem; widzi on złoto, a nie widzi bogactwa. Rozrzutnik jest ślepcem; widzi on początek, a nie widzi końca. Kokietka jest ślepa; nie widzi swoich zmarszczek. Mędrzec jest ślepy; nie widzi swojej niewiedzy. Człowiek uczciwy jest ślepy; nie widzi łotra. Łotr jest ślepy; nie widzi Boga. Bóg jest ślepy; kiedy tworzył świat, nie spostrzegł, że wcisnął mu się tam diabeł. I ja jestem ślepy; mówię, a nie widzę, że jesteście głusi. Ta oto nasza ślepa towarzysza jest tajemniczą kapłanką. Bogini Westa powierzyłaby jej chętnie swoje ognisko. Ma ona w usposobieniu swoim miejsca ciemnawe nieco i łagodne jak rozchylenia w runie baranka! Myślę, że jest chyba córką króla, ale nie twierdzę tego stanowczo. Godna pochwały nieufność cechować powinna mędrca. Jeżeli zaś o mnie chodzi – to param się nieco i mędrkowaniem, i medycyną. Rozpatruję i opatruję. *Chirurgus sum*. Uzdrowiam z gorączek, miazmatów, pomorów. Niemal wszystkie wrzody i dolegliwości nasze, leczone stosownie, uwalniają nas najpoczciwiej od innych przypadłości, o wiele gorszych jeszcze. Pomimo to jednak nie doradzałbym wam bynajmniej czyraka zwanego również karbunkulem. Jest to głupia choroba, która na nic się nie przydaje. Umiera się z niej – tyle tylko. Nie jestem ja ani nieukiem, ani prostakiem. Wielbię wymowę i poezję, obcuje na stopie niewinnej zażyłości z tymi dwiema boginiami. A teraz zakończę następującą uwagą. Cni panowie, cne panie, po jasnej, słonecznej stronie dusz waszych pielęgnujcie cnotę, skromność, uczciwość, sprawiedliwość i miłość. Każdy na tym padole może mieć tym sposobem swoją doniczkę z kwiatkiem w swoim oknie. Skończyłem, miłościwi panowie. A teraz rozpocznie się widowisko.

Mężczyzna, marynarz zapewne, który przysłuchiwał się z zewnątrz, wszedł do niskiej izby gospody, minął ją, zapłacił kilka groszy, których od niego zażądano, i wyszedł na podwórze pełne publiczności. W głębi podwórza stał duży, kryty wóz z otwartą klapą. Na tej scenie mężczyzna zobaczył starca odzianego w skórę niedźwiedzia, młodzieńca o twarzy jak maska, ślepa dziewczynę i wilka.

– Tam do licha! – zawołał. – Oto wspaniali ludzie!



### III. W KTÓRYM ZNOWU POJAWIA SIĘ PRZECHODZIEN

„Zielone Pudło” – ono to było bowiem – przyjechało więc do Londynu. Zatrzymało się w Southwark. Pole, na którym trwał wieczysty jarmark, nie ustający nawet zimą, przynęciło Ursusa.

Miło było Ursusowi zobaczyć kopułę Świętego Pawła.

Londyn ma swoje dobre strony. Ofiarowanie katedry świętemu Pawłowi to zaiste odwaga niemała. Prawdziwym świętym katedralnym jest święty Piotr. Święty Paweł podejrzany jest o wyobraźnię, a w sprawach dotyczących Kościoła wyobraźnia znaczy tyle co herezja. Święty Paweł jest świętym dzięki łagodzącym okolicznościom. Wszedł on do nieba przez te drzwi, przez które wpuszczani tam bywają tylko artyści.

Katedra to szyld. Święty Piotr wskazuje na Rzym, miasto dogmatu; święty Paweł oznajmia Londyn, miasto schizmy.

Filozofia Ursusa szerokie miała ramiona i wszystko nimi objąć mogła; potrafił też należyście ocenić te odcienie, a jego pociąg do Londynu wywodził się, być może, również i z niejakią sympatią do Świętego Pawła.

Wybór Ursusa padł na obszerne podwórze gospody „Tadcaster”. Zostało ono urządzone jakby w przewidywaniu przybycia „Zielonego Pudła”; był to gotowy teatr. Podwórze o kształcie kwadratowym, obudowane było z trzech stron, z czwartej zaś, naprzeciwległej piętrom, zamykał je mur, pod którym ustawiono wóz, który mógł tam wjechać dzięki szerokości wjazdowej bramy. Długi drewniany ganek, kryty daszkiem i podparty słupami, ciągnął się na wysokości pierwszego piętra przez wszystkie trzy otaczające dziedziniec ściany, z dwu stron spuszczać się ukośnie schodami w dół. Okna parteru tworzyły parterowe łoża, bruk podwórza – parter, ganek zaś był balkonem. Taka to widownia otwierała się przed „Zielonym Pudłem”, ustawionym przy murze. Przypominała niezmiernie ów „Glob”, gdzie grywano niegdyś *Otella*, *Burzę* i *Króla Lira*.

W kącie za „Zielonym Pudłem” znajdowała się stajnia.

Ursus ułożył się z oberżystą, imię Niclessem, który przez poszanowanie dla prawa zgodził się przyjąć do swej oberży wilka tylko za podwyższoną opłatą. Deskę z napisem „Gwynplaine – Człowiek Śmiechu” odczepioną od „Zielonego Pudła” zawieszono obok szyldu oberży. W izbie gospody, jak już o tym wiemy, znajdowały się wewnętrzne drzwi prowadzące na podwórze. Przy drzwiach tych z beczki o wybitym dnie urządzono budkę dla „kasjerki”, którą bywała raz Fibi, raz Vinos. Nie inaczej jest i dziś. Kto wchodzi, ten płaci. Pod napisem „Człowiek Śmiechu” przybito dwoma gwoździami białą pomalowaną deskę, na której ogromnymi literami wykaligrafowany został węglem tytuł wspaniałej sztuki Ursusa *Chaos zwyciężony*.

Na środku ganku, na wprost „Zielonego Pudła”, wydzielono za pomocą dwu przegrodzeń osobną łożę „dla widzów szlachtetnego rodu”. Wchodziło się tam przez duże, podłogi sięgające okno.

Łoża ta pomieścić mogła w dwu rzędach dziesięciu widzów.

– Jesteśmy w Londynie – powiedział Ursus. – Musimy być gotowi na przyjęcie szlachtetnie urodzonych gości.

W łoży tej poustawiać kazał najlepsze krzesła z gospody i umieścić pośrodku wielki fotel kryty utrechckim aksamitem w wiśniowy wzór i nabijany złotymi ćwiekami. A nuż żona jakiego *aldermana* przyjdzie kiedyś na widowisko?

Rozpoczęły się przedstawienia.

Widzowie cisnęli się tłumnie od pierwszej chwili.

Lecz loża dla „wizów szlachetnego rodu” stała pusta. Z tym jedynym wyjątkiem powo-  
dzenie było ogromne, jakiego nie oglądano jeszcze, odkąd na świecie istnieją sztukmistrze i  
wędrownie teatry. Całe przedmieście Southwark biegło na wyścigi, aby podziwiać Człowieka  
Śmiechu.

Kiedy pojawił się Gwynplaine, potruchleli linoskocy i kuglarze z placu Tarrinzeau. Spadł  
na nich niby jastrząb na klatkę szczygłów i wydziobał im pożywienie. Gwynplaine połknął  
całą ich publiczność.

Oprócz szarego ludu połykaczy noży i strojących miny błaznów znajdowali się przecież na  
tym placu i tacy, co pokazywali nie lada widowiska. Był tam cyrk, w którym popisywały się  
kobiety-linoskoczki, rozbrzmiewający od rana do wieczora potężnym dźwiękiem wszelakiego  
rodzaju instrumentów, cymbałów, bębenków, dzwonek, fujarek, kobz, trąbek, rożków nie-  
mieckich, piszczałek i fletów przeróżnych. Pod namiotem szerokim i okrągłym pokazywali  
się skoczkowie, którym aniby dorównać mogli dzisiejsi nasi amatorzy wspinania się po Pire-  
nejach, Dulma, Bordenave i Meylonga, którzy z wierzchołka Pierrefitte schodzą na równinę  
Limacon, a więc prawie że spadają. Była tam również wędrowna menażeria, w której oglądać  
można było tygrysa-trefnisia, co przynaglony batem przez pogromcę wyrwał mu ten bat i  
połykał go. Otóż i ten komik nawet, uzbrojony w zęby i pazury, został odsunięty w cień.

Zainteresowanie, oklaski, dochody, publiczność – wszystko zabrał dla siebie Człowiek  
Śmiechu. Stało się to w mgnieniu oka. Wszystko, co nie było „Zielonym Pudłem”, jakby ist-  
nieć przestało – *Chaos zwyciężony* stał się więc chaosem zwycięskim – mawiał Ursus czując  
się sprawcą połowy powodzenia Gwynplaine'a, „pociągając w swoją stronę obrusa” – jak to  
się zwykło mówić w języku komediantów.

Powodzenie Gwynplaine'a było niesłychane. Nie przekroczyło jednakże granic przedmie-  
ścia. Sława z wielkim trudem przeprawia się przez wodę. Imię Szekspira wędrowało z Anglii  
do Francji lat aż sto trzydzieści; woda jest niczym mur i gdyby Wolter, czego sam później  
gorzko żałował, nie podsadził był Szekspira, Szekspir do tej pory znajdowałby się jeszcze po  
tamtej stronie w Anglii jako więzień swojej wyspiarskiej sławy.

Sława Gwynplaine'a nie przekroczyła mostu Londyńskiego. Nie wyrosła do rozmiarów  
wielkomięskiego rozgłosu. Początkowo przynajmniej. Lecz Southwark – to dosyć dla ambi-  
cji kłowna. „Sakiewka z pieniędzmi grubieje w oczach, jak dziewczyna, co pobłądziła” –  
mawiał Ursus.

Pokazywano najpierw *Ursusa Rursusa*, później *Chaos zwyciężony*.

Podczas antraktów Ursus, co nie darmo używał imienia *engastrimithosa*, popisywał się  
brzuchomówstwem wysokiej rangi; naśladował każdy głos następczy przez otoczenie, czy  
to śpiew, czy to krzyk, w sposób podobny tak łudzaco, że zdumiewał się ten, co krzyknął czy  
też zaśpiewał; niekiedy znowu imitował zgłębienie tłumu i tak sapał, tak szemrał, jakby on jeden  
był całą ludzką gromadą. Talenty to nieczęsto spotykane.

Prócz tego przemawiał niczym Cycero – słyszeliśmy go przed chwilą – sprzedawał leki,  
leczył choroby, a czasami nawet przywracał zdrowie chorym.

Southwark był podbity.

Ursus cieszył się poklaskiem Southwarku, nie dziwił się mu jednak bynajmniej.

– Ludzie tutejsi to starożytni Trinobanci – mawiał.

Po czym dorzucił jeszcze:

– Których dla delikatności ich smaku wyraźnie odróżniać należy od Atrebatów, co osiedlili  
się w Berks, od Belgów, co zamieszkują Somerset, i od Paryżan, co założyli York.

Podczas każdego przedstawienia dziedziniec gospody, przemieniony w parter widowni,  
wypełniał się obdartymi, a zachwyconymi widzami. Byli to przewoźnicy, tragarze, cieśle z  
wybrzeża, holownicy rzecznych statków, majtkowie świeżo przybyli na ląd, co trwonili swój  
żołd na hulanki i dziewczęta. Przychodzili tam i słudzy z pańskich domów, i stręczyciele, i  
czarni gwardziści, czyli żołnierze skazani za uchybienie dyscyplinie na noszenie swoich

czzerwonych kurtek wywróconych czarną podszewką do wierzchu i nazywani z tego powodu *blackquards*, skąd powstało słowo „blagier”. Cała ta rzesza napływała z ulicy do teatru, z teatru zaś odpływała do szynkowni. Wypite szklanki nie szkodziły powodzeniu.

Wśród tych ludzi, których „szumowinami” nazywać się zwykło, był jeden wyższy niż inni, roślejszy, tęższy, mniej ubogi, bardziej barczysty, ubrany jak większość mężczyzn z ludu, lecz nieobdarty, zapalony wielbiciel widowiska, co kułakami przepychał się na sam przód, w rozwichrzonej peruce na głowie, klnąc, wrzeszcząc, docinając. Nie byle ciura, co potrafił i oko podbić, i butelką poczęstować.

Widzem tym, wiernym i stałym, był ów przechodzień, którego okrzyk pełen entuzjazmu mieliśmy okazję usłyszeć przed chwilą.

Ów znawca sztuki, podbity od pierwszej chwili, został najgorliwszym wielbicielem Człowieka Śmiechu. Nie na każde przedstawienie przychodził. Lecz kiedy się zjawiał, zapalał swoim porywał publiczność; oklaski zmieniały się w okrzyki, a powodzenie sięgało nie sufitu – nie było go bowiem – lecz obłoków – te były. (A z obłoków tych, z powodu braku sufitu właśnie, niejedną raz spadł deszcz na arcydzieło Ursusa.)

Ursus zauważył wreszcie tego człowieka, a i Gwynplaine również zaczął mu się przyglądać.

W nieznanym tym obaj mieli przyjaciela nie lada.

Ursus i Gwynplaine chcieli zapoznać się z nim albo choć dowiedzieć się przynajmniej, kim był.

Pewnego wieczora za kulisami, których funkcje pełniły w „Zielonym Pudle” drzwi kuchni, pojawił się przypadkiem imię Nicless, oberżysta, i przystanął obok Ursusa. Ten wskazując na znajdującego się wśród ciżby nieznanego zapytał:

- Czy znacie tego człowieka?
- No pewnie.
- Kto to jest?
- Marynarz.
- A jak się nazywa? – wmieszał się do rozmowy Gwynplaine.
- Tom-Jim-Jack – odrzekł oberżysta.

Po czym imię Nicless zszedł po schodkach umocowanych przy wozie i nim powrócił do swojej gospody, rzucił jeszcze taką oto, jakże głęboką, uwagę:

- Co za szkoda, że to nie lord! Byłby z niego hultaj co się zowie.

Mieszkańcy „Zielonego Pudła” osiedlili się więc w gospodzie, nie zmienili jednak swoich obyczajów. Żyli nadal w odosobnieniu. Z oberżystą zamienili czasem kilka słów, to prawda, lecz z mieszkańcami zajazdu, stałymi czy też przelotnymi, nie zadawali się zupełnie, obcowali, jak przedtem, sami ze sobą tylko. Odkąd przybyli do Southwark, Gwynplaine, po zakończeniu widowiska, po wieczerzy i ludzi, i koni, kiedy Ursus i Dea spać się już kładli – każde w swojej części wozu – wychodził zwykle na pole, by odetchnąć nieco powietrzem, pomiędzy godziną jedenastą i północą. Nieokreślone marzenia ukryte w umyśle człowieka wyciągają go z domu na takie nocne spacerki, na przechadzki pod gwiazdami; młodość to tajemnicze oczekiwanie, dlatego też chętnie błądzi się wówczas po nocy, bez celu. O tej godzinie na placu jarmarcznym nie było już nikogo, co najwyżej postać jakiegoś zapóźnionego pijaka przesuwała się chwiejną sylwetą gdzieś z boku, wśród ciemności; zamykano opustoszałe oberże, w niskiej izbie gospody „Tadcaster” gasły lampy i już tylko ostatnia świeczka w kącie świeciła ostatniemu z pijących gości. Blade jej światelko przedostawało się na zewnątrz przez uchylone drzwi gospody, a Gwynplaine zamyślony, rozmarzony, szczęśliwy szczęściem nieokreślonym a boskim, przechadzał się tam i na powrót przed tymi uchylonymi drzwiami. O czym rozmyślał? O Dei, o niczym, o wszystkim, o głębinach nie do ogarnięcia. Nie oddalał się od gospody przytrzymywany, niby nicią, bliskością Dei. Dość mu było tych kilku kroków spaceru.

Wracał wreszcie. W „Zielonym Pudle” spali wszyscy. Usypiał więc i on.

## IV. SPRZECZNOŚCI BRATAJĄ SIĘ ZE SOBĄ W NIENAWIŚCI

Powodzenie nie bywa lubiane przez tych szczególnie, którzy cenę jego opłacają własną klęską. Rzadko się zdarza, by ci, co są zjadani, ubóstwiali tych, którzy ich zjadają. Człowiek Śmiechu wywołał iście niezwykle poruszenie. Kuglarze z Pola Tarrinzeau byli oburzeni Sukces sceniczny jest jak pompa ssąca, wchłania on tłumy czyniąc pustkę dokoła. Przerazenie ogarnia sąsiada z przeciwka. Im bardziej rosły dochody „Zielonego Pudła”, tym bardziej kurczył się utarg okolicznych teatrów. Widownie, ściągające dotychczas rzesze, zaświeciły pustką. Jakby wody we wszystkich rzekach opadły nagle, gdyż jedna kosztem innych przybiera. Takie ruchy wód znają dobrze wszystkie teatry; odpływ w jednym jest warunkiem przyływu w drugim. Człowiek Śmiechu przyniósł ruinę jarmarcznemu mrowiu, co popisywało się na placu Tarrinzeau dając przedstawienia i koncerty. Wpadli oni i w rozpacz, i w zachwyt razem. Nie było kłowna, nie było kuglarza, nie było skoczka, co by nie zazdrościł Gwynplaine'owi. Oto szczęściarz, udał mu się ten bydlęcy pysk! Matki – akrobatki i tancerki na linie – co miały ładne dzieci, spoglądały na nie ze złością i mówiły pokazując Gwynplaine'a: „A to szkoda, że ty nie masz takiej twarzy.” Niejedna zabiła swego malca z furii, że taki śliczny. Niejedna, gdyby tylko знаła sekret, przerobiłaby swojego syna na podobieństwo Gwynplaine'a. O ileż więcej warta jest diabelska morda przynosząca zyski, od główki aniołka, z której nie masz ani grosza. Niektórzy słyszeli nawet, jak matka pewnego chłopczyka – uroczego cherubinka, co występował w roli Kupidyna – odezwała się dnia pewnego: „Popartolili nam dzieci. Udał się tylko ten Gwynplaine.” I wygrażając pięścią synkowi dorzuciła: „Gdybym ja tylko wiedziała, kto jest twoim ojcem, już on miałby się z pyszna!”

Gwynplaine był kurą, co znosi złote jaja. Cóż za cudowny fenomen! We wszystkich budach na rynku powstało zamieszanie. Kuglarze, zachwyceni i rozdrażnieni, oglądali Gwynplaine'a zgrzytając zębami. Wściekłość, która podziwia, nosi imię zawiści. A zawiść ryczy. Próbowali też zamącić *Chaos zwyciężony*, zmawiali się, chrząkali, hałasowali, gwizdali. Dla Ursusa stało się to powodem do wygłoszenia kilku filipik, a dla przyjaciela Tom-Jim-Jacka okazją do rozdawania kuksańców z rodzaju tych, co przywołują ludzi do porządku. Kuksańce te sprawiły, że Gwynplaine przypatrywał się Tom-Jim-Jackowi coraz uważniej, że Ursus coraz bardziej go podziwiał. Z daleka zresztą; mieszkańcy „Zielonego Pudła” bowiem obcowali sami ze sobą tylko i trzymali się na uboczu, a Tom-Jim-Jack, cieszący się tak wielkim mirem wśród hołoty, wyglądał na wyniosłego hultaja, co nie przyjaźni się z nikim, z nikim nie wchodzi w ściślejszą zażyłość, na zawadiakę, co wszędzie pierwszy jest do bitki, co nagle pojawia się i nagle znika, który każdemu może być kompanem, lecz nikomu druhem.

Zawiść rozpętana przeciwko Gwynplaine'owi nie uznała się za pobitą po paru kułakach Tom-Jim-Jacka. Nic nie wskórawszy gwizdaniem, linoskocy z Pola Tarrinzeau wygotowali skargę. Odwołali się do władzy. Tak się bowiem zazwyczaj dzieje. Przeciw powodzeniu, co nie jest dla nas wygodne, najpierw podburzamy tłum, później – wzywamy pomocy sądowego urzędnika.

Do kuglarzy przyłączyło się duchowieństwo. Przez Człowieka Śmiechu ponosiły kazania uszczerbek nie lada. Nie tylko z bud sztukmistrzów znikli ciekawi, pusto zrobiło się również i w kościołach. Kaplice wszystkich pięciu parafii Southwark potraciły słuchaczy. Aby oglądać Gwynplaine'a, zaniedbywano nabożeństwa. *Chaos zwyciężony*, „Zielone Pudło”, Człowiek Śmiechu i inne diabelskie wymysły zwyciężyły wymowę kościelnej ambony. Głos wołającego na puszczy, *vox clamantis in deserto*, nie znajduje zadowolenia i chętnie zwraca się o po-

moc do rządu. Pastorowie pięciu parafii odnieśli się ze skargą do biskupa Londynu, ten zaś zwrócił się ze skargą do jej królewskiej mości.

Skarga kuglarzy opierała się na religii. Uznali, że została ona obrażona. Obwiniali Gwynplaine'a o czary, Ursusa zaś o bezbożność.

Pastorowie powoływali się na zakłócenie społecznego porządku. Występowali w obronie pogwałconych ustaw parlamentu odkładając na bok sprawy wiary. Chytrność tym większa. Były to bowiem czasy Locke'a zmarłego przed sześcioma miesiącami zaledwie, dwudziestego ósmego października 1704 roku, i rozpoczynało się panowanie sceptycyzmu, którym Bolingbroke natchnie już wkrótce Woltera. Wesley miał później dopiero przywrócić Biblię, jak Loyola przywrócił papizm.

Takim to sposobem „Zielone Pudło” uderzone zostało z dwu stron: bili w nie kuglarze w imię Biblii, bili w nie księża w imię ustawy. Z jednej strony niebo, z drugiej strony targowisko, duchowni upominali się o targowisko, a linoskocy upominali się o niebo. Księża denuncjowali „Zielone Pudło” za niepraworządność, kuglarze – za świętokradztwo.

Pod jakim pozorem? Czy był powód? Był. Jaką popełniono zbrodnię? Taką oto: w „Zielonym Pudle” trzymano wilka. Wilk jest z Anglii proskrybowany. Dog – proszę bardzo, ale wilk – nigdy. Anglia godzi się na psa, który szczeka, lecz nie godzi się na psa, który wyje; subtelne rozróżnienie podwórza i lasu. Proboszczowie i wikarzy pięciu parafii Southwark powoływali się w swojej skardze na liczne statuty wydane przez króla i przez parlament, a stawiające wilka poza prawem. Żądali oni właściwie uwięzienia Gwynplaine'a i zajęcia albo co najmniej przegnania wilka. Wymaga tego interes publiczny, wilk przedstawia niebezpieczeństwo dla przechodniów itd. I odwołali się w tym względzie do opinii Fakultetu. Zacytowali werdykt Kolegium Osiemdziesięciu Lekarzy Londynu, uczonego zgromadzenia istniejącego od czasów Henryka VIII, które niczym państwo posiada swoją własną pieczęć, które ma prawo podnoszenia chorych do godności podsądnych, które ma prawo uwięzienia tych, co nie szanują ustaw przez nich wydanych, co nie stosują się do jego zarządzeń, a które wśród wielu stwierdzeń, tak pożytecznych dla zdrowia obywateli, ustaliło niewątpliwie, przez naukę potwierdzony fakt: – Jeżeli wilk pierwszy spostrzeże człowieka, człowiek ten ochryźnie na całe życie. – A ponadto może zostać pokąsany.

A więc za powód posłużył Homo.

Ursus usłyszał o tych konszachtach od oberżysty. Zaniepokoił się. Bał się policji, bał się sądu – dwu szponów. Aby bać się sądów, niekoniecznie trzeba być winowajcą. Ursus nie pragnął wcale zawarcia znajomości z szeryfami, sędziami, starostami i oficerami policji. Nie śpieszyło mu się bynajmniej do oglądania z bliska tych urzędowych postaci. Ciekawili go o tyle, o ile zająca ciekawie mogą gończe psy. Zaczynał żałować przybycia do Londynu.

– Lepsze jest wrogiem dobrego – pomrukiwał sam do siebie. – Lekceważyłem sobie to przysłowie i nie miałem racji. Im głupsza prawda, tym prawdziwsza.

Przeciwko tym sprzymierzonym potęgom – kuglarzom – obrońcom religii i duchownym, co oburzali się w imię medycyny – biedne „Zielone Pudło”, pomówione o czary w osobie Gwynplaine'a i o wodowstręt w osobie Homo, miało za sobą jednego tylko sojusznika, lecz za to znaczącego w Anglii bardzo wiele: opieszałość miejscowych urzędów. Cała angielska swoboda wywodzi się z tej ich niedbałości. Wolność w Anglii postępuje sobie podobnie jak i morze, które tę wyspę oblewa. Posuwa się nieustannie, coraz wyżej, jak przypyływ. Powoli, powoli obyczaje zalewają prawa. Okrutne ustawodawstwo zatopione, ponad nim zwyczaj, barbarzyński kodeks widoczny jeszcze poprzez przezroczyłość wolności – oto, czym jest Anglia.

Człowiek Śmiechu, *Chaos zwyciężony* i Homo mogli tedy mieć przeciwko sobie kuglarzy, proboszczów, biskupów, Izbę Gmin, Izbę Lordów i majestat królewski, i Londyn, i całą Anglię i żyć w spokoju, dopóki trzymał z nimi Southwark. „Zielone Pudło” stało się ulubioną rozrywką przedmieścia i władze miejscowe traktowały je obojętnie. W Anglii obojętność – to

opieka. Dopóki szeryf hrabstwa Surrey, którego władzy podlegał Southwark, nie dawał znać o sobie, Ursus oddychał bez trwogi, a Homo mógł spać bezpiecznie na swoje oba wilcze uszy.

Zawiści te nieźle służyły nawet powodzeniu. Byleby tylko nie przyniosły w końcu katastrofy. Tymczasem zaś „Zielonemu Pudłu” nie wiodło się ani na jotę gorzej z ich powodu. Przeciwnie. Wieści o podstępnych knowaniach przedostały się do publiczności. I Człowiek Śmiechu stał się jeszcze bardziej popularny. Tłum w lot wywęszy każdy donos i zawsze sympatyzować będzie z tym, na kogo padło podejrzenie. Podejrzenie – to rekomendacja. Lud instynktownie staje po stronie tego, który zagrożony jest prześladowaniem przez władzę. Padło podejrzenie i oto rodzi się owoc zakazany; każdy śpieszy, by go popróbować. Jak miło jest klaskać, kiedy drażni się kogoś oklaskami, szczególnie zaś kiedy tym kimś jest władza. Wypowiedzieć się za prześladowanym i demonstrować przeciwko prześladowcy przyjemnym spędzeniem wieczoru – i komuż by się to nie spodobało? Rozrywka to nie lada. Popierasz i bawisz się równocześnie. Pamiętajmy, że budy komedianów z Pola Tarrinzeau w dalszym ciągu prowadziły nagonkę przeciwko Człowiekowi Śmiechu i jawnie, i skrycie. Nie ma lepszego środka na powodzenie. Hałasy wrogów skutecznie ożywiają i potęgują triumf. Przyjaciel szybciej znuży się chwaleniem niż nieprzyjaciel – szkalowaniem. Obelgi są nieszkodliwe. Lecz wrogowie o tym nie wiedzą. Nie mogą oni nie łżyć, nie obrażać i na tym polega ich pożyteczność. Nie potrafią umilknąć i przez to podniecają nieustannie uwagę publiczności. Tłumy cisnące się, by oglądać *Chaos zwyciężony*, rosły.

Ursus zachował dla siebie wszystko, czego dowiedział się od imć Niclessa o intrygach i skargach do wysokich władz. Nie wspomniał o tym Gwynplaine'owi; nie chciał, by niepokój jego odbił się niekorzystnie na przedstawieniach. Jeżeli zdarzy się nieszczęście, dowie się o nim zawsze dość wcześnie.

## V. WAPENTAKE

Raz jednak uznał, że odstąpić należy od tej zasady ostrożności, przez ostrożność właśnie, że nie od rzeczy będzie zamącić nieco spokój Gwynplaine'a. Chodziło, to prawda, o rzecz o wiele według Ursusa poważniejszą niż jarmarczne i kościelne intrygi. Gwynplaine podniósłszy kiedyś farthing, co spadł na ziemię przy obliczaniu kasy, zaczął mu się przypatrywać i w obecności oberżysty wyraził się w sposób bardzo śmiały, wskazując na sprzeczność pomiędzy farthingiem, symbolem nędzy ludu, i wybitą na nim podobizną Anny, przedstawiającą pasożytniczy przepych tronu. Słowa te, powtórzone przez imię Niclessa, wędrowały z ust do ust i odbyły długą drogę, by wreszcie przez Fibi i Vinos powrócić do Ursusa. Ursus zląkł się nie na żarty. Słowa buntu! Obraza majestatu! Surowo napomniał Gwynplaine'a.

– Uważaj na swój obrzydliwy pysk! Nic nie robić – oto reguła dla wielkich; a nic nie mówić – oto reguła dla małych. Biedak jednego ma tylko przyjaciela – milczenie. Jedną tylko sylabę wymawiać powinien: „tak”. Przyznawać się i zgadzać się – oto całe jego prawo. „Tak” – wobec sędziego; „tak” – wobec króla. Wielcy, jeżeli weźmie ich ochota, okładają nas kijem – i mnie też się nieraz dostało – to ich przywilej, łamiąc nam kości nie tracą swej wielkości ani na jotę. Czujmy berło, które jest pierwszą spośród wszystkich pałek. Szacunek to ostrożność, a płaszczenie się to egoizm. Kto obraża swego króla, naraża się na takie samo niebezpieczeństwo co dziewczyna zuchwale ucinająca grzywę lwu. Doniesiono mi, żeś się rozszekał na rachunek farthinga, który jest tym samym co grosz, żeś się wyrażał niestosownie o tym dostojnym medalu, który daje nam przywilej otrzymania na targu dzwonka solonego śledzia! Strzeż się. Myśl poważnie. Pamiętaj, że istnieją kary. Przesyć się całym prawdami ustawodawstwa. Żyjesz w kraju, gdzie ten, co spiłuje małe trzyletnie drzewko, jest spokojnie prowadzony na szubienicę. Gdzie tych, co klną, zakuwa się w dyby. Gdzie pijak zamknięty zostaje w baryłce o wybitym dnie, by mógł chodzić, głowa jego sterczy przez otwór zrobiony w górze beczki, a przez dwie dziury z boku wystają mu ręce, żeby się położyć nie mógł. Kto by uderzył kogokolwiek w sali Westminsteru – zostanie wtrącony do więzienia na resztę życia, a majątek jego ulegnie konfiskacie. Temu zaś, co by uderzył kogokolwiek w pałacu królewskim, zostanie ucięta prawa ręka. Puść komuś małym prztyczkiem krew z nosa – i oto nie masz już ręki. Ten, komu sąd biskupi dowiedzie herezji, zostanie spalony żywcem. Cuthbert Simpson był ćwiartowany kołem za drobnostkę. Trzy lata temu, w roku 1702, nie tak dawno więc, jak widzisz, postawiono pod pręgierzem złoczyńcę imieniem Daniel de Foe który miał czelność wydrukować nazwiska członków Izby Gmin, co przemawiali w parlamencie dnia poprzedniego. Temu, co zdradzi króla, rozcina się żywcem brzuch i wyrwa serce, i bije się go tym sercem po twarzy. Raz na zawsze wpój w siebie te prawnicze wiadomości! Nigdy nie pozwalaj sobie na najmniejsze nawet słówko i przy najłżejszym niepokoju odlatywać – oto odwaga, którą ja sam stosuję i doradzam. W zuchwalstwie wzoruj się na ptakach, w gadatliwości wzoruj się na rybach. A zresztą, najwspanialszą cechą Anglii jest wielka miękkość jej ustawodawstwa.

Po udzieleniu tej nagany Ursus był jeszcze przez czas pewien niespokojny; Gwynplaine – bynajmniej. Na nieustraszoną młodość składa się brak doświadczenia. Wydawało się zresztą, że Gwynplaine nie obawiając się niczego miał rację, gdyż tygodnie mijały w spokoju i nic nie wskazywało, by słowa wypowiedziane o królowej mieć miały jakiegokolwiek dalsze skutki.

Ursusa, jak wiemy, nie cechowała bynajmniej apatia. Czujny był zawsze i na wszystko jak sarna.

Pewnego dnia, w niezadługi czas po udzieleniu Gwynplaine'owi nagany, Ursus wyglądając przez małe okienko wychodzące na Pole Tarrinzeau pobladał.

- Gwynplaine'ie!
- Co?
- Patrz.
- Gdzie?
- Na plac.
- No i co?
- Czy widzisz tego przechodnia?
- Człowieka w czarnym stroju?
- Tak.
- Tego, co trzyma w dłoni coś na kształt czekanika?
- Tak.
- No to co?
- A to, Gwynplaine'ie, że człowiek ten to w a p e n t a k e.
- Cóż to takiego: wapentake?
- Setnik.
- A co to jest: setnik?
- *Praepositus hundredi.*
- A co to jest: *praepositus hundredi*?
- To oficer budzący postrach.
- Cóż on trzyma w ręku?
- I r o n - w e a p o n.
- A co to jest: iron-weapon?
- Laska z żelaza.
- I cóż on z tym robi?
- Przede wszystkim przysięga na nią. Dlatego też nosi imię wapentake.
- A później?
- A później dotyka cię nią.
- Czym?
- Żelazną laską.
- Wapentake dotyka ludzi żelazną laską?
- Tak.
- Cóż to znaczy?
- Znaczy to: chodź za mną.
- I trzeba za nim iść?
- Tak.
- Dokąd?
- A czy ja wiem?
- Lecz on mówi przecież człowiekowi, dokąd go prowadzi?
- Nie.
- Ale można go o to zapytać?
- Nie.
- Jak to?
- On nie odzywa się do ciebie, a ty się do niego nie odzywasz.
- Ale...
- Dotyka cię żelazną laską – i wszystko już powiedziane zostało. Musisz iść.
- Ale dokąd?
- Za nim.
- Ale dokąd?
- Tam, gdzie on zechce, Gwynplaine'ie.
- A gdyby ktoś spróbował mu się opierać?



– Zostanie wtedy powieszony.

Ursus znowu wyjrzał przez okienko, odetchnął głęboko i rzekł:

– Chwała Bogu, poszedł sobie! Nie do nas szedł. Niedyskrecja i donosy, dotyczące nierozważnych słów Gwynplaine'a, niepokoiły Ursusa ponad rzeczywistą potrzebę zapewne.

Imé Nicless, który był je usłyszał, nie miał żadnego powodu, by szkodzić biednym ludziom z „Zielonego Pudła”. Przy Człowieku Śmiechu i on sam zarobił niemało. *Chaos zwyciężony* doprowadzał do podwójnie pomyślnego wyniku: w „Zielonym Pudle” triumfowała dzięki niemu sztuka, a w gospodzie kwitło dzięki niemu pijaństwo.

## VI. MYSZ PRZESŁUCHIWANA PRZEZ KOTY

Ursus przeżył jeszcze jeden alarm, dość groźny. Tym razem o niego samego chodziło. Wezwany został do Bishopsgate, przed komisję złożoną z trzech niezbyt przyjemnych postaci. Byli to trzej doktorzy, którym specjalną misję poruczono; pierwszy, doktor świętej teologii, delegowany był przez dziekana Westminsteru, drugi, doktor medycyny, był przedstawicielem Kolegium Osiemdziesięciu, trzeci, doktor historii i prawa cywilnego, reprezentował kolegium w Gresham. Tych trzech ekspertów *in omni re scibili* sprawowało kontrolę słów wygłoszonych publicznie na całym terytorium stu trzydziestu parafii Londynu i siedemdziesięciu trzech parafii hrabstwa Middlesex, ich więc również władzy podlegało pięć parafii Southwarku. Takie duchowne jurysdykcje istnieją w Anglii jeszcze do tej pory i srożą się nie bez pożytku. Dwudziestego trzeciego grudnia 1868, wyrokiem trybunału w Arche, potwierdzonym przez tajną radę lordów, wielbny pastor Mackonochie skazany został na naganę i zapłacenie kosztów sądowych za to, że zapalił świece na zwykłym stole. Z liturgią nie ma żartów.

Otóż więc Ursus otrzymał pewnego pięknego dnia od trybunału delegowanych doktorów wezwanie. Doręczono mu je na szczęście bezpośrednio, mógł więc utrzymać sprawę w tajemnicy. I poszedł nie mówiąc nic nikomu, drżał bowiem na samą myśl o tym, że coś w jego postępowaniu mogło dać powód do podejrzenia – być może – o zuchwałość! On, co tak usilnie zalecał milczenie innym, gorzką otrzymał naukę. *Garrule, sana te ipsum*.

Trzej delegowani doktorowie zasiadali w Bishopsgate w głębi parterowej sali, na trzech krzesłach o poręczach obitych czarną skórą. Ponad nimi, we wnękach ściany, trzy popiersia – Minosa, Eaka i Radamanta, przed nimi – stół, a u ich stóp – stołek.

Ursus wszedł wprowadzony przez milczącego i surowego pacholka, ogarnął to wszystko spojrzeniem i natychmiast każdemu z trzech doktorów nadał w myśli imię jednego z sędziów piekielnych, tak jak poumieszczani oni zostali nad ich głowami.

Minos, pierwszy z trzech, przedstawiciel interesów teologii, dał mu znak, by usiadł na stołku.

Ursus skłonił się jak należy, czyli aż do ziemi, i wiedząc, że niedźwiedzie bierze się na miód, a doktorów na łacinę, nie rozprostowując karku, rzekł z szacunkiem:

– *Tres faciunt capitulum*.

I ze spuszczoną głową, pokora przebija bowiem niebiosą, usiadł na taborecie.

Każdy z trzech sędziów przeglądał plik akt leżący przed nim na stole.

Pierwszy odezwał się Minos:

– Przemawiasz publicznie.

– Tak – odrzekł Ursus.

– Jakim prawem?

– Jestem filozofem.

– To jeszcze nie prawo.

– Jestem również kuglarzem – dodał Ursus.

– A to co innego.

Ursus odetchnął nieśmiało. Minos mówił dalej.

– Skoro jesteś kuglarzem, możesz przemawiać, lecz skoro jesteś filozofem, milczeć powinienieś.

– Postaram się – rzekł Ursus.

I pomyślał sobie: „Mogę mówić, lecz powinienem milczeć. Rzecz to zawiała.”

Przestraszony był nie na żarty.

Przedstawiciel interesów Boga ciągnął dalej:

– Mówisz rzeczy niegodne ludzkiego ucha. Obrażasz religię. Przeczysz najoczywistszym prawdom. Zaszczepiasz oburzające błędy. Powiedziałeś, na przykład, że dziewictwo wyklucza macierzyństwo.

Ursus wolniutko podniósł wzrok.

– Nie mówiłem tego. Powiedziałem, że macierzyństwo wyklucza dziewictwo.

Minos zamyślił się i mruknął:

– Tak, to wręcz odwrotnie.

Było to wręcz to samo. Lecz Ursus odparował pierwszy cios.

Minos rozmyślając nad odpowiedzią Ursusa pogрузzył się w głębinach swej głupoty. Zrobiła się cisza.

Oficjalny przedstawiciel historii, dla Ursusa Radamant, pośpieszył z pomocą Minosowi zadając takie oto pytanie:

– Oskarżony popełniał wielorakie zuchwalstwa i błędy. Zaprzeczał, jakoby bitwa pod Farsalą przegrana została dlatego, że Brutus i Kasjusz spotkali Murzyna.

– Powiedziałem – rzekł Ursus cicho – iż wynikało to również i z tego, że Cezar był wrogiem lepszym od nich.

Mąż zaufania historii przerzucił się teraz do mitologii.

– Usprawiedliwiłeś również zbereżeństwa Akteona.

– Sądzę – wtrącił szybko Ursus – że zobaczenie nagiej kobiety nie jest dla mężczyzny hańbą.

– I mylisz się – rzekł sędzia surowo.

Radamant powrócił do historii.

– W związku z przygodami, co przytrafiły się jeździe Mitrydata, wyrażałeś się z powątpiewaniem o właściwościach niektórych roślin i ziół. Przeczyłeś, jakoby zioło zwane *securiduca* mogło sprawić, że koniom odpadają podkowy.

– Za pozwoleniem – rzekł Ursus – powiedziałem, że spowodować to mogło tylko zioło zwane *sferra-cavallo*. Nie zaprzeczam cnoty żadnej roślinie.

Po czym półgłosem dorzucił:

– Ani żadnej kobiecie.

Tą przystawką do własnej odpowiedzi chciał Ursus dowieść sobie samemu, że mimo strachu nie dał się jeszcze zbić z tropu. Był oto jakby w polowie – przerażeniem, w polowie – przytomnością umysłu.

– Podtrzymuję mój zarzut – rzekł Radamant. – Oświadczyłeś, że Scypion postąpił naiwnie, kiedy chcąc otworzyć bramy Kartaginy użyć za klucz postanowił ziele *aethiopsis*, gdyż ziele *aethiopsis* nie posiada właściwości otwierania wszystkich zamków.

– Powiedziałem tylko, że lepiej było użyć tutaj ziela *lunaria*.

– W istocie, warto się nad tym zastanowić – mruknął Radamant, on z kolei zaskoczony odpowiedzią.

I mąż zaufania historii umilkł.

Mąż zaufania teologii, Minos, odzyskał tymczasem równowagę umysłu i znów począł zadawać Ursusowi pytania. Przerzucił plik dokumentów.

– Twierdziłeś, że *auripigmentum* jest produktem arsenikowym, i głosiłeś, że *auripigmentum* otruć można. Otóż Biblia temu przeczy.

– Biblia temu przeczy – westchnął Ursus – lecz arsenik to potwierdza.

Osobistość, w której Ursus widział Eaka, a która była przedstawicielem interesów medycyny i nie odzywała się jeszcze, teraz wtrąciła się i zmierzwszy Ursusa ze swej wysokości majestatycznym spojrzeniem na wół przymkniętych oczu, rzekła:

– Odpowiedź nie jest głupia.

Ursus podziękował najuniżeńszym uśmiechem.

Minos nasrożył się.

– Pytam cię w dalszym ciągu – rzekł. – Odpowiadaj. Powiedziałeś, że nieprawdą jest, jakoby bazyliszek był królem węży, *cocatrixem* zwanym.

– O przewielebny – odrzekł Ursus – tak daleki byłem chęci szkodenia w czymkolwiek bazyliszkowi, że oświadczyłem nawet, iż z całą pewnością ma on głowę ludzką.

– Dobrze – ciągnął surowo Minos. – Dorzuciłeś jednakże, iż Poerius widział raz bazyliszka z głową sokoła. Czy mógłbyś dowieść tego?

– Z trudem – rzekł Ursus.

To pytanie zbiło go nieco z tropu.

Minos, odzyskując przewagę, natarł nań jeszcze silniej.

– Powiedziałeś, że Żyd, który się ochrzcił, śmierdzi.

– Dodałem jednak, że chrześcijanin, który przeszedł na judaizm, śmierdzi jeszcze szpetniej.

Minos rzucił okiem na dokumenty oskarżenia.

– Twierdzisz i rozgłaszasz rzeczy nieprawdopodobne. Utrzymywałeś, jakoby Elien miał widzieć piszącego mądre aforyzmy słonia.

– Ależ nie, wasza wielebność. Powiedziałem po prostu, że Oppienos słyszał raz hipopotama rozprawiającego na filozoficzne tematy.

– Oświadczyłeś, że nieprawdą jest, jakoby półmisek z bukowego drzewa napełniał się sam każdą, jakiej tylko człowiek zapragnie, potrawą.

– Powiedziałem, że by posiadać podobne przymioty, musiałby zostać ofiarowany tobie przez diabła.

– Ofiarowany mnie!

– Nie, wasza wielebność, mnie. – Nie! nikomu! To znaczy: wszystkim.

„Sam już nie wiem, co mówię” – pomyślał Ursus. Lecz zmieszanie jego, choć ogromne, nie łatwo było można zauważyć. Ursus walczył.

– Wszystko to dowodzi niejakej wiary w diabła – przerwał mu Minos.

Ursus nie ugiął się.

– Wasza wielebność, nie jestem niewierzący w diabła: Wiara w diabła to odwrotna strona wiary w Boga. Jedna świadczy o drugiej. Kto ani trochę nie wierzy w diabła, ten nie bardzo wierzy w Boga. Kto wierzy w słońce, musi wierzyć w cień. Diabeł to boża noc. A czymże jest noc? dowodem, że dzień istnieje.

Ursus improwizował naprędce skomplikowaną mieszankę religii i filozofii. Minos zamyślił się po raz wtóry, po raz wtóry dał nurka w milczenie.

Ursus znowu odetchnął.

Lecz zaatakowano go z innej strony. Eak, przedstawiciel interesów medycyny, który przed chwilą z pogardliwą niedbałością wziął stronę Ursusa w jego sporze z przedstawicielem teologii, ze sprzymierzeńca stał się nagle przeciwnikiem. Położył zaciśniętą pięść na wysokim stosie dokumentów. I z mocą cisnął w Ursusa takimi oto słowami:

– Rzecz to dowiedziona, że kryształ jest sublimatem lodu, a diament – sublimatem kryształu. Wiemy na pewno, że aby lód stał się kryształem, upłynąć musi tysiąc lat, aby zaś kryształ stał się diamentem, upłynąć musi tysiąc stuleci. Tyś temu zaprzeczył.

– Żadną miarą – odrzekł Ursus melancholijnie. – Powiedziałem tylko, że w ciągu tysiąca lat lód zdąży stopnieć, a tysiąc stuleci to rzecz niełatwa do obrachowania.

Przesłuchanie ciągnęło się dalej, pytania i odpowiedzi szczękały niczym szpady.

– Przeczyłeś, jakoby rośliny mogły mówić.

– Bynajmniej. Lecz koniecznym jest do tego, by wyrosły pod szubienicą.

– Czy przyznajesz, że mandragora krzyczy?

– Nie, ona śpiewa.

– Przeczyłeś, jakoby czwarty palec lewej ręki posiadał moc leczenia trosk serdecznych.

– Mówiłem tylko, że kichnąć w lewo – to zły znak.

- Zuchwale i obelżywie wyrażałeś się o feniksie.
- Wielce uczony sędzio, rzekłem po prostu, że Plutarch pisząc, jakoby mózg feniksa był kąskiem niezwykle smacznym, lecz przyprawiającym o bóle głowy, zagalopował się, i to bardzo, zważywszy, że feniks nie istniał nigdy.
- Szpetna jest twoja mowa. *Cinnamalqua*” który buduje swe gniazdo z lasek cynamonu, *rhintax*, którego użyła Paryzatis dla swoich trucicielskich celów, *manucodiatos* będący rajskim ptakiem i *semenda* o potrójnym dziobie brane były niesłusznie za feniksa; lecz feniks istniał rzeczywiście.
- Nie mam nic przeciwko temu.
- Jesteś osłem.
- I na to zgodzę się chętnie.
- Przyznałeś wprawdzie, że bez leczy zapalenie gardła, dorzuciłeś jednak, że nie wierzysz, by działało się tak dzięki czarodziejskiej narośli na jego korzeniu.
- Tłumaczyłem lecznicze właściwości bzu tym, że na nim to powiesił się Judasz.
- Pogląd nie pozbawiony pozorów słuszności – mruknął teolog Minos uszczęśliwiony, że teraz on z kolei może wsadzić szpilkę medycynie Eaka.
- Urażona, arogancja zmienia się natychmiast w złość. Eak rzucił się na Ursusa.
- Włóczęgo wędrowny, tyleż umysłem bładzisz co nogami. Zdradzasz dążności niebezpieczne, zdumiewające. Stoisz na krawędzi podejrzenia o czary. Masz stosunki z nieznanymi zwierzętami. Rozprawiasz wobec gawiedzi o rzeczach, których natura znana jest tobie chyba jednemu tylko, o których nikt nigdy nie słyszał, jak wspomniany przez ciebie *hoemorrhous*.
- *Hoemorrhous* – to żmija. Widział ją Tremellius.
- Szybka odpowiedź wprowadziła lekki zamęt w rozdrażnioną mądrość doktora Eaka. Ursus zaś mówił dalej.
- *Hoemorrhous* jest równie rzeczywisty co i wonna hiena, co i cyweta opisana przez Castellusa.
- Eak, by wybrnąć z kłopotu, zadał cios bezpośredni:
- Oto twoje własne słowa, szatańskie ponad wszelką miarę. Słuchaj.
- I patrząc w akta począł czytać:
- „Dwie rośliny, *thalagssiglis* i *aglyphotis*, świecą wieczorami. Dniem są to kwiaty, nocą – gwiazdy.”
- Spojrzał z naciskiem na Ursusa.
- Cóż odpowiesz na to?
- Ursus odrzekł:
- Każda roślina jest lampą. Zapach – to światło.
- Eak przerzucił kilka kart.
- Przeczyłeś, jakoby pęcherzyki wydry miały to samo działanie co krople bobrowe.
- Pozwoliłem sobie tylko na uwagę, że, być może, niezupełnie należałoby ufać w tym przedmiocie Aetiusowi.
- Eak zaperzył się do reszty.
- Uprawiasz medycynę?
- Raczej uprawiam się w medycynie – westchnął Ursus nieśmiało.
- Na żywych?
- Raczej na żywych niż na umarłych – odrzekł Ursus.
- Odpowiadał poważanie, lecz pokornie; a nad wszystkim dominowała godna podziwu słodycz. Odzywał się z łagodnością tak wielką, że doktor Eak poczuł, iż musi go znieważyć.
- Co tam gruchasz? – rzekł szorstko.
- Ursus, zdumiony, tyle tylko odpowiedział:
- Gruchanie dla młodych, a dla starych – stękanie. Niestety ja stękam.
- Eak mówił dalej:

– Pamiętaj, jeżeli chory, którego leczyć będziesz, umrze, zostaniesz ukarany śmiercią.  
– A jeżeli wyzdrowieje? – odważył się zapytać Ursus.  
– W takim wypadku – odrzekł doktor łagodniejszym głosem – zostaniesz ukarany śmiercią.

– Rozmaitość niewielka – rzekł Ursus.

Doktor mówił dalej:

– W wypadku śmierci ukarany zostaniesz za nieuctwo. W wypadku wyzdrowienia ukarany zostaniesz za zarozumiałość. W obu wypadkach czeka cię szubienica.

– Nie wiedziałem o tym drobiazgu – szepnął Ursus. – Dziękuję za objaśnienie. Nie każdemu znane są wszystkie piękności ustawodawstwa.

– Strzeż się.

– Dopełnię święcie tego rozkazu.

– Wiemy, co robisz.

„A ja sam – pomyślał Ursus – nie zawsze wiem to dokładnie.”

– Moglibyśmy wtrącić cię do więzienia.

– Domyślam się tego, miłościwi panowie.

– Nie potrafisz dowieść swojej niewinności.

– Filozofia moja błaga o przebaczenie.

– Niektórzy zarzucają ci zuchwałość.

– Jakże się mylą!

– I utrzymują, że uzdrawiasz chorych.

– Jestem ofiarą potwarzy.

Zmarszczyła się potrójna para straszliwych brwi nad utkwionymi w Ursusie oczyma; trzy uczone oblicza pochyliły się ku sobie i zaczęły się naradzać po cichu. A Ursusowi ponad tymi trzema dostojnymi głowami przywidział się nagle mglisty kształt oślej czapki; poufny, a uprawniony do wyrokowania szept tej trójcy trwał kilka chwil. Przez ten czas Ursus czuł w sobie wszystkie lody i wszystkie żary niepokoju. Nareszcie Minos, który przewodniczył, odwrócił się ku oskarżonemu i zawołał gniewnie:

– Idź precz!

Ursus doznał uczucia Jonasza wychodzącego z brzucha wieloryba.

Minos mówił dalej:

– Jesteś uwolniony.

A Ursus powiedział sobie:

„I nie złapiecie mnie więcej! Dobranoc, medycyno!”

I dorzucił w głębi ducha:

„Odtąd pieczołowicie będę pozwalał ludziom zdychać.”

Zgięty wpół, kłaniał się wszystkiemu, doktorom, popiersiom, stołowi, ścianom i cofał się tyłem ku drzwiom, znikając jak rozpraszający się cień.

Powoli, jak na niewinnego przystało, wyszedł z sali, na ulicy zaś bieć począł prawie, jak winowajca. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości mają obejście tak niezwykle, tak tajemnicze, że nawet uniewinniony bierze nogi za pas.

A uciekając pomrukiwał:

– Udało mi się wymknąć im. Ja jestem dzikim mędrcom, oni – to mędrcey oswojeni. Doktory przesładują uczonych. Fałszywa wiedza – to odchody wiedzy prawdziwej i używa się ich na zgubę filozofów. Stwarzając sofistów stwarzają filozofowie swoje własne nieszczęście. Z kału drozda rodzi się jemiola, a z jemioly robi się lep, na który się drozdy łapie. *Turdus sibi malum cacat.*

Ursus nie był przewrażliwiony. Z całym bezwstydem używał tych słów, które najtrafniej myśl jego oddawały. Nie więcej niż Wolter miał dobrego smaku.

Po powrocie do „Zielonego Pudła” powiedział Ursus imć Niclessowi, że włączył się tak długo za dziewczętami. O swojej przygodzie ani słówkiem nie pisał.

Tylko wieczorem szepnął cicho do ucha Homo:

– Wiesz? Zwyciężyłem trzygłowego Cerbera.

## VII. Z JAKICH POWODÓW ZŁOTY DUKAT ZAWIERUSZYĆ SIĘ MOŻE WŚRÓD MIEDZIAKÓW

Aż razu pewnego nadeszło nieoczekiwane wydarzenie.

Gospoda „Tadcaster” coraz huczniej wrzała radością i śmiechem. Nieczęsto napotkać można tyle wesela i gwaru. Oberżysta i posługujący gościom chłopiec nadażać nie mogli z nalewaniem piwa, wódki i porteru. Wieczorami wszystkie okna niskiej izby jarzyły się światłem. Ani jednego niezajętego miejsca przy stołach. Śpiewy, krzyki; stary kominek z żelaznym paleniskiem, naładowany węglem, buchał płomieniem. Karczma była jak dom z ognia i wrzawy.

Na podwórzu, czyli w teatrze, jeszcze większa cizba.

Cała publiczność podmiejska, wszystko, co żyło w Southwarku, cisnęło się na przedstawienie *Chaosu zwyciężonego* tak tłumnie, że po podniesieniu kurtyny, czyli po opuszczeniu kłapy „Zielonego Pudła”, niesposób było dostać się na widownię; w oknach pełno było widzów, na balkonie tłok. Podwórze oglądane z góry wydawało się jak wybrukowane ludzkimi twarzami.

Tylko łoża przeznaczona dla szlachty stała pusta.

Tworzyło to w samym środku ganku czarną dziurę, zwaną w metaforycznym języku aktorów „piekarnią”. Pustka. Wszędzie tłumy, tam – nikogo.

Aż pewnego wieczora ktoś się zjawił.

Była to sobota, dzień, w którym Anglicy bawią się ile sił przed niedzielną nudą. Sala wypełniona była po brzegi.

Tak: właśnie „sala”. Takie podwórze oberży długo było teatrem Szekspira, a on nazywał je „salą”. *Hall*.

Kiedy rozsunęła się zasłona ukazując prolog *Chaosu zwyciężonego*, Ursus, Homo i Gwynplaine byli na scenie. Ursus, jak zwykle, obrzucił szybkim spojrzeniem widownię i nagle drgnął.

Łoża „dla widzów wysokiego rodu” była zajęta.

Pośrodku, na fotelu obitym utrechckim aksamitem, siedziała kobieta.

Była sama, a wypełniała całą łożę.

Niektóre istoty dają blask. Tamta kobieta, jak i Dea, jaśniała swoim własnym światłem, jakże odmiennym jednakże. Dea była blada, tamta kobieta – różowa. Dea była jutrzeńką, tamta kobieta – zorzą. Dea była piękna, tamta kobieta – wspaniała. Dea była niewinnością, czystością, bielą, alabastrem; tamta kobieta była purpurą, co nie lęka się rumieńca. Światło od niej bijące przelewało się przez poręczę łoży, a ona siedziała pośrodku nieruchoma jak bóstwo w pełni blasku.

Jak drogocenny karbunkuł błyszczała wśród tej cizby plugawej, potężna jasność od niej buchająca padała na tłum i zatapiała go w mroku, zaćmiewała wszystkie nędzne, szare twarze. Przy jej wspaniałości znikало wszystko.

Na nią patrzyły wszystkie oczy.

Tom-Jim-Jack znajdował się wśród gawiedzi. I on również nikł w blasku aureoli tej olśniewającej istoty.

Nieznamoma kobieta skupiła na sobie w pierwszej chwili całą uwagę publiczności, stała się konkurencją dla widowiska, sprawiła, że początkowe sceny *Chaosu zwyciężonego* przeszły nie wywołując zwykłego wrażenia.

Była ona istotą rzeczywistą, choć tym, co stali dokoła, wydać się mogła urojeniem. Była kobietą. Była kobietą aż nadmiernie. Wysoka, pełna, obnażyła się w całej swej okazałości, na



ile tylko pozwalał obyczaj. W uszach miała ogromne kolczyki z pereł i dziwacznych klejnocików, zwanych „kluczami Anglii”. Suknia jej uszyta była z syjamskiego muślinu przetykanego złotem. Zbytek to był ogromny, gdyż taka suknia muślinowa kosztowała wówczas aż sześćset talarów. Tuż nad piersiami, stosownie do bezwstydu ówczesnej mody, szeroka klamra diamentowa spinała koszulę z fryzyjskiego płótna, tak cienkiego, że prześcieradła Anny Austriaczki z niego zrobione przeciągnąć można było przez pierścionek. Kobieta ta miała na sobie niby pancerz z rubinów, a drogie kamienie ponaszywane były wszędzie na jej spódnicy. Brwi miała uczernione chińskim tuszem, ręce zaś, łokcie, ramiona, broda, nozdrza, brzegi powiek, koniuszki uszu, wnętrza dłoni i końce palców lekko a wyzywająco uróżowane barwiczką. Nad wszystkim zaś górowała niezłomna chęć wydania się piękną. I była nią w sposób aż dziki. Była panterą, co potrafi stać się kotką i pieścić. Jedno oko miała niebieskie, drugie – czarne.

Patrzył na nią Ursus, patrzył na nią również i Gwynplaine.

Już sam widok „Zielonego Pudła” miał w sobie coś z fantasmagorii, *Chaos zwyciężony* bardziej był sennym majakiem niż teatralną sztuką; obaj, i Ursus, i Gwynplaine, przywykli do tego, że publiczność spoglądała na nich jak na urojenie; tym razem wrażenie niesamowitości odmieniło kierunek, widownia zwracała scenie niespodziankę, oni to z kolei zdumieli się, zmieszali. Wywoływane przez nich oczarowanie odwracało się oto przeciwko nim.

Kobieta patrzyła na nich, a oni na nią patrzyli.

W zjawisku oglądanym z tej odległości, poprzez świetlistą mgłę na poły mrocznej widowni, zacierały się szczegóły, stawało się ono jak halucynacja. Kobieta to była niewątpliwie, lecz może i chimera równocześnie. Osłupieli wobec tej jasności, co zeszła w ich ciemność. Była niby pojawienie się nieznannej planety. Przybywała ze świata szczęśliwych. Blask wyolbrzymiał jej postać. Kobieta ta połyskiwała wśród nocy jak mleczna droga. Klejnoty jej wyglądały jak gwiazdy. Diamentowa klamra była niby konstelacja. Nadprzyrodzony wydawał się olśniewający kształt jej piersi. Oglądając to astralne zjawisko czułeś przez mgnienie oka chłód strefy szczęścia. Ta twarz pełna bezlitosnej pogody wychylała się ku „Zielonemu Pudłu” i jego nędznej publiczności z samej głębi rajy. Wyniosła ciekawość zaspokajała się oto karmiąc sobą zarazem gminną ciekawość gawiedzi. Szczyty pozwalały Dołom popatrzeć na siebie przez chwilę.

Ursus, Gwynplaine, Vinos, Fibi, tłum – wszyscy doznali wstrząsu i olśnienia, wszyscy prócz Dei, nieświadomej pośród swych ciemności.

Obecność tej kobiety była czymś na kształt widziadła, choć cała jej postać nie miała żadnej z właściwości, które zwykliśmy kojarzyć z tym słowem; ni śladu przejrystości, ni śladu nieokreślenia, niezdecydowania; ni cienia mgły; zjawa ta była różowa, świeża i zdrowa. A jednak i Ursusowi, i Gwynplaine'owi, co patrzyli na nią ze sceny poprzez widownię, wydała się urojeniem. Istnieją tłuste widma wampirami zwane. Piękna królowa, co zjawiskiem wydaje się tłumowi, a objada corocznie z trzydziestu milionów ubogi lud, cieszy się zwykle takim właśnie dobrym zdrowiem.

Za tą kobietą dostrzec można było w półmroku pazia jej, *el mozo*, młodziutkiego, ładniutkiego, złotowłosego, z miną pełną powagi. Paż taki, bardzo młody i bardzo poważny, był jednym z nakazów ówczesnej mody. Odziewał go od stóp do głów aksamit barwy płomienia, u czapeczki zaś, złotem wyszytej, nosił pęk piór rajskiego ptaka – znak służby w potężnym domu, u wielkiej damy.

Lokaj jest częścią swego pana i niesposób było nie dojrzeć w cieniu tej kobiety jej pazia z pióropuszem. Pamięć notuje nieraz bez udziału naszej świadomości; i choć Gwynplaine nawet nie domyślał się tego, pyzate policzki małego pazia, jego poważna mina, złotem wyszywana czapka i pęk piór pozostawiły trwałe ślady w jego umyśle. Paż ten zresztą bynajmniej nie starał się o zwrócenie na siebie czyjejś uwagi; chęć taka byłaby wyrazem braku szacunku; stał bez ruchu w głębi łoża, w oddaleniu, na jakie tylko pozwalały mu zamknięte drzwi.

I choć znajdował się tam jej pazik z pióropuszem, kobieta siedziała w łoży sama, gdyż nie liczy się przecież sługa.

Jakkolwiek potężne było poruszenie wywołane pojawieniem się tej postaci, zakończenie *Chaosu zwyciężonego* przemogło je jednak ostatecznie. Wrażenie było, jak zwykle, wstrząsające. Być może nawet, iż dzięki obecności olśniewającej nieznajomej, gdyż i tak bywa, że widz przyczynia się do spotęgowania efektu widowiska, bardziej niż kiedykolwiek podnieciła się sala. Śmiech Gwynplaine'a podziałał zaraźliwie jak nigdy jeszcze. Wszyscy zgromadzeni od zmysłów wprost odchodzili w ataku wesołości, którego opisać niesposób, a wśród ogólnego hałasu słychać było wyraźnie donośny i potężny śmiech Tom-Jim-Jacka.

Nie śmiała się tylko nieznajoma. Siedziała nieruchomo jak posąg i widmowym spojrzeniem patrzyła na widowisko.

Widmo to było, lecz widmo słoneczne.

Przedstawienie skończyło się, podniesiono klapę, „Zielone Pudło” odgrodziło się od świata. Ursus wytrząsnął na stół, nakryty do wieczery, sakiewkę z pieniędzmi zebranych tego dnia. Posypały się miedziaki, potoczyła się w ślad za nimi złota uncja hiszpańska.

– Ona! – zawołał Ursus.

Złota uncja wśród pozieleniałych miedzianych groszy była rzeczywiście jak ta kobieta wśród tej ciżby.

– Zapłaciła za swoje miejsce całego kwadrupla! – wykrzyknął znowu zachwycony Ursus.

W tej samej chwili wszedł do „Zielonego Pudła” oberżysta, wysunął dłoń przez tylny otwór wozu i otworzył okienko przebite w murze, o który się „Zielone Pudło” opierało na tej samej właśnie wysokości, okienko, o którym wspominaliśmy już poprzednio, a przez które wyrzeć można było na plac. Imć Nicless w milczeniu skinął na Ursusa. Przepysznie zaprzężona karoca, za którą stali lokaje w liberii, z pochodniami w ręku, ruszyła właśnie z miejsca tegim kłusem.

Ursus z szacunkiem ujął w dwa palce kwadrupla, pokazał go imć Niclessowi i rzekł:

– Bogini.

Po czym wzrok jego wrócił do karocy zawracającej właśnie na zakręcie. Pochodnie lokai oświeciły złotą koronę o ośmiu kwiatonach.

– Więcej niż bogini. To księżniczka! – zawołał.

Karoca znikła. Ucichł turkot kół.

Ursus przez chwil parę stał jeszcze pogrążony w zachwycie, a w palcach, niczym hostię podniesioną w monstrancji, trzymał złotego talara.

Położył wreszcie pieniąż na stole i nie odrywając od niego spojrzenia począł rozmawiać o „tej wielkiej pani”. Oberżysta odpowiadał na jego pytania. Była to księżniczka. Tak. Taki był jej tytuł. Lecz imię? Nikt nie znał jej imienia. Imć Nicless obejrzał z bliska i karetę z herbami, i lokai w złotym szamerowanej liberii. Stangret nosił perukę tak wspaniałą, iż mógłbyś sądzić, że to lord-kanclerz we własnej osobie. Karetą miała kształt wyszukany; w Hiszpanii ekwipaże takie nazywano „kolasa-grobowcem”. Dach jej przypomina bowiem pokrywę grobowca, a książęca korona prezentuje się na nim niezwykle wspaniale. Pazik był chłopackiem tak drobnym, że siedział bez trudu na stopniu, przed drzwiczkami karocy. Te wdzięczne stworzenia nosiły zazwyczaj treny sukien swoich pań; nosiły one również i ich liściki miłosne. A czy zauważył Ursus pęk piór rajskiego ptaka u czapki pazia? To nie byle co. Bezprawne noszenie takich piór karane jest grzywną. Imć Nicless przyjrzał się również z bliska i damie. Istna królowa. Jakże dodaje urody tak ogromne bogactwo! Skóra staje się bardziej biała, spojrzenie bardziej dumne, szlachetniejszy chód, wdzięk bardziej niedbały. Nic dorównać nie jest w stanie wyzywającej wytworności rąk, które nie pracują. Imć Nicless rozwdził się szeroko nad tą wspaniałością białej cery i błękitnych żyłek, nad szyją, ramionami, dłońmi, nad różem, co podnosił jej urodę, nad kolczykami z pereł, włosami przypudrowanymi złotem, nad mnóstwem drogocennych kamieni, rubinów, diamentów.

– Jaśniej od nich błyszczały jej oczy – szepnął Ursus.  
Gwynplaine milczał.  
Dea słuchała.  
– Lecz wiecie – rzekł oberżysta – co mnie zdumiało najbardziej?  
– Co? – zapytał Ursus.  
– Widziałem, jak wsiadała do karety.  
– Więc co z tego?  
– Nie sama wsiadała.  
– O!  
– Ktoś wsiadł razem z nią.  
– Kto?  
– Zgadnijcie.  
– Król? – zapytał Ursus.  
– Przede wszystkim – odrzekł imć Nicless – nie mamy teraz króla. Nie panuje nam król.  
Zgadnijcie, kto wsiadł do karety tej księżniczki?  
– Jowisz – rzekł Ursus.  
A oberżysta tak powiedział:  
– Tom-Jim-Jack.  
Gwynplaine, milczący do tej pory, odezwał się nagle.  
– Tom-Jim-Jack! – zawołał.  
Umilkli zdumieni. A wówczas dał się słyszeć cichy szept Dei:  
– Gdyby tak można było nie wpuścić tutaj więcej tej kobiety?

## VIII. OBJAWY ZATRUCIA

„Zjawisko” nie powróciło już nigdy.

Nie pojawiło się więcej na sali teatru, pojawiać się natomiast zaczęło w myślach Gwynplaine'a.

Jego wewnętrzny spokój w pewnej mierze został zakłócony.

Wydawało mu się, że pierwszy raz w życiu ujrzał kobietę.

I zaczął marzyć niebezpiecznie, nieostrożnie. Strzec się należy ogarniającego nas wszechwładnie rozmarzenia. Marzenie jest zagadkowe i nieuchwytnie jak woń. Tym jest ono dla myśli, czym zapach dla tuberozy. Wydziela się nieraz z jadowitej idei, a przenika wszędzie jak dym. I marzeniem, i zapachem kwiatów można się otruć. Samobójstwo takie jest upajające, piękne i żalosne.

Samobójstwem duszy są niedobre myśli. Oto jej otrucie. Marzenie nęci, tumani, łudzi, oplata i w końcu robi sobie z ciebie swojego współnika. Oszukujesz swoje własne sumienie z nim po społu. Oczarowuje cię. A później cię demoralizuje. O marzeniu to samo rzecz można, co i o grze. Z początku jesteś ofiarą oszusta, później sam się oszustem stajesz.

Gwynplaine zaczął marzyć.

Nigdy jeszcze nie widział Kobiety.

Oglądał tylko cień jej we wszystkich kobietach z ludu, oglądał jej duszę w Dei.

Teraz po raz pierwszy ujrzał kobietę rzeczywistą.

Skóra ciepła i żywa, pod którą płynie wyczuwalnie namiętna krew, kształty ciała pełne i konkretne jak marmur, a jak fala ruchliwe, twarz wyniosła i obojętna i wabiła, i odpychała równocześnie swoim blaskiem, na włosach jakby legła łuna pożaru, zalotność stroju dreszczem rozkoszy przejmująca, lekkie obnażenie, w którym kryła się pogardliwa chęć budzenia na odległość pożądania w gawiedzi, kokieteria nie do zdobycia, zagadkowość pełna wdzięku, pokusa zaostrzona wyczuwalną możliwością upadku, obietnica dla zmysłów i groźba dla ducha, podwójna udręka pragnienia i lęku. Gwynplaine zobaczył to wszystko. Gwynplaine zobaczył kobietę.

Zobaczył on i więcej niż kobietę, i mniej niż kobietę zarazem – zobaczył samicę.

A równocześnie mieszkankę Olimpu.

Samicę bogów.

Objawiła mu się po raz pierwszy tajemnica zwana płcią.

I to gdzie? W nieosiągalnym.

W nie kończącym się oddaleniu.

O ironio przeznaczenia! Duszę, rzecz niebiańską, posiadał, miał ją w ręku – była nią Dea; pleć, rzecz ziemską, dostrzegał w najodleglejszej głębi raju – była nią tamta kobieta.

Księżniczka.

„Więcej niż bogini”, powiedział Ursus.

Cóż za urwisko niedostępne!

Marzenie nawet cofało się przed tak ogromnym skokiem.

Czyż był aż tak szalony, by śnić o tej nieznanym? Gwynplaine szamotał się sam ze sobą.

Przypominał sobie wszystko, co tylko usłyszał był od Ursusa o tych egzystencjach zbytkownych, królewskich prawie. Rozważania i gawędy filozofa, które wydawały mu się tak jałowe, tak błahe, stały się oto punktami zaczepienia dla jego rozmyślań; w pamięci naszej często tworzy się na jakiejś grupie wrażeń cieniutka warstwa zapomnienia, którą lada okazja zdmuchnąć może ukazując wszystko, co się pod spodem znajdowało. Gwynplaine wyobrażał sobie ten świat dostojny, arystokrację, świat, do którego należała tamta kobieta, co tak bezli-

tośnie wznosiła się ponad świat niższy, świat prostego ludu, do którego on przynależał. Czy zresztą należał rzeczywiście do tego ludu? Czy jako kuglarz, aktor wędrowny, nie stał niżej jeszcze od najbardziej poniżonych? Po raz pierwszy w życiu, odkąd tylko myśleć zaczął, ścisnęło mu się serce poczuciem własnej podłości, którą my dzisiaj nazwalibyśmy upodleniem. Wszystkie opisy i wyliczenia Ursusa, jego liryczne inwentarze, jego dytyramby na cześć zamków, parków, kolumnad i wodotrysków, wszystkie malownicze opowieści o potędze i bogactwie odżyły teraz w myśli Gwynplaine'a z wyrazistością na pół rzeczywistą, na pół fantastyczną. Nie mógł oderwać wyobraźni od tego zenitu wszelkiego istnienia. Człowiek będący lordem – wydawało mu się to najdziwaczniejszym urojeniem. A przecież bywało tak rzeczywiście. Rzecz nie do wiary, lordowie istnieją, czy jednak są to ludzie z krwi i kości, tacy sami jak my? Bardzo wątpliwe. Gwynplaine czuł się pogrążony w ciemności, otoczony dookoła murem i majaczyło mu tylko gdzieś w najwyższej oddali, ponad głową, niby w otworze głębokiej studni, na której dnie on sam się znajdował, olśniewające zmieszanie lazuru, osób i promieni – Olimp. A wśród Olimpu – księżniczka świecąca w chwale.

Czuł, że potrzebuje tej kobiety, a potrzeba ta w jakiś dziwny sposób łączyła się ze świadomością jej nieosiągalności.

Bolesna sprzeczność powracała mu na myśl stale, wbrew chęci. Tuż przy nim, na wyciągnięcie ręki, w rzeczywistości namacalnej i bliskiej była dusza, a w nieosiągalnej oddali, w idealnej głębi – ciało.

Myśli te nie przybierały wyrazistego kształtu w jego świadomości. Miał w sobie niby mgłę zmienną, płynną. Lecz zamroczony był do głębi duszy.

Ani na chwilę zresztą nie zaświtała mu myśl, że pragnienia te urzeczywistnić by można w jakiś sposób. Nawet w marzeniu nie wyobrażał sobie, że mógłby wznieść się aż tam, gdzie znajdowała się księżniczka. Na szczęście!

Zachwianie się tej drabiny, jeżeliś choć na pierwszym jej szczeblu stopę postawił, porazić ci może mózg na zawsze; człowiek mniema, że wspina się na Olimp, a trafia do Bedlam. Gdyby zbudziło się w Gwynplaine'ie wyraźne pożądanie – stałoby się ono dla niego rozpaczą. Ale nie czuł pożądania.

Czy ujrzy jeszcze kiedyś tę kobietę? Już nigdy zapewne. Zakochać się w światełku, co na chwilę pojawiło się na widnokręgu? Nie, nie był przecież szalony. Można wzdychać do gwiazdy, rzecz to w końcu zrozumiała, w gwiazdę można patrzeć, gwiazda powraca, gwiazda ma swoje stałe miejsce na niebie. Lecz czyż można zakochać się w błyskawicy?

Wirowały w nim sny. Bóstwo w głębi łoża, majestatyczne i zalotne, bladło świetlicie wśród rozproszenia jego myśli i nikło. Wspominał je, zapominał, zajmował się czym innym i znów doń powracał był rozkołysany, i to już wszystko.

Przez kilka nocy nie mógł zasnąć. Bezsenność, niczym sen, pełna bywa zwidów.

Wyrażenie w ich właściwej postaci zmian tak trudno uchwytnych jak te, co zachodzą w umyśle człowieka, jest prawie że nieprawdopodobieństwem. Słowa, o wiele bardziej określone niż idee, jakże są tutaj niedogodne. Idee przenikają poprzez kontury; słowa – nigdy. Niektórych zjawisk duszy nie da się nimi wyrazić. Słowo jest ograniczone, myśl nie ma granic.

Niejasne wewnętrzne przestrzenie są w nas tak ogromne, że wszystko, co działo się w Gwynplaine'ie, zaledwie leciutko dotykało Dei w jego świadomości. Dea, jako świętość, znajdowała się w samym jej środku. Nic nie mogło stanąć obok niej.

A jednak toczyła się w nim jakaś walka. Dusza ludzka złożona jest ze sprzeczności. Czy zdawał sobie sprawę z tej walki? Zaledwie.

W głębi siebie, tam gdzie najłatwiej powstać mogło pęknięcie – a miejsce takie istnieje w każdej ludzkiej duszy – czuł drzenie zachcianki. Dla Ursusa jasne byłoby to całkowicie. Gwynplaine nie bardzo rozumiał, co się w nim dzieje.

Walczyły w nim dwa instynkty – ideał i płeć. Nieraz zdarza się taka walka białego i czarnego anioła na moście przerzuconym nad przepaścią.

I wreszcie stracony został w otchłań anioł czarny.

Pewnego dnia przestał Gwynplaine wspominać nieznajomą.

Walka dwu pierwiastków, pojedynek między ziemską i niebiańską stroną jego natury odbył się w takich mrokach świadomości, w takich jej głębinach, iż prawie że nie zdawał sobie z tego sprawy.

Jedno było pewne: nie przestał uwielbiać Dei ani na jedną minutę.

Kiedyś, dawno już, coś się w nim działo, krew jego zawrzała na chwilę, ale przeminęło wszystko. Trwale istniała tylko Dea.

Gwynplaine zdziwiłby się niepomniernie, gdyby mu ktoś powiedział, że w pewnej chwili Dea znajdowała się w niebezpieczeństwie.

Po tygodniu czy dwu widmo, które – kto wie? – zagrażało może ich duszom, znikło.

W Gwynplaine'ie pozostało tylko serce – ognisko i miłość – płomień.

Zresztą księżniczka nie powróciła więcej.

Ursus uznał to za rzecz zupełnie naturalną. „Dama z dukatem” to zjawisko niecodzienne. Przychodzi, płaci i znika. Byłoby zbyt pięknie, gdyby się to częściej zdarzało.

Dea ani razu nie wspomniała o kobiecie, co przesunęła się przez ich życie. Nasłuchiwała, niewątpliwie, i dowiedziała się dostatecznie wiele z westchnień Ursusa, z pełnych znaczenia słów, które mu się czasem wyrywały: „Nie co dzień dostaje się uncję złota!” Nie odezwała się ani słowem o „kobiecie”. Kierował nią instynkt. Dusza przedsięwzięła nieraz ostrożności, z których znaczenia nie zdaje sobie nawet sprawy. Kiedy czyjaś osobę przemilczamy – wydaje się nam, że oddaliśmy ją od siebie w ten sposób. Boimy się dowiadywać o kogoś, bo boimy się wezwać go. Odgradzamy się od jego strony milczeniem, jakbyśmy zamykali drzwi.

Wydarzenie poszło w zapomnienie.

Czy coś było? Czy coś zdarzyło się kiedyś? Czy można rzec, że pomiędzy Deą i Gwynplaine'em przesunął się jakiś cień? Dea nie wiedziała o tym, a Gwynplaine nic już nie pamiętał. Nie. Niczego nie było. Księżniczka rozproszyła się w oddali jak przywidzenie. Stała się chwilą snu, przez którą przeszedł Gwynplaine, a która teraz leżała hen, daleko, poza nim. Rozwiane marzenie nie zostawia śladu, podobnie jak rozwiana mgła, i po zniknięciu chmury ani miłość nie przygasła w sercu, ani słońce nie przygasło na niebie.

## IX. ABYSSUS ABYSSUM VOCAT

I druga jeszcze postać znikła: Tom-Jim-Jack. Przestał nagle przychodzić do gospody „Tadcaster”.

Osoby, które by z racji swego położenia miały możliwość obserwowania obu stron wytwornego życia wielkich panów Londynu, mogłyby spostrzec, być może, że w tym samym czasie „Gazeta Tygodniowa” pomiędzy dwoma wyciągami z rejestrów parafialnych umieściła wiadomość o „wyjeździe lorda Dawida Dirry-Moir, który z rozkazu jej królewskiej mości objął dowództwo swojej fregaty w Białej Eskadrze udającej się w podróż ku brzegom Holandii”.

Ursus zauważył, że Tom-Jim-Jack nie przychodzi. Mocno go to zaciekało. Tom-Jim-Jack nie pojawił się więcej od dnia, w którym wsiadł do karety razem z damą, co zapłaciła dukata. Zaiste tajemniczą postacią był ów Tom-Jim-Jack, co porywał w swoich ramionach księżniczki. Ileż tu zagadek do zgłębienia, ile pytań, ile odpowiedzi ciśnie się wprost na usta. Dlatego też Ursus ani słowem nie wspominał o tej sprawie.

Ursus znał życie i wiedział, jakie bywa żniwo nazbyt zuchwałej ciekawości. Ciekawość na miarę ciekawego zawsze być powinna. Przy podsłuchiowaniu można stracić ucho; przy podpatrywaniu można stracić oko. Prawdziwa przezorność niczego nie słyszy i nie widzi niczego. Tom-Jim-Jack wsiadł do książęcej karety, oberżysta był świadkiem tego wydarzenia. Prosty marynarz u boku księżniczki – było w tym niewątpliwie coś z cudu, a Ursus wiedział, jak oględnie traktować należy podobne zjawiska. Kaprysy możnych święte być powinny dla istot postawionych nisko. Płazy, zwane biedakami, niechaj się kryją do swoich nor, ilekroć tylko spostrzegą, że dzieje się coś niezwykłego. Tak jest dla nich najbezpieczniej. Siedzieć cicho – oto ich siła. Jeżeli nie dotknęło cię szczęście ślepoty – zamknij oczy; jeżeli nie udało ci się ogłuchnąć – zatkaj uszy; niech język twój znieruchomieje, jeżeli doskonałość niemowy nie została ci dana. Wielcy są tacy, jakimi chcą być, mali są tacy, jakimi być mogą, niechaj nieznanie chadza sobie swoimi drogami. Nie trzeba naprzykrzać się mitologii; nie trzeba dokućcać pozorom; złudę należy uszanować. Nie tykajmy plotkarstwem tych uniepozornień i wyolbrzymień, co dokonują się w strefach wyższych z powodów, które nam nie są znane. Są to po większej części optyczne złudzenia naszego chudopacholskiego wzroku. Metamorfoza to przywilej bogów; przemiany i przeistoczenia możnych dziejące się ponad naszymi głowami – to obłoki, których zrozumieć nie można, którym przypatrywać się niebezpiecznie. Nadmiar wścibstwa niecierpliwym olimpijczyków, przeszkadza im w rozwijaniu swobodnej gry fantazji i uderzenie pioruna pouczyć cię może niedwuznacznie, że byk, na którego gapisz się zbyt ciekawie – to Jowisz. Nie rozchylajmy fałd szarej, zgrzebnej szaty, jeśli odziewa ona tych wszechpotężnych a straszliwych. Obojętność to roztropność. Najzdrowiej dla was będzie nie poruszyć się, nie drgnąć nawet. Udawaj trupa, wtedy nikt cię nie zabije. Taka jest mądrość owadzia. Stosował ją Ursus.

Oberżysta, również zaintrygowany, zaczął go pewnego dnia:

– Nie widać jakoś Tom-Jim-Jacka.

– Tak? – odrzekł Ursus. – Nawet tego nie zauważyłem.

Imć Nicless mruknął coś półgłosem, zapewne jakąś uwagę uchybiającą, być może, i niebezpieczną, na temat związków Tom-Jim-Jacka z książęcą karocą. Ursus dołożył starań, by nie usłyszeć, co mówił.

Za bardzo był jednak artystą, aby nie odczuć żadnego żalu po zniknięciu Tom-Jim-Jacka. Był to dla niego duży zawód. Wrażeniami swymi podzielił się też z Homo – z jedynym po-wiernikiem, którego dyskrecji był naprawdę pewny. Szepnął cicho do wilczego ucha:

– Odkąd Tom-Jim-Jack przestał przychodzić – jako człowiek czuję pustkę, a jako poeta czuję chłód.

Otwarcie serca przed przyjacielem ulżyło nieco zmartwieniu Ursusa.

Z Gwynplaine'em ani razu o tym nie rozmawiał. Gwynplaine zaś też ani słowem nie wspomniał Tom-Jim-Jacka.

Cóż zresztą obchodzić mogło Gwynplaine'a, czy Tom-Jim-Jack jest, czy też go nie ma? Myśli jego zajmowała tylko Dea.

Księżniczka coraz dalej odsuwała się w zapomnienie. Dea nie domyślała się nawet, że doznał był kiedyś tamtego nieokreślonego wstrząsu. Przestano również mówić o knowaniach i skargach przeciwko Człowiekowi Śmiechu. Nienawiści uspokoiły się jak gdyby. Uciszyło się wszystko we wnętrzu „Zielonego Pudła”, uciszyło się wszystko dookoła. Skończyły się intrzygi konkurentów – i komediantów, i księży. Skończyły się pomruki. Powodzenie nie budziło już echa gróźb. Los przynosi nam czasem takie nagłe chwile pogody. Świetnego szczęścia Gwynplaine'a i Dei nie mroczył żaden cień. Wzniosło się ono powoli na takie wyżyny, że dalej już wzrastać niesposób. Apogeum – oto jedyne słowo dla określenia takich chwil. Szczęście, jak morze, osiąga swój poziom największego przyływu. A doskonale szczęśliwych jedno tylko zaniepokoić by mogło: że morze potem opadać zaczyna.

Niedostępnym bywa się w sposób dwojaki: kiedy jest się bardzo wysoko i kiedy jest się bardzo nisko. I niegorsza bywa od, pierwszej druga z tych sytuacji. Mikrob uchronić się może przed zmiążdżeniem jeszcze łatwiej niż orzeł przed strzałą. Jeżeli ktokolwiek na ziemi bezpiecznym bywa przez swoją małość – to byli nimi niewątpliwie ci dwoje, Gwynplaine i Dea, i nigdy jeszcze bezpieczeństwo ich nie było tak całkowite. Coraz wyłączej żyli jedno drugim tylko, ekstatycznie zapatrzeni w siebie. Serce nasiąka miłością jak boską solą, która je zachowuje w świeżości; stąd tak nierozdzielnie związani są ze sobą ci, co kochają się od zarania swego życia, stąd wieczna żywość uczuć długotrwałych. Miłość balsamuje. Filemon i Baucis powstałi z Dafnisa i Chloe. Taka też starość – luna wieczoru promienna jak jutrzienka – przeznaczona była zapewne Gwynplaine'owi i Dei. A tymczasem byli młodzi.

Ursus patrzył na ich miłość jak lekarz, co obserwuje chorego. A posiadał on to, co w owych czasach nazywano „hipokratycznym spojrzeniem”. Zatrzymywał na Dei – wątłej, bladej – swą przenikliwą źrenicę i pomrukiwał: „Wielkie to szczęście, że jest ona szczęśliwa.” Niekiedy zaś tak mawiał: „Jest szczęśliwa, aby utrzymać się w zdrowiu.”

Potrząsał głową i wczytywał się uważnie w Avicennę, w przekładzie Vopiscusa Fortunatusa, Louvain, 1650. Miał tę księgę i otwierał ją często w miejscu traktującym o niedomaganiach serca.

Dea męczyła się łatwo, oblewały ją poty, miewała duszności i jak wiemy, odpoczywała zawsze w ciągu dnia. Pewnego razu, kiedy spała leżąc na niedźwiedziej skórze, a Gwynplaine wyszedł był właśnie, Ursus pochylił się ostrożnie i przyłożył ucho do jej piersi po stronie serca. Przysłuchiwał się przez czas pewien, po czym podniósł się i szepnął:

– Byleby tylko nie spotkał jej żaden wstrząs. Pęknięcie powiększyłoby się szybko.

Tłumy cisnęły się w dalszym ciągu na przedstawienia *Chaosu zwyciężonego*. Powodzenie Człowieka Śmiechu wydawało się nie do wyczerpania. Przychodzili wszyscy; był to teraz nie tylko sam Southwark, był to już po trosze i Londyn. Publiczność stawała się coraz bardziej różnorodna, nie składała się już z samych prostych marynarzy i woźniców. Zdaniem imć Niclessa, znawcy wszelakiej hołoty, napotkać można było teraz wśród gawiedzi i szlachtę, i baronetów przebranych w proste suknie. Przebranie – to jedna z radości pychy, a podówczas było to bardzo w modzie. Wmieszana w prosty tłum arystokracja – to dobry znak, wskazujący, że powodzenie Gwynplaine'a rozszerza się na cały Londyn. Sława Gwynplaine'a zdecydowanie wkroczyła w wielki świat. Naprawdę, Człowiek Śmiechu był na ustach całego Londynu. Mówiono o nim nawet i w Mohock-Klubie, gdzie bywali tylko lordowie.



Mieszkańcy „Zielonego Pudła” nawet się tego nie domyślali; żyli wyłącznie własnym szczęściem. Największą radością Dei było dotykane każdego wieczora zmierzwiionych i szorstkich włosów Gwynplaine'a. W miłości nic nie jest w stanie dorównać przyzwyczajeniu. Streszcza się w nim całe życie. Codzienny powrót gwiazdy to też przyzwyczajenie wszechświata. Natura jest jak kochanka, słońce jak kochanek.

Światło jest olśniewającą kariatydą dźwigającą świat. Co dzień przychodzi potężna chwila, kiedy ziemia, okryta nocą, opiera się o wschodzące słońce. Dea, ślepa, czuła w sobie ten sam powrót ciepła i nadziei, kiedy kładła rękę swoją na głowie Gwynplaine'a.

Dwa mroczne istnienia nawzajem się ubóstwiają, miłość w pełni milczenia – przetrwać tak można całą wieczność.

Pewnego wieczora Gwynplaine czując w sobie nadmiar szczęścia, co podobny do upojenia zapachem, sprowadza błogie osłabienie, chodził wolno po łące, nie oddalając się nadmiernie od „Zielonego Pudła”. Spacerował tak codziennie po zakończeniu przedstawienia. Zdarzają się chwile, w których szczęście przepelnia człowieka, przelewa się przez brzegi jego serca. Noc czarna była a przezroczyta; świeciły gwiazdy. Plac jarmarczny był pusty, na budach rozrzuconych po Polu Tarrinzeau legł sen i zapomnienie.

Nie zgasło jeszcze jedno tylko światło: latarnia w gospodzie „Tadcaster”; uchylone drzwi czekały na powrót Gwynplaine'a.

Dzwony pięciu parafialnych kościołów Southwarku wydzwoniły północ na różne tony, jedne prędej, drugie wolniej nieco.

Gwynplaine myślał o Dei. O czymże zresztą miałby marzyć? Tego wieczora jednakże, dziwnie zmieszany, z uczuciem i błogim, i bolesnym zarazem, marzył o Dei, tak jak marzy mężczyzna o kobiecie. I sam sobie czynił wyrzuty. Było to jakoś umniejszające. Pragnienia małżonka rozpoczynały w nim samym swoje głuche natarcie. Niecierpliwość łagodna i stanowcza. Przechodził przez niewidzialną linię; po jednej jej stronie znajduje się dziewica, po drugiej – kobieta. Sam sobie zadawał pytania pełne niepokoju; rzecz by można, że płonął wewnętrznym rumieńcem. Gwynplaine z ubiegłych lat odmienił się, przeobraził w zupełnej nieświadomości tajemnego rośnięcia. Z dawnego wstydliwego młodzieńca stawał się oto sam dla siebie niepokojący, dziwny. Każdy z nas ma jedno ucho ze światła, przez które słyszy mowę ducha, i drugie ucho z mroku, przez które słyszy mowę instynktu. W to ucho właśnie, potęgujące wszelki dźwięk, szeptały mu głosy nieznane, czyniły obietnice. Choć najczystszy byłby młodzieniec marzący o miłości, rzeczywistość ciała zawsze w końcu wyrastać zaczyna pomiędzy nim i jego snem. Pragnienia tracą swoją przezroczyłość. Niewymawialne wkracza z nakazu natury do świadomości. Gwynplaine odczuwał oto jakieś nieokreślone bliżej pożądanie tej materii, w której mieszczą się wszystkie pokusy, a której Dei nieomal że brakło. W gorączce, która wydawała mu się niezdrowa, przekształciła się mu Dea w sposób niebezpieczny, być może; starał się wyolbrzymić jej kształt anioła do kształtu kobiety. Ciebie to nam trzeba, kobieto!

Miłość nuży się w końcu nadmiarem nieba. Trzeba jej gorąca skóry, wzruszonego życia, pocałunku elektrycznego i nieodwołalnego, rozsypanych w nieładzie włosów, uścisku, który ma swój cel. Gwiezdna podniebność przeszkadza. Eteryczność ciąży. Nadmiar nieba w miłości jest jak nadmiar paliwa w ognisku: tłumi płomień. Dea, uchwytna i uchwycona, zawrotne zbliżenie, co łączy dwie istoty tajemnicą tworzenia – Gwynplaine roił obłędnie o tym groźnym cudzie. Kobieta! Słyszał we wnętrzu swoim ten głośny krzyk natury. Niby jakiś nowy Pigmalion snów kształtujący Galateę z błękitu, w głębi duszy swojej odmieniał zuchwale czysty kontur Dei; kontur zbyt niebiański, nie dość rajski; bo raj to Ewa; a Ewa była samicą, matką cielesną, ziemską karmicielką, świętym brzuchem pokoleń, piersią, z której mleko płynie nieustannie, piastunką nowonarodzonego świata; a łono nie ma skrzydeł. Dziewiczość to tylko nadzieja macierzyństwa. Dotychczas jednakże w rojeniach Gwynplaine'a Dea była zawsze gdzieś w górze, ponad ciałem. Teraz, szalony, usiłował przyciągnąć ją w myśli ku sobie.

Lecz jak? Płeć, kobiecość to nić, którą każda dziewczyna jest z ziemią związana. Ani jeden z tych ptaków nie jest swobodny. Dea, jak każda, podlegała temu prawu i Gwynplaine – przed sobą samym w połowie tylko przyznając się do tego – pragnął niejasno, by podporządkowała się losowi swemu całkowicie. Pragnienie to wbrew woli powracało w nim nieustannie. Wyobraża sobie Deę ludzką. Oglądał obrazy niesłychane: Dea jako istota przepelniona już nie ekstatycznym uniesieniem, lecz namiętnością; Dea z głową na poduszce. Wstydział się tego zbezczeszczenia w urojeniu; silił się jak gdyby na profanację i powstrzymywał się od niej z całej swojej mocy, cofał się i powracał; wydawało mu się, że dokonuje gwałtu nad niewinnością. Dea była przecież dla niego obłokiem. Drżąc cały, rozsuwał obłok ten, jakby podnosił koszulę. A było to w kwietniu.

Kręgosłup człowieka też na swój sposób marzy.

Chodził nieuważnym, rozkołysanym krokiem, jak się to często zdarza wśród samotności. Łatwiej jest marzyć, bredzić – kiedy dookoła nas nikogo nie ma. Dokąd szły jego myśli? Sam przed sobą nie miał odwagi się przyznać. Do nieba? Nie. Do łóżka. A wy, gwiazdy, spoglądaliście na niego!

Dlaczego mówi się – zakochany? Opętany – tak rzec by należało. Opętany przez szatana – to wypadek rzadki; opętany przez kobietę – to powszechne prawo. Każdy mężczyzna doświadcza tego obłądu. Ładna kobieta – cóż za czarownica! Prawdziwym imieniem miłości jest niewola.

Stajesz się więźniem kobiecej duszy. I kobiecego ciała. I czasem bardziej więźniem tego ciała niż tej duszy. Dusza jest zakochana. Ciało jest miłośnicą.

Obelgami ciska się w demona. A to nie on uwiódł Ewę. To Ewa jego skusiła. Zaczęła kobieta.

Lucyfer przechodził spokojnie. Ujrzał kobietę. I stał się szatanem.

Ciało to podszywka nieznanego. Kusi ono poprzez wstyd. Niezwykła to sprawa. Bezwstydnica, która się wstydzi.

W chwili tej Gwynplaine poruszony był i owładnięty jedną tylko sprawą – miłością powierzchni, której sam się bał. Groźna to chwila, kiedy nagości pragnąć się zaczyna. Jakże łatwo ześliznąć się można w grzech. Oślepiająca jasność Wenus kryje w sobie wiele miejsc ciemnych.

W naturze Gwynplaine'a coś wzywało Deę wielkim głosem. Deę – dziewczynę. Deę – drugą połowę mężczyzny, Deę – ciało i płomień. Deę z obnażoną piersią. Przepędzał precz anioła. Przez, taki kryzys tajemniczy przechodzi każda miłość. Ideał znajduje się wówczas w niebezpieczeństwie. Zostało to obmyślane z góry przez naturę, która chce się rozmnażać.

Jest to chwila niebiańskiego zepsucia.

Miłość Gwynplaine'a dla Dei stawała się miłością ślubną. Miłość dziewicza – to przejście tylko. Nadeszła oto chwila. Gwynplaine potrzebować zaczął tej kobiety.

Potrzebować zaczął kobiety, jakiegokolwiek.

Tylko pierwszy plan tej pochyłości dostrzec był w stanie.

Instynktowny zew natury nie zna litości.

Kobieta w ogóle – cóż za otchłań!

Dla Gwynplaine'a, na szczęście, nie istniała żadna inna kobieta prócz Dei. Była ona jedyką, której pragnął Jedyną, która mogła pragnąć jego.

Wielki a nieokreślony dreszcz wstrząsnął Gwynplaine'em – wołało go życie, nie znające granic.

Pamiętajmy, że działo się to na wiosnę. Wdychał w płuca światło jarzących się wśród ciemności gwiazd. Szedł przed siebie jak błędny i bardzo szczęśliwy. Zapach soków roślinnych był w powietrzu, upajające ich promieniowanie drgało wśród mroków, pachniały z daleka nocne kwiaty, wśród gałęzi poukrywały się gniazda ptasie, słychać było szmer wody i liści, oddychało wszystko dookoła: świeżość, ciepło – tajemne przebudzenie kwietnia i maja, zew

plci rozsianej w całej naturze wzywał cicho do namiętności, szeptał namowy zawrotne, od których dusza człowieka jąkać się zaczyna. Ideal sam już nie wie, co mówi.

Gdyby zobaczył ktoś idącego tak Gwynplaine'a, rzekłby: to pijany.

Rzeczywiście, chwał się prawie pod ciężarem serca swego, wiosny i nocy.

Samotność wśród jarmarcznego placu tak była całkowita, że chwilami mówił głośno sam do siebie.

Człowiek zaczyna mówić, kiedy czuje, że nikt go nie słucha.

Spacerował wolno, ze spuszczoną głową, ręce założył w tył, palcami prawej dłoni przytrzymywał lekko lewą dłoń.

Nagle uczył, że coś wsuwa mu się pomiędzy palce.

Odwrócił się gwałtownie.

W rękę miał kartkę, przed sobą – człowieka.

Człowiek ten zaszedł go od tyłu, bezszelestnie jak kot, i wsunął mu w dłoń bilecik.

Był to list.

Człowiek, dostatecznie dostrzegalny w półmroku rozjaśnionym gwiazdami, był nieduży, pyzaty, młodziutki, poważny, a odziany w liberię koloru ognia, widoczną od góry do dołu w rozchyleniu długiego, szarego zwierzchniego okrycia, które nazywano wówczas *capenoch*, skracając tym sposobem nazwę hiszpańską płaszcza, który nosiło się nocą. Na głowie miał czapkę szkarłatną, podobną do kardynalskiej piuski. Obszyta była wypustką na znak, że służy. U czapki tej dostrzec można było pęk piór rajskiego ptaka.

Stał bez ruchu przed Gwynplaine'em. Rzec by można – postać ze snu.

Gwynplaine poznał pazia księżniczki.

Nie zdążył nawet krzyknąć ze zdumienia, kiedy pazik odezwał się do niego głosem dźwięcznym, półdziecinym, półkobięcym:

– Proszę być jutro o tej samej porze u wylotu mostu Londyńskiego. Będę tam czekał. Zaprowadzę pana.

– Dokąd? – zapytał Gwynplaine.

– Tam, gdzie jest pan oczekiwany.

Gwynplaine utkwiał spojrzenie w liście, który machinalnie trzymał w rękę.

A kiedy podniósł oczy – pazia już nie było.

W oddali, w głębi placu jarmarcznego, zamajaczył jeszcze ciemny kształt zmniejszający się szybko. To odchodził mały sługa. Skręcił w ulicę i nie było już nikogo.

Gwynplaine patrzył za nim, póki nie znikł mu z oczu. Potem spojrzął na list. Zdarzają się w życiu chwile, kiedy to, co się już stało, nie jest dla nas jeszcze rzeczywiste. Zdumienie odsuwa jakby fakt, który już się dokonał. Gwynplaine podniósł list do oczu, jakby go chciał przeczytać; spostrzegł wówczas, że przeczytać go nie może z dwu względów: po pierwsze, dlatego że jeszcze go nie odpieczętował; po drugie, dlatego że dookoła była noc. Po kilku minutach dopiero zdał sobie sprawę, że w gospodzie pali się jeszcze latarnia. Postąpił kilka kroków niepewnie, jak ktoś, co nie wie, dokąd iść. Lunatyk, któremu list doręczyłoby jakieś widmo, tak by chodził właśnie.

Opamiętał się wreszcie i nieomal że pobiegł w kierunku gospody, stanął w świetle przedostającym się na zewnątrz przez uchylone drzwi i tutaj obejrzał raz jeszcze zapieczętowany list. Nie było żadnego znaku na pieczęci. A na kopercie – dwa słowa: „Dla Gwynplaine'a”. Złamał pieczęć, rozerwał kopertę, rozłożył kartkę papieru, obrócił ją ku światłu i przeczytał:

Jesteś potworny – ja jestem piękna. Jesteś komediantem, a ja księżniczką. Ja jestem pierwsza – ty ostatni. Pragnę cię. Kocham cię. Przyjdź.

## KSIĘGA CZWARTA LOCH WIĘZIENNY

### I. KUSZENIE ŚWIĘTEGO GWYNPLAINE'A

Jeden płomień zaledwie draśnie ciemności; drugi – wulkan podpali.

Zdarzają się iskry olbrzymie.

Gwynplaine przeczytał list raz i drugi. Tak, napisano tam wyraźnie: „Kocham cię.”

Doznawać zaczął kolejno różnych rodzajów strachu.

Z początku wydało mu się, że zwariował.

Zwariował. Niewątpliwie. Nie mogło przecież istnieć to, co ujrzał był przed chwilą. Złudne cienie nocy naigrawały się z niego, biedaka. Mały, szkarłatny człowieczek był widziadłowym błyskiem. Zdarza się, że taki wędrowny płomyczek zadrwi sobie nocą z ciebie. Przywidzenie zadrwiło więc i znikło zostawiając za sobą obłąkanego Gwynplaine'a. Ciemności lubią się zabawiać.

Lecz po chwili przejął go inny z kolei lęk. Stwierdził bowiem, że jest przy najzupełniej zdrowych zmysłach.

Złudzenie? Ależ nie! A list? Czyż nie trzyma listu w ręku? Czyż nie trzyma w ręku koperty z pieczęcią i kartki zapisanego papieru? Czyż nie wie, od kogo pochodzi to pismo? Nic w tym nie ma ciemnego. Wzięto pióro, umaczano je w atramencie i napisano te słowa. Zapalono świecę i zapieczętowano list woskiem. Czyż nie widnieje na kopercie jego imię? „Dla Gwynplaine'a.” Papier pachnie. Wszystko jest jasne. Mały człowieczek? – Gwynplaine go przecież zna. To paż. Płomyk – to liberia. I paż naznaczył Gwynplaine'owi spotkanie jutro, o tej samej godzinie, u wylotu Londyńskiego mostu. Czyżby most Londyński był też złudzeniem? Nie, nie, wszystko się wiąże. Nic tu nie ma z obłądzenia. Wszystko jest naprawdę. Gwynplaine jest najzupełniej przytomny. To nie złuda żadna, co rozwiła się nagle ponad jego głową i znikła; wszystko naprawdę się zdarzyło. Nie, Gwynplaine nie oszalał. To nie sen. Przeczytał list raz jeszcze.

Tak. A co teraz?

Rzecz to nie do wiary.

Jest na świecie kobieta, co pragnie należeć do niego.

Kobieta pragnie do niego należeć. Niechże nikt już nie wymawia więcej słów: nie do wiary. Pragnie należeć do niego kobieta! Kobieta, która widziała jego twarz, kobieta, która nie jest ślepa. A kim jest ona? Czy brzydka? Nie. Piękna. Czyż jest to dziewczka bezdomna? Nie. To księżniczka.

Co w tym się kryło, co to wszystko znaczyć mogło? Jakże niebezpiecznym bywa taki tryumf! I jakże nie rzucić się z zamkniętymi oczami w to nieznane?

Tak! Ta kobieta, syrena, zjawisko, lady, dama z łoża, przywidzenie tajemnicze i pełne blasku! Gdyż była to ona! Ona!

Trzaskały pierwsze iskierki ogarniającego go ze wszystkich stron pożaru. Była to owa tajemnicza nieznajoma. Ta sama, co taki zamęt; wniosła w jego duszę. I dawne myśli o tej kobiecie powracały tłumnie, rozgrzane w tym nowym, ciemnym płomieniu. Zapomnienie jest jak palimpsest. Przy lada sposobności to, co zatarło się, znów odżywa pomiędzy wierszami

zdumionej pamięci. Gwynplaine sądził, że wyrzucił ze świadomości swojej tę twarz, i oto odnajdywał ją tam znowu, pozostawiła w niej trwały ślad, wycisnęła znak swój w jego bezwolnym mózgu, który popełnił grzech marzenia. Nie wiedział nawet, że kształt snu wyrzył się w nim tak głęboko. I oto – część złego już się stała. I podejmował na nowo, w uniesieniu, tamto marzenie, teraz wiedące go, być może, ku nieuchronnej zgubie.

Ktoś go pragnął. Księżniczka zstępowała oto ze swego tronu, bóstwo zstępowało ze swego ołtarza, posąg ze swego cokołu, zjawisko ze swego obłoku. Z głębi nieprawdopodobieństwa wychylał się sen. Ta bogini ze sklepienia, ta promienistość, ta nereida wilgotna od drogich kamieni, ta piękność niedostępna i doskonała pochylała się ze swojej jasnej wysokości ku Gwynplaine'owi. Zatrzymała swój wóz. z jutrzeńki, zaprzęgnięty w gołębice i smoki, tuż ponad Gwynplaine'em i mówiła mu: „Chodź.” Jemu to, Gwynplaine'owi, przypadła oto w udziale przerażająca chwała: zniżył się do niego raj. Ta kobieta – jeżeli w ogóle godzi się nazywać tym imieniem ów kształt władczy i gwiazdny – sama mu się wprasza, sama narzuca, sama oddaje. Obłąd zawrotny! Olimp frymarczy sobą! I komu się oddaje? Jemu, Gwynplaine'owi! Ramiona kurtyzany wyciągały się z jasnego nimbu, aby przytulić go do łona bogini. I bez żadnej zmyzy. Nie kała się bowiem majestat tak ogromny. Bogów obmywa ich własna światłość. Bogini, co szła ku niemu, wiedziała, co czyni. Znała ohydę, która wcieliła się w Gwynplaine'a. Widziała przecież tę maskę straszną: jego twarz. I nie cofnęła się przed nią ze wstrętem. Gwynplaine był kochanym pomimo wszystko.

Przechodzi to, być może, najśmielsze rojenia – lecz on kochanym był właśnie dlatego. Nie odepchnęła bogini, przeciwnie, przyciągnęła ją maska jego twarzy. Gwynplaine był kochany – i to nie dosyć jeszcze! – był upragniony! Został przyjęty – i to nie dosyć! – został wybrany! Wybrany! On!

Na Boga! Tam gdzie przebywała ta kobieta, w tym królewskim środowisku nieprawdopodobnego blasku i mocy niczym nie ograniczonej, byli przecież książęta, mogła wybrać księcia; byli lordowie, mogła wybrać lorda; byli mężczyźni piękni, czarujący, wspaniali – mogła wybrać Adonisa. I kogo wybrała? Gnafrona! W świetle meteorów, w trzasku piorunów wyróżnić mogła sześcioskrzydłego serafina i oto wzrok jej padł na larwę pełzającą w mule. Po jednej stronie książęta i panowie, cała wielkość, całe bogactwo, cała sława; po drugiej stronie – linoskok. I linoskok zwyciężył. Jakież to szale znajdowały się w sercu tej kobiety? Jakim ciężarem odważała swoją miłość? Zdejmowała ze swego czoła książęcą mitrę i rzucała ją na deski sceny wędrownego jarmarcznego teatru. Zdejmowała ze swej głowy olimpijską aureolę i kładła ją na najeżone włosy gнома. Robactwo roilo się w górze, konstelacje znajdowały się na dole, odwrócił się porządek świata. Oszołomionego Gwynplaine'a przywaliło rumowisko światła wpadające jasnym nimbem w jego błazeńską kałużę. Wszechpotężna istota buntując się przeciwko pięknu i świetności oddawała się potępieńcowi nocy i przenosiła Gwynplaine'a nad Antinousa, i rozciekawiona mrokiem schodziła w jego głębiny, i z tej abdykacji bogini rodziła się ukoronowana i niezwykła królewskość nędzarza. „Jesteś straszny. Kocham cię.” Słowa te trafiły w pychę Gwynplaine'a – w najszeptniejsze miejsce tej pychy. Pycha człowieka jest jak pięta Achillesa każdego bohatera osiągnąć można tamtędy. Połechtana została w Gwynplaine'ie jego próżność poczwary? Oto został pokochany właśnie jako potwór. I on też, bardziej nawet może od Jowiszów i Apollinów, był wyjątkiem. Poczł się nadczłowiekiem, poczuł się tak bardzo potworem – że aż bogiem. Groźne zaślepienie.

A teraz – czymże była ta kobieta? Co wiedział o niej? Wszystko i nic. Była księżniczką, tak, była piękna, była bogata, miała służących w liberii, paziów i giermków z pochodniami dookoła swojej koroną ozdobionej karocy. Wiedział, że kocha go, że przynajmniej tak mu mówi. I to wszystko. Nie wiedział o niej nic więcej. Znał jej tytuł, ale nie znał jej imienia. Znał jej myśli, ale życia jej nie znał wcale, Czy była mężatką, wdową czy też panną? Czy była wolna? Czy też ciążyły na niej jakieś obowiązki? Do jakiej należała rodziny? Czy nie porozstawiano dookoła niej zasadzek, pułapek, sidła? Gwynplaine nie domyślał się nawet,

czym bywa zalotność w tych wysokich, rozleniwionych sferach, nie wiedział, że na tych szczytach znajdują się jaskinie, w których marzą okrutne czarodziejki wśród ogryzionych kości dawnych uczuć, porzrzucanych dookoła; nie wiedział, do jakich wybryków tragiczno-cynicznych doprowadzić może znudzenie u kobiety, która mniema, że stoi wyżej od mężczyzny. Gwynplaine nie podejrzewał nawet tego wszystkiego. I z czegoż zresztą miałby ukształtować w umyśle swoim podobne przypuszczenie? W podziemiach społecznych, w których on żył, wie się tak niewiele. Dostrzegał jednakże jakieś smugi cienia. Zdawał sobie sprawę, że cała ta jasność dziwnie była mroczna. Czy rozumiał? Nie. Czy odgadywał? Nie, tym bardziej. Co kryło się za tym listem? Uchylenie podwójnych wrót i niepokojące zamknięcie zarazem. Z jednej strony – wyznanie. Z drugiej – zagadka.

Wyznanie i zagadka, dwoje ust, co, jedno – prowokująco, drugie – groźnie, wymawiały to samo słowo: „Odważ się.”

Nigdy jeszcze przewrotność przypadku nie obrachowała lepiej, nigdy jeszcze nie podsunęła pokusy w stosowniejszej chwili. Gwynplaine'owi, wzruszonemu wiosną i pęczniejącą sokami przyrodą, marzyć się właśnie zaczął sen ciała. Odwieczny, niezniszczalny mężczyzna, nad którym żaden z nas nie potrafił odnieść zwycięstwa, budził się w tym zapóźnionym efebie, co przetrwał w niewinności przez dwadzieścia cztery lata swego życia. I w tej właśnie chwili, w momencie największej rozterki, podsuwano mu pokusę i jawiła się przed nim olśniewająca i obnażona pierś sfinksa. Młodość – to pochyłość. Gwynplaine przechylił się i pchnięto go. Kto go popchnął? Pora roku. Kto jeszcze? Noc. Kto jeszcze? Tamta kobieta. Gdyby nie kwiecień – o ileż łatwiej byłoby wytrwać w cnocie. Wszystkie krzewy w kwiatkach to współwinowajcy. Miłość to złodziejka, wiosna to paserka.

Gwynplaine poruszony był do głębi.

Nim popełnimy winę, wydziela ona z siebie niby dym jakiś, którym ciężko jest oddychać sumieniu. Uczciwość wystawioną na pokuszenie chwytają ciemnie, z piekła rodem mdłości. To, co rozwiera się u stóp naszych, zionie wyziewem, który przestrzega silnych, słabych – oszałamia. Gwynplaine doświadczył też tego tajemniczego osłabienia.

Dylematy, uparte a nieuchwytne zarazem, pojawiały się przed nim i pierzchały. Wina przybierała wytrwale kształt coraz to wyraźniejszy. Jutro o północy; most Londyński; paż. Czy pójdzie tam? Tak – krzychało ciało. Nie – krzychała dusza.

A jednak, choć wydać się to może dziwne w pierwszej chwili, pytania: czy pójdę tam? – nie postawił sobie wyraźnie Gwynplaine ani razu. Ze złym postępkiem oswajać się trzeba powoli. Nie pije się go jednym haustem, tak samo jak i bardzo mocnej wódki. Odstawia się szklanekę – zobaczymy, co będzie dalej – już pierwszy łyk był wstrząsem nie lada.

Jedno jest niewątpliwe: czuł, że coś popycha go w nieznanne.

I drżał. I dostrzegał krawędź przepaści. I rzucał się w tył, zewsząd ogarnięty trwogą. Zamykał oczy. Ze wszystkich sił próbował upewnić samego siebie, że nie wydarzyło się to wszystko, próbował zwątpić o przytomności własnych zmysłów. Tak byłoby najlepiej, niewątpliwie. Wmówić w siebie obłąd – oto najrozsądniejsze ze wszystkiego, co mógł uczynić.

Gorączka to zębna. Każdy, którego zaskoczyło nieprzewidziane, doświadczył w życiu swoim tego dramatycznego bicia tętna. Obserwator z niepokojem nasłuchuje odgłosu tępych uderzeń tarana losu w ściany sumienia.

Niestety! Gwynplaine wahał się. A tam gdzie obowiązek jest jasny, zadanie sobie pierwszego pytania – to klęska.

Co prawda zresztą, bezwstydu całej tej przygody, który natychmiast uderzyłby człowieka bardziej zepsutego, on nawet nie dostrzegał. Nie wiedział, co to cynizm. Daleka była od niego wszelka myśl o możliwości frymarczenia sobą. Zrozumieć by jej nawet nie był w stanie. Był za czysty, aby snuć przypuszczenia zbyt zawile. W kobiecie tej widział jedno tylko – jej wielkość. Pochlebił mu niestety jej list. Próżność jego ujrzała tylko zwycięstwo. Ażeby przypuścić, że jest oto przedmiotem bezwstydnego pożądania raczej niż miłości, mieć by musiał

bardziej wyrobioną zdolność rozumowania. A nie zwykła odznaczać się tym niewinnością. Obok wyrazów „Kocham cię” znajdowała się groźna poprawka: „Pragnę ciebie.” Lecz on jej nie dostrzegł.

Nie dostrzegł zwierzęcej strony natury bogini.

Umysł ludzki bywa niekiedy terenem inwazji. Dusza ma swoich wandali – złe myśli – co najeżdżają i niszczą naszą cnotę. Tysiące przewrotnych pomysłów rzucało się na Gwynplaine'a, to w pojedynkę, to całą chmarą. Po czym nagle cichło w nim wszystko. Wówczas ujmował głowę w obie dłonie i trwał w jakimś oczekiwaniu ponurym, podobnym do wpatrywania się w nocne krajobrazy.

Nagle spostrzegł, że nie myśli już o niczym. Marzenie jego dosięgło kresu. Wszystko znikło w mroku.

Spostrzegł również, że nie wrócił jeszcze do domu. Była już pewnie godzina druga po północy.

Wsunął list przyniesiony przez pazia za kurtę i zauważył, że tym sposobem kładzie go sobie na serce; wyjął więc bilecik, byle jak zmięty włożył w pierwszą lepszą kieszeń i zawrócił ku gospodzie. Wszedł po cichu, nie obudził nawet małego Govicum, który czekając na niego usnął złożony głowę na łokciach opartych o stół, zamknął drzwi, zapalił świecę w latarni, zasunął rygiel, przekręcił klucz w zamku i machinalnie, ostrożnym krokiem człowieka, co wrócił późno, wspiął się po stopniach „Zielonego Pudła”, wśliznął do dawnego wózka, który teraz był jego pokojem, spojrzął na uspiętego Ursusa, zdmuchnął świecę i usiadł na posłaniu.

Przesiedział tak godzinę. Wreszcie, znużony, wyobrażając sobie, że posłanie – to sen, przyłożył głowę do poduszki nie rozbierając się nawet i ulegając ciemnościom zamknął oczy; lecz miotająca nim burza uczuć nie przycichła ani na chwilę. Bezsenność – to znęcanie się nocy nad człowiekiem. Gwynplaine bardzo cierpiał. Po raz pierwszy w życiu nie był rad z siebie. Wewnętrzny ból mieszał się z uczuciem zadowolenia próżności. Jak postąpić? Nadchodził już dzień. Usłyszał, że Ursus budzi się, ale nie podniósł powiek. A męka nie ustawała ani na chwilę. Myślał o liście. Wciąż powracały jego słowa zmieszane, chaotyczne. Pod działaniem gwałtownych wstrząsów idących z samej głębi duszy myśl zachowywać się zaczyna jak woda. Wznosi się, burzy i szumi głucho niczym morze. Przyływy, odpływy, wstrząsy, wiry, rozbijanie się fali o rafy, grady i deszcze, to chmury skłębione, to przejaśnienia, żalosne miotanie się niepotrzebnych pian, szalone spiętrzenia, co wała się w oka mgnieniu, wysiłek ogromny a daremny, widmo katastrofy grożące ze wszystkich stron, mrok i zatrała – wszystko to jest w morskiej otchłani, wszystko to jest w człowieku. Gwynplaine wydany był na pastwę takiej burzy.

Kiedy tak leżał z przymkniętymi powiekami, w chwili największego nasilenia tej męki usłyszał łagodny głos mówiący mu: – Czy śpisz jeszcze, Gwynplaine'ie? – Otworzył nagle oczy, siadł na posłaniu, drzwi były uchylone. Dea stała na progu. W oczach i na ustach miała swój niewysłowny uśmiech. Uroczą była, promienna nieświadomą pogodą. I oto nadeszła chwila błogosławiona. Gwynplaine zapatrzył się w Deę drżący, zachwycony, obudzony; obudzony? ze snu? nie! Z bezsenności. Była to ona; była to Dea. I oto w najtajniejszej głębinie jego istoty uspokoiła się nagle burza; szlachetne dobro zalało wszelkie zło. Spojrzenie niebios dokonało cudu, łagodna i promienna niewidoma przez proste pojawienie się na progu rozproszyła w nim wszystek mrok, zasłona z chmur rozsunała się przed duchem jego niby pociągnięta niewidzialną ręką i Gwynplaine w niebiańskim zachwycie uczuł, że napełnia się cały spokojnym błękitem. Dzięki temu aniołowi był oto znowu dużym, dobrym, uczciwym Gwynplaine'em. I dusza ludzka, i natura stają tak czasem twarzą w twarz z tajemnicą. Milczeli oboje, ona – jasność, on – otchłań, ona – nieziemska, on – ukojony. Nad ucichłym po burzy sercem Gwynplaine błyszczała Dea jak gwiazda świecąca nad wodami morza.

## II. RADOŚĆ PRZECHODZI W GROZĘ

Jakże prosty jest cud! Była to już w „Zielonym Pudle” pora śniadania i Dea przyszła, aby zapytać, dlaczego Gwynplaine nie przychodzi na ich skromny poranny posiłek.

– To ty! – krzyknął Gwynplaine. I słowami tymi powiedział wszystko. Nie było dlań innego widnokregu i innego zjawiska prócz nieba, w którym znajdowała się Dea.

Kto nie widział nigdy nagłego uśmiechu morza po burzy, ten nie potrafi wyobrazić sobie takich wypogodzeń. Nic nie uspokaja się szybciej od głębokich wód. Dlatego że z łatwością zatapiają one w sobie wszystko. I takie samo jest serce człowieka. Jednak nie zawsze.

Pojawiła się Dea – i oto już wszelka jasność, jaką miał w sobie Gwynplaine, ku niej tylko szła, i oto z pamięci olśnionego Gwynplaine'a pierzchały w popłochu wszelkie inne zjawy. Uwielbienie przywraca człowiekowi spokój.

W kilka chwil później siedzieli oboje naprzeciwko siebie, pomiędzy nimi – Ursus, a u ich stóp – Homo. Czajnik z herbatą, podgrzewany od spodu płonąca lampką, stał na stole, Fibi i Vinos wyszły gdzieś i nie usługiwały przy śniadaniu.

I śniadania, i wieczerze jadano zwykle w środkowej przegrodzie wozu. Wąski stół tak był ustawiony, że Dea siedziała tyłem do otworu w przepierzeniu umieszczonym naprzeciwko drzwi wejściowych do „Zielonego Pudła”.

Kolana ich dotykały się. Gwynplaine nalał Dei herbaty.

Dea dmuchała wdzięcznie w gorącą filiżankę. I nagle kichnęła. Znad płomienia lampki uniósł się dymek, opadły płatki popiołu jakby po spalonym papierze. Dea kichnęła dlatego właśnie.

– Co to? – zapytała.

– Nic – odrzekł Gwynplaine.

I uśmiechnął się.

Spalił list księżniczki.

Sumienie kochającego mężczyzny jest aniołem stróżem kochanej kobiety.

Pozbycie się listu ulżyło mu niesłychanie. Czuł, że jest uczciwy, jak orzeł czuje, że ma skrzydła.

Wydało mu się, że razem z dymem poszła sobie precz pokusa, że kiedy papier spopielił się, i księżniczka również stała się popiołem.

Mieszały się im filiżanki, to z jednej pili oboje, to z drugiej, i rozmawiali. Szczebiot zakochanych, ćwierkanie wróbelków. Dzieciństwa, godne Mère l'Oie i Homera. Dwa kochające się serca – i na cóż gdzie indziej szukać poezji? Dwoje ust rozmawiających pocałunkami – i na cóż gdzie indziej szukać muzyki?

– Wiesz co?

– Nie.

– Śniło mi się, Gwynplaine'ie, że byliśmy zwierzętami i że mieliśmy skrzydła.

– Skrzydła to ptaki – szepnął Gwynplaine.

– A zwierzę widzieć, znaczy – anioł – mruknął Ursus.

Rozmawiali dalej.

– Gdyby ciebie nie było, Gwynplaine'ie...

– To co wtedy?

– To chyba nie byłoby Pana Boga.

– Herbata jest gorąca. Możesz się sparzyć, Deo

– Podmuchaj.

– Jesteś dzisiaj taka piękna!



- Wiesz, chciałabym ci powiedzieć tyle rzeczy.
- Mów.
- Kocham cię!
- Ubóstwiam cię!

A Ursus pomrukiwał z cicha:

- Do diabła, to mi dopiero poczciwi ludziska.

Kiedy się kocha, najpiękniejsze chwile to chwile milczenia. Miłość gromadzi się wówczas w sercu, aby później rozlewać się szeroko, łagodnie, błogo.

Umilkli na chwilę. Potem Dea zawołała:

– Czy wiesz? Wieczorem, kiedy gramy, kiedy moja ręka dotyka twojego czoła... – O, Gwynplaine'ie, masz głowę tak cudownie szlachetną! – ...kiedy mam pod palcami twoje włosy, dreszcz czuję i radość niezemską i mówię sobie: w tym mroku, co mnie otacza, w tym wszechświecie samotności, w bezmiarze bezdennym i ciemnym, wśród którego żyję, gdzie wszystko drży tak przerażająco dookoła mnie, też drżącej – jeden mam tylko punkt oparcia, ten właśnie. To on! – To ty!

– Kochasz mnie – powiedział Gwynplaine. – I ja też tylko ciebie mam na świecie. Jesteś dla mnie wszystkim. Powiedz, Deo, co mam dla ciebie uczynić? Czy pragniesz czegoś? Czy czegoś ci trzeba?

A Dea odrzekła mu:

- Nie wiem. Jestem taka szczęśliwa.
- Tak, oboje jesteśmy tacy szczęśliwi – powtórzył Gwynplaine.

Tu odezwał się surowy głos Ursusa:

– Szczęśliwi jesteście! To wykroczenie. Już uprzedzałem was o tym. Jesteście szczęśliwi! A więc starajcie się, żeby nikt was nie zobaczył. Zajmujcie jak najmniej miejsca na ziemi. Szczęście kryć się powinno w mysią dziurę. Skulcie się, skurczcie, jak tylko najbardziej potraficie. Małością szczęśliwych wymierza Bóg wielkość szczęścia. Ludzie zadowoleni niczym złoczyńcy ukrywać się powinni. Świecisz, lichy świętojański robaku? O, do licha, zaraz cię ktoś rozdepcze, i dobrze zrobi! I cóż to za czuwanie do siebie? Nie jestem przyzwoitką, co z obowiązku przyglądać się musi, jak zakochani z dziobków sobie wyjadają. Jużście mi stanęli kością w gardle. A idźcie sobie do diabła!

Czuł, że gderliwy głos mięknie mu i dziwnie drgać zaczyna, przytłumił więc wzruszenie głośnym, niechętnym sapaniem.

- Ojczy – rzekła Dea – czemu się na nas gniewasz?
- Bo nie lubię, kiedy ludzie są za bardzo szczęśliwi – odrzekł Ursus.

A Ursusowi zawtórował Homo. Warknął leżąc u stóp zakochanych. Ursus schylił się i położył rękę na głowie wilka.

– Otóż to, i ty jesteś w złym humorze. Warczysz. Sierść najeżasz na swoim wilczym grzbiecie. Nie lubisz miłostek. Mądry Homo. No, dobrze już, dobrze, bądź cicho. Przemówiłeś, wypowiedziałeś swoje zdanie. A teraz spokój.

Wilk warknął znowu.

Ursus zajrzał pod stół.

- Leżeć, Homo! No, cicho bądź wreszcie, filozofie.
- Ale wilk zerwał się i warczał pokazując zęby w kierunku drzwi.
- Co ci się stało? – rzekł Ursus.

I chwycił Homo za skórę.

Dea nie zwróciła uwagi na warczenie wilka. Zadumana głęboko, rozkoszowała się dźwiękiem głosu Gwynplaine'a i milczała, cała pogrążona w tak znamiennej dla niewidomych ekstazie. Wydawać by się mogło, że słyszą oni wówczas w sobie jakiś śpiew, jakąś muzykę idealną, co zastępuje światło, którego im brak. Ślepotą to labirynt podziemny, w którym słyszy się najgłębszą harmonię wieczności.

Ursus pochylał się nad wilkiem. Chciał go uspokoić. Gwynplaine spojrział ku drzwiom.

Nie doniósł do ust trzymanej w ręku filiżanki z herbatą; odstawił ją na stół powoli, machinalnie i nie odejmując od niej bezwładnych nagle palców, siedział nieruchomo, z zapartym oddechem, z oczami utkwionymi przed siebie.

W otwartych drzwiach, tuż za Deą, stał człowiek.

Człowiek ten owinięty był w czarną pelerynę stróża sprawiedliwości. Perukę nasuniętą miał aż na brwi; w ręku trzymał laskę żelazną z wyrzeźbionymi na obu końcach koronami.

Laska ta krótka była i gruba.

Wyobraźmy sobie głowę Meduzy wychylającą się spomiędzy gałęzi rajskiego drzewa.

Ursus wyczuł obecność obcego i nie puszczając Homo z ręki podniósł głowę. Od razu poznał tę groźną postać.

Zadrżał cały.

I szepnął Gwynplaine'owi Ha ucho:

– To wapentake!

Gwynplaine przypomniał sobie, co to znaczy.

O mało co nie wykrzyknął ze zdziwienia. Powstrzymał się jednakże.

Żelazna laska z wyrzeźbionymi po obu końcach koronami był to iron-weapon.

Iron-weapon, na którą przy wstępowaniu w służbę składali przysięgę miejscy urzędnicy sądowi, była oznaką godności dawnych oficerów angielskiej policji.

Za nieznanym w peruce, w półcieniu, widać było przerażonego oberżystę.

Nieznanomy nie odzywając się ani słowem, niby wcielenie owej *muta Themis* ze starych statutów, wyciągnął prawą rękę ponad promienną głowę Dei i dotknął żelazną laską ramienia Gwynplaine'a, wskazując przy tym dużym palcem lewej dłoni w tył, na drzwi „Zielonego Pudła”. Ten podwójny gest, tym bardziej władczy, że towarzyszyło mu głębokie milczenie, znaczył: Chodź za mną.

*Pro signo exeundi, sursum trahe* – napisano w normandzkich kartularzach.

Temu, czyjego ramienia dotknęła żelazna laska, przysługiwało jedno tylko prawo: prawo do posłuszeństwa. Wszelkie słowo milkło wobec tego niemego rozkazu. Twarde przepisy angielskiego ustawodawstwa groziły surową karą każdemu kto by się przeciwko niemu zbuntował.

Gwynplaine zatrzęsł się cały pod drętym dotknięciem prawa, a potem jakby skamieniał.

Żelazna laska zaledwie musnęła jego ramię, lecz gdyby z całej siły uderzono go nią po głowie – nie zostałby na pewno bardziej ogłuszony. A więc musi pójść za oficerem policji! Lecz dlaczego? Nie rozumiał.

Ursus, przerażony nie mniej od niego, usiłował zastanowić się, o co chodzi. Pomyślał o kuglarzach i o kaznodziejach – swoich konkurentach, o oskarżeniach rzucanych na „Zielone Pudło”, o wilku też przestępcy przeciw – o swoim zatargu z trzema inkwizytorami z Bishopsgate; i – kto wie? to by było najgroźniejsze! – o niestosownej i nieprawomyślnej gadaninie Gwynplaine'a, uwłaczającej powadze królewskiego majestatu. Ze strachu trząsł się cały.

Dea siedziała uśmiechnięta.

I Gwynplaine, i Ursus nie odezwali się ani słowem. Obaj starali się o jedno tylko: żeby nie zaniepokoić Dei. A wilk też, być może czuł to samo co i oni, bo przestał warczeć. Ursus, co prawda, nie puszczał go z ręki.

Homo potrafił zresztą przestrzegać ostrożności w stosownej chwili. Któż nie zauważył, jak inteligentny bywa niepokój zwierząt?

Kto wie? Może na miarę wilczej możliwości zrozumienia ludzi czuł, że jest przez nich proskrybowany?

Gwynplaine podniósł się.

Pamiętał dobrze słowa Ursusa: nie wolno stawiać oporu, nie wolno zadawać żadnych pytań.

Stanął przed wapentake.

A wapentake odjął żelazną laskę od jego ramienia. Trzymał ją teraz przed sobą na sztorc. Ruch ten był rozkazem. Nie było wówczas wśród ludu angielskiego człowieka, który by nie zrozumiał natychmiast, co znaczy taki gest przedstawiciela sądowej władzy:

– Ten człowiek ma pójść za mną. Tylko on. Reszta niech zostanie. Milczeć!

Nikt nie przypatrywał się tej scenie. Policja od niepamiętnych czasów dbała, aby akty podobne dokonywały się w zaciszu odosobnienia.

Tego rodzaju aresztowanie nazywano „sekwestrem osoby”.

Wapentake sprawnie, niby mechanizm na osi, obrócił się w tył i ruszył poważnym, urzędowym krokiem ku drzwiom.

Gwynplaine spojrział na Ursusa.

A Ursus rozłożył ręce, wtulił głowę w ramiona i podniósł wysoko brwi. I mimika, i gesty mówiły wyraźnie: Trzeba poddać się nieznanemu losowi.

Gwynplaine spojrział na Deę. Siedziała zamyślona. I uśmiechała się.

Położył palce na ustach i posłał jej pocałunek ruchem dłoni, którego żadne słowo nie wyrazi.

Ursus, który widząc, że wapentake obrócił się tyłem, ochłonął nieco z przerażenia, zdążył jeszcze najcichszym szeptem przestrzec Gwynplaine'a:

– Jeśli ci życie miłe, nie odzywaj się, zanim cię nie zapytają!

Gwynplaine ostrożnie, niby w pokoju chorego, gdzie staramy się zachować jak najciszej, zdjął ze ściany kapelusz i płaszcz, płaszczem zatulił się aż po oczy, a kapelusz wcisnął głęboko na czoło; nie rozbierał się tej nocy, miał więc jeszcze na sobie robocze ubranie i skórzany napierśnik; raz jeszcze popatrzył na Deę; urzędnik sądowy stanął w drzwiach „Zielonego Pudła”, podniósł do góry swą laskę i zaczął schodzić po ruchomych stopniach wozu; wówczas Gwynplaine ruszył naprzód, jakby ten człowiek ciągnął go za sobą na niewidzialnym łańcuchu; Ursus patrzył za odchodzącym Gwynplaine'em; a wilk zaskowyczał żałośnie, krótko, bo Ursus natychmiast pochylił się i szepnął mu cicho: – On wróci!

Na podwórzu imię Nicless ze służalczym zapałem tłumił przerażony krzyk Vinos i Fibi, które patrzyły z rozpaczą, jak uprowadza Gwynplaine wapentake w żałobnym stroju, z żelazną laską w rękę.

Dziewczyny zamarły ze zgrozy, jakby w kamień obrócone.

Govicum jak ogłupiały wytrzeszczał oczy przez uchylone okienko.

Wapentake szedł pierwszy, wyprzedzając na parę kroków Gwynplaine'a. Nie odwrócił się, nie spojrział nawet na uprowadzanego, była w nim lodowata, spokojna pewność. Reprezentował sobą prawo.

W grobowej ciszy przeszli obaj przez podwórze, przeszli przez ciemną izbę gospody i oto znaleźli się na placu. Przy drzwiach oberży zgromadzili się przechodnie, stał tam również oddziałek straży sądowej. Gapie w niemym przestרחu rozsunęli się natychmiast na widok laski konstabla, z wrodzonym Anglikiem zdyscyplinowaniem. Wapentake poszedł w kierunku wąskich, małych uliczek biegnących wzdłuż Tamizy. Nazywano wówczas to miejsce Little Strand. A Gwynplaine w asyście pacholków sądowych idących po obu jego stronach podwójnym szeregiem, blady, bez innego ruchu jak bezwiednie stawiane kroki, w płaszcz zawinięty niby w całun śmiertelny, oddalał się powoli od gospody, postępując niemy w ślad za milczącym człowiekiem, na podobieństwo posagu prowadzonego przez widmo.

### III. LEX, REX, FEX

Aresztowanie bez żadnych wyjaśnień, które by mocno zadziwiło dzisiejszego Anglika, było częstym zwyczajem ówczesnej policji Wielkiej Brytanii. Do sposobu tego, nie zważając na *Habeas Corpus*, uciekano się szczególnie chętnie w sprawach delikatnej natury – które we Francji załatwiane były za pomocą *lettres de cachet* – jeszcze i za panowania Jerzego II. Walpole przecież bronić się musiał przed zarzutem nakazania czy też zezwolenia na aresztowanie Neuhoffa w taki sposób właśnie. Oskarżenie to nie było zresztą całkiem uzasadnione, gdyż Neuhoff, król Korsyki, wtrącony został do więzienia przez swych wierzycieli.

Ciche aresztowania, stosowane szeroko przez sądy świętej Voehme w Niemczech, z dawna przyjęte były w obyczaju germańskim, którego wpływ zaciążył nad jedną połową starych ustaw angielskich; były one również zalecane w niektórych wypadkach przez obyczaj normandzki, którego wpływ zaciążył nad ich połową drugą. Dowódca straży pałacowej Justyniana nazywał się „cesarskim dozorcą milczenia”, *silentarius imperialis*. Urzędnicy angielscy stosując ten rodzaj aresztowań opierali się na licznych tekstach normandzkich: *Canes latrant, sergentes silent.* – *Sergenter agere, id est tacere.* – Cytowali Lundulfusa Sagaksa, paragraf 16: *Facit imperator silentium.* – Cytowali statut króla Filipa z roku 1307: *Multos tenebimus bastonerios qui, obmutescentes, sergentare valeant.* – Cytowali statuta Henryka I, angielskiego, rozdział LIII: *Surge signo jussus. Taciturnior esto. Hoc est esse in captione regis.* – Przede wszystkim zaś korzystali z przepisu, uznawanego za jedną z najdawniejszych swobód feudalnych Anglii: „Wicehrabiowie mają pod rozkazami swymi zbrojnych, którzy winni z całą surowością wymaganą przez prawo karać tych wszystkich, co wdają się w złą kompanię, co obwinieni są o zbrodnie, zbiegów i opryszków... i ujmować ich powinni stanowczo, a nieznacznie, by nie zakłócać spokoju spokojnych ludzi, a zbrodniarzy obezwładnić.” Aresztowanie takie było pojmaniem przez zbrojną straż, *ô le glaive de l'espée.* (*Vetus Consuetudo Normanniae*. MS. I część, II rozdz.) Komentatorzy prawa powoływali się tutaj również na rozdział *servientes spathae* z *Charta Ludovici Hutini pro normannis*. W powolnym procesie upodabniania się średniowiecznej łaciny do naszych narzeczy *servientes spathae* stali się *sergentes spadae*.

Milczące aresztowanie było niewątpliwym przeciwieństwem wszelkiego zgiełku i zamieszania i wskazywało, że milczeć należy, dopóki pewne niejasności nie zostaną wyświetlone.

Znaczyło ono: żadnych pytań.

W takim postępowaniu policji kryła się zazwyczaj jakaś odrobina interesu państwa.

Do aresztowań tego rodzaju zastosować można prawniczy termin: *private* czyli: „przy drzwiach zamkniętych”.

W taki to właśnie sposób, według niektórych kronikarzy, Edward III pojmać kazał Mortimera w łóżu matki swojej, Izabeli Francuskiej. Niecałkowicie zresztą można wierzyć temu, gdyż Mortimer przed pojmaniem bronił się obłożony w swoim zamku.

Warwick, „kreator królów”, chętnie uciekał się do tego sposobu „podstępnego chwytania ludzi”.

Stosował go i Cromwell, szczególnie w Connaught; Trailie-Arcklo, krewniaka hrabiego Ormondu, aresztowano w Kilmacaught z taką właśnie milczącą ostrożnością.

Pojmanie przez sam tylko bezsłowny gest sprawiedliwości było bardziej nakazem stawienia się przed sądem niż aktem pozbawienia wolności.

Niekiedy był to tylko środek uzyskania informacji i przez nakazane wszystkim, milczenie zabezpieczał nawet pewne względy dla osoby pojmanego.

Dla ludu, nie wtajemniczonego w te wszystkie subtelnosci, aresztowanie takie szczególnie bylo przerazajace.

Nie wolno nam zapominać, że Anglia w roku 1705, a nawet i znacznie później jeszcze, to nie to, co Anglia za naszych dni. Twór to był wówczas chaotyczny i często ciemny. Daniel de Foe, który sam pokosztował pręgierza, charakteryzuje gdzieś angielski porządek społeczny takimi oto słowami: „żelazna ręka prawa”. Nie tylko prawa, lecz i samowoli. Wystarczy wspomnieć Steele'a wypędzonego z parlamentu, Locke'a wypędzonego ze swojej katedry; Hobbesa i Gibbona zmuszonych do ucieczki, Karola Churchilla, Hume'a, Priestleya, których prześladowano; Jana Wilkesa wtrąconego do Tower. Wystarczy wyliczyć – a długi to będzie rachunek – ofiary statutu *seditious libel*. Inkwizycja rozlała się po trosze po całej Europie; przykład jej metod policyjnych nie poszedł w las. W Anglii można było dokonać najstraszliwszego zamachu na każde prawo; przypomnijmy sobie choćby „gazetowego pismaka w pancerzu”. W połowie osiemnastego stulecia Ludwik XV porywać kazał z Piccadilly pisarzy, którzy byli mu niewygodni. A Jerzy III ujął we Francji, na środku sali Opery, pretendenta do tronu. Ręka króla francuskiego sięgała aż do Londynu, ręka króla angielskiego sięgała aż do Paryża. Długie mieli ręce. Tak wyglądały wolności.

Dodajmy jeszcze, że wewnątrz więzień chętnie dokonywano egzekucji. Podstępnie porywano, potem tracono. Do tych praktyk ohydnych powraca Anglia w tej chwili, pokazując światu całemu niezwykle widowisko wielkiego narodu, który chcąc wprowadzić ulepszenia wybiera to, co najgorsze, który, mając z jednej strony przeszłość, z drugiej – postęp, miesza te dwa kształty i noc bierze za dzień.

## IV. URSUS ŚLEDZI POLICJĘ

Jak widzimy więc, według surowych policyjnych przepisów owego czasu ruch żelaznej laski wapentake, nakazujący pójście za sobą jednemu człowiekowi, był równocześnie dla wszystkich obecnych przy aresztowaniu rozkazem, by nie ruszali się z miejsca ani krokiem.

Mimo to jednak co ciekawsi spośród gapiów usiłovali śledzić z przyzwoitej odległości orszak, który uprowadzał Gwynplaine'a.

Wśród nich był i Ursus.

Zrazu skamieniał porażony przerażeniem największym, jakiego tylko człowiek doznać jest w stanie. Lecz w swoim koczowniczym żywocie doświadczył Ursus niejednej zaskakującej niespodzianki, niejednej złośliwości losu i potrzeba mobilizowała wszystkie władze jego umysłu, jak alarm, co na wojennym okręcie wzywa na stanowiska całą załogę.

Natychmiast też całym wysiłkiem swej woli otrząsnął się z osłupienia i zaczął rozważać sytuację. Nie wystarczy wzruszać się trzeba stawić czoło wypadkom.

Jest to obowiązkiem każdego, kto ma choć odrobinę mózgu w głowie.

Nie wdawać się w dociekanie przyczyn, lecz działać! Natychmiast! Ursus zastanowił się.

Co uczynić należało?

Po odejściu Gwynplaine'a stanęły oto przed Ursusem dwie alternatywy, obie jednakowo groźne: lęk o Gwynplaine'a nakazywał mu pójść za nim, lęk o siebie nakazywał mu zostać.

Ursus nieustraszony był niczym mucha, a obojętny niczym mimoza. Trudno opisać, jak bardzo drżał cały. Zdobył się jednak na heroiczną decyzję i postanowił przeciwstawić się prawu i pójść w ślad wapentake; tak ogromnie był niespokojny o losy Gwynplaine'a.

Jakże bardzo bać się musiał, skoro zdobył się na tak wielką odwagę!

Strach doprowadzić potrafi zająca do dokazania istnych cudów męstwa.

Przerażona kozica przeskakuje przez przepaście. Lęk urosnąć może aż do nieostrożności, jest ona jedną z jego form.

Gwynplaine raczej porwany został niż aresztowany. Policja dokonała dzieła swego .tak szybko, że na placu jarmarcznym, niezbyt ludnym jeszcze o tej porannej godzinie, ledwie że cokolwiek zauważono. W budach rozrzuconych po Polu Tarrinzeau nikt prawie nie wiedział, że po Człowieka Śmiechu przyszedł wapentake. I dlatego nie zbiegli się ciekawi.

Przechodnie nie poznawali Gwynplaine'a, gdyż dół twarzy zakrył płaszczem, górę – kapeluszem.

Przed ruszeniem w ślady Gwynplaine'a Ursus odwołał na bok imć Niclessa, Govicum, Fibi i Vinos i przykazał im, by wobec Dei, która o niczym jeszcze nie wiedziała, zachowali jak najgłębsze milczenie; niech uważają, by nieostrożnym słowem nie wzbudzić w niej podejrzania, że coś się stało, niech wytłumaczą jej nieobecność Gwynplaine'a i Ursusa zwykłymi zajęciami przy ich teatralnym gospodarstwie; zbliżała się już zresztą godzina jej snu – zawsze przecież kładła się w dzień – a nim się Dea zbudzi, on wróci na pewno razem z Gwynplaine'em, bo to jest jakieś nieporozumienie, *mistake*, jak mówi się w Anglii; z łatwością wyjaśnią je obaj i sądowi, i policji, omyłka wyświekli się bez trudu, niezadługo powrócą. Byleby tylko nikt nic nie powiedział Dei. Zarządził tak i poszedł.

Idąc starał się, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Trzymał się możliwie najdalej od orszaku, nie tracąc jednak z oczu Gwynplaine. Zuchwałość z zasadzki jest odwagą lękliwych.

A zresztą, choć odbyło się to wszystko tak przerażająco uroczyście, kto wie? – a może Gwynplaine był po prostu wezwany do stawienia się przed zwykłym urzędnikiem policji z powodu jakiegoś mało ważnego wykroczenia?

– Tego. dowiemy się już za chwilę – powtarzał sobie Ursus. – Już za chwilę wyjaśni się to. Zobaczymy, w którą stronę skręci straż prowadząca Gwynplaine'a, kiedy przejdzie już wreszcie Pole Tarrinzeau i dojdzie do wylotów uliczek Little Strandu.

Jeżeli skręci w lewo – znaczyć to będzie, że prowadzi Gwynplaine'a na ratusz w Southwarku. Wówczas nie ma się czego obawiać: chodzi o jakieś zwykłe wykroczenie przeciwko miejskim przepisom; napomnienie urzędnika, dwa albo trzy szylingi kary i Gwynplaine zostanie zwolniony, i przedstawienie *Chaosu zwyciężonego* odbędzie się wieczorem jak co dzień. Nikt niczego nawet nie spostrzeże.

Jeżeli straż skręci w prawo – to gorsza sprawa.

W tamtej stronie znajdowały się miejsca budzące prawdziwą grozę.

Wapentake, na czele, dwuszeregu policjantów z Gwynplaine'em idącym w środku, doszedł do skraju placu. Ursus patrzył. Serce mu biło. Są chwile, kiedy człowiek cały wzrokiem się staje.

Gdzie skręca?

Skręcili w prawo.

Ursus, przerażony, zachwiał się i oparł o mur, aby nie upaść.

Jakże nieszczerze są słowa, które tak często mówimy sobie: „Chcę wiedzieć, czego mam się trzymać.” W gruncie rzeczy człowiek wcale nie pragnie tej wiedzy. Boi się jej. Niepokój połączony jest z utajonym wysiłkiem, by broń Boże nie upewnić się, jak jest naprawdę. Nie przyznając się przed samym sobą, każdy z nas cofnąłby się chętnie, a kiedy jest już za późno i wie – żałuje.

Tak też działo się z Ursusem. Pomyślał dygocząc cały:

– Żle! I tak dowiedziałbym się o wszystkim aż za wcześnie. I na co zda się iść dalej za Gwynplaine'em?

Że jednak natura ludzka jest jedną wielką sprzecznością – po uczynieniu tej uwagi przyspieszył kroku i opanowując strach podążył za oddziałkiem straży, bojąc się, by w labiryncie uliczek Southwarku nie zagubić nici łączącej go z uprowadzonym Gwynplaine'em.

Orszak posuwał się naprzód uroczyście, a więc niezbyt prędko.

Otwierał pochód wapentake.

Zamykał go dowódca straży.

W takim porządku posuwać się mogli tylko powoli.

Od dowódcy straży bił cały majestat, na jaki tylko stać jest sądowego pacholka. Strój jego był czymś pośrednim pomiędzy wspaniałym ubiorem oksfordzkiego doktora muzyki i skromną, czarną szatą doktora teologii z Cambridge. Pod długim godebertem, czyli płaszczem podbitym norweskimi zajacami, nosił odzienie szlachcica. Był na poły gotycki, na poły współczesny, perukę miał jak u Lamoignona, a rękawy szerokie jak u Tristana Pustelnika. Jego duże, okrągłe oko wlepione było w Gwynplaine'a uporczywie niby oko sowy. Stapał miarowo. Nie można chyba napotkać bardziej srogiej figury.

Ursus zagubił się na chwilę wśród płataniny uliczek i wreszcie dopędził orszak koło kościoła Najświętszej Marii Panny Over Ry. Na cmentarzu kościelnym pochód straży zatrzymany został szczęśliwie przez zgraję dzieciarni i psów, zjawisko częste na ulicy ówczesnego Londynu, *dogs and boys*, jak notują stare policyjne dokumenty, stawiając psy przed dziećmi.

Człowiek prowadzony do sądu przez straż nie był zresztą widokiem rzadkim i ciekawym szybko rozeszli się do swoich zwykłych zajęć. Śladem Gwynplaine'a podążał już tylko Ursus.

Przeszli koło dwu kaplic stojących naprzeciwko siebie – Religijnego Odpoczynku i Ligi Alleluja – przybytków dwu sekt po dziś dzień istniejących.

Potem orszak skręcać zaczął z uliczki w uliczkę, wybierając najchętniej przejścia nie zabudowane jeszcze puste, porośnięte trawą. Kluczyli tak długo.

Wreszcie zatrzymali się.

Stali u wejścia do ciasnego zaułka. Domów tu nie było, na skraju tylko stało kilka ruder. Zaułek wciśnięty był pomiędzy dwa mury, z lewej strony – niski, z prawej – wysoki. Wysoki mur był szerniały, wybudowany z saksońskiej cegły, z blankami i strzelnicami, a wąskie otwory piwniczne u dołu założone były grubą kratą. Ani jednego okna; tu i ówdzie tylko szczelina – dawna strzelnica dla miotaczy kamieni i kusz. W murze tym znajdowała się jedna tylko furta, niska, mała, niby wejście do pułapki na szczury.

W furcie tej, wstawionej w przesklepioną łukiem wnękę kamienną, znajdował się okrąto- wany judasz i wisiała na niej ciężka kołatka; zamek miała potężny, wrzeciędzie grube i silne, a obita była pancerzem z tegiej, pomalowanej blachy. Więcej tu miała żelaza niż drzewa.

W całym zaułku było pusto. Ni przechodnia, ni kramu handlarza. Z bardzo bliska jednak dochodził zgiełk nieustający, jakby wzdłuż uliczki płynął potok. Był to hałas głosów ludzkich i turkot kół. Po drugiej stronie czarnego gmachu znajdowała się, jakaś duża ulica, zapewne główna ulica Southwarku, co biegła od traktu Canterbury aż do mostu Londyńskiego.

W zaułku, poza orszakiem straży otaczającym Gwynplaine'a, najwprawniejsze oko nie do- strzegłoby żadnej ludzkiej twarzy prócz pobladłego profilu Ursusa przyczajonego ostrożnie w cieniu rzucanym przez załom muru. Patrzył i bał się zobaczyć. Ukrył się we wnęcie ściany.

Oddziałek straży zatrzymał się przed furcią.

Gwynplaine znajdował się w środku, wapentake ze swoją żelazną laską stał teraz za nim.

Dowódca straży podniósł kołatkę i trzy razy zakołatał w furćę.

Judasz otworzył się.

Dowódca straży powiedział:

– Z rozkazu królowej!

Ciężkie, żelazne i dębowe drzwi poruszyły się w swych zawiasach i uchylły ziejąc chło- dem i wilgocią na podobieństwo podziemnej pieczary. Ukazała się sklepiona sień, niska, ciemna, ponura.

I Ursus zobaczył, jak Gwynplaine znikł pod jej sklepieniem.



## V. STRASZNE MIEJSCE

Tuż za Gwynplaine'em wszedł wapentake.

Potem dowódca straży.

Potem reszta oddziału.

I furta zatrzasnęła się.

Ciężkie drzwi wróciły na miejsce, przylgnęły szczelnie do swej kamiennej listwy, nie było widać, kto je otwierał i kto je zamykał. Wydawać by się mogło, że rygle zasuwwały się same. Mechanizmy podobne, stworzone przez odwieczną potrzebę onieśmiania człowieka, zachowały się jeszcze w bardzo starych budynkach kaźni. Drzwi, których odzwiernego nie ujrzeć. Próg więzienia upodabniał się tym sposobem do progu grobowca.

Furta była tylnym wejściem do więzienia w Southwarku.

Gmach ten, surowy, pokryty pleśnią wieków, tak wyglądał, jak wiezienie wyglądać powinno.

Budynek więzienia w Southwark – świątynia pogańska, wzniesiona jeszcze przez zamieszkujące tu niegdyś plemiona dla Magonów, dawnych angielskich bożków, później zamek Ethelulfa i forteca za czasów świętego Edwarda – podniesiony został w r. 1199 do godności katowni przez Jana bez Ziemi. Przez środek gmachu przechodziła niegdyś ulica, podobnie jak przez zamek Chenonceaux przepływa rzeka. Budowla ta przez dwa stulecia prawie pełniła funkcje *gate*, czyli rogatki miejskiej; później zamurowano przejście. W Anglii znajduje się kilka więzień podobnego pochodzenia: w Londynie – Newgate; w Canterbury – Westgate; w Edynburgu – Canongate. We Francji – Bastylia, początkowo była bramą.

Wszystkie prawie więzienia angielskie wyglądały tak samo: zewnątrz wielki mur, wewnątrz ciemnice jak plastry w ulu. Nie było nic bardziej ponurego od tych zasnutych szarą, gęstą nicią przez pająki i sprawiedliwość więzień gotyckich, do których nie przedostał się jeszcze Jan Howard – promień światła. Wszystkie one, jak starożytna katownia Brukseli, nazywać by się mogły Treurenberg – „dom płaczu”.

Na widok tych gmachów, surowych i niełaskawych, doświadczał człowiek tej trwogi, którą odczuwali starożytni żeglarze przepływając w pobliżu piekła niewolników, wysp zgrzytających żelazem, *ferricrepiditae insulae*, o których mówi Plaut, kiedy aż do ich łodzi dobiegał szczeń łańcuchów.

Więzienie w Southwarku, odwieczne miejsce egzorcyzmów i udręczeń, początkowo przeznaczone było dla podejrzanych o czary, jak głosił zatarty napis, wryty w kamieniu nad furta:

*Sunt arreptitii vexati doemone multo.*

*Est energumenus quem doemon possidet unus.<sup>1</sup>*

Wiersz ten dokładnie ustala subtelny różnicę pomiędzy opętanym i potępieńcem.

Nad napisem przytwierdzona była do muru kamienna drabina – znak najwyższego sądu. Drabina ta była niegdyś z drzewa; lecz zakopano ją w zamieniającej się w kamień ziemi w miejscowości Aspley-Gowis, koło opactwa Woburn.

Więzienie w Southwark, dziś już zburzone, położone było między dwiema ulicami, które niegdyś jako *gate* łączyło się ze sobą, i miało dwa wejścia; jedno oficjalne od dużej ulicy, przeznaczone dla władz, i drugie od strony zaułka, tylne, przeznaczone dla reszty śmiertelni-

---

<sup>1</sup> W potępieńcu szaleje całe piekło.  
W opętanym – tylko jeden diabeł.

ków. A również i dla zmarłych; jeżeli więzień umarł w celi, tędy to właśnie wnoszono zwłoki. Również wyjście na wolność, nie gorsze od innego.

Śmierć – to rozprzestrzenienie się w nieskończoności.

Tym to tylnym wejściem właśnie wprowadzono Gwynplaine'a do więzienia.

Zaułek był właściwie wąziutkim, wyżwirowanym przejściem, wciśniętym między dwa naprzeciwko siebie stojące mury. W Brukseli istnieje podobna uliczka, zwana „ulicą jednej osoby”. Mury były nierównej wysokości: więzienny – wyższy, cmentarny – niższy. Ten niższy mur, otaczający miejsce, gdzie butwiały martwe odpadki więzienia, nie przewyższał wzrostu człowieka. Znajdowała się w nim brama, położona naprzeciwko więziennej furty. Umarli mieli więc niedaleko. Dość było przejść przez uliczkę i zrobić ze dwadzieścia kroków wzdłuż muru, by dostać się na cmentarz. Na wysokiej ścianie przytwierdzony był znak szubienicznej drabiny; naprzeciwko, na niskiej ścianie, wyrzeźbiono trupa czaszkę. Nie rozweselały się więc nawzajem te oba mury.

## VI. JAKIE SĄDOWNICTWO KRYŁO SIĘ POD ÓWCZESNYMI PERUKAMI

Kto by w owej chwili rzucił okiem na więzienie od drugiej strony, od strony frontowej – ujrzałby główną ulicę Southwarku, a przed paradnym, monumentalnym wejściem do gmachu zauważyć mógłby podróżną karete z krytym kozłem, przypominającą dzisiejszy kabriolet. Zgromadzili się przy niej półkolem ciekawi. Kareta była herbowa; widziano, jak ktoś wysiadł z niej i wszedł do więzienia; sędzia zapewne, tak przypuszczała ciżba. Sędziowie w Anglii często bowiem bywali rodu szlacheckiego i zawsze prawie, mieli prawo używania herbu. We Francji sygnet i toga nieomal że wykluczały się nawzajem; ksiązę de Saint-Simon, mówiąc o sędziach, pisze: „Ludzie tego stanu.” W Anglii urząd sędziego nie był dyshonorem dla szlachcica.

Istnieli również w Anglii wędrowni sędziowie; nazywali się oni „sędziami obwodowymi” i kareta całkiem naturalnie uchodzić mogła za wehikuł takiego właśnie urzędnika w objeździe. Bardziej zastanawiającym był fakt, że osoba domniemanego sędziego wysiadła nie z właściwej karety, lecz z przedniej jej części, z krytego kozła, a na tym miejscu nie zwykli byli przecież siadywać panowie. I jeszcze jedna osobliwość: w epoce owej podróżowało się po Anglii w sposób dwojaki: dyliżansem, za opłatą szylinga za każde pięć mil, i wierzchem, płacąc trzy grosze za milę i cztery grosze, pocztylionowi przy każdej zmianie konia; ten, co pozwalał sobie na podróżowanie pocztą we własnej karecie, płacił od konia i od mili tyle szylingów, ile jeździec płacił groszy. Otóż kareta stojąca przed więzieniem w Southwark zaprzężona była w cztery konie i towarzyszyło jej aż dwu pocztylionów – luksus iście książęcy. I wreszcie – co do reszty już rozpałało ciekawość i pobudzało do najróżnorodniejszych domysłów – kareta była szczelnie zamknięta. Okna miała zasłonięte żaluzjami, zamaskowano wszelkie otwory, przez które mógłby precisnąć się ludzki wzrok. Z zewnątrz niesposób było zajrzeć do środka, a z wnętrza też chyba niesposób było wyjrzeć na zewnątrz. Kareta zresztą była chyba pusta, tak się przynajmniej wydawało.

Southwark leżał w hrabstwie Surrey i więzienie w Southwark podlegało władzy szeryfa hrabstwa Surrey. Takie rozgraniczenie jurysdykcji napotkać można było w Anglii bardzo często. A więc na przykład więzienie Tower w Londynie uznawane było za nie leżące w żadnym hrabstwie, czyli że prawnie wisiało jakby w powietrzu. Tower nie uznawało żadnej władzy sądowej prócz swego konstabla, który zwał się *custos turris*. Tower miało własną jurysdykcję, własny kościół, własny sąd i własną osobną administrację. Władza *custos turris*, czyli konstabla; rozpościerała się aż poza Londyn na dwadzieścia jeden *hamlets* – czyli wiosek. A że w Wielkiej Brytanii osobliwości ustawodawstwa jedne na drugich się szczepią – urząd wielkiego kanoniera Anglii podległy był Londyńskiej Wieży.

Inne zwyczaje prawne przedstawiają się jeszcze bardziej dziwnie. Na przykład: sądy marynarki angielskiej stosują ustawy z Rodos i Oléron (wyspy francuskiej, która niegdyś należała do Anglii).

Szeryf hrabstwa – to osobistość bardzo znakomita. Był on zawsze *esquirem*, a często nawet i kawalerem. W starych dokumentach zwano go *spectabilis* – „człowiekiem, na którego się patrzy”. Tytuł to pośredni między *illustris* i *clarissimus*, niższy nieco niż pierwszy, wyższy zaś odrobinę niż drugi. Szeryfowie hrabstw obierani byli niegdyś przez ludność; od kiedy jednak Edward II, a po nim Henryk VI odebrali na rzecz korony prawo tej nominacji, szeryfowie stali się przedstawicielami króla. Urząd swój otrzymywali z rąk majestatu, wszyscy, z wyjątkiem szeryfa Westmorelandu, które to stanowisko było dziedziczne, i szeryfów Londynu i Middlesexu, którzy obierani byli przez zgromadzenie mieszczan w Commonhall. Szery-

fom Walii i Chester przysługiwały pewne uprawnienia skarbowe. Wszystkie te urzędy istnieją w Anglii po dziś dzień, lecz ściągając się powoli pod dotykem i obyczajów, i poglądów, nie wyglądają już tak jak niegdyś. Szeryf hrabstwa przydzielał eskortę sędziom obwodowym i roztaczał nad nimi opiekę. Miał on dwu urzędników na podobieństwo dwu rąk: jego ręką prawą był podszyryf, a ręką lewą – dowódca straży. Dowódca straży w towarzystwie setnika, zwanego wapentake, aresztował, przesłuchiwał i na odpowiedzialność szeryfa osadzał w więzieniu złodziei, zabójców, buntowników, włóczęgów, wszelakich przestępców, których sądzili sędziowie obwodowi. Różnica w hierarchii służbowej między podszyryfem a naczelnikiem straży, obu podległym szeryfowi, na tym polegała, że podszyryf towarzyszył, a naczelnik straży – był obecny. Sądy szeryfa były dwojakie: sąd stały, główny, *County-court*, i sąd objazdowy, *Sheriff-turn*. Łączył on tym sposobem w osobie swojej jedność z wszechobecnością. Jako sędzia w kwestiach spornych zasięgał rady u *sergens coifae*, zaprzysiężonego znawcy prawa, który pod czarnym biretem nosił nakrycie głowy z białego płótna z Cambrai. Szeryf wypróżniał przybytki sprawiedliwości; kiedy przybył do jakiegoś miasta w swoim hrabstwie, z racji urzędu swego rozprawiał się szybko z więźniami, jednych uwalniał, drugich posyłał na szubienicę; nazywało się to „zwolnieniem więzienia”, *goal delivery*. Szeryf przedstawiał akt oskarżenia dwudziestu czterem przysięgłym; jeżeli się z nim zgadzali, pisali na nim: *billa vera*, jeżeli się nie zgadzali, pisali: *ignoramus*; wówczas oskarżenie zostawało unieważnione i szeryfowi przysługiwał przywilej przedarcia aktu na pół. Jeżeli w czasie trwania sesji umarł któryś z przysięgłych – co z ustawy uznane było za udowodnienie niewinności oskarżonego – szeryfowi, jak przedtem przywilej aresztowania, teraz przysługiwało prawo wypuszczenia więźnia na wolność. Osoba szeryfa otoczona była szczególnym szacunkiem i szczególnym lękiem, dlatego że był on urzędowym wykonawcą „wszystkich rozkazów jego królewskiej mości”, określenie niebezpiecznie szerokie. W sformułowaniach takich znajduje się zawsze miejsce na samowolę. Otaczała szeryfa świta urzędników, zwanych *verdeors* i *coroners*, i dowódcy miejskiej straży obowiązani byli służyć mu zbrojną pomocą na każde wezwanie; wspaniały był jego orszak złożony z konnych i służby. Szeryf, mówi Chamberlayne, jest „życiem sprawiedliwości, prawa i hrabstwa”.

W Anglii i prawa, i obyczaje rozpadają się i niszczejają niedostrzegalnie a nieustannie. Dziś – ani szeryf, ani wapentake, ani naczelnik straży sądowej nie wykonują funkcji swoich w taki sposób, w jaki je wówczas wykonywali. W dawnej Anglii różne rodzaje władzy nie były ściśle rozgraniczone i wkraczanie w cudze atrybucje, określone zresztą nienazbyt jasno, zdarzało się bardzo często; dziś byłoby to niemożliwe. Osobny zakres działania mają sądy; osobny zakres działania ma policja. Nazwy pozostały, lecz zmieniły się funkcje. Wydaje się nam nawet, że słowo *wapentake* ma już dziś całkiem inne znaczenie; z nazwy urzędu stało się nazwą terytorialnego podziału; niegdyś oznaczało „setnika”, dziś oznacza kanton (*centum*).

W epoce owej szeryf hrabstwa, jako przedstawiciel i króla, i gminy zarazem, łączy w osobie swojej uprawnienia – w pewnych dziedzinach szersze nieco, w innych dziedzinach co najmniej węższe – dwu urzędników, nazywanych niegdyś we Francji *Lieutenant civil de Paris* i *Lieutenant de police* – głównego sędziego miasta Paryża i naczelnika policji. Główny sędzia miasta Paryża dość dokładnie został scharakteryzowany przez zapis w starych aktach: „Główny sędzia obywatelski nie jest wrogiem rodzinnych sporów, gdyż może się nagrabić korzystnie przy tej okazji” (22 lipca 1704). A najdoskonalszym chyba przykładem naczelnika policji, osobistości niepokojącej, nieokreślonej i różnorodnej w swoich uprawnieniach, jest René d'Argenson, który według świadectwa Saint-Simona miał na twarzy swojej pomieszane rysy wszystkich trzech sędziów piekielnych.

Owi trzej piekielni sędziowie znajdowali się – jużemy ich tam oglądali – w Bishopsgate, w więzieniu biskupim Londynu.

## VII. DRESZCZ

Kiedy Gwynplaine usłyszał, jak furta zgrzytając w zawiasach zamyka się za nim, zadrzał. Wydało mu się, że drzwi, które się zatrzasnęły, były jedynym otworem łączącym światło i ciemności, po którego jednej stronie leżała ziemia ruchliwa i gwarna, a po drugiej – świat śmierci, że wszystko, na co paść może blask słońca, pozostało już poza nim, że przestąpił oto właśnie próg tego, co jest życiem, i znalazł się po drugiej stronie. Serce ścisnęło mu się. Co z nim uczynią? Co to wszystko znaczyć mogło?

Gdzie był?

Nic nie widział dookoła; znalazł się wśród ciemności. Zamknięcie drzwi oślepiło go na chwilę. Judasz też był zamknięty. Żadnego otworu, żadnej latarni. Była to ostrożność jak świat stara. Sieni więziennej nie oświetlano, by uniemożliwić nowoprzybyłym poczynienie jakichkolwiek spostrzeżeń.

Gwynplaine wyciągnął ręce; i po prawej, i po lewej stronie natrafił na mur; znajdował się w korytarzu. Powoli, powoli, światło piwniczne, które nie wiadomo skąd przecieka, nie wiadomo skąd się bierze w miejscach bardzo ciemnych i do którego przystosowuje się ludzka źrenica, pozwoliło mu rozróżnić tu i ówdzie niepewne zarysy ciasnego przejścia.

Surowość systemu karnego znał Gwynplaine tylko z malowniczych i sugestywnych opowiadań Ursusa. Poczul się też, jakby schwyciła go jakaś dłoń ciemną a ogromną. Znaleźć się nagle w mocy nieznanej potęgi prawa – rzecz to zaiste przerażająca. I najodważniejsi nawet, postawieni przed obliczem sprawiedliwości – tchórzą. Dlaczego? Bo sprawiedliwość ludzka jest jak półmrok i sędzia porusza się wśród niej po omacku. Gwynplaine pamiętał dobrze, co rzekł mu Ursus o konieczności milczenia; chciał zobaczyć jeszcze Deę; w położeniu jego kryło się niewątpliwie coś tajnego, czego nie należało rozdrażnić. Zdarza się, że chcąc coś wyjaśnić szkodzimy tylko sobie. Cała ta przygoda jednakże spadła nań tak wielkim ciężarem, że ugiął się wreszcie i zapytał nie mogąc już powstrzymać się dłużej:

– Gdzie mnie prowadzicie, panowie?

Nikt mu nie odpowiedział.

Taka była bowiem zasada tajnych aresztowań i normandzkie prawo nakazywało wyraźnie: *A silentiaris ostio praepositis introducti sunt.*

Milczenie to chłodem przejęło Gwynplaine'a. Dotychczas sądził, że jest silny; nigdy niczego od nikogo nie potrzebował; a nie potrzebować niczego od nikogo – to tyle co potęga. Żył w odosobnieniu, mniemając, że odosobnienie – to niezwyciężoność. I oto nagle znalazł się pod uciskiem potwornej zbiorowej siły. I jak tu walczyć ze straszliwym anonimem – prawem? Ugiął się pod ciężarem tej zagadki, Strach nieznanego rodzaju odkrył szczelinę w jego pancerzu. Prócz tego zaś nie spał i nic nie jadł jeszcze; zaledwie zdążył umoczyć wargi w filiżance herbaty. Przez całą noc majaczył nieprzytomnie, trawiła go gorączka. Chciał pić, był głodny, być może. Niezadowolony żołądek wiele zepsuć potrafi. Od wczoraj nieustannie coś się działo. Podtrzymywały go miotające nim wzruszenia; żagiel staje się szmatą, kiedy ucichnie huragan. Czuł w sobie tę beznadziejną słabość gałgana, co go wiatr nadyma i rozdziera wreszcie. Czuł, że nadchodzi osłabienie. Czy upadnie bez przytomności na posadzkę? Zemdlenie to środek używany przez kobiety, a dla mężczyzny – wstyd. Starał się zapanować nad sobą – i drżał.

Doświadczał uczucia człowieka, któremu ziemia usuwa się spod nóg.

## VIII. JEK

Ruszyli.

Poszli naprzód korytarzem.

Żadnej kancelarii, żadnego rejestru. Więzienia ówczesne nie parały się bazgraniną. Zamykały się po prostu za człowiekiem, często same nie wiedząc dlaczego. Po to jest więzienie, żeby byli w nim więźniowie.

Korytarz był wąski, orszak musiał się wydłużyć. Szli teraz gęsiego: wapentake na przedzie, za nim – Gwynplaine, za nim – naczelnik straży, a na końcu – pachółkowie kupą, na podobieństwo korka zatykając korytarz za plecami Gwynplaine'a. A korytarz był coraz to węższy. Teraz już Gwynplaine łokciami ocierał się z obu stron o ściany; sklepienie, ze spojonych zaprawą kłińców kamiennych, wzmocnione było w równych odstępach przez granitowe gurdy, opuszczające się tak nisko, że trzeba było schylać głowę przechodząc pod nimi. Po korytarzu tym nie można było biec; zbieg musiałby uciekać powoli. Kiszka korytarza zakręcała wielokrotnie; wszystkie jelita są zwinięte w zwoje, i jelita więzienia, i jelita człowieka. Tu i ówdzie, raz po prawej, raz po lewej stronie, przez otwory przebite w murze, kwadratowe i okratowane, dostrzec można było schody idące raz w górę, raz w dół. Stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Drzwi otworzyły się, przeszli, drzwi się zamknęły. Potem otwarły się przed nimi drugie drzwi, potem trzecie obróciły się w swoich zawiasach. Drzwi te same jakby otwierały się i zamykały. Nikogo przy nich nie było. Korytarz stawał się coraz węższy, sklepienie zniżalo się, trzeba było pochylić głowę, by móc iść. Po ścianach ciekła wilgoć; krople wody kapwały ze sklepienia, kamienne płyty podłogi korytarza mokre były i oślizgłe jak kiszki. Błady poblask, zastępujący światło, stawał się coraz bardziej nieprzejrzysty; brakło powietrza. Korytarz ciągle zstępował w dół i to nade wszystko przejmowało ponurą grozą.

Aby to spostrzec, trzeba było dużego skupienia uwagi. Jakże złowrogą się staje wszelka łagodna pochyłość wśród ciemności. Jak przerażający jest nieznan cel, ku któremu iść trzeba po drodze zstępującej niezmiennie coraz niżej i niżej.

Schodzić – to wchodzić w grozę rzeczy nieznanych.

Jak długo szli już w ten sposób? Gwynplaine nie umiałby określić.

Minuty przepuszczone przez walce niepokoju wydłużały się nieskończenie.

Nagle zatrzymali się.

Otaczały ich gęste ciemności.

Korytarz rozszerzył się nieco.

Gwynplaine usłyszał tuż koło siebie dźwięk podobny do głosu chińskiego gongu; dźwięk – niby uderzenie w przeponę przepaści.

To wapentake trącił laską swoją żelazną płytę.

Były to drzwi.

Drzwi, co nie obracały się na zawiasach, lecz podnosiły i spadały jak brona.

Coś zazgrzytało przeraźliwie i Gwynplaine ujrzał nagle przed sobą czworokąt światła.

To płyta żelazna podniosła się, wsunęła w szczelinę sklepienia na podobieństwo kłapki w pułapce na myszy.

Przed nimi był otwór.

Przez otwór ten padało światło; nie dnia, lichego płomyka zaledwie. Lecz dla rozszerzonej źrenicy Gwynplaine'a ten blask błady, lecz nagły, był w pierwszej chwili niby uderzenie błyskawicy.

Przez czas pewien nic nie widział. Widzieć wśród olśnienia jest równie trudno co i wśród nocy.

Wreszcie stopniowo źrenice dostosowały się do światła, jak przedtem dostosowały się do ciemności; zaczął widzieć; blask, który tak jasny wydał mu się z początku, przestał razić oczy; odważył się spojrzeć w głąb otworu; straszne było to, co zobaczył.

Spod stóp jego, prostopadle prawie, spadało w dół ze dwadzieścia może stopni, wysokich, wąskich, startych, stromych, bez żadnej poręczy czy to po lewej, czy to po prawej stronie, podobnych do kamiennego zbocza, do pochylej ściany, w której wyciosano by schody. Schody te wpadały w głęboki loch, zstępowały aż na jego dno.

Loch ten był kolisty, o sklepieniu ostrołukowym, opierającym się na murach nierównej wysokości, co często napotkać można w podziemiach bardzo ciężkich budynków.

Podniesienie żelaznej płyty odsłoniło otwór przebity w sklepieniu, który służył za wejście do lochu. Schody prowadziły wprost tam właśnie i z wysokości ich wzrok pograżał się w piwnicy niczym w studni.

Loch był obszerny; jeżeli studnia to była – to chyba studnia cyklopów; jeżeli jama – to chyba jama na lwy czy tygrysy. Nie był wyłożony ani kamieniem, ani cegłą. Za podłogę miał klepisko z wilgotnej i zimnej piwnicznej ziemi. Na środku lochu cztery niskie, niezdarne kolumny podtrzymywały kamienny baldachim o ciężkim, ostrołukowym sklepieniu. Jego cztery żebra, zwierając się w jednym punkcie, rysowały coś na kształt wnętrza infuły biskupiej. Baldachim podobny do tych, pod jakimi ustawiano niegdyś sarkofagi, sięgał aż do sklepienia lochu, wydzielając w podziemiu jakby osobną, centralną komnatę, jeżeli można nazwać tym słowem pomieszczenie otwarte ze wszystkich stron i mające cztery słupy zamiast czterech ścian.

U klucza sklepienia baldachimu wisiała mosiężna latarnia, okrągła, okratowana jak okienko więziennej celi. Z latarni tej na sklepienia, na słupy, na półkolisty mur, ledwie widoczny za słupami, padało bladawe światło, poprzecinane kresami cienia.

Światło to oślepiło w pierwszej chwili Gwynplaine'a. Obecnie wydało mu się ledwie że tłącym się płomykiem.

W lochu, prócz wejścia, nie było żadnego innego otworu, żadnych drzwi, żadnego okienka.

Między czterema słupami, tuż pod latarnią, tam gdzie było najjaśniej, przytłoczony był do ziemi kształt jakiś, biały i straszny.

Leżało to na grzbiecie. Widać było głowę z zamkniętymi oczami, ciało, którego korpus skrył się pod dziwnym pagórkem, dwie ręce i dwie nogi rozpięte w znak greckiego krzyża i przywiązane łańcuchami do słupów, czyli do żelaznych obręczy, umocowanych u ich podnóża. Kształt ten, unieruchomiony w okrutnej pozycji ćwiartowanego, był zimno bładym jak trup. I nagi. Był to człowiek.

Gwynplaine jak skamieniały stał i patrzył z wysokości schodów.

Nagle usłyszał rżenie.

Trup żył.

Tuż obok tego widziadła, pod jednym z łuków kamiennego baldachimu, po obu stronach krzesła z poręczami, ustawionego na szerokim, kamiennym podwyższeniu, stali dwaj ludzie wyprostowani, w długich, czarnych sukniach, a w krześle siedział starzec w czerwonej szacie bladej, nieporuszony, złowrogi; w ręku miał bukiet róż.

Ów bukiet wyjaśniłby wszystko każdemu co by był nieco bardziej od Gwynplaine'a w tych sprawach oświecony. Prawo sprawowania sądów z pękiem kwiatów w ręku jest znamieniem urzędnika i królewskiego, i miejskiego zarazem. Lord-major Londynu sędzi tak po dziś dzień. Dopomaganie sędziemu w wydawaniu wyroków było przeznaczeniem pierwszych wiosennych róż.

Starzec siedzący w krześle był szeryfem hrabstwa Surrey.

Miał w sobie sztywny majestat dostojnego Rzymianina.

Krzesło jego było jedynym siedzeniem w całym lochu.

Tuż obok stał stół zarzucony papierami i księgami, leżała na nim również długa, biała różga szeryfa.

Po obu stronach szeryfa stali dwaj doktorzy: doktor medycyny i doktor praw, łatwo poznawalny po białym nakryciu głowy pod peruką. Nosili obaj czarne suknie, ten – sędziego, tamten – lekarza. Te dwa gatunki ludzkich stworzeń noszą żałobę po zmarłych, których kreują sami.

Z tyłu za szeryfem na krawędzi płaskiej płyty kamiennej przysiadł pisarz w podstrzyżonej na okrągło peruce, z piórem w rękę, gotów do pisania; obok niego stał kałamarz, na kolanach miał gruby plik dokumentów i czystą kartę pergaminu rozłożoną na wierzchu.

Pisarza takiego nazywano „pisarzem z torbą”; rzeczywiście, na ziemi u stóp jego leżała torba. Torby te, używane niegdyś podczas procesów, nosiły nazwę „worków sprawiedliwości”.

Tuż obok stał oparty o słup, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, człowiek cały w skórę odziany. Był to katowski pacholek.

Ludzie ci trwali w swych ponurych pozach dookoła przywiązanego; wyglądali jak zakłęci; żaden nie poruszył się, żaden nie wyrzekł słowa.

Nad wszystkim unosił się jakiś potworny spokój.

To, co Gwynplaine oglądał w tej chwili, było podziemną izbą tortur. Wiele było takich lochów w Anglii. Krypta w Beauchamp Tower przez długi czas służyła temu celowi, służyła mu i piwnica w Lollard's Prison. I dziś jeszcze oglądać można w Londynie loch taki, zwany „sklepieniem Lady Place”. W izbie tej znajduje się kominek, na którym rozgrzewano żelaza.

Wszystkie więzienia z czasów Króla Jana – a więzienie w Southwark było jednym z nich – miały swoją izbę tortur.

Praktyki, które teraz opisywać będziemy, stosowane były szeroko w ówczesnej Anglii i biorąc rzeczy formalnie, i teraz jeszcze mogłyby być w postępowaniu karnym stosowane; gdyż wszystkie te ustawy istnieją po dziś dzień. Anglia przedstawia sobą ciekawy widok barbarzyńskiego kodeksu, co w najlepszej zgodzie współżyje z wolnością. I małżeństwo jest znakomite, przyznać to trzeba.

Pewna nieufność, jednakże, nie byłaby tutaj całkiem od rzeczy. W razie katastrofy a nuż bowiem ocknąłby się system karny? Ustawodawstwo angielskie jest jak oswojony tygrys. Łapy ma miękkie, ale pazurów nie utracił.

A mądrze jest ucinać ustawom pazury.

Ustawa niewiele dba o sprawiedliwość. System karny i człowieczeństwo – to dwie osobne sprawy. Filozofowie protestują; lecz minie jeszcze czas pewien, nim sprawiedliwość ludzka połączy się w jedności ze sprawiedliwością prawdziwą.

Respekt wobec prawa; słowa to angielskie. W Anglii cześć dla ustawy jest tak wielka, że nie odejmuje się jej nigdy mocy obowiązywania. Aby jakoś wybrnąć, a czci nie naruszyć – ustawy nie stosuje się. Ustawa, co się zestarzeje, wypada z obiegu jak kobieta, co się zestarzała; lecz nie zabija się żadnej z tych dwu staruszek. Przestaje się ich używać – to wszystko. Mogą sobie nawet być nadal piękne i młode w swoim własnym mniemaniu. Nikt im nie broni marzyć sobie, że jeszcze się liczą. Taki rodzaj grzeczności nazywamy respektem.

Zwyczajowe prawo normandzkie pomarszczone jest już jak jabłuszko; mimo to jednak niejedyn sędzia angielski robi doń jeszcze słodkie oczy. Najokrutniejszą starzyzną przechowuje się z troskliwością, byleby tylko była ona normandzka. Cóż może być bardziej dzikiego od szubienicy? W roku 1867 pewnego człowieka<sup>2</sup> skazano na poćwiartowanie, a ciało jego, po wykonaniu wyroku, ofiarowane być miało kobiecie – królowej.

A zresztą tortury nigdy nie istniały w Anglii. Mówi nam to historia. Bo historia ma tupet niemały.

---

<sup>2</sup> Irlandzkiego fenianana – przedstawiciela ruchu niepodległościowego Irlandii – Burke. W maju 1867.



Mateusz z Westminsteru notuje, że „prawo saksońskie, wielce łaskawe i dobroduszne”, nie karało śmiercią zbrodniarzy – po czym dorzuca: „Poprzestawano na ucięciu im nosa, wylupieniu oczu i wyrwaniu z ciała tych członków, które płeć człowieka oznaczają.”

Jedynie!

Przerażony Gwynplaine stał u szczytu schodów i drżał na całym ciele. Usiłował przypomnieć sobie, jaką to mógł popełnić zbrodnię. Po milczeniu wapentake następował z kolei widok tortury. Był to krok naprzód, krok tragiczny. Coraz bardziej zaciemniała się oto ponura zagadka prawa, którą czuł się oplątany.

Kształt ludzki rozciągnięty na podłodze zarzęził po raz wtóry.

Gwynplaine uczył, że ktoś dotyka lekko jego ramienia.

Dotknął go wapentake.

Zrozumiał, że trzeba zejść.

Usłuchał.

Krok za krokiem zstępować zaczął po schodach w głąb. Stopnie były bardzo wąskie, a wysokie na jakie osiem – dziewięć cali. I żadnej poręczy. Trzeba więc było schodzić ostrożnie. Za Gwynplaine'm w odległości dwu stopni schodził wapentake dierząc przed sobą swą żelazną laskę, a za wapentake'iem, w takiej samej odległości – naczelnik straży.

Gwynplaine schodząc po tych stopniach czuł, jak nadzieja ginie, topi się coraz głębiej w otchłani. Było to niby posuwanie się krok za krokiem w głąb śmierci. Za każdym przebytym stopniem coś w nim gasło. Coraz bardziej błąd zszedł na sam dół.

Kształt poczwarny, przygnieciony do ziemi i uwiązany do czterech słupów, ciągle rzeził.

Z półmroku odezwał się głos:

– Zbliź się.

To szeryf przemówił do Gwynplaine'a.

Gwynplaine postąpił krok naprzód.

– Jeszcze bliżej – rzekł głos.

Gwynplaine posunął się jeszcze o krok.

– Podejdź całkiem blisko – rzekł głos.

Naczelnik straży szepnął w ucho Gwynplaine'a tak poważnie, że aż uroczyście:

– Stoisz przed obliczem szeryfa hrabstwa Surrey.

Gwynplaine postąpił jeszcze kilka kroków i zatrzymał się tuż obok torturowanego, który leżał na środku lochu. Wapentake i naczelnik straży zostali w tyle.

Kiedy Gwynplaine stanął pod sklepieniem baldachimu i ujrzał z bliska ów kształt nędzny, który dotychczas na odległość tylko oglądał, a który był żyjącym człowiekiem – strach jego przerósł w przerażenie.

Przywiązany i przyduszony do ziemi człowiek był nagi, miał na ciele swym łaćman tylko, ohydnie wstydlivy, który nazwać by można było listkiem figowym tortury, przepaskę nazywaną *succingulum* przez Rzymian, a *christipannus* przez chrześcijański gotyk, co w naszym starym galijskim narzeczu nabrało brzmienia *cripagne*. Jezus nagi na krzyżu przepasany był takim łaćmanem.

Przerażający skazaniec, któremu przypatrywał się Gwynplaine, wyglądał na mężczyznę może pięćdziesięcio-, może sześćdziesięcioletniego. Był łysy. Siwy zarost jeżył mu się na brodzie. Oczy miał zamknięte, usta – otwarte. Widać było wszystkie jego zęby. Twarz, kościasta i chuda, przypominała głowę trupa. Nogi i ramiona, przykrępowane łańcuchami do czterech kamiennych słupów, tworzyły znak X. Na piersi jego i brzuchu leżała płyta żelazna, a na płycie tej ułożono w stos kilka potężnych głazów.

Rzęzenie dobywające się z płuc jego było to ledwie dostrzegalnym tchnieniem, to rykiem chrapliwym.

Szeryf, trzymając w ręku swój bukiet róż, drugą, wolną dłonią ujął białą różgę leżącą na stole, podniósł ją i rzekł:

– Posłuszeństwo dla majestatu.

I z powrotem położył swą różgę na stole.

Następnie z powolnością pogrzebowego dzwonu, bez jednego gestu, równie co i skazaniec nieruchomy, mówić zaczął, dobitnie, głośno:

– Człowieku, którego przywiązano tutaj łańcuchami, posłuchaj po raz ostatni głosu sprawiedliwości. Wyprowadzono cię z twojej ciemnicy i przyprowadzono do tego lochu. Przesłuchiwany należycie i w sposób przewidziany przez ustawę, *formaliis verbis pressus*, nie zważając na dokumenty odczytane ci i które zostaną ci raz jeszcze odczytane, opanowany duchem uporczywości, złego i przeciwnego ludzkiej naturze, zamknąłeś się w milczeniu i odmówiłeś odpowiedzi na pytania sędziego. Co jest niegodziwą samowolą posiadającą wszelkie znamiona zbrodni zaparcia się winy.

Tu doktor praw stojący po prawej ręce szeryfa zabrał głos i rzekł z obojętnością tak wielką, że aż grobową:

– *Overhernessa*. Statuty Alfreda i Godruna. Rozdział szósty.

Szeryf mówił dalej:

– Prawo szanowane jest przez wszystkich z wyjątkiem złodziei, co są utrapieniem lasów, w których łanie obierają sobie legowiska.

Tu znów rozległ się głos doktora praw, niby uderzenie drugiego dzwonu:

– *Qui faciunt vastum in foresta ubi damae solent founinare*.

– Ten, co odmawia odpowiedzi na pytanie osoby urzędowej – mówił szeryf – pomawiany jest o wszelkie występki. Przypuszcza się o nim, że zdolnym jest do wszelkiego zła.

I znów odezwał się doktor:

– *Prodigus, devorator, profusus, salax, ruffianus, ebriosus, luxuriosus, simulator, consumptor patrimonii, elluo, ambro, et glutio*.

– Kto posiada wszystkie wady – mówił szeryf – ten popełnić może wszystkie zbrodnie. Kto nie zeznaje nic – wyznaje wszystko. Kto wobec pytań sędziego trwa w milczeniu, jest tym samym i kłamcą, i ojcobójcą.

– *Mendax et parricida* – rzekł doktor.

Szeryf mówił dalej:

– Wiedz, człowiecze, że nie wolno jest nieobecny się czynić przez milczenie. Taki wykręt zaoczności ranę zadaje prawu. Człowiek, co tak postępuje, podobny jest Diomedesowi kaleczącemu boginię. Milczenie w obliczu sprawiedliwości jest jedną z odmian buntu. Obraza sprawiedliwości to obraza majestatu. Nie masz czynu bardziej karygodnego, nie masz większego zuchwalstwa. Kto uchyla się od odpowiedzi – kradnie prawdę. Lecz ustawa stoi tu na straży. W wypadkach podobnych z dawien dawna przysługuje Anglikom prawo dołu, kleszczy i łańcuchów.

– *Anglica charta*, z roku 1088 – odezwał się doktor.

I z tą samą zawsze mechaniczną powagą dodał:

– *Ferrum, et fossam, et furcas, cum aliis libertatibus*.

Szeryf mówił dalej:

– Dlatego też, człowiecze, ponieważ nie chciałeś wyrzec się milczenia, jakkolwiek zdrów na umyśle i powiadomiony dokładnie o tym, czego od ciebie żąda sprawiedliwość, ponieważ szatan krnąbrności mieszka w tobie – musiałeś zostać poddany torturze. Stosowanie do brzmienia statutów karnych doświadczony zostałeś męczarnią, zwaną „karą ciężką i twardą”. Oto, co ci uczyniono. Ustawa wymaga, bym ci to obwieścił w sposób wiarygodny. Przyprowadzony zostałeś do tego lochu, rozdzielony zostałeś z szat twoich, ułożono cię, nagiego, na ziemi na wznak, ręce i nogi twoje wyciągnięto i przywiązano do czterech filarów prawa, żelazną płytę położono ci na brzuchu i nałożono na ciało twoje tyle kamieni, ile ich tylko udźwignąć byłeś zdolny. „I jeszcze więcej” – jak każe prawo.

– *Plusque* – przytwierdził doktor prawa.

Szeryf mówił dalej:

– W położeniu tym, zanim męczarnia twoja przedłużoną ci została, ja, szeryf hrabstwa Surrey, wzywałem cię kilkakrotnie, byś odpowiadać i mówić zaczął, a ty szatańskim obyczajem trwałeś w milczeniu, jakkolwiek znajdowałeś się w mocy przycisków, łańcuchów, kajdan, więzów i okuć.

– *Attachiamenta legalia* – rzekł doktor praw.

– Wskutek odmowy twojej i zatwardziałości – mówił szeryf – ponieważ godzi się, by upór prawa dorównał uporowi zbrodniarza, męczarnia trwała dalej, tak jak to nakazują edykty i paragrafy. Dnia pierwszego nie dano ci ani jeść, ani pić.

– *Hoc est superjejunare* – rzekł doktor prawa.

Umilkli na chwilę. W ciszy słychać było straszliwie świszczący oddech przygniecionego stosem kamieni człowieka. A doktor praw dopełnił swego objaśnienia:

– *Adde augmentum abstinentiae ciborum diminutione. Consuetudo Britannica*, artykuł pięćset czwarty.

Obaj oni, szeryf i doktor praw, odzywali się na przemian. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej posępnego od tej niezmiennej monotonii; głosowi grobowemu odpowiadał głos złowieszczy; rzec by można, że to ksiądz i ministrant tortury celebrują okrutną mszę prawa.

Z kolei odezwał się szeryf:

– Dnia pierwszego nie dano ci ani jeść, ani pić. Dnia drugiego dano ci jeść i nie dano ci pić; włożono ci między zęby trzy kęsy owsianego placka. Dnia trzeciego dano ci pić i nie dano ci jeść. Wlano ci w usta trzy razy po kwarcie wody zaczerpniętej z więziennego ścieku. Nadszedł dzień czwarty. Jest nim dzień dzisiejszy. Jeżeli w dalszym ciągu nie będziesz odpowiadał na pytania – pozostaniesz tutaj aż do chwili śmierci twojej. Tak chce sprawiedliwość.

Doktor praw zawtórował przyświadczać:

– *Mors rei homagium est bonae legi.*

– A kiedy konać tu będziesz nędznie – podjął swój wątek szeryf – nikogo nie będzie przy tobie, i wtedy nawet, gdy krew wypłynie ci gardłem, brodą i pachami, i wszelkimi otworami ciała, od ust aż po łądzwie.

– *A throtebolla* – rzekł doktor praw – *et pabus et subhircis, et a grugno usque crupponum.*

Szeryf mówił dalej:

– Zważ sobie to wszystko, człowieku. Bo to, co się stanie, od ciebie tylko zależy. Jeżeli wyrzekniesz się szkaradnego milczenia i wyznasz prawdę – zostaniesz powieszony tylko i będziesz miał prawo upomnieć się o *meldefeoh*, który jest kwotą pieniężną.

– *Damnum confitens* – rzekł doktor praw – *habeat le meldefeoh. Leges Inae*, rozdział dwudziesty.

– Kwota ta – mówił z naciskiem szeryf – wyplacona ci zostanie w doitkinsach, suskinsach i galihalpensach. Jedyne to jest wypadek, w którym – z mocy statutu unieważniającego ich wartość obiegową, a wydanego w trzecim roku panowania Henryka V – pieniądze te użyte być mogą. I będzie przysługiwać ci prawo *scortum ante mortem*, po czym udławiony zostaniesz na szubienicy. Takie są korzyści przyznania się do winy. Czy chcesz więc odpowiadać na pytania sprawiedliwości?

Szeryf zamilkł i czekał. Torturowany nie poruszył się.

Szeryf znów się odezwał:

– Człowieku, milczenie – to schronienie, w którym więcej niebezpieczeństwa jest niż ocalenia. Upór – to rzecz zbrodnicza i potępienia godna. Kto wobec sprawiedliwości milczy, ten zdrajcą jest wobec korony. Nie trwaj dłużej w tym tak niesynowskim, nieposłuszeństwie. Pomnij na jej królewską moc. Nie stawiaj oporu miłościwej naszej pani. Jej to odpowiadasz na pytania moje. Bądź wiernym poddanym.

Torturowany rzeźił tylko.

Szeryf mówił dalej:

– Oto po upływie siedemdziesięciu dwóch pierwszych godzin próby znajdujemy się w jej dniu czwartym. Jest to dzień rozstrzygający, człowieku. W czwartym bowiem dniu naznacza prawo stawienie do oczu.

– *Quarta die, frontem ad frontem adduce* – zamruczał doktor prawa.

– Wielka mądrość prawa – mówił dalej szeryf – wybrała tę właśnie ostateczną godzinę, aby otrzymać to, co przodkowie nasi nazywali „wyrokiem śmiertelnego chłodu”, zważywszy, że w chwili tej daje się wiare każdej odpowiedzi podsądnego, i przytwierdzającej, i przeczącej.

Tu odezwał się doktor prawa:

– *Judicium pro frodmortell, quod homines credensi sint per suum ya et per suum na*. Statut króla Aedlstana. Tom pierwszy, stronica sto siedemdziesiąta trzecia.

Szeryf, odczekawszy chwilę pochylił swe surowe oblicze nad torturowanym.

– Człowieku, który leżysz tutaj na ziemi...

I znów zaczął nieco.

– Człowieku – krzyknął – czy słyszysz mnie?

Skazaniec nie poruszył się.

– W imieniu prawa wzywam cię – rzekł szeryf. – Otwórz oczy.

Powieki mężczyzny pozostały zamknięte.

Szeryf zwrócił się ku doktorowi medycyny, który stał po jego lewej ręce.

– Orzeknij, doktorze.

– *Probe, da diagnosticum* – rzekł doktor praw.

Doktor medycyny, wyprostowany, urzędowy, zstąpił z płyty kamiennej, zbliżył się do torturowanego, pochylił, przyłożył ucho do ust jego, pomacał mu puls w przegubie dłoni, pod pachą i na udzie, po czym wyprostował się.

– I cóż? – rzekł szeryf.

– Słyszysz jeszcze – odrzekł doktor medycyny.

– Czy widzi? – zapytał szeryf.

A doktor medycyny odpowiedział:

– Może widzieć.

Na skinienie szeryfa naczelnik straży i wapentake podeszli bliżej. Wapentake stanął przy głowie torturowanego; naczelnik straży zatrzymał się tuż za Gwynplaine'em.

Lekarz cofnął się między filary.

Wówczas szeryf, wznosząc swój bukiet róż niby ksiądz kropidło, przemówił gromkim głosem do torturowanego. Widok to był imponujący.

– Nieszczęśniku! – rzekł – odezwij się. Oto prawo błaga, nim cię zmiążdży. Chcesz wydać się niemy – pomyśl o mogile, która jest niema; chcesz wydać się głuchy – pomyśl o potępieciu, które jest głuche. Pomyśl o śmierci, która gorsza jest od ciebie. Porzucony zostaniesz w tym lochu – dobrze rozważ to sobie. Posłuchaj mnie, bliźni mój, gdyż też człowiekiem jestem. Posłuchaj, bracie mój, chrześcijaninie. Posłuchaj, synu mój, gdyż ja jestem już starcem. Strzeż się mnie, gdyż jestem władcą twojej męczarni i za chwilę stanę się straszny. Groza prawa jest majestatem sędziego. Wiedz, że ja sam drzę przed sobą samym. Przeraza mnie moja własna władza. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Oto czuję, jak napętnia mnie święta złość kary. Doznaj więc, o nieszczęśny, zbawiennego i pocziwego lęku przed wymiarem sprawiedliwości. Usłuchaj mnie. Godzina konfrontacji nadeszła i powinienes odpowiadać. Nie zacinaj się w uporze. Nie wkraczaj w nieodwracalne. Zważ, że moim jest prawem zetrzeć cię w proch. Ty, coś już zaczął trupem się stawać, posłuchaj! Jeżeli nie chcesz umierać tutaj przez godziny, dni i tygodnie, konać długo straszliwym konaniem głodu i gnojowiska, pod ciężarem tych kamieni, samotny w tym podziemiu, opuszczony, zapomniany, wykreślony spomiędzy żywych, wydany na pastwę szczurów i łasiczek, żywcem ogryzany przez zwierzęta ciemności – kiedy tymczasem na ulicy, ponad głową twoją ludzie chodzić będą tam i na powrót i kupować, i sprzedawać, i toczyć się będą karety; jeżeli nie pragniesz rzeźić i

charczeń bez przerwy na dnie tej rozpacz, i zgrzytać zębami, i płakać, i bluźnić, bez lekarza, co by ukoił twoje rany, bez księdza, co by duszy twojej podał kubek niebiańskiej wody; o, jeżeli nie pragniesz zaznać powolnego wykwitania na ustach twoich potwornej piany mogilnej, o, błagam się i zaklinam, usłysz mnie! Na twój własny ratunek cię wzywam, ulituj się nad sobą, uczynź to, co jest twoją powinnością ustąp przed sprawiedliwością, bądź jej posłuszny, odwróć głowę, otwórz oczy i powiedz, czy poznajesz tego człowieka!

Torturowany nie odwrócił głowy i nie otworzył oczu.

Szeryf spojrział kolejno na wapentake i na naczelnika straży.

Naczelnik straży zdjął z Gwynplaine'a kapelusz i płaszcz i ustawił go na wprost związane-go, tuż pod latarnią. Twarz Gwynplaine'a w całym swoim dziwnym, niezwykłym rysunku wystąpiła z mroku.

Wapentake zaś schylił się, oburącz ujął za skronie bezwładną głowę skazańca i obrócił ją ku Gwynplaine'owi, a dużym i wskazującym palcem obu dłoni rozsunął mu zamknięte powieki. Ukazały się oczy dzikie, straszne.

Torturowany zobaczył Gwynplaine'a.

I wtedy o własnej już sile wyżej dźwigając głowę, o własnej już sile szerzej roztwierając oczy począł wpatrywać się w jego twarz.

Zadrzał, o ile zadrzeć można pod stosem ugniatających pierś gładów, i krzyknął:

– To on! Tak! To on!

I roześmiał się okropnym śmiechem.

– To on – powtórzył.

A potem głowa opadła mu na ziemię, powieki zamknęły się.

– Zapisz, pisarzu – rzekł szeryf.

Gwynplaine, jakkolwiek przerażony, aż do tej chwili trzymał się nieźle. Okrzyk torturowanego: „To on” wstrząsnął nim. Słowa: „Zapisz, pisarzu” krew mu zmroziły w żyłach. Pojął, że oto złoczyńca jakiś wciąga go w swoją dolę, z powodów dla niego niepojętych, że niezrozumiałe dlań zeznanie tego człowieka zamyka się na jego szyi na podobieństwo żelaznej obroży. Wyobrazził sobie jego i siebie przykutych do dwu bliźniaczych słupów pręgierza. I Gwynplaine wśród przerażenia utracił równowagę i spróbował się bronić. Bełkotać zaczął jakieś wyrazy bez związku – zwykła to jest mowa zrozpaczonej niewinności. Drżący, przerażony, oszalały, wyrzucał z siebie okrzyki przypadkowe, nieporządne, poplątane, słowa rozpacz, które tak bardzo podobne są do miotanych na ośle pocisków:

– Nieprawda! To nie ja! Ja nie znam tego człowieka. On nie może mnie znać, skoro ja go nie znam. Wieczorem mam przedstawienie! Czego ode mnie chcecie? Proszę mnie puścić. To omyłka. Dlaczego zaciągnięto mnie do tej piwnicy? Czyżby nie było już prawa? To powiedzcie od razu, że prawa nie ma. Panie sędzio, jeszcze raz powtarzam, że to nie ja. Ja jestem niewinny, ja nic nie zawiniłem. Wiem o tym, wiem na pewno. Ja chcę sobie pójść. To niesprawiedliwie. Nic mnie z tym człowiekiem nie łączy. Możecie się o mnie rozpytać. W moim życiu nie ma nic do ukrywania. Przyszli po mnie jak po złodzieja. Dlaczego tak po mnie przyszli? A ten człowiek – czy ja wiem, kto to jest? Ja wędrowny komediant, występuję na jarmarkach, na placach targowych. Jestem Człowiek Śmiechu. Widziało mnie mnóstwo ludzi. Zatrzymaliśmy się na Polu Tarrinzeau. Już od piętnastu lat uczciwie zajmuję się moim rzemiosłem. Mam dwadzieścia pięć lat. Mieszkam w gospodzie „Tadcaster”. Nazywam się Gwynplaine. Zlitujcie się, panowie sędziowie, wypuście mnie stąd! Nie wolno wykorzystywać bezbronności nieszczęśliwych. Zlitujcie się nad człowiekiem, który nie zrobił nic złego, choć nie ma komu ująć się za nim. Stoi przed wami ubogi kuglarz.

– Stoi przede mną lord Fermain Clancharlie, baron Clancharlie i Hunkerville, margrabia Corleone na Sycylii, par Anglii – rzekł szeryf.

Po czym powstał i wskazał krzesło swoje Gwynplaine'owi:

– Niech wasza łaskawość usiąść raczy, milordzie.

# KSIĘGA PIĄTA

## I MORZE, I LOS SĄ TYM SAMYM WIATREM PORUSZANE

### I. TRWAŁOŚĆ RZECZY KRUCHYCH

Przeznaczenie podaje nam czasem do wypicia szklanek szaleństwa. Jakaś ręka wysuwa się z chmury i ofiarowuje nam ciemny puchar, pełen nieznanego upojenia.

Gwynplaine nie zrozumiał.

Obejrzał się, by zobaczyć, do kogo wypowiedziane zostały te słowa.

Ucho ludzkie nie chwyta dźwięków nazbyt ostrych; umysł człowieka nie chwyta nazbyt ostrych wzruszeń. I rozumiemy, i słyszymy w pewnych tylko granicach.

Wapentake i naczelnik straży podeszli do Gwynplaine'a ujęli go pod ręce i poczuł, że sadzają go w krzesło, z którego powstał szeryf.

Poddał się temu nie usiłując nawet zrozumieć, dlaczego się tak dzieje.

Kiedy Gwynplaine już usiadł, dowódca straży i wapentake odsunęli się o kilka kroków i wyprostowani, nieruchomi, stanęli za krzesłem.

Wówczas szeryf położył na kamiennej płycie swój bukiet róż, włożył okulary, które mu podał pisarz, spod stosu aktów, którymi zavalony był stół, wyciągnął kartę pergaminu poplamioną, pozieleniałą, pożółkłą, miejscami zbutwiałą i popekaną, wyglądającą tak, jakby zwinięto ją kiedyś bardzo ciasno, a której jedna strona była zapisana, i stojąc w świetle latarni, i trzymając tę kartę tuż przed oczyma, głosem najbardziej uroczystym odczytał, co następuje:

„W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego,

Dnia dzisiejszego, który jest dwudziestym dziewiątym dniem stycznia tysiącznego sześćsetnego dziewięćdziesiątego roku po narodzeniu Pana naszego, Jezusa Chrystusa,

porzucone zostało nikczemnie, na bezludnym wybrzeżu Portlandu, w grzesznej nadziei, że zginie tam z głodu, zimna i samotności, dziecko w wieku lat dziesięciu.

Dziecko to sprzedane zostało w wieku lat dwu na rozkaz najmiłociwszego króla Jakuba II.

Dziecko to jest lordem Fermainem Clancharlie, prawym i jedynym synem lorda Linneusza Clancharlie, barona Clancharlie i Hunkerville, margrabiego Corleone na Sycylii, para królestwa angielskiego, nieżyjącego, i Anny Bradshaw, małżonki jego, nieżyjącej.

Dziecko to jest dziedzicem dóbr i tytułów ojca swego. Dlatego też zostało sprzedane, okaleczone, zeszepecone i zagubione z woli najmiłociwszego króla.

Dziecko to wychowane zostało i wyuczone na jarmarczego kuglarza.

Sprzedano je w wieku lat dwu, po śmierci jaśnie oświeconego ojca jego, a w zamian za nabycie dziecka tego i za różne pozwolenia, swobody i immunitety złożono królowi dziesięć funtów szterlingów.

Lord Fermain Clancharlie w wieku lat dwu kupiony został przeze mnie, niżej podpisanego, którego ręka słowa te kreśli, i zniekształcony, i oszpecony przez Flamandczyka z Flandrii imieniem Hardquanon, który jest jedynym na świecie człowiekiem posiadającym sekrety i sposoby doktora Conquesta.

Dziecko przeznaczone zostało przez nas na maskę śmiechu. *Masca ridens*.

W intencji tej Hardquanon dokonał na nim operacji *Bucca fissa usque ad aures*, która nakłada wieczysty śmiech na twarz człowieka.

Dziecko, sposobem wiadomym Hardquanonowi tylko, zostało uspięte, utraciło na ten czas czucie i nic nie wie o operacji, której na nim dokonano.

Nie wie, że jest lordem Clancharlie.

Woła się je imieniem Gwynplaine'a.

Jest to skutek młodości jego i nierozwinięcia pamięci, kiedy bowiem zostało sprzedane i kupione, miało zaledwie dwa lata.

Hardquanon jest jedynym żyjącym, który dokonać potrafi operacji *Bucca fissa*, a dziecko owo jest jedynym żyjącym, na którym operacja ta. dokonana została.

Operacja ta wyjątkowa jest i szczególna tak niezwykle, że nawet i po latach wielu, choćby dziecko to starcem już się stało, choćby zbiegły czarne jego włosy – przez Hardquanona natychmiast poznane zostanie.

W godzinie, w której kreślę te słowa, Hardquanon, któremu znane są należycie wszystkie te wydarzenia i który jako główny sprawca brał w nich udział, osadzony jest w więzieniu jego wysokości księcia Wilhelma Orańskiego, zwanego pospolicie królem Wilhelmem III. Hardquanon pojmany został i uwięziony jako jeden z tych, których *comprachicos* lub *cheylas* zwano. Zamknięty jest on w wieży Chatham.

W Szwajcarii to, na wybrzeżu Genewskiego Jeziora pomiędzy Lozanną i Vevey, w domu, w którym pomarli i ojciec, i matka jego, a stosownie do rozkazów króla, dziecko zostało nam sprzedane i wydane przez ostatniego domownika nieżyjącego lorda Linneusza, który, to domownik również zmarł niebawem – a więc sprawa ta, delikatna i sekretna, nikomu już dzisiaj na świecie nie jest wiadoma z wyjątkiem Hardquanona, który jest w więzieniu w Chatham, i nas, którzy umrzemy za chwilę.

My, niżej podpisani, przez osiem lat chowaliśmy i zaprawiali do rzemiosła naszego, aby później czerpać zeń korzyści, małego, kupionego przez nas od króla, panicza.

W dniu dzisiejszym uciekając z Anglii, aby nie podzielić złej doli Hardquanona, z lęku i obawy przed karami ustanowionymi przez parlament, porzuciliśmy wśród zapadającego zmroku na wybrzeżu portlandzkim dziecię zwane Gwynplaine'em, które jest lordem Fermainem Clancharlie.

Zaprzyśięliśmy dochowanie tajemnicy królowi, ale nie Bogu.

Nocy tej, na morzu, zaskoczeni z woli przeznaczenia przez straszliwą burzę, pogrążeni w ostatecznej rozpacz i trwodze, klęcząc przed tym, który może uratować życie nasze i który zechce, być może, uratować dusze nasze, kiedy niczego już spodziewać się nam nie można od ludzi, kiedy wszystkiego lękać się nam należy od Boga, kiedy jedyną naszą kotwicą, jedynym ratunkiem jest żal za grzechy nasze, gotowi na śmierć i pragnący, by sprawiedliwości boskiej zadosyć się stało – w skrusze i pokucie bijąc się w piersi składamy niniejszym to oświadczenie i powierzamy je opiece szalejącego morza, aby użytek zeń uczyniło dla dobra ludzkiego i przez posłuszeństwo Bogu. Oby Najświętsza Maria Panna orędowniczką nam była. Amen. Podpisali.”

Tu szeryf przerwał czytanie.

– Teraz następują podpisy. Każdy innej ręki – rzekł. I czytał dalej:

„Doktor Gerhardus Geestemunde – Asuncion. – Krzyżyk i obok niego: Barbara Fermoy z wyspy Tyrryf, w Ebudes. – Gaïzdorra, przywódca gromady. – Giangirate. – Jakub Quatourze, zwany Narbończykiem. – Łukasz Piotr Capgaroupe, galernik z Mahon.”

Tu szeryf znowu przerwał czytanie i rzekł:

– Dopisek, skreślony tą samą ręką, co reszta pisma i co podpis pierwszy.

I odczytał:

„Spomiędzy trzech ludzi stanowiących załogę statku szyper porwany został przez falę podczas burzy. Pozostało ich dwóch i ci własnoręcznie podpisali: – Galdeazun. – Ave-Maria, złodziej.”

Szeryf mówił dalej, to odczytując pergamin, to dorzucając własne objaśnienia:

– U spodu karty napisano: „Na morzu, na pokładzie «Matutiny», barkasu z Biskai, z zatoki Pasage.”

– Karta ta jest pergaminem z kancelarii królewskiej i nosi znak wodny z herbami Jakuba II. Na marginesie niniejszego oświadczenia widnieje dopisek tą samą co i reszta ręką skreślony:

„Świadectwo to spisane przez nas zostało na odwrocie rozkazu królewskiego, który nam do rąk oddano jako dowód zdejmujący z nas odpowiedzialność za kupno dziecka. Odwróciwszy stronicę rozkaz ten odczytać można.”

Szeryf odwrócił pergamin i prawą ręką podniósł go w górę, bliżej światła. Ujrzano białą kartę – jeżeli określenie „biała karta” zastosować da się do czegoś podobnie zbutwiałego – i wypisane na samym jej środku trzy słowa; dwa łacińskie: „*Jussu regis*”, i podpis: „Jeffreys”.

– *Jussu regis*. Jeffreys – wymówił szeryf donośnym głosem.

Gwynplaine był w tej chwili jak, człowiek, któremu spadła na głowę dachówka z pałacu marzeń.

Zaczął mówić, jakby majaczył:

– Gerhardus, tak doktor. Człowiek posepny, stary. Bałem się go. Gaïzdorra, wódz. I kobiety. Asuncion i ta druga. I jeszcze Prowansalczyk. Capgaroupe. Pociągał często z płaskiej butelki, na której czerwono wypisane było jakieś imię.

– Oto ona – rzekł szeryf.

I położył na stole przedmiot, który pisarz wyjął właśnie z worka sprawiedliwości.

Była to flaszka z dwoma uchwytnymi, opleciona łożyną. Flaszka ta najwidoczniej wielu doznała przygód. Długo przebywać musiała w wodzie. Oblepiły ją muszle i algi. Wyinkrustowana była wszelką rdzą oceanu. Szyjka, obłana smołą, wskazywała, że flaszkę tę kiedyś szczelnie zamknięto. Teraz odpieczętowana była i otwarta. Tkwiła jednak w szyjce, włożona tam z powrotem, zatyczka z wysmołowanych pakuł, którymi tę flaszkę zakorkowano.

– W tej to butelce – rzekł szeryf – zamknięte było przez ludzi co umrzeć mieli, zeznanie odczytane tutaj przed chwilą. Przesłanie to, przeznaczone dla sprawiedliwości, wiernie jej przez morze oddane zostało.

I ciągnął dalej głosem coraz bardziej uroczystym:

– Jak góra Harrow rodzi znakomite zboże i dostarcza najdelikatniejszej mąki, z której wypieka się chleb dla królewskiego stołu – tak i morze oddaje Anglii wszystkie usługi, jakie tylko oddać jej jest w stanie, i kiedy lord ginie, morze odnajduje go i odnosi.

Po czym dodał:

– Na flaszy tej rzeczywiście znajduje się imię wypisane czerwono. Tu podniósł głos i zwrócił się w stronę nieruchomego skazańca. – Twoje imię, złoczyńco, który się tutaj znajdujesz. Takie są bowiem tajemne drogi, którymi prawda, zatopiona w odmęcie ludzkich czynów, wydobywa się z dna na powierzchnię.

Szeryf wziął do ręki flaszkę i obrócił ją ku światłu tą stroną, która, dla potrzeb sądu zapewne, oczyszczona została. Wśród wiklinowej plecionki wiła się wąska wstążeczka z czerwonej trzciny, poczerniała tu i ówdzie pod działaniem wody i czasu. Trzcina ta, choć gdzieniegdzie poprzerrywana, wpleciona była w wiklinę w wyraźny kształt dziesięciu liter: Hardquanon.

Szeryf, nadając mowie swojej owo brzmienie osobliwe, a niczego innego nie przypominające, które nazwać by można akcentem sprawiedliwości, przemówił do skazańca:

– Hardquanonie! Kiedy flaszka ta, na której widnieje imię twoje, przez nas, szeryfa, po raz pierwszy ukazana ci, przedstawiona i podana została – od razu i z dobrej woli przyznałeś, że należała do ciebie; później, kiedy został ci odczytany w brzmieniu swoim pergamin złożony w niej i zamknięty, nie chciałeś udzielić żadnych dalszych wyjaśnień i – w nadziei zapewne,



że zagubione dziecko nie zostanie odnalezione i że uda ci się uniknąć kary – odmówiłeś wszelkiej odpowiedzi. Wskutek odmowy tej poddany zostałeś torturze ciężkiej i twardej i odczytano ci po raz wtóry pomieniony pergamin, zawierający zeznanie i spowiedź współników twoich. Na próżno. W dniu dzisiejszym, który jest dniem czwartym, naznaczonym przez prawo jako dzień konfrontacji, postawiono cię twarzą w twarz z tym, co porzucony został w Portlandzie dwudziestego dziewiątego stycznia, tysięcznego sześćsetnego dziewięćdziesiątego roku; szatańska nadzieja zgasła w tobie i przerwałeś milczenie, i rozpoznałeś swoją ofiarę...

Torturowany otworzył oczy, dźwignął głowę i głosem, któremu agonია dziwnej przydawała dźwięczności, z jakimś spokojem nie do nazwania, który sprawił, że rżenie jakby nagle ucichło, tragicznie akcentując spod stosu kamieni wyrazy, z których każdy wymówiony był za cenę podniesienia tego wieka trumny, które na nim położone zostało – odezwał się:

– Zaprzysiągłem tajemnicę i dotrzymałem jej dopóki mogłem tylko. Ludzie mroku są wierni; i piekło ma swoją uczciwość. Dziś milczenie jest już niepotrzebne. Niech tak będzie. Dlatego mówię. A więc tak! To on! Zrobiliśmy go takim we dwu razem z królem; król – wolał swoją, ja – moją sztuką.

I spoglądając na Gwynplaine'a dodał:

– Teraz śmieję się wiecznie!

I sam śmiać się począł.

Śmiech ten, dziki, straszny, zabrzmiał jak szloch.

Wreszcie śmiech ustał, człowiek opuścił głowę na ziemię. Powieki jego zamknęły się.

Szeryf, który oddał głos skazanemu, mówił teraz dalej:

– Co wszystko dokładnie do akt wciągnięte zostało.

Odczekał chwilę, aby pisarz zapisać zdążył, i przemówił znowu:

– Hardquanonie, stosownie do brzmienia ustawy, po skutecznej konfrontacji, po trzecim odczytaniu zeznania twoich współników potwierdzonego teraz oto przez ciebie i po twoim kilkakrotnym przyznaniu się do winy – wyswobodzony zostaniesz z więzów twoich, abys z przyzwoleniem jej królewskiej mości powieszony został jako plagiator.

– Plagiator – odezwał się doktor praw – czyli nabywca i sprzedawca dzieci. Prawo wizygockie, księga siódma, rozdział trzeci, paragraf *Usurpaverit*; Prawo salickie, rozdział czterdziesty i pierwszy, paragraf drugi; i Prawo Fryzów, rozdział dwudziesty i pierwszy. *De Plagio*. Aleksander Nequam mówi również:

*Qui pueros vendis, plagiarius est tibi nomen.*<sup>3</sup>

Szeryf odłożył pergamin na stół, zdjął okulary, wziął znów swoje kwiaty do ręki i rzekł:

– Koniec kary ciężkiej i twardej. Podziękuj jej królewskiej mości, Hardquanonie.

Na znak naczelnika straży człowiek odziany w kaftan skórzany poruszył się wreszcie.

Człowiek ten, katowski pacholek, „szubieniczny sługa”, jak stare księgi ustaw powiadają, podszedł do skazańca, zdjął wszystkie kamienie, które mu brzuch ugniatały, i podniósł żelazną płytę. Ukazały się zmiżdżone żebra nieszczęśnika. Następnie zdjął z rąk i nóg jego żelaza, którymi uwiązany był do czterech filarów.

Po zdjęciu kamieni, po odczepieniu łańcuchów torturowany dalej leżał na ziemi; oczy miał zamknięte, a ręce i nogi rozrzucone, jakby zdjęto go z krzyża.

– Hardquanonie – rzekł szeryf – wstań.

Skazaniec nie poruszył się.

Szubieniczny sługa podniósł rękę jego i puścił; ręka opadła. Podniósł drugą – opadła tak samo. Katowski pacholek podnosił z kolei obie jego nogi – pięty stuknęły głucho o ziemię. Bezwładne były palce, bezwładne stawy. Nagie nogi leżącego ciała jeżą się jakoś niesamowicie.

<sup>3</sup> Który handlujesz dziećmi, plagiator jest imię twoje.

Zbliżył się doktor, z kieszeni sukni swojej wyjął małe stalowe zwierciadełko i przyłożył je do otwartych ust Hardquanona; potem podniósł mu palcami powieki. Nie spadły już więcej. Odkryte źrenice szkliste były, nieruchome.

Doktor wyprostował się i rzekł:

– Umarł.

I dorzucił:

– Zaśmiał się, to go zabiło.

– Mniejsza z tym – rzekł szeryf. – Po przyznaniu się do winy – obojętne, czy żyje czy też zmarł. Ma to znaczenie już tylko formalne.

Po czym wskazując swym bukietem róż na Hardquanona rozkazał wapentake'owi:

– Uprzątnąć stąd te zwłoki dzisiejszej nocy.

Wapentake w milczeniu skłonił się.

A szeryf dodał:

– Cmentarz więzienny znajduje się naprzeciwko.

Wapentake skłonił się powtórnie.

Pisarz pilnie spisywał wszystko.

Szeryf, w lewej dłoni trzymając bukiet róż, prawą ujął swoją białą pałeczkę, stanął przed Gwynplaine'em w krześle siedzącym i oddał mu ukłon głęboki, po czym przybrał postawę uroczystą, odrzucił w tył głowę i patrząc wprost na Gwynplaine'a przemówił doń następującymi słowami:

– Wam zaś, szlachetny i tu obecny panie – my, Filip Denzill Parsons, kawaler, szeryf hrabstwa Surrey, w asystencji Aubrie Docminique'a, esquire, sekretarza naszego i pisarza, oraz zwyczajnych naszych przybocznych urzędników, na bezpośrednie i specjalne zlecenie jej królewskiej mości, na mocy wydanego nam rozkazu i praw, i obowiązków urzędu naszego, a także i z wola, i wiedzą lorda-kanclerza Anglii, na podstawie protokołów, aktów i dokumentów przekazanych nam przez admiralicję, po sprawdzeniu prawdziwości świadectw i podpisów, po odczytaniu i wysłuchaniu oświadczeń, po dokonaniu stawienia do oczu, po dokonaniu wszystkich czynności wymaganych przez prawo i doprowadzeniu sprawy do pomyślnego i sprawiedliwego zakończenia – wam, tu obecny panie, oświadczamy i obwieszczamy, ażeby się tym sposobem słusznemu prawu zadość stało, że jesteście Fermainem Clancharlie, baronem Clancharlie i Hunkerville, markizem Corleone na Sycylii, parem Anglii, i oby Bóg łaską swoją otoczył waszą dostojność.

I szeryf ukłonił się raz jeszcze.

Doktor praw, doktor medycyny, naczelnik straży, wapentake, pisarz, wszyscy obecni, z wyjątkiem kata, w ślad za nim złożyli ukłony jeszcze głębsze, aż do ziemi schylili czoła przed Gwynplaine'em.

– Co to jest! – krzyknął Gwynplaine. – Obudźcie mnie!

I poblady, zerwał się z krzesła.

– Przychodzę, by rzeczywiście obudzić cię, milordzie. – Słowa te wyrzekł jakiś głos nowy, nie słyszany tutaj jeszcze.

Spoza słupa ukazał się człowiek. Od chwili kiedy kłapa żelazna podniosła się przepuszczając orszak sądowej straży, nikt nie wszedł do podziemia. Człowiek ten musiał najwidoczniej jeszcze przed przybyciem Gwynplaine'a skryć się w cieniu kolumny. Zlecono mu zapewne funkcję obserwowania stamtąd wszystkiego. Człowiek to był gruby, tłusty, raczej stary, wielkiej ogłady, w dworskiej peruce i podróżnym płaszczu.

Złożył Gwynplaine'owi ukłon pełen szacunku a zarazem swobodny, wykwinny ukłon dworzanina, jakże odmienny od niezgrabnych ukłonów urzędników.

– Tak – rzekł – przychodzę, by cię zbudzić. Spisz, milordzie, od dwudziestu pięciu lat. Spisz i śnisz, a trzeba obudzić się z tych snów. Sądysz, żeś Gwynplaine'em – jesteś Clancharlie. Sądysz, żeś z ludu – a jesteś z panów. Sądysz, żeś ostatni – a jesteś pierwszy. Są-

dzisz, żeś linoskokiem – a jesteś senatorem. Sądziś, żeś ubogi – jesteś przebogaty. Sądziś, żeś mały, a jesteś wielki. Zbudź się, milordzie.

Gwynplaine głosem bardzo cichym i jakby zaleknionym wyszeptał:

– Co to wszystko znaczy?

– Znaczy to, milordzie – odezwał się znów gruby nieznajomy – że nazywam się Barkilphedro, że jestem urzędnikiem admiralicji, że skorupa ta, flasza Hardquanona, na brzegu morza znaleziona została i przyniesiono ją mi, bym odpieczętował ją, jak to do mnie z urzędu przynależy, że otworzyłem ją w kancelarii Jetson w obecności dwu zaprzysiężonych świadków, którzy obydwaj są członkami parlamentu, Williama Blathwaitha, wybranego przez miasto Bath, i Tomasza Jervoise, od Southamptonu, że zaprzysiężeni ci stwierdzili i opisali zawartość flaszki i że mną wspólnie podpisali protokół jej odpieczętowania, że złożyłem raport o wszystkim jej królewskiej mości, że z rozkazu królowej wszystkie wymagane przez prawo formalności dopełnione zostały z całą oględnością, wskazaną w tak delikatnej materii, że ostatnia z nich, stawienie do oczu, dokonała się właśnie przed chwilą. Znaczy to, że wasza dostojność posiada milion rocznej renty; znaczy to, że jesteś lordem Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii, sędzią i prawodawcą, sędzią najwyższym i prawodawcą suwerennym, odzianym w purpurę i gronostaje, żeś równy książętom, podobny cesarzom, że na głowie twojej spoczywa parowska korona i że zaślubisz księżniczkę, królewską córę.

Gwynplaine zemdlął pod ciężarem tego przeobrażenia walącego się nań na podobieństwo uderzeń gromu.

## II. NIE MYLI SIĘ TO, CO SIĘ BŁĄKA

Bezpośrednią przyczyną całego wydarzenia był żołnierz, który znalazł butelkę na brzegu morza.

Opowiadajmy po kolei.

Okoliczności zazębiają się o siebie jak ogniwa łańcucha.

Pewnego dnia jeden z czterech kanonierów z załogi zamku Calshor znalazł w piasku podczas odpływu flaszę oplecioną wikliną, przyniesioną tam przez przypyływ morza. Flaszka ta, cała już pleśnią pokryta, zakorkowana była i zalana smołą. Żołnierz oddał znaleziony przedmiot pułkownikowi, pułkownik zaś przekazał go admirałowi Anglii. Admirałowi, czyli admiralicji; a w admiralicji przedmiotami wyrzuconymi przez morze zajmował się Barkilphedro. Barkilphedro otworzył flaszę i zaniósł ją królowej. Królowa natychmiast wzięła się do dzieła. Powiadomiono o wszystkim dwóch najważniejszych doradców korony, lorda-kanclerza, który ze swego urzędu jest „stróżem sumienia króla Anglii”, i lorda-marszałka, który jest „sędzią spraw dotyczących się klejnotu i pochodzenia szlachty”, i zasięgnięto ich rady. Tomasz Howard, książę Norfolk, par-katolik, dziedziczny wielki marszałek Anglii, przez wysłannika swego, hrabiego-marszałka Henryka Howarda, hrabiego Bindon, odpowiedział, że zgodzi się ze zdaniem lorda-kanclerza. A lordem-kanclerzem był wówczas William Cowper. Nie należy, broń Boże, mieszać osoby kanclerza tego ze współczesnym mu imiennikiem, Williamem Cowperem, anatomem, komentatorem Bidloo, który wydał w Anglii *Traktat o muskułach* w tym samym czasie, kiedy we Francji Stefan Abeille wydawał *Historię kości*; chirurg to co innego niż lord. Lord William Cowper z tego słyszał, że w związku ze sprawą Talbota Yelverton, wicehrabiego Longueville, wypowiedział zdanie, iż „dla poszanowania konstytucji angielskiej większe ma znaczenie przywrócenie para do praw mu przynależnych niż przywrócenie na tron króla”. Flaszka odnaleziona w Calshor zainteresowała go też w najwyższym stopniu. Twórca maksymy lubi okazje, w których da się ona zastosować. Oto właśnie nadarzała się sposobność przywrócenia lorda w przynależnych mu prawach. Rozpoczęto poszukiwania. Gwynplaine'a, którego imię wypisane było na ulicznym szyldzie, nie było trudno odnaleźć. Odnaleziono również i, Hardquanona. Nie umarł jeszcze. W więzieniu człowiek gnije, lecz zachowuje się, jeżeli przechowanie nazwać można zachowaniem. Ludzie oddani w opiekę bastyliom rzadko bywają niepokojeni. Więzienie zmienia się nie częściej niż trumnę. Hardquanon znajdował się ciągle jeszcze w wieży Chatham. Był do wzięcia. Przewieziono go z Chatham do Londynu. A równocześnie zasięgnięto informacji w Szwajcarii. I potwierdziły się wszystkie podane fakty. W kancelariach sądowych w Vevey i w Lozannie odnaleziono metrykę ślubu zawartego na wygnaniu przez lorda Linneusza, metrykę urodzenia dziecka, metryki zgonu obojga rodziców i wydobyto na wszelki wypadek ich podwójne kopie, potwierdzone należycie. Odbywało się to wszystko w najgłębszej tajemnicy, z tak zwaną wówczas „królewską szybkością” i z zachowaniem „kreciego milczenia”, zalecanego i stosowanego przez Bacona, później zaś przez Blackstone'a, podniesionego do godności zasady w sprawach załatwianych przez królewską kancelarię i ważnych dla państwa, w rozpatrywaniu kwestii uznawanych wówczas za „senatorskie”.

Stwierdzono prawdziwość rozkazu *jussu regis* i podpisu „Jeffreys”. Każdemu, co zajmował się z bliska patologią kaprysów zwanych „królewską wolą”, owo *jussu regis* wyda się czymś zupełnie naturalnym. Dlaczego Jakub II, który, sądzić by można, ukrywać powinien podobne czyny swoje – pozostawił ślad ich na piśmie, narażając tym sposobem całą intrygę na niepowodzenie? Cynizm. Wyniosła obojętność. Sądzicie, być może, że tylko dziewczki bywają bezwstydyne? I racja stanu bywa bezwstydna. *Et se cupit ante videri*. Popieścić zbrodnię i

umieścić ją w herbie – oto, czym jest historia monarchii. Król tatuuje się, podobny jest w tym względzie do galernika. Obaj ukrywać się powinni – czy przed żandarmem, czy przed historią, lecz konieczność ta drażni ich i gniewa, chcą, by wszyscy znali ich i poznali. Spójrz na ramię moje, przyjrzyj się temu rysunkowi – świątynia miłości i serce w płomieniach, strzałą przeszyte – jestem Lacenaire, tak, to ja właśnie! *Jussu regis*. To ja jestem Jakubem II. Popełniam występki i pieczętuję go swoją pieczęcią. Złoczyńca uzupełnia się bezczelnością, sam na siebie wskazuje, dba, by zbrodnia jego nie zginęła w niepamięci. Taka jest jego zuchwała brawura. Krystyna kazała pojmać, wypowiadać i zamordować Monaldeschiego, po czym rzekła: „Jestem królową Szwecji u króla Francji,” Są tyrani, co kryją się jak Tyberiusz, i tyrani, co się chełpią jak Filip II. Pierwszy jest bardziej skorpionem, drugi bardziej tygrysem. Jakub II należał do tego ostatniego gatunku. Oblicze miał, jak to wiemy, pogodne i wesołe, czym różnił się od Filipa II. Filip był ponury. Jakub był jowialny. A obaj – okrutni. Jakub II był dobrodusznym tygrysem. Jak i Filip II, zbrodni swoich dokonywał w spokoju ducha. Był potworem z bożej łaski. Po cóż miałby więc ukrywać i umniejszać swe morderstwa, skoro działał w swoim boskim prawie? Jakże chętnie i on również pozostawiłby po sobie swoje archiwa z Simancas, w których leżałyby zamachy jego ponumerowane, uporządkowane, podatowane, zaopatrzone w odpowiednie etykiety, każdy w swojej przegródce, jak trucizny na półkach w aptece! Podpisywanie swoich zbrodni to gest iście królewski.

Każdy dokonany uczynek to weksel wystawiony na nieznanego płatnika. Nadszedł oto termin wykupienia weksla, co podżyrowany był ponurą formułą: *jussu regis*.

Królowa Anna, której natura pod pewnym względem zgoła była niekobieca – umiała bowiem dochować sekretu – w tej sprawie tak wielkiej wagi zażądała od lorda-kanclerza poufnej relacji, zwanej wówczas „sprawozdaniem do królewskiego ucha”. Sprawozdania tego rodzaju częstym były zjawiskiem we wszystkich monarchiach. W Wiedniu spotykamy nadwornego „radcę ucha”. Był to odwieczny urząd z czasów Karolingów jeszcze, *auricularius* ze starych pałatyńskich statutów. Ten, co cicho szepcze do cesarza.

William baron Cowper, kanclerz Anglii, którego królowa darzyła zaufaniem, ponieważ jak ona miał wzrok krótki, może nawet jeszcze krótszy, wygotował sprawozdanie zaczynające się tak:

„Król Salomon miał na rozkazy swoje dwa ptaki: dudka, *hudbud*, który mówił wszystkimi językami, i orła, *simurganka*, który cieniem skrzydeł swoich przykryć mógł karawanę złożoną z dwudziestu tysięcy ludzi. Tak samo, choć w inny sposób, opatrność... itd.

Lord-kanclerz stwierdzał, że spadkobierca para Anglii został porwany, zniekształcony i wreszcie odnaleziony. Nie winił Jakuba II, ojca królowej, mimo wszystko. Usprawiedliwiał nawet po trosze postępek jego. Po pierwsze, istnieją przecież stare maksymy monarchii. *E senioratu eripimus. In roturagio cadat*. Po drugie – królom przysługuje prawo kaleczenia poddanych. Potwierdza to Chamberlayne *Corpora et bona nostrorum subjectorum nostra sunt*<sup>4</sup> – rzekł Jakub I, przesławnej i przemądrej pamięci. Dla dobra królestwa wylupywano przecież oczy książętom krwi. Niektórzy z tych wielmożów, stojący zbyt blisko tronu, z pożytkiem dla wszystkich duszeni bywali między dwoma materacami, co uchodziło za śmierć z apopleksji. A udusić – to więcej niż okaleczyć. Król Tunisu wylupił oczy ojcu swemu, Muley-Assem, a cesarz nie zaprzestał z tej przyczyny przyjmowania jego ambasadorów. Król może więc nakazać pozbawienie swego poddanego członka ciała w równej mierze co i pozbawienie go prawa etc. Ale legalność nie niweczy legalności. „Jeżeli utopiony wypłynie na powierzchnię wody i żyć będzie – znak to, że Bóg poprawia wyrok króla. Jeżeli odnajdzie się spadkobierca – niechaj zwrócona mu zostanie korona. Tak też stało się z lordem Alla, królem Northumbrii, który również był kuglarzem. Tak stać się musi z Gwynplaine'em, który jest również królem, czyli lordem. Najpodlejsze nawet rzemiosło, byleby uprawiane było na skutek wyższej konieczności, nie przyćmiewa blasku rodowego klejnotu; świadectwem Abdolonymus, który został

<sup>4</sup> Życie i członki poddanych należą do króla. (Chamberlayne, część 2, rozdział IV, str.76.)

królem, a był ogrodnikiem, świadectwem Józef, który został świętym, a był stolarzem, świadectwem Apollo, który stał się bogiem, a był pasterzem.” Krótko mówiąc, uczony kanclerz orzekł całkowite przywrócenie w dobrach jego i urzędach Fermaina, lorda Clancharlie, fałszywie przezwanego Gwynplaine'em, „pod warunkiem, że zostanie on stawiony do oczu złooczyńcy Hardquanona i przez tegoż rozpoznany”. W taki to sposób kanclerz, konstytucyjny stróż królewskiego sumienia, zapewnił spokój sumieniu królowej.

W *postscriptum* lord kanclerz przypominał, że jeżeliby Hardquanon odmówił odpowiedzi, poddać go należy „karze ciężkiej i twardej”, w którym to wypadku dla osiągnięcia stanu, zwanego *frodmortell* i wymaganego przez statut króla Adelstana, stawienie do oczu nastąpić powinno w dniu czwartym; pewna niedogodność przepisu tego na tym polega, że jeżeli torturowany umrze w drugim albo w trzecim dniu, stawienie do oczu staje się utrudnione; ale przepisów prawa ściśle przestrzegać należy. Niedogodność ustawy jest częścią jej istoty.

A zresztą, w mniemaniu lorda-kanclerza, rozpoznanie Gwynplaine'a przez Hardquanona było niewątpliwe.

Anna, powiadomiona w dostatecznej mierze o zeszpeceniu Gwynplaine'a, nie chciała skrzywdzić siostry swojej, której to przekazane zostały dobra rodu Clancharlie, i zadecydowała w radosnym uniesieniu, że księżniczka Jozjana poślubiona zostanie przez nowego lorda, to jest przez Gwynplaine'a.

Przywrócenie do praw lorda Fermaina Clancharlie nie przedstawiało zresztą żadnych trudności, gdyż spadkobierca był prawowity i bezpośredni. W wypadku wątpliwego pokrewieństwa i w sprawie nadania parostwa *in abeyance*, do którego praw swoich dochodzą krewni z bocznej linii – trzeba było zasięgać rady Izby Lordów. Tak też, żeby nie szukać dalej, postąpiono w roku 1782 w sprawie baronii Sidney, do której prawa swoje zgłaszała Elżbieta Perry; w roku 1798 w sprawie baronii Beaumont, do której prawa zgłaszał Tomasz Stapleton; w roku 1803 w sprawie baronii Chandos, do której prawa zgłaszał czcigodny Tymewell Brydges; w roku 1813 w sprawie parostwa-hrabstwa Banbury, do którego prawa zgłaszał generał-porucznik Knollys, itd. Tutaj było to zbyt proste. Sprawa była bezsporna; prawowitość niewątpliwa; prawa jasne i pewne; nie było powodów do pytania o radę izby, królowa w asystencji lorda-kanclerza mogła prawnie uznać nowego lorda i wprowadzić go między parów.

Barkilphedro pokierował wszystkim.

Sprawa dzięki niemu pozostała do tego stopnia tajna, sekret utrzymany został tak ściśle, że ani Jozjana, ani też lord Dawid w najmniejszej nawet mierze nie podejrzewali, jak niezwykle wydarzenie kryje sobie podziemne przejście pod ich stopami. Nietrudno było odizolować Jozjanę, dumną, nieprzystępną. Odosobniła się sama. A lorda Dawida wysłano na morze w okolice wybrzeży Flandrii. Miał oto utracić swoje lordostwo i ani się tego domyślał. I jeszcze jeden szczegół. Zdarzyło się właśnie, że w odległości dziesięciu mil morskich od miejsca zakotwiczenia okrętów, którymi dowodził lord Dawid, kapitan pewien, nazwiskiem Halyburton, odniósł zwycięstwo nad francuską flotą. Hrabia Pembroke, przewodniczący rady, przedłożył królowej wniosek mianowania kapitana Halyburton kontradmirałem. Anna skreśliła Halyburtona i wstawiła na jego miejsce lorda Dawida Dirry-Moir; chciała bowiem, by lord Dawid, kiedy dowie się, że przestał być parem, miał przynajmniej tę pociechę, że jest kontradmirałem.

Anna była zadowolona. Mąż-potwór dla siostry, świetny stopień dla lorda Dawida. I złościwość, i dobroć.

Jej królewska mość szykowała sobie nie lada rozrywkę. Prócz tego, zaś myślała sobie, że naprawia oto skutki nadużycia władzy królewskiej przez dostojnego ojca swego, że przywraca Izbie para, że postępuje sobie jak prawdziwie wielka królowa, że wedle bożej woli otacza opieką niewinność, że opatrność w świętych swoich, a niezbadanych wyrokach etc. Jakże słodko jest dokonywać sprawiedliwego uczynku, który niemiły będzie komuś, kogo się nie lubi.

Królowej całkowicie wystarczyła wiadomość, że przyszły małżonek siostry jest szpetny. Na czym polegała brzydota Gwynplaine'a, jakiego była rodzaju? O tym Barkilphedro nie poinformował królowej, a Anna nie raczyła zainteresować się bliższymi szczegółami. Okazała dla nich głęboką, iście królewską wzdargę. Czyż miało to zresztą jakiegokolwiek znaczenie? Izba Lordów wdzięczna tylko być jej mogła. Lord-kanclerz – wyrocznia – wypowiedział swoje zdanie. Restytucja para – to restytucja parostwa. Majestat królewski występował w tej okazji jako tkliwy i uważny opiekun przywileju godności para. A jakkolwiek by była twarz nowego lorda – nie mogła ona stanowić przeszkody w przywróceniu go do jego słusznych praw. Anna powtarzała sobie te właśnie mniej więcej argumenty i dążyła z całą prostotą do celu, wielkiego, kobiecego i królewskiego celu, którym jest zrobienie sobie przyjemności.

Królowa przebywała wówczas w Windsorze, z dala od Londynu, co ułatwiało ukrycie intryg dworskich przed wzrokiem ciekawych.

Zaledwie kilka niezbędnych osób wiedziało o tym, co nastąpić, miało.

Barkilphedro promieniał szczęściem, co przydawało ponurego wyrazu jego twarzy.

Radość bywa bowiem niekiedy najobrzydliwszym na tym świecie zjawiskiem.

On pierwszy posmakował zawartości flaszki Hardquanona. Jakże ogromnej doznał rozkoszy! Z pozoru potraktował to obojętnie, zdumienie jest bowiem udziałem pospolitych umysłów tylko. A zresztą – cóż? – należało mu się to przecież, jemu, co od tak dawna warował pod drzwiami przypadku. Przecież czekał – a więc coś nadejść musiało!

Owo *nil mirari* stanowiło nieodłączną część jego powagi. A w głębi duszy był zachwycony. Oto, co ujrzałby ktoś, kto by potrafił zdjąć maskę, pod którą Barkilphedro ukrywał świadomość swoją przed wszystkimi, przed Bogiem nawet: W tym to czasie właśnie Barkilphedro nabierał zaczął przekonania, że jemu, wrogowi nienawidzącemu tak bardzo, a mogącemu tak niewiele, nie uda się w żaden sposób doprowadzić do najmniejszego choćby pęknięcia we wspaniałej egzystencji księżniczki Jozjany. Rozpierała go złość, coraz bardziej szalona, bo bierna. Doszła w nim wreszcie do paroksyzmu, któremu na imię zniechęcenie. Im bardziej tracił nadzieję, tym większą stawała się jego wściekłość. Gryzł wędzidło – określenie to smutne, a prawdziwe! – ten zły człowiek gryzł własną bezsilność. Barkilphedro doszedł, być może, do stanu, w którym był już skłonny wyrzec się – nie swoich złych życzeń w stosunku do Jozjany, o, nie, lecz nadziei ich urzeczywistnienia; nie chęci kłusania, lecz samego ukąszenia. A jednak – cóż za upadek! – puścić! wsunąć nienawiść swoją do pochwy jak muzealny sztylet. Cóż za upokorzenie!

Nagle, jakby na wezwanie – ogromna przypadkowość wszechrzeczy lubuje się w takim zestawianiu okoliczności – flaszka Hardquanona z fali na falę przypląwa wprost do jego rąk. W niewiadomym kryje się jakieś dziwne oswojenie, które wydaje się być posłuszne rozkazom zła. Barkilphedro, w asystencji dwóch świadków, obojętnych, przypadkowych, zaprzysiężonych urzędników admiralicji, otwiera flaszkę, wyjmuje pergamin, rozwija go, czyta ... – Wyobraźcie sobie sami ten rozkwit potwornej radości!

Aż dziw bierze, kiedy człowiek uświadomi sobie, że morze, wiatr, przestrzenie, przypląwy i odpływy, burze i cisze, i podmuchy zadać sobie mogły aż tak wiele trudu po to, by ziścić szczęście niegodziwca. Pracowały nad tym wspólnie przez piętnaście lat. Tajemne jest ich dzieło. Przez piętnaście lat ocean nie próżnował ani minuty. Fale jedna drugiej podawały pływającą na ich powierzchni butelkę, skały podwodne uważały, by nie trącić kruchej szkła, butla nie pękła, zatyczka nie została uszkodzona przez tarcie, wiklina nie przegniła pod działaniem alg, skorupiaki nie zniszczyły napisu „Hardquanon”, woda nie przedostała się do wnętrza, pergamin nie zbutwiał, nie zatarło się pismo pod wpływem wilgoci – ileż w tym starań otchłani! I oto to, co Gerhardus wrzucił w mrok – mrok oddawał Barkilphedrowi, przesłanie przeznaczone dla Boga dostawało się w ręce szatana. Nieskończoność nieraz nadużywa zaufania i mroczna ironia, ukryta w każdym zjawisku tego świata, sprawiła, że zwycięstwo słuszności, odnalezienie zgubionego dziecka, Gwynplaine'a, w postaci lorda Clancharlie, było

zarazem zwycięstwem jadowitych pragnień, że dobry uczynek źle został spełniony, że sprawiedliwość oddana została w służbę niesprawiedliwości. Odebranie ofiary Jakubowi II stało się włożeniem zdobyczy w ręce Barkilphedra. Wydzwignięcie Gwynplaine'a było wydaniem na łup Jozjany. Barkilphedro dopiął swego; i okazało się, że to po to właśnie przez tyle lat wody, fale i huragany miały, potrząsały i rzucały tą flaszą, dręczyły i chroniły tę bańkę szklaną zawierającą w sobie losy tylu istnień ludzkich; że po to właśnie wiatry, burze i ruchy mórz sprzymierzyły się ze sobą. Cud rozpełtał się szeroko przez życzliwość dla nędznika, nieskończoność ofiarowała swą współpracę gliście obrzydliwej. Przeznaczenie miewa mroczne zachcenia.

Duszę Barkilphedra rozjaśnił błysk tytanicznej pychy. Mógł oto powiedzieć sobie, że wszystko to dopełnione zostało dla niego. Poczul się celem i środkiem.

Mylił się. Przywróćmy cześć przypadkowi. Nie taki był rzeczywisty sens niezwykłego wydarzenia, z którego skorzystała nienawiść Barkilphedra. Ocean stał się ojcem i matką sieroty i nasłał burzę na katów jego, i zmiażdżył łódź, która odepchnęła od siebie dziecko, i zatopił splecione dłonie rozbitków, i odrzucił ich błagania, a przyjął od nich tylko skruchę, burza odebrała depozyt z rąk śmierci, miejsce potężnego statku, w którym był występki, zajęła krucha flaszeczka, w której było zadośćuczynienie, morze zmieniło rolę, z pantery stało się piastunką i kołysać zaczęło nie dziecko, lecz jego los. Kiedy sierota dorastał gdzieś, nic nie wiedząc o tym, co robiły dla niego otchłanie, fale, którym rzucono flaszę, czuwały nad tą przeszłością, co zawarła w sobie przyszłość, huragan z dobrocią dmuchał na nią, prądy prowadziły kruchy przedmiot po niezgłębionych morskich szlakach, dbały oń algi, bałwany i skały, cały bezmiar pian przepaści wziął w opiekę swoją niewinnego. Fala niezłomna była jak sumienie, chaos przywracał ład, świat ciemności dążył ku światłu, wysiłkiem wszystkich mroków świata weszła gwiazda – prawda. Wygnaniec pocieszony został w swej mogile, dziedzic przywrócony dziedzictwu, zbrodnia króla przełamana, spełniony zamysł boski, nieskończoność wzięła w opiekę swoją małego, słabego, opuszczonego. Oto, co mógł być dojrzeć Barkilphedro w wydarzeniu, które na swój triumf obrócił; oto, czego w nim nie zobaczył. Nie rzekł sobie, że stało się to wszystko dla Gwynplaine'a; rzekł sobie, że stało się to wszystko dla Barkilphedra; i że wart on był tego. Tacy są szatani.

A zresztą, ten tylko zdziwi się, jakim sposobem krucha flaszka nie uszkodzona pływać mogła przez lat piętnaście, komu nie znana jest głęboka łagodność oceanu. Piętnaście lat – to nic jeszcze. Czwartego października 1867 roku w Morbihan, pomiędzy wyspą Groix, leżącą u krańca półwyspu Gavres, i skałą Wędrowców, rybacy z Port-Louis znaleźli amforę rzymską z czwartego wieku, wyinkrustowaną w arabeski przez morze. Amfora ta pływała przez tysiąc pięćset lat.

Jakkolwiek Barkilphedro usilnie się starał zachować zimną krew – zdumienie jego równe było radości.

Wszystko samo szło w ręce, wszystko było jak przygotowane. Części wydarzenia, które ukończyć miało jego nienawiść, zawczasu już rozrzucone zostały blisko, na wyciągnięcie ręki. Trzeba było tylko podnieść je i spoić. Pasowanie jakże miłe! Cyzelterskie!

Gwynplaine! znał to imię. *Masca ridens!* I on też jak wszyscy oglądał Człowieka Śmiechu. Przeczytał napis wywieszony na gospodzie „Tadcaster”, ot tak, jak afisz widowiska przyciągającego tłumy; zapamiętał go i przypomniał sobie natychmiast, dokładnie, w każdym szczegółzie, który zresztą można było później sprawdzić; napis ten, odtworzony z elektryczną szybkością, pojawił mu się przed oczami; umieścił go obok pergaminu rozbitków jak odpowiedź położoną obok pytania, jak rozwiązanie położone obok zagadki, i słowa: „Tu oglądać można Gwynplaine'a porzuconego w nocy dwudziestego dziewiątego stycznia 1690 roku, w wieku lat dziesięciu, na brzegu morza, w Portlandzie” nabrały nagle w jego spojrzeniu apokaliptycznego blasku. Jakby doznał widzenia; ponad jarmarcznym gwarem zapłonęło: *Mane, Tekel, Fares.* Zawaliło się rusztowanie całej egzystencji Jozjany. Zawaliło się gwałtownie. Zaginione



dziecko odnalezione zostało. Odnalazł się lord Clancharlie. Dawid Dirry-Moir stał się pusty. Parostwo, bogactwo, potęga, dostojność, wszystko to uchodziło z lorda Dawida, aby wejść w Gwynplaine'a. Wszystko, zamki, zwierzyńce, lasy, pałace, włości, nie wyłączając Jozjany, stawało się własnością Gwynplaine'a. Jozjana, cóż za rozwiązanie! I któż to czeka ją teraz? Histrion – ją, wyniosłą i dumną. Monstrum – ją, piękną i wykwinną. Czyż mógł się ktokolwiek spodziewać aż tyle? Tak, Barkilphedro ogarnęło uniesienie. Wszystkie pomysły najbardziej jadowite prześcignięte bywają czasami przez piekielną hojność przypadku. Rzeczywistość, jeśli zechce, tworzy arcydzieła. Barkilphedro widział, jak głupie były jego wszystkie sny. Otrzymał coś lepszego.

Gdyby nawet zmiana, nad którą pracował, obrócić się miała przeciwko niemu – pragnąłby jej z niemiejszą siłą. Istnieją okrutne, bezinteresowne gady, co kłują wiedząc, że same umrą od tego ukłucia. Barkilphedro był z tego gatunku plugastwa.

Ale tym razem nie przypadła mu w udziale zasługa bezinteresowności. Lord Dawid Dirry-Moir niczego mu nie zawdzięczał. Lord Fermain Clancharlie będzie mu zawdzięczał wszystko. Barkilphedro z protegowanego stanie się protektorem. I to czym protektorem? Para Anglii. Będzie miał swojego lorda, lorda stworzonego przez siebie. On to pokieruje nim od początku, liczył na to na pewno. I lord ten będzie morgantycznym szwagrem królowej. A ponieważ jest tak szpetny – tyle życzliwości doznawać będzie od królowej, ile nieżyczliwości doznawać będzie od Jozjany. Podepchnięty tą łaską, a przyodziany w suknie poważne i skromne, może stać się Barkilphedro osobistością nie lada. Od dawna przeznaczał sam siebie do stanu duchownego. Kto wie? – może zostanie biskupem.

A tymczasem był szczęśliwy.

Cóż za sukces! Jakże pięknej roboty dokonał przypadek! Zemsta jego – gdyż Barkilphedro nazywał to swoją zemstą – została mu miękko przyniesiona przez fale. Nie na próżno czatował.

On był skałą podwodną, Jozjana – okrętem. I Jozjana rzucona została o Barkilphedra, okręt rzucony został o skałę. O, głęboki, zbrodniczy zachwycie!

Barkilphedro biegły był w sztuce poddawania myśli, potrafił zręcznie dokonywać w świadomości innych lekkiego nacięcia, w które wszczepiał swoją własną ideę; trzymając się też na uboczu i pozornie do niczego nie przykładając ręki, tak pokierował wypadkami, by Jozjana poszła na widowisko w „Zielonym Pudle”, by ujrzała Gwynplaine'a. To zaszkodzić nie powinno. Linoskok obejrzany w całym swoim poniżeniu – niezły to dodatek do gotującej się potrawy. Poprawi później jej smak.

Wszystko po cichutku przygotował z góry. Osiągnąć chciał jedno – całkowitą nagłość, zaskoczenie. Pracę, której dokonał, określić by można w takich tylko słowach, dziwnych słowach: budowanie uderzenia gromu.

Po zakończeniu czynności przygotowawczych czuwać począł, by wszystkie konieczne formalności wypełnione zostały ściśle podług prawa. Sekret nie ucierpiał z tej przyczyny, gdyż milczenie i tajność wymagane są przez samą ustawę.

Odbyła się więc konfrontacja Hardquanona i Gwynplaine'a. Barkilphedro był przy tym obecny. Wyniki jej są nam znane.

Tego samego dnia pocztowa dworska karetka przyjechała do Londynu, aby z rozkazu królowej jak najszybciej zawieźć lady Jozjanę do Windsoru, gdzie przebywała właśnie Anna. Jozjana dla jakichś swoich przyczyn, jej samej tylko znanych, chętnie nie usłuchałaby lub też na jeden dzień przynajmniej odłożyła dokonanie aktu posłuszeństwa, o jeden dzień opóźniłaby wyjazd – lecz etykieta dworska nie dopuszcza takiego oporu. Musiała wyjechać natychmiast, musiała przenieść się z Hunkerville-house, swej rezydencji w Londynie, do Corleone-lodge, swej rezydencji w Windsorze.

Księżniczka Jozjana opuszczała Londyn wtedy właśnie, kiedy wapentake pojawił się w gospodzie „Tadcaster”, aby zabrać Gwynplaine'a i zaprowadzić go do izby tortur w więzieniu w Southwark.

Gdy przybyła do Windsoru, odźwierny z czarną różgą, strzegący podwoi audiencyjnej komnaty, powiadomił ją, że królowa odbywa właśnie poufną naradę z lordem-kanclerzem i że będzie mogła przyjąć Jozjanę nazajutrz dopiero. Niechże więc księżniczka uda się do Corleone-lodge i tam czeka, a jej królewska mość prześle jej bezpośrednio swe rozkazy jutro z samego rana. Jozjana wróciła do domu mocno niezadowolona, w złym humorze spożyła wieczerzę, dostała migreny, odprawiła wszystkich z wyjątkiem pazia, potem odprawiła i jego i położyła się, choć było jeszcze jasno.

Natychmiast po przyjeździe dowiedziała się, że lord Dawid Dirry-Moir oczekiwany jest w Windsorze również nazajutrz. Otrzymał na morzu rozkaz królowej nakazujący mu stawić się jak najszybciej przed obliczem majestatu.

### III. «NIE MA CZŁOWIEKA, KTÓRY BY, PRZERZUCONY NAGLE Z SYBERII DO SENEGALU – NIE STRACIŁ PRZYTOMNOŚCI» (HUMBOLDT)

Pod nagłym uderzeniem maczugi fortuny najsilniejszy nawet i najenergiczniejszy mężczyzna zemdleć może. Nic w tym nie ma niezwykłego. Nieprzewidziane ogłusza człowieka, jak obuch – wołu. Kiedy Franciszka d'Albescola, tego samego, co to zrywał żelazne łańcuchy w portach tureckich, obrano papieżem – stracił przytomność na dzień cały. A mniejszy to chyba skok z kardynała stać się papieżem niż z linoskoka – parem Anglii.

Nagła utrata równowagi najgwałtowniej działa na człowieka.

Noc już była, kiedy Gwynplaine przyszedł do siebie i otworzył oczy. Siedział w fotelu, na środku dużej komnaty, której ściany, sufit i podłoga pokryte były czerwonym aksamitem. Tuż obok niego stał z gołą głową gruby człowiek w podróżnym płaszczu, ten sam, który w podziemiu więzienia w Southwark wyłonił się był nagle zza kolumny. Dwóch ich tylko było w tej komnacie. Nie wstając z fotela mógłby Gwynplaine dosięgnąć ręką do dwu stołów dźwigających świeczniki sześcioramienne z płonącymi w nich woskowymi świecami. Na jednym stole leżały papiery i stała szkatułka; na drugim na pozłacanej tacy zastawiono lekki posiłek – drób na zimno, wino i brandy.

Przez okno z witrażem, sięgające od podłogi aż do sufitu, w blasku jasnego nieba kwietniowej nocy dostrzec można było otaczającą półkolem wewnętrzny dziedziniec kolumnadę zamkniętą trójdzielnym portalem; środkowa jego część, najszersza, była to brama wjazdowa, po prawej stronie znajdowała się brama dla jeźdźców, węższa nieco, po lewej – furta dla pieszych. Wszystkie te trzy otwory zamknięte były kratą z prętów o połyskujących szpicach; zwieńczała portal wysmukła rzeźba. Kolumny były zapewne z białego marmuru i białymi, marmurowymi płytami wyłożony był dziedziniec; płyty te wyglądały jak śnieg, i obramiały szerokim, gładkim pasem mozaikę ledwie widoczną w mroku; gdybyś obejrzał tę mozaikę w dzień, niewątpliwie ujrzałbyś, że barwne jej kostki ułożone zostały w kształt wielkiego herbu, według mody florenckiej. Zygzaki balustrad wznosiły się ukośnie i spadały wskazując schody prowadzące na tarasy. W głębi za dziedzińcem piętrzyła się w górę jakaś ogromna budowla, ciemna, niewyraźnie widoczna wśród nocy. Układała się ona w sylwetę pałacu na tle nieba pełnego gwiazd. Dojrzeć można było dach bardzo wysoki, szczyty poskręcane w ślimacznice, mansardy z daszkami w kształcie kasków, kominy do wież podobne i belkowania, przyozdobione nieruchomymi boginiami i bogami.

Spomiędzy kolumn portyku wytryskiwała w półmroku jedna z tych fontann jak z bajki, szmerzących łagodnie, co przelewają się ze zbiornika w zbiornik, łącząc deszcz z kaskadą, co podobne są do rozpieńczających się klejnotów i rozsiewają w powietrzu w szaleństwie rozrzutności swoje diamenty i perły, jakby dla zabawy posągów, które je otaczają. Wyżej rysowały się wyraźnie długie rzędy okien poprzedzielanych płaskorzeźbionymi panopliami i piersiami na postumentach. Na akroteriach – trofea i hełmy o kamiennych pióropuszech na przemian z posągami bogów.

W komnacie, w której znajdował się Gwynplaine, w głębi naprzeciw okna widać było po jednej stronie kominek ogromny, sięgający aż do pułapu, po drugiej zaś stronie, pod baldachimem, szerokie łoże feudalne, z rodzaju tych, co to wchodzić na nie trzeba po stopniach, a kłaść się na nich można na poprzek. Przy łożu – podnózek. Rząd foteli pod ścianami i rząd krzeseł, wysunięty przed fotele, dopełniały umeblowania. Sufit, był w kształcie zwierciadlanego sklepienia; na kominku płonął wielki ogień; po bogactwie płomieni, po pełgających

wśród nich zielonych i różowych ognikach znawca poznałby, że polana były z jesionowego drzewa; zbytek to ogromny. Komnata była tak duża, że mimo dwóch zapalonych świeczników panował w niej półmrok. Długie, sute portiery zasłaniały drzwi prowadzące do innych pokoi. Całe to urządzenie, solidne, masywne, utrzymane było w stylu Jakuba I, staromodnym a wspaniałym. Podobnie jak dywan i obicie ścian – wszystko, baldachim, łoże, podnózek, portiery, okap kominka, stoły, fotele, krzesła – wszystko kryte było czerwonym aksamitem. Żadnych złocień. Tylko na samym środku sufitu umieszczono ogromną, okrągłą tarczę z repusowanego metalu; połyskiwały na tej tarczy płaskorzeźbione znaki heraldyczne, a wśród nich, nad dwoma herbami położonymi obok siebie, rozróżnić można było dwie korony – baronowską i margrabiowską. Czy wykonane to było z pozłacanej blachy miedzianej, czy też z pozłacanego srebra – trudno zgadnąć. Wyglądało jak ze złota. Ta tarcza herbowa, połyskująca na środku pałacowego sufitu – wspaniałego a ciemnego nieba – błyszczała jak słońce wśród nocy.

Człowiek, co wyrósł wśród wędrowki, a więc człowiek wolny, równie nieswojo czuje się w pałacu co i w więzieniu. Ta wspaniała komnata budziła niepokój. Wielki przepych onieśmiela, przeraża. Kimże mógł być mieszkaniec tej dostojnej siedziby? Do jakiegoż to kolosa należała cała ta pyszna wielkość? Jakiegoż to lwa jaskinią był ten pałac? Gwynplaine, niezupełnie jeszcze oprzytomniały, poczuł ucisk koło serca.

– Gdzie ja jestem? – rzekł głośno.

Człowiek, który stał przed nim, odpowiedział:

– Jesteś w swoim własnym domu, milordzie.

## IV. OCZAROWANIE

Nie od razu powraca się na powierzchnię.

Gwynplaine rzucony został na samo dno zdumienia.

Z nieznanym oswajać się trzeba powoli.

Zdarza się czasem, że myśli rozpiezchają się, jak rozpiezcha się armia; aby znów zebrać wszystko – trzeba czasu.

Człowiek czuje się jakby rozsypany. Jest świadkiem przedziwnego rozproszenia samego siebie.

Bóg jest ramieniem, przypadek – procą, kamieniem – człowiek. Popróbuj oprzeć się, skoro już cię rzucono.

Gwynplaine, rzec by można, odbijał się od zdumienia do zdumienia. Po miłosnym liście księżniczki – rewelacja z izby tortur w Southwarku.

Tak to już z losem ludzkim bywa – skoro nieoczekiwane dzieć się zacznie, przygotować się trzeba na coraz to nowe zaskoczenia. Skoro raz otworzą się te drzwi niesamowite, niespodzianki wpadają przez nie jedna za drugą. W murze powstała szczelina i oto wciska się przez nią splątane kłębowisko wydarzeń. Nadzwyczajne nie zwykło pojawiać się raz jeden tylko.

Nadzwyczajne jest ciemne. I ta ciemność była nad Gwynplaine'em. To, co się wydarzyło, wydawało mu się nie do pojęcia. Rzeczywistość oglądał poprzez mgłę, która po głębokim wstrząsie powstaje w umyśle człowieka na podobieństwo tumanu kurzu po zaważeniu się ściany. A wstrząs był całkowity, powszechny. Niczego dojrzeć nie potrafił w wyraźnym kształcie. Przezroczystość powraca jednak powoli. Kurz opada. Gęstość zdziwienia maleje z chwili na chwilę. Gwynplaine podobny był człowiekowi, który by spał z otwartymi oczami i usiłował wpatrywać się uważnie w swój sen. To rozgarniał tę chmurę, to znów pozwalał jej gęstnieć. Chwilami czuł, że chyba odjęto mu rozum. Umysł jego kołysał się wśród nieprzewidzianego jak wahadło, nieznaną siłą popychała go tam i na powrót, to w stronę, gdzie się rozumie, to w stronę, gdzie się nie rozumie. I któż z nas nie miał nigdy w mózgu takiej huśtawki?

Stopniowo jednak myśl jego rozszerzała się wśród mroków wydarzeń, podobnie jak przedtem, wśród ciemności podziemi Southwarku, rozszerzyły się jego źrenice. Najtrudniej mu było porozsuwać, pooddzielać jakoś od siebie tyle nagromadzonych uczuć. Aby spalenie niewyraźnych myśli, zrozumieniem zwane, dokonać się mogło, trzeba, aby między wrażenia dostało się powietrze. Tu powietrza brakło. Gwynplaine, żeby tak rzec, nie był w stanie odechnąć tymi zdarzeniami. Wchodząc do przerażających podziemi Southwarku spodziewać się mógł pręgięra skazańca jedynie; i włożono mu na głowę parowską koronę. Czy to możliwe? Pomiedzy tym, czego Gwynplaine obawiał się, i tym, co go spotykało, nie było ani odrobiny przestrzeni, jedno następowało po drugim zbyt szybko, przerażenie zbyt gwałtownie uległo przemianom w jakieś inne uczucie, jeszcze dlań niejasne. Dwa kontrasty przyłgnęły do siebie zbyt ciasno. Gwynplaine silił się, by wyciągnąć umysł swój z tych kleszczy.

Milczał. Jest to naturalny instynkt wielkiego osłupienia, które o, wiele bardziej ma się na ostrożności, niżby się to wydawać mogło. Kto nic jeszcze nie powiedział, ten wszystkiemu może stawić czoło. Byle słowo, rzucone niebaczenie, wpaść może pomiędzy nieznaną tryby i wciągnąć cię całego w Bóg jeden wie jaki, układ miażdżących kół.

A mali, biedni ludzie zawsze boją się zmiążdżenia. Tłum zawsze boi się, by nie przygniotła go jakaś stopa. Gwynplaine był jednym z tłumu, jakże długo!

Widzieć, jak coś nadchodzi – oto słowa, za pomocą których oddać można pewien niezwykle stan ludzkiego niepokoju. Gwynplaine znajdował się w takim właśnie stanie. Człowiek

wtedy doznaje tych uczuć, kiedy nie znalazł sobie jeszcze właściwego miejsca wśród sytuacji, która się oto właśnie wytwarza. Usiłuje opanować swym zrozumieniem coś, co się dopiero rozpoczyna, co mieć będzie swój dalszy ciąg. W jakiś niejasny sposób natęża uwagę. Widzi, że coś nadchodzi. Co? nie wie. Kto? Człowiek patrzy.

Mężczyzna z dużym brzuchem powtórzył raz jeszcze:

– Jesteś w swoim własnym domu, milordzie.

Gwynplaine przeciągnął dłonią po własnej postaci. Wśród niespodzianek człowiek najpierw spogląda dookoła, aby upewnić się, czy na zewnątrz istnieje świat, a potem dotyka sam siebie, aby upewnić się, czy sam istnieje. Tak, to do niego mówiono: ale on był nie ten sam. Nie miał już ani swojej kurty, ani skórzanego napierśnika. Ubrany był w kamizelkę sukieną, srebrem przetykaną, i w jedwabne szaty haftowane, czuł to pod palcami; a w kieszeni kamizelki – duża, ciężka sakiewka. Na obcisłe trykoty kłowna włożono mu krótkie, bufiaste spodnie; na nogach miał trzewiki z wysokimi, czerwonymi obcasami. A więc nie tylko przeniesiono go do tego pałacu, lecz przebrano go również w inne szaty.

Mężczyzna znów się odezwał:

– Niechże wasza dostojność zapamiętać raczy: nazywam się Barkilphedro. Jestem urzędnikiem admiralicji. To ja otworzyłem flaszkę Hardquanona, to ja, panie, wyjąłem z niej twoje przeznaczenie. Jak rybak z arabskiej bajki, który wypuścił z butelki olbrzyma.

Gwynplaine utkwił wzrok w uśmiechniętej twarzy, która doń przemawiała.

Barkilphedro ciągnął dalej:

– Oprócz pałacu tego posiadasz, milordzie, Hunkerville-house, o wiele większy jeszcze. Własnością twoją jest Clancharlie-castel, siedziba parostwa twego, forteca z czasów Edwarda Starego. Posiadasz dziewiętnaście bajlifów, własnością twoją są wszystkie wsie w nich i wszystkie dusze. Co razem zagarnia pod twoją lordowską chorągiew osiemdziesiąt tysięcy wasali i czynszowników. W Clancharlie jesteś sędzią, sędzią wszechwładnym nad rzeczami i nad ludźmi, tam to zwoływać możesz swoje barońskie sądy. Masz te same prawa co król, oprócz prawa bicia monety. Król, którego statuty normandzkie nazywają *chief-signor*, ma prawo miecza, sądu i stempla. Stempel – to moneta. Z tą jedną różnicą, jesteś królem w swoim lennie, jak on w swoim królestwie. Jako baronowi przysługuje ci prawo do szubienicy o czterech słupach w Anglii, a jako margrabiemu – do szubienicy o siedmiu słupach na Sycylii; prawo miecza bowiem zwyczajnego szlachcica z dwóch tylko słupów korzysta, prawo miecza kasztelana – z trzech, a prawo miecza księcia – z ośmiu. W starych nadaniach z Northumbrii nazywany jesteś księciem. Jesteś krewniakiem wicehrabiów Valentia w Irlandii, z rodu Power, i hrabiów Umfraville w Szkocji, z rodu Agnus. Jesteś głową klanu jak Campbell, Ardmannach i Mac-Callummore. Masz osiem kasztelami, Reculver, Buxton, Hell-Kerters, Homble, Moricambe, Gumdraith, Trenwardraith i jeszcze inne. Do ciebie też należą torfowiska w Pillinmore i alabastrowe kamieniołomy Trentu; prócz tego posiadasz całą krainę Penethchase i górę, na której zbudowane jest starożytne miasto. Miasto nazywa się Vinecaunton; góra nazywa się Moil-enlli. Przynosi ci to wszystko czterdzieści tysięcy funtów szterlingów dochodu, czyli czterdzieści razy po dwadzieścia pięć tysięcy franków, która to renta wystarcza na całoroczne potrzeby francuskiego pana.

A kiedy Barkilphedro, mówił, Gwynplaine wśród rosnącego zdumienia przypominał sobie. Pamięć – to topiel, którą jedno słowo poruszyć może aż do dna. Znał wszystkie imiona, wszystkie nazwy wymawiane przez Barkilphedra. Wypisane były one w ostatnich czterech wierszach tekstu na wewnętrznej ścianie budy, w której upłynęło całe jego dzieciństwo, i tyle razy machinalnie błędził po nich oczyma, że umiał je na pamięć. Kiedy dotarł, opuszczony sierota, do wózka wędrownego kuglarza w Weymouth, zastał tam całe dziedzictwo swoje spisane starannie. Czekają nań i kiedy rano biedny malec otworzył oczy – pierwszym słowem, które przesyłabizował wzrok jego, nieuważnie i beztrosko, była nazwa jego parostwa i lenna. Przez piętnaście lat wędrując z miasteczka do miasteczka ten kłown pokazujący się na

deskach jarmarcznego teatru, ten linoskok, który co dzień od nowa zarabiać musiał na chleb, który zbierał rzucane mu grosze i żywił się okruchami – podróżował z całą fortuną swoją wywieszoną, niby szyld, nad jego nędzą. Oto jeszcze jedna niespodzianka, jakiej doznał Gwynplaine w tym dziwnym dniu.

Barkilphedro dotknął palcem szkatułki stojącej na stole.

– W szkatule tej znajdziesz, milordzie, dwa tysiące gwinei, które najłaskawsza królowa nasza przysłała ci na twoje pierwsze potrzeby. Gwynplaine drgnął.

– Dam je Ursusowi, ojcu memu – rzekł.

– Dobrze, milordzie, skoro tak każesz – odparł Barkilphedro – Ursus, w gospodzie „Tadcaster”. Doktor prawa, który przybył tu razem z nami, a który odjeżdża niebawem, wręczy mu te pieniądze. A może i ja pojedę do Londynu. W takim razie załatwiłbym to osobiście.

– Sam mu je zawiozę – rzekł żywo Gwynplaine.. Barkilphedro przestał się uśmiechać. Rzekł:

– To nie podobna.

Wyrazy wymówione pewnym specjalnym głosem nabierają osobliwego znaczenia. Barkilphedro przemówił w taki sposób właśnie. Zatrzymał się, jakby kropkę kładąc po tym słowie, po czym mówił dalej tonem szczególnego uszanowania, właściwym słudze, który się czuje panem.

– Znajdujesz się w tej chwili, milordzie, w odległości dwudziestu trzech mil od Londynu, w Corleone-lodge, twej dworskiej rezydencji sąsiadującej z zamkiem królewskim w Windsorze. Nikt nie wie o twym przybyciu. Przywieziony zostałeś tu w zamkniętej karecie, która czekała na ciebie przed bramą więzienia w Southwark. Ludzie, którzy wprowadzili cię do pałacu tego, nie wiedzą, kim jesteś, ale znają mnie i tego im dosyć. Wejść mogłeś do tej komnaty z pomocą tajemnego klucza, który ja posiadam. Mieszkańcy domu tego śpią i nie jest to pora stosowna do budzenia ludzi. Dlatego też korzystając z czasu wyjaśnić muszę pewne sprawy waszej dostojności. Potrwa to zresztą krótko. Czynię to zaś na zlecenie królowej.

Mówiąc tak Barkilphedro przerzucać zaczął papiery leżące obok szkatułki.

– Oto dokument stwierdzający parostwo twoje, milordzie. Oto drugi dokument potwierdzający twój sycylijski markizat. Oto nadania twoich ośmiu baronii z pieczęciami jedenastu królów, od Baldreta, króla Kentu, aż po Jakuba VI i I, króla Anglii i Szkocji. Oto są twoje przywileje pierwszeństwa. Oto twoje renty czynszowe i pieniężne oraz tytuły prawne i inwentarze twoich lenn, allodiów, przyległości, ziem i domen. Tam w górze, nad głową, na suficie, na herbowej tarczy widzisz twoje dwie korony – baronowski biret z perłami i obręcz z kwiatonami, koronę markiza. Tuż obok, w szatni twojej, znajdziesz parowski płaszcz ze szkarłatnego aksamitu bramowany gronostajami. W dniu dzisiejszym, zaledwie kilka godzin temu, lord-kanclerz i wielki marszałek Anglii, powiadomieni o wyniku stawienia osoby twojej do oczu comprachicos Hardquanona, odebrali rozkazy monarchini. Jej królewska moc rzecz całą zatwierdzić raczyła, co ma moc prawa. Wszystkie formalności zostały już dopełnione. Jutro, nie później niż jutro, wasza dostojność zostanie przyjęta do Izby Lordów; od kilku dni toczy się tam debata nad projektem ustawy przedłożonym przez koronę, który ma za przedmiot podwyższenie rocznej dotacji księcia Cumberlandu, małżonka królowej, o sto tysięcy funtów szterlingów, czyli o dwa miliony pięćkroć sto tysięcy liwrow francuskich; wasza dostojność będzie mogła zabrać głos w debacie.

Barkilphedro zatrzymał się, odetchnął wolno, po czym znów mówić zaczął:

– Nic jednak nie dokonało się jeszcze. Nie podobna stać się parem Anglii wbrew własnej woli. Wszystko może zostać unieważnione, wszystko może zniknąć, jeżeli ty sam, milordzie, nie zrozumiesz pewnych prawd. Zdarza się to w polityce, że wydarzenie jakiegoś rozwiewa się w nic, zanim jeszcze zaistnieć zdołało. W tej chwili nikt nic o tobie nie wie. Izba Lordów powiadomiona zostanie o tym odnalezieniu jutro dopiero. Sprawa twoja otoczona była głęboką tajemnicą. Wymagała tego racja stanu doniosłości tak ogromnej – że najpoważniejsze oso-

bistości w państwie, które wiedzą o istnieniu twoim i o twoich prawach – a tylko one o tym wiedzą – zapomną wszystko w jednej chwili, jeżeli racja stanu zapomnieć im każe. Co okryte jest nocą – na zawsze pozostać może w jej mroku. Można cię unicestwić bez trudu. Można cię unicestwić tym łatwiej, że masz brata, syna z nieprawego łoża ojca twego i kobiety, która później, kiedy ojciec twój przebywał już na wygnaniu, była kochanką Karola II, co sprawia, że brat twój jest dobrze widziany u dworu; temu to bratu twemu, choć jest on bękartem, parostwo twoje przypadnie w udziale. Czyżbyś pragnął tego? Nie sędzę. Tak to więc wszystko zależy od ciebie. Musisz być posłusznym królowej. Opuścisz tę rezydencję jutro dopiero, w królewskiej karecie, po to, by, udać się do Izby Lordów. Czy chcesz, milordzie, być parem Anglii? Chcesz czy nie chcesz? Królowa zajęła się twoim losem. Przeznacza ci związek niemal królewski. Lordzie Fermainie Clancharlie, oto chwila rozstrzygająca. Przeznaczenie, otwierając jedne drzwi przed nami, drugie zatrzaskuje. Są takie kroki naprzód, po których krok w tył nie jest już możliwy. Kto wkracza w przeobrażenie – ten pozostawia za sobą tylko nicłość. Gwynplaine umarł, milordzie. Czy zrozumiałeś mnie? Gwynplaine zadrżał od stóp do głów, po czym opanował się i rzekł:

– Tak.

Barkilphedro uśmiechnął się, skłonił, schował pod płaszcz szkatułkę i wyszedł.



## V. MYŚLISZ, ŻE PAMIĘTASZ, A ZAPOMINASZ

Czymże są te dziwne odmiany, które dokonują się w duszy człowieka?

Gwynplaine równocześnie i wyniesiony został na sam szczyt, i strącony na samo dno przepaści.

Odczuwał zawrót głowy.

Zawrót podwójny.

Zawrót wznoszenia się i zawrót upadku.

Połączenie zgubne.

Czuł, że unosi się ku górze, a nie czuł, że spada.

Zobaczył nowe widnokreśli; rzecz to groźna.

Widoki takie służą radą; nie zawsze dobrą radą.

Miał oto przed sobą otwór jak z bajki, pułapkę, być może, otwór, co powstał z przedarcia się chmury i ukazywał błękit głęboki.

Tak głęboki, że aż ciemny.

Stał oto na górze, z której oglądać można ziemskie królestwo.

Na górze tym straszliwszej, że nie istniejącej. Ci, co znaleźli się na jej wierzchołku, znaleźli się we śnie.

Pokusa jest tu otchłania, i to tak piękną, że piekło spodziewa się, iż na szczycie tym uda mu się przekupić raj, że diabeł zanoszą tutaj Boga.

Zafascynowanie wieczności – cóż za dziwaczna nadzieja!

I jakże ma walczyć człowiek, tam, gdzie Jezusa kusił szatan?

Pałace, zamki, potęga, bogactwo, wszelaka dostępna człowiekowi szczęśliwość rozciąga się dookoła, gdzie tylko okiem sięgnąć, mapa obu półkul wszelakiej rozkoszy rozłożona w krąg horyzontu, promienna geografia, której środkiem ty jesteś! niebezpieczny miraż!

A teraz wyobraźmy sobie zamęt, jaki powstać musi w uczuciach człowieka, który dostał się na ten szczyt nie stopniowo, nie powoli, lecz postawiony został w obliczu tej wizji nagle, nieostrożnie, nie przygotowany.

Gwynplaine podobny był komuś, co by usnął w kreciej norze, a przebudził się na samym szczycie dzwonnicy w Strassburgu.

Zawrót głowy jest jakby spotęgowaniem jasności widzenia. A szczególnie taki zawrót głowy, co porywając człowieka i w stronę dnia, i w stronę nocy równocześnie, składa się z podwójnego wirowania w dwu sprzecznych ze sobą kierunkach.

Widzisz zbyt wiele, a nie dosyć.

Widzisz wszystko, a nic nie widzisz.

Jesteś jak ten, którego autor tej książki nazwał gdzieś „niewidomym oślepionym światłem”.

Gwynplaine pozostał sam. Zaczął chodzić po komnacie wielkimi krokami. Wrzenie zawsze poprzedza wybuch.

Nie mógł usiedzieć na miejscu i poprzez to podniecenie rozmyślał. To jego wewnętrzne wrzenie było jakby ogólnym rozrachunkiem. Robił generalny przegląd swoich wspomnień. Rzecz zdumiewająca, jak dokładnie słyszymy zazwyczaj to, czego – tak się nam zdaje – ledwie że słuchaliśmy. Zeznanie rozbitków, odczytane przez szeryfa w podziemiu Southwarku, brzmiało mu w uszach, jasne, zrozumiałe w każdym szczególe; przypominał sobie dokładnie każde jego słowo; i oto ze znaków tych zmartwych powstał obraz całego jego dzieciństwa.

Zatrzymał się nagle, z rękami założonymi w tył, spoglądając w sufit, w niebo – wszystko jedno – gdzieś w górę.

– Teraz moja kolej nadeszła! – zawołał.

Był jak człowiek wynurzający, się spod wody. Wydawało mu się, że widzi wszystko – przeszłość, przyszłość, teraźniejszość – w nagłym skurczu jasności.

– Ach! – krzyknął – bo w głębi myśli też można krzyknąć – ach, a więc tak, byłem lordem! Teraz wszystko jest jasne. Okradli mnie, zdradzili, zatracili, wydziedziczyli, powalili, zamordowali, trup mojego przeznaczenia pływał po morzach przez piętnaście lat i oto nagle dotknął ziemi i powstał żywy. Odradzam się! Rodzę się! Czuję przecież, że pod łachmanami moimi bije coś większego od serca nędzarza, czuję przecież, kiedy stawałem wobec ludzi, że to stado i że ja jestem nie psem, lecz pasterzem. Pasterze narodów, przywódcy ludów, przewodnicy i władcy – oto, czym byli ojcowie moi; a czym oni byli – tym i ja jestem. Jestem szlachcicem i mam szpadę, jestem baronem i noszę hełm, jestem margrabią i noszę pióropusz, jestem parem i noszę koronę. I wszystko to mi odebrano! Jestem mieszkańcem światłości, a uczyniono mnie mieszkańcem mroków. Ci, co proskrybowali ojca, sprzedali dziecko. Kiedy ojciec mój umarł – wyciągnęli mu spod głowy kamień wygnania, który mu za poduszkę służył, i mnie go uwiązali u szyi, i wrzucili mnie do kanału. O, ci bandyci, co zdręczyli dzieciństwo moje! tak, poruszają się i powstają oto z samego dna mej pamięci, tak, widzę ich znowu. Byłem bryłką ciała podziobaną na mogile przez stado kruków. Krwawiłem i krzychałem pod uderzeniami tych potwornych postaci. A więc to tam mnie ciśnięto, tam, pod stopy wszystkich przechodniów świata, na rozdeptanie, na sam spód najostatniejszych dołów ludzkiego rodzaju, poniżej sługi, poniżej lokaja, poniżej najlichszego plebejusza, poniżej niewolnika, w to miejsce, w którym chaos staje się kloaką, w samą głąb zaprzepaszczenia! Oto, skąd wychodzę, oto, skąd wznoszę się w górę, oto, skąd zmartwychpowstaję. Jestem znowu! Moja kolej nadeszła!

Usiadł, wstał, dłońmi ścisnął skronie i znów chodzić zaczął. Monolog szalejącej w nim burzy nie skończył się jeszcze.

– Gdzie ja jestem? Na wierzchołku. Gdzie spadłem? Na sam szczyt. Domem moim jest szczyt – wielkość; domem moim jest wszechpotęga – kopuła świata. Jestem jednym z bogów tej powietrznej świątyni. Zamieszkuję niedostępne. Wyniosłość, ku której spoglądałem z dołu, a z której tyle padało promieni, że zamykałem przed ich blaskiem oczy, ten zamek niezdo-byty, ta niezwyciężona twierdza szczęśliwych – otwarła się i wchodzę do niej, i jestem w niej, i z niej jestem! Koło obróciło się: byłem na dole – jestem na górze. Na górze, na zawsze. Otom lordem i płaszcz szkarłatny nosić będę i koronę z kwiatonów na głowie; i obecny będę przy koronacji królów, w moje ręce będą oni składali przysięgę, będę sądził ministrów i dostojników, będę istniał! Z głębi, w które mnie ciśnięto, wytryskam aż pod zenit. Mam pałace miejskie i wiejskie, rezydencje, ogrody, zwierzyńce, lasy, karety, miliony, wydawać będę uczty, przebierać wśród uciech i radości; włóczęga Gwynplaine, który nie miał prawa uszczknąć kwiatka z łąki, będzie mógł zrywać gwiazdy z nieba!

Żalobą powraca mrok w duszę człowieka. W Gwynplaine'ie, który był bohaterem, który zresztą – kto wie? – być nim może nie przestał, dokonywała się oto przemiana wielkości moralnej w materialną wielkość. Przemiana ponura. Wyłom uczyniony w cnocie przez stado przebiegających demonów. Niespodzianka uczyniona słabej stronie natury człowieka. To, co najniższe w nas, a co nosi nazwę najwyższego, popędy pychy, zachcianki instynktu, pasje, pożądania, odegnane od Gwynplaine'a oczyszczającą siłą niedoli, obejmowały tłumnie w posiadanie swoje to szlachetne serce. I dlaczego tak się działo? Bo odnaleziono pergamin w czerpie szklanym wyrzuconym przez morze! Tak to przypadek dokonuje nieraz gwałtu nad sumieniem.

Gwynplaine wielkimi łykami pił pychę, a dusza mu ciemniała. Bo taka jest siła tego tragicznego wina.

Ogarniało go coraz większe upojenie i godził się na nie, więcej nawet, rozkoszował się nim. Skutek to długotrwałego pragnienia. Czy jest człowiek współnikiem pucharu, w którym

rozum traci? Zawsze pragnął niejasno tego właśnie. Nieustannie spoglądał w stronę możliwych tego świata; a spoglądać – to pragnąć. Orle nie na darmo rodzi się w napowietrznym gnieździe.

Był lordem. I wydawało mu się to chwilami takie naturalne.

Upłynęło godzin tak niewiele, a jakże daleko pozostała przeszłość wczorajszego dnia.

Gwynplaine natknął się oto na zasadzkę. Zastawiło ją lepsze, wróg dobrego.

Biada temu, o którym powiadają: ten to dopiero jest szczęśliwy!

Łatwiej jest oprzeć się przeciwności niż powodzeniu. Ze złej doli bardziej całym wychodzi się niż z dobrej. Nędza jest Charybdą, ale Scyllą jest bogactwo. Tych, co stali nieugięci pod uderzeniem gromu, poraża blask błyskawicy. Ty, co nie dziwiłeś się przepaści – jakże lękać się powinieneś, gdy unoszą cię chmary skrzydeł chmur i snów. Wyniesienie i wywyższy cię, i pomniejszy. Apoteoza ma w sobie ponurą potęgę, co powala ducha.

Nie jest łatwo poznać się na rodzaju szczęścia, jakie się nam dostaje w udziale. Przypadek – to przebranie. I nic zawodniejszego niż jego oblicze. Czym jest? Czy opatrnością? Czy fatalnością?

Nie każda jasność jasnością bywa. Bowiem jedynym światłem jest prawda, a błysk to rzecz zdradliwa. Sądzisz, że oświecisz, a on pożar roznieca.

Jest noc; czyjaś ręka stawia świecę, lojówkę nędzną, co stała się gwiazdą, na samej krawędzi okna otwartego na ciemność. Ćma idzie do świecy.

Jak dalece można ją winić o to?

Spojrzenie ognia fascynuje ćmę, jak spojrzenie węża fascynuje ptaka.

Czy ćma i ptak mogą nie pójść tam? Czy liść może wypowiedzieć posłuszeństwo wiatrom? Czy kamień może wypowiedzieć posłuszeństwo prawu ciężenia?

Zagadnienie to natury materialnej i natury moralnej zarazem.

Po liście księżniczki Gwynplaine otrząsnął się, wyprostował. Istniały w nim silne wiązania, co wytrzymały napór. Nawalnice, po wyczerpaniu wiatru wiejącego z jednej strony widnokregu, rozpoczynają natarcie z drugiej strony, a los nie mniej niż natura zaciekły bywa. Pierwsze uderzenie zachwieje, drugie uderzenie wyrwie z korzeniem.

Niestety! A jak padają dęby?

Tak więc ten, co jako dziecko dziesięcioletnie sam na skale Portlandu szykując się do walki, przypatrywał się uważnie zapaśnikom, z którymi mieć będzie do czynienia, burzy, co unosiła okręt, na którym spodziewał się odjechać, otchłani, co wyrzywała mu spod stóp tę jedyną deskę ocalenia, próżni rozwartej przed nim i groźnie się cofającej, ziemi, która odmawiała mu schronienia, zenitowi, co odmawiał mu jednej choćby gwiazdy, bezlitosnej samotności, ślepej ciemności, oceanowi, niebu, wszystkim gwałtom w jednej nieskończoności i wszystkim zagadkom w drugiej; ten, co nie zadrżał, nie osłabł na duchu wobec wrogiego ogromu nieznanego; ten, co jako dziecko małe dotrzymał placu nocy, jak niegdyś Herkules dotrzymał placu śmierci, ten, co w zapasach ponad siły zuchwale wyzywał szczęście i obrócił przeciwko sobie wszystkie szansę adoptując dziecko – a sam był przecież dzieckiem jeszcze – obarczając się ciężarem – a sam był zmęczony i wąty – odsłaniając tym sposobem własną słabość przed wrogiem, własną ręką zdejmując kaganiec z paszczek mrocznych potworów czających się dookoła; ten, co nie dorósłszy jeszcze lat wojownika natychmiast prawie po wyjściu z kołyski wziął się z losem za bary, ten, któremu nierówność sił nie przeszkodziła w walce; ten, co wobec nagłego, a przerażającego zaćmienia rodu ludzkiego wszędzie wokół – pogodził się z tym i dumnie szedł dalej, ten, co dzielnie znieść potrafił i zimno, i pragnienie, i głód; ten, co z postaci karłem będąc, z duszy był olbrzymem; ten Gwynplaine, co zwyciężył ogromny wicher otchłani w jego podwójnej postaci – burzy i nędzy, chwiał się oto od lichego powiewu próżności.

Tak więc kiedy los wyczerpał już niedostatek, rozpacz, burze, ryki, katastrofy i agonie, a człowiek nie upadł pod ich naporem – fatum zaczyna się uśmiechać i oto człowiek chwieje się, nagle upojony.

Uśmiech fatum. Czy można wyobrazić sobie coś straszniejszego? Jest to ostatni rodzaj bezlitosnego probierza dusz, którym doświadczani bywają ludzie. Tygrys, czający się w każdym przeznaczeniu, chowa swe pazury czasami. Przygotowania to niebezpieczne. Straszna jest słodycz potwora.

Każdy chyba człowiek w sobie samym zauważyć może zbieżność wywyższenia i osłabienia. Nagłe wyrośnięcie w górę rozprzega, rozstraja, wywołuje gorączkę.

W umyśle Gwynplaine'a zawrotnie wirowały tłumy nowych wrażeń, przeistoczenie mieniło się światłocieniem, uczucia trącały się w najdziwniejszy sposób, przeszłość zderzyła się z przyszłością; było w nim dwóch Gwynplaine'ów, on sam był podwójny; za nim – dziecko w łachmanach, co wyszło z nocy, bezdomne, drżące, głodne, wzbudzające śmiech; przed nim – pan, świetny, pyszny, wspaniały, olśniewający cały Londyn. Zwlekał ze siebie swój pierwszy kształt i przyodziwał się w drugi. Wychodził z linoskoka i wchodził w lorda. Zmiana skóry, która może być zarazem zmianą duszy. Chwilami nazbyt to było podobne do snu; i nieproste, i dobre, i złe równocześnie. Myślał o ojcu swoim. Ścisnęło mu się serce – ojciec, którego nie znał nigdy! Próbował wyobrazić go sobie. Pomyślał o tym bracie, o którego istnieniu powiedziano mu przed chwilą. A więc miał rodzinę. Miał rodzinę, on, Gwynplaine! Gubił się wśród tych fantastycznych spiętrzeń. Pojawiały się przed nim wizje wspaniałości i potęgi; jakieś uroczystości nieznanne przesuwały się i ginęły jak obłoki. Słyszał fanfary.

– A jakże ja będę wymowny! – powtarzał sobie.

I ogładał w wyobraźni wkroczenie swoje do Izby Lordów, jakże świetne! Przybywał tam pełen rzeczy całkiem nowych. Jakże wiele miał do powiedzenia! Jak wielkie poczynił zapasy! Cóż to za przewaga być wśród nich człowiekiem, który widział, dotykał, doświadczał, cierpiał, i móc krzyknąć im: byłem blisko, byłem jakże blisko tego wszystkiego, od czego wy jesteście oddaleni. Rzuci w twarz rzeczywistość tym patrycjuszom wykarmionym złudzeniami i zadrzą, bo prawdę będzie mówił, i przy klasną mu, bo wielkim będzie. Stanie wśród tych wszechpotężnych jako jeszcze od nich potężniejszy, zjawi się im z pochodnią w dłoni, gdyż pokaże prawdę; zjawi się im z mieczem w dłoni, gdyż pokaże sprawiedliwość. Cóż za triumf!

Piętrzyły się te rojenia w umyśle jego i jasnym, i zamaconym zarazem; chodził gestykulując, jak szaleniec, to rzucał się na pierwszy z brzegu fotel w nagłym przystępie osłabienia, to znów się zrywał. Chodził, chodził, patrzył w sufit, przypatrywał się koronom, przypatrywał się roztargnionym okiem hieroglifom na herbowej tarczy, dotykał aksamitnego obicia ścian, przesuwał krzesła, przerzucał pergaminy leżące na stole, odczytywał nazwy i tytuły, Buxton, Homble, Gumdraith, Hunkerville, Clancharlie, ogładał pieczęcie, bawił się jedwabnymi sznurkami, na których były zawieszane, podchodził do okna, wsłuchiwał się w szmer fontanny, wpatrywał, w posągi, z cierpliwością lunatyka liczył marmurowe kolumny i mówił sobie:

– To wszystko jest.

I dotykał swych jedwabnych szat i zapytywał sam siebie:

– Czy to ja jestem? Tak.

Szalała w nim zawierucha.

Czy czuł wśród tej burzy, że upada na duchu, że słabnie? Czy pił, czy jadł, czy spał choć chwilę? Jeżeli nawet stało się tak, to on o tym nie wiedział. Bywają sytuacje gwałtówne, wśród których instynkty zaspokajają się same, bez udziału myśli człowieka. Myśl jego zresztą była bardziej oparem niż myślą. Kiedy czarne płomienie wybuchu kłębią się i wylewają z krateru wulkanu – czyż pamięta on wtedy o stadach, co pasą się na łąkach, u stóp jego?

Mijały godziny.

Począł świecić. Blade światło wdarło się do komnaty, przemknęło do świadomości Gwynplaine'a.

– A Dea? – tak mu rzekła jasność.

## **KSIĘGA SZÓSTA**

### **URSUS POJAWIA SIĘ POD ROZMAITYMI POSTACIAMI**

#### **I. CO POWIEDZIAŁ MIZANTROP**

Kiedy Ursus zobaczył, jak Gwynplaine znika w drzwiach więzienia Southwarku – zdrewniał stojąc na czatach za załomem muru. Długo jeszcze brzmiał mu w uszach zgrzyt zamków i rygli; wydawało mu się, że więzienie zawyło z radości połknąwszy nieszczęśliwą ludzką istotę. Czekał. Na co? Śledził. Co? Skoro raz zamknęły się te drzwi bezlitosne – to otworzą się już nieprędko; drewnieją one nieruchomo wśród ciemności i poruszają się z trudem, zwłaszcza ilekroć trzeba wypuścić na swobodę; wejść przez nie, owszem, można, lecz wyjść – to inna sprawa. Ursus wiedział o tym. Lecz człowiek nie przestaje czekać i spodziewać się wtedy, kiedy sam chce; nieraz czekasz mimo własnej chęci; czyny nasze dokonując się wytwarzają siłę, która trwa, choć celu już nie ma, która trzyma nas, włada nami i każe nam przez pewien czas jeszcze robić to, co jest już nieprzydatne. Niepotrzebne czaty – któż z nas nie znajdował się kiedyś w tym głupim, bezsensownym położeniu? – tracenie czasu, przypadające w udziale każdemu, czyja uwaga przykuta była do tego, co znikło. Nie ma chyba człowieka, który by kiedyś nie doświadczył takiego odrętwienia. Z jakąś roztargnioną zawziętością upierasz się przy swoim. Sam nie wiesz, czemu nie ruszasz się z miejsca, w którym stoisz, ale nie ruszasz się z miejsca, w którym stoisz. To, co rozpoczęłeś czynnie, biernie wykonujesz dalej. Wyczerpująca to wytrwałość, człowiek wychodzi z niej jak zbity. Ursus, tak odmienny od wszystkich ludzi, stał niby pierwszy lepszy, przygwożdżony do ziemi przez tę mieszaninę uśpienia i czujności, w jakiej pograża nas wydarzenie, które z nami wszystko uczynić może, a któremu my zaradzić nie możemy żadną miarą. Spoglądał kolejno na dwa czarne mury, to na wysoki, to na niski, to na bramę pod szubieniczną drabiną, to na bramę pod trupią czaszką, jakby uwiązał zaciśnięty w te kleszcze złożone z więzienia i cmentarza. Na ulicze, odludnej i omijanej z daleka, przechodniów bywało niewiele i nikt nie zauważył Ursusa.

Wyszedł wreszcie zza załomu muru, za którym skrył się, by śledzić stamtąd dalsze losy Gwynplaine'a, i odszedł wolnym krokiem. Dzień miał się już ku zachodowi. Długo stał Ursus na swojej warcie. I teraz jeszcze co pewien czas oglądał się za siebie i patrzył na straszne, niskie drzwi, przez które przeszedł Gwynplaine. Oczy miał, szkliste, puste. Doszedł do końca uliczki, skręcił raz, skręcił drugi raz, odtwarzając sobie jakoś tę drogę, którą przebył w odwrotnym kierunku kilka godzin temu. Chwilami odwracał się, jakby mógł jeszcze dojrzeć drzwi więzienia. Ale szedł już innymi ulicami. I tak przybliżył się powoli do Pola Tarrinzeau. Zaułki sąsiadujące z jarmarcznym placem były to puste ścieżki, przechodzące między ogrodzeniami. Szedł, pochylony, koło płotów i rowów. Nagle zatrzymał się, rozprostował plecy i zawołał:

– Tym lepiej!

Z całej siły uderzył się pięściami po głowie, potem po udach, jak człowiek, który zjawiska tego świata zwykł osądzać zdrowo i trzeźwo.

I zaczął pomrukiwać pod nosem, chwilami podnosząc nieco głos:

– Dobrze mu tak! A, oberwaniec! zbój! nicpoń! ladaco! hultaj niesforny! Za ozór go wzięli, za wygadywanie na rząd.. To buntownik. Trzymałem u siebie buntownika. I oto pozbyłem

się go nareszcie. Mam szczęście. Wstyd nam przynosił. I wsadzili go do więzienia! Dobrze mu tak! A od czegoż jest prawo? O, niewdzięcznik, a ja go wychowałem! Tak, i po to morduj się, człowieku! Kto mu kazał gadać i mędrkować? Wsadzać swój nos do państwowych spraw? No, sami powiedzcie, proszę! W kieszeni miało to ledwie kilka groszy, a rozprawiało o podatkach, o biednych, o ludzie, o wszystkim, co nie do niego należy! Pozwolił sobie wyrażać swoje zdanie o penny! wygłaszać złośliwe i zgryźliwe uwagi o królewskiej monecie miedzianej. Znieważył groszaki jej królewskiej mości! Farthing – to to samo co królowa! To święty wizerunek, do diabła, święty wizerunek, Masz królową czy jej nie masz? To szanuj jej miedziaki. Na rządzie wszystko stoi. Trzeba znać życie. Ja je znam. Znam je już długo. Powie mi ktoś: więc nie zajmować się polityką? O politykę, moi kochani, tyle dbam co o osłą skórę. Dostałem już raz łaską od pewnego baroneta. I powiedziałem sobie: wystarczy, rozumiem, co to polityka. Lud ma grosz, ma jeden grosz, daje go królowej, królowa bierze grosz, a lud dziękuje. Jakie to proste. A reszta jest sprawą lordów. Ich wielmożności lordów, duchownych i świeckich. A Gwynplaine'a pod klucz! A Gwynplaine'a na galery! Tak i trzeba, tak jest sprawiedliwie, słusznie, świetnie i zasłużenie. Jego wina. Nie wolno gadać. Czy jesteś lordem, ty głupcze? Pojmał go wapentake, poprowadził naczelnik straży, a i szeryf go trzyma. W tej chwili obskubują go pewnie sędziowie. Zręczni to ludzie, umieją obskubać człowieka ze zbrodni jak koguta z pierza! Pod kluczem hultaj siedzi! Tym gorzej dla niego, tym lepiej dla mnie! Słowo daję, bardzo kontent jestem. Mam szczęście, muszę to wyznać szczerze. I po co przygarniałem tych dwoje? Niepojęte dziwactwo. Dobrze nam było przedtem, spokojnie, mnie i Homo! I na co przysłała do mojej budy ta gałgańska para? Mało to natroszczyłem się o nich, kiedy byli mali? Mało to naciągnąłem się ich w moim wózku? Piękne ocalenie! On złowieszczo szpetny, a ona ślepa na obydwie oczy. I od ust sobie dla nich odejmuj. Mało to naszałem się przez nich z piersi głodu? I dorasta to, i kochać się zaczyna! Flirt dwu kalek – oto, do czego doszliśmy właśnie. Idylla – żabi król i krecica. Oto, co się święciło tuż pod moim bokiem. Musiało się to skończyć wkroczeniem sprawiedliwości. Chwała Bogu, żabi król zaczął rechotać o polityce. Nareszcie jestem wolny. Kiedy przyszedł wapentake – zgłupiałem z początku, trudno jest uwierzyć we własne szczęście, zdawało mi się, że nie widzę tego, co widziałem, że to niemożliwe, że to koszmar, że to sen kpi sobie ze mnie. Lecz nie, rzeczywistość to jest jak najbardziej rzeczywista. Dotknąć jej można, oto ona. Gwynplaine siedzi w więzieniu. Prawdziwa to łaska opatrności! Dzięki ci, o dobra pani! To ten potwór właśnie, co tyle robił hałasu, ściągnął uwagę na moją budę i oskarżył mojego biednego wilka. Gwynplaine poszedł! Uwolniłem się od obydwójga. Od jednego kamienia – dwa guzy. Bo Dea umrze. Kiedy zobaczy, że nie ma Gwynplaine'a – ona go widzi, ta idiotka! – nie będzie już miała po co żyć i powie sobie: co ja właściwie robię na tym świecie? I pójdzie, i ona też. Szczęśliwej podróży! Idźcie sobie oboje do diabła! Zawsze ich nie znosiłem! A zdychaj, Deo! Ha, ha, to mi dopiero uciecha!

## II. A CO ROBI

Wrócił wreszcie do gospody „Tadcaster”.

Było właśnie wpół do siódmej, pół godziny po szóstej, Jak powiadają Anglicy. Za chwilę miało się już zacząć ściemniać.

Imé Nicless stał na progu swej gospody. Jego przerażona twarz nie rozkurczyła się jeszcze od rana, zakrzepł na niej przestrasz.

Kiedy tylko spostrzegł z daleka Ursusa:

– No i co? – krzyknął.

– Że niby co?

– Czy Gwynplaine wróci? Już byłby czas. Niedługo zacznie się schodzić publiczność. Czy Człowiek Śmiechu wystąpi dziś wieczorem?

– Człowiek Śmiechu – to ja! – rzekł Ursus.

I spojrzął na oberżystę z jawną drwiną.

Potem poszedł prosto na pierwsze piętro, otworzył okno, pod którym wisiał szyld gospody, wychylił się, wyciągnął ręce, chwycił kolejno za obie deski – tę z napisem „Gwynplaine – Człowiek Śmiechu” i tę z afiszem *Chaosu zwyciężonego* – oderwał je, wziął pod pachę i zszedł na dół.

Imé Nicless śledził go wzrokiem.

– A to na co? – zapytał.

Ursus roześmiał się po raz drugi.

– Czemu się śmiejecie? – zapytał znowu oberżysta.

– Wracam do prywatnego życia.

Imé Nicless zrozumiał i nakazał adiutantowi swemu, małemu govicum, by mówił każdemu, kto tylko się zjawi, że dziś wieczór. przedstawienia nie będzie. Zdjął z drzwi puszkę, do której wkładano pieniądze, i odstawił ją w róg izby.

W chwilę później Ursus wchodził do „Zielonego Pudła”.

Postawił w kącie obie deski z napisami i zajrzał do tej części wozu, którą zwykł był nazywać „pawilonem kobiecym”.

Dea spała.

Leżała na łóżku ubrana, tylko stanik miała rozpięty, by wygodniej odpoczywać.

Vinos i Fibi siedziały przy niej, jedna na stołku, druga na podłodze, obie pogrążone w zadumie.

Pomimo późnej pory nie przebrały się jeszcze w swoje stroje bogiń. Znak to był głębokiego strapienia. Miały na sobie wełniane staniki i spódnice z grubego płótna.

Ursus przyglądał się Dei.

– Zaprawia się do jeszcze dłuższego snu – szepnęła.

Po czym zwrócił się do Vinos i Fibi:

– Hej, wy tam, wiecie już? Z muzyką koniec. Możecie pochować do szuflady wasze trąbki. Dobrzeście zrobiły, żeście się nie powystrajały na boginie. Wyglądacie jak straszydła, ale nie ma po co przebierać się. Zostańcie w tych łachmanach. Nie będzie przedstawienia. Ani dziś, ani jutro, ani pojutrze, ani popojutrze. Nie będzie Gwynplaine'a. Tyle go zobaczę co własne ucho.

I znowu popatrzył na Deę.

– Ale to będzie cios dla niej! Jakby kto świecę zdmuchnął.

Nadał policzki.

– Pfffff... I nie ma nic.

Zaśmiał się krótko i sucho.

– Kiedy zabrakło Gwynplaine'a – to wszystkiego zabrakło. Tak jakbym stracił Homo. Albo i jeszcze gorzej. Będzie bardziej samotna niż jakakolwiek inna. Ślepi głębiej pograżają się w smutku niż my.

Podszedł do okienka w tylnej ścianie wozu.

– Jaki już dzień długi. Siódma i jeszcze jasno. Mimo to zapalmy łojówkę.

Skrzeszał ognia i zapalił latarnię zawieszoną u pułapu „Zielonego Pudła”.

Pochylił się nad Deą.

– Dostanie kataru. Za bardzo rozsznurowałyście jej stanik. Mamy kwiecień dopiero, a przysłówie mówi:

Do świętego Ducha  
Nie zdejmuj kożucha.

Dostrzegł szpilkę, co błyszczała na ziemi, podniósł ją i wpiął sobie w rękaw. Po czym zaczął chodzić tam i na powrót po „Zielonym Pudle”, mówiąc sam do siebie i ruszając rękami.

– Jestem oto przy najzupełniej zdrowych zmysłach. Wszystkie klepki mam w porządku, bardziej niż kiedykolwiek. Według mego mniemania wszystko odbyło się tak jak należy, wszystko jest tak, jak być powinno. Kiedy ona się obudzi – opowiem jej, co się stało, bez ogródek. Nie trzeba będzie długo czekać na katastrofę. Nie ma Gwynplaine'a. Dobrej nocy, Deo. Świetnie się składa! Gwynplaine – w więzieniu. Dea – na cmentarzu. Jedno naprzeciwko drugiego jak w tańcu, tańcu śmierci. Dwa losy ludzkie schodzą za kulisy. Pakujemy kostiumy. Zamykajmy kufer. Kufer – czytaj: trumnę. Już po nich, po tych dwojgu. Dea bez oczu, Gwynplaine bez twarzy. Tam, w górze, dobry Pan Bóg odda Dei wzrok, a Gwynplaine'owi urodę. Śmierć wszystko doprowadza do porządku. Wszystko tak się dzieje, jak się dzieć powinno. Fibi, Vinos, a zawieście na gwoździu wasze bębenki. Tak, moje ślicznotki, teraz wasze talenty do hałasowania zardzewieją. Nie będzie się więcej grać, nie będzie się więcej trąbić. *Chaos zwyciężony* został zwyciężony. Przepadł Człowiek Śmiechu. Skończyło się trararatatata. A Dea śpi i śpi. Ma rację. Na jej miejscu wcale bym się nie obudził. A, co tam, szybko zaśnie na powrót. Taki cherlak umrze raz dwa, ani się zdąży obejrzeć. Oto, do czego prowadzi wtrącanie się do polityki. Piękna lekcja! Jakże słusznie postępują rządy! Gwynplaine – dla szeryfa. Dea – dla grabarza. Jedno tu, drugie tam. Pouczająca symetria. Mam nadzieję, że oberżysta zatarasował drzwi. Będziemy umierać dziś wieczorem w rodzinnym kółku. Nie ja, nie Homo. Ale Dea. Ja po dawnemu będę sobie jeździł w swojej landarze. Mój los – to kręte drogi włóczęgi. Obie dziewczki odprawię. Ani jednej nie zatrzymam. Zaczynam się robić starym rozpustnikiem. Służąca u rozpustnika, – to jak chleb na stole. Nie chcę żadnych pokus. To już nie na moje lata. *Turpe senilis amor*. Powędruję, gdzie oczy poniosą, sam, z Homo tylko. To dopiero Homo się zdziwi! Gdzie jest Gwynplaine? Gdzie jest Dea? Tak, stary druhu, znowu jesteśmy we dwóch tylko. Do diabła, jakże się cieszę! Ta ich sielanka stawała mi już kością w gardle. A ten łobuz Gwynplaine ani myśli wracać! Rzucił nas, i koniec. Dobrze. Teraz kolej na Deę. Ta nie da na siebie długo czekać. Lubię rzeczy zakończone. Nie będę jej przeszkadzał zdychać, palcem o palec nie stuknę. Zdechnij sobie, słyszysz?! O, budzi się!

Dea podniosła powieki; bo ślepi śpiąc też często zamykają oczy. Jej słodka twarzyczka, o niczym nie wiedząca, promieniała.

– Uśmiecha się – szepnął Ursus – a ja się śmieję. Dobrze się składa.

Dea zawołała:

– Fibi! Vinos! Już pewnie czas na przedstawienie. Zdaje mi się, że bardzo długo spałam. Chodźcie mnie ubrać.

Nie poruszyła się ani Fibi, ani Vinos.



Tymczasem niewysłowione spojrzenie niewidomej napotkało źrenice Ursusa. Starzec zadrżał.  
– No i co wy tam robicie? – krzyknął. – Fibi, Vinos, czy nie słyszycie, że woła was wasza pani? Czyście ogłuchły? Prędko! przedstawienie zaraz się zaczyna.

Obie kobiety ze zdumieniem popatrzyły na Ursusa.

A on zrzędził dalej.

– Czy nie widzicie, że zaczyna się już schodzić publiczność? Fibi, ubieraj Deę. Vinos, do bębenka.

Fibi wyobrażała sobą posłuszeństwo. Vinos wyobrażała sobą bierność. A obie razem były uosobieniem poddania. Ursus – ich pan – był dla nich zawsze zagadką. Bądź niezrozumiały, a będą cię słuchać. Pomyślały po prostu, że starzec dostaje bzika, i wykonały rozkaz. Fibi zdjęła z kołka kostium Dei, a Vinos – bębenek.

Fibi zaczęła ubierać Deę. Ursus zasunął kotarę gineceum i spoza firanki mówił dalej:

– Spójrz, Gwynplaine'ie! Tłum zapełnił już prawie całe podwórze. U wejścia tłok. Co za ciżba! I popatrz no tylko, Fibi i Vinos siedzą z założonymi rękami, jakby nie widziały, co się dzieje! Dziwnie tępe są te Cyganki! Cóż za głupcy żyją w Egipcie. Nie uchylaj zasłony. Wstydzilibyś się. Dea się ubiera.

Umilkł na chwilę, po czym nagle usłyszano głośnie zawołanie:

– Jak piękna jest Dea!

Był to głos Gwynplaine'a. Fibi i Vinos drgnęły i odwróciły się. Był to głos Gwynplaine'a, ale w ustach Ursusa.

Ursus uchyliwszy zasłony dał im znak, by nie ważyły się dziwić. Znow odezwał się głosem Gwynplaine'a:

– To anioł!

I odpowiedział własnym głosem:

– Dea anioł! Zwariowałaś chyba. Jedyne latający ssak – to nietoperz.

Po czym dorzucił:

– No, idź, Gwynplaine'ie, odwiąż Homo. To będzie przynajmniej coś rozsądnego.

I zbiegł po tylnych schodkach „Zielonego Pudła” szybko, lekko jak Gwynplaine, Naśladował jego krok. Dea mogła przecież usłyszeć.

Na podwórzu spostrzegł chłopca, który wałęsał się beczynnie i ciekawie rozglądał dookoła.

– Nadstaw obie ręce – rzekł mu po cichu.

I wsypał mu w dłonie garść miedziaków.

Govicum zdziwił się bardzo tej hojności.

A Ursus szepnął mu do ucha:

– Zostań, chłopcze, na podwórzu i skacz, tańcz, rozbijaj się, krzycz, wrzeszcz, gwizdź, gruchaj, wyj, klaskaj, tupaj, śmieję się na cały głos, połam coś nawet.

Imię Nicless, zły i upokorzony, że ci, co przyszli na Człowieka Śmiechu, zwracają i rozchodzą się po innych budach jarmarcznego placu, zamknął drzwi gospody; wyrzekł się na ten wieczór szynkowania napitków, byleby tylko uniknąć nudy pytań; i wśród beczynnej, rozlewniwej atmosfery przedstawienia, co nie doszło do skutku, usiadł na balkonie ze świecą W rękę i patrzył z góry na podwórze. Ursus, ujmując przezornie głos swój w nawiasy z dwu swoich dłoni przyłożonych do ust, krzyknął mu:

– Hej, panie, rób to samo co twój chłopak, hałasuj, krzycz, wrzeszcz.

I wrócił do „Zielonego Pudła” i tak rzekł do wilka:

– Gadaj, ile tylko potrafisz. Po czym odezwał się głośnie:

– Za duża ciżba. Boję się, że będziemy mieli niespokojne przedstawienie.

Vinos biła tymczasem w bęben!

Ursus mówił dalej:

– Dea już ubrana. Zaraz będzie można zacząć. Niepotrzebnie nawpuszczano tyle publiczności. Jak to się wszystko tłoczy! Spójrz no tylko, Gwynplaine'ie, co za rozhukana zgraja! Mógłbym się założyć, że nigdy jeszcze nie zebraliśmy tyle grosza co dzisiaj. Dalej, błaznice, brać się obie za muzykę! Chodź tu, Fibi, łap trąbkę. Dobrze, Vinos, bij w swój bębenek, a mocno, nic go nie żałuj. Fibi, stań w pozie bóstwa sławy. Za mało jesteście obnażone, moje panny. Pozdejmujcie te kaftaniki. Nie płótna tu trzeba, ale gazy. Publiczność lubi oglądać kobiece kształty. Niech sobie moralisci piorunują na nas. Odrobinę bezwstydu, do licha! Odrobinę lubieżności. A teraz grajcie melodie najbardziej szalone. Hej, trąbić mi, dąć w rogi, trzaskać, bić w bębunki! Cóż za tłum, mój biedny Gwynplaine'ie!

Umilkł na chwilę i znów się odezwał:

– Teraz, Gwynplaine'ie, pomóż mi. Trzeba opuścić klapę.

Tu rozłożył chustkę do nosa.

– Lecz najpierw niech ryknę w swoją szmatę.

I głośno utarł sobie nos, co jest rzeczą nieodzowną dla brzuchomowcy.

Schował chustkę w kieszeń i wyciągnął zatyczki; poruszyły się koła, zazgrzytały łańcuchy jak co dzień. Kłapa opuściła się.

– Nie trzeba jeszcze rozsuwać kurtyny, Gwynplaine'ie. Niech tak wisi, dopóki nie rozpoczniemy przedstawienia. Po co mamy siedzieć jak na wystawie. A wy obie wyjdźcie przed kurtynę. Grajcie, panny! Bum, bum, bum. Widownia pełna aż po brzegi. I dobrana, że ze świecą szukaj, same męty, sam motłoch. Co za tłok, mój Boże!

Dwie Cyganki, ogłupiałe z posłuszeństwa, stanęły ze swymi instrumentami na zwykłych miejscach, po obu stronach zasuniętej kurtyny.

A wówczas Ursus dokonywać zaczął rzeczywiśtych cudów. Nie był to już jeden człowiek, lecz tłum cały. Musiał zapełnić próżnię, wezwał więc na pomoc swój niezwykły talent brzuchomowczy. Cała orkiestra głosów ludzkich i zwierzęcych, którą w sobie miał, wprawiona została w ruch. Stał się legionem. Komuś, kto by zamknął oczy, wydać by się mogło, że znajduje się na placu publicznym w dzień święta czy też w dzień rozruchów. Istny wir hałasów i okrzyków wydobywał się z Ursusa. Wir ów śpiewał, szczekał, kaszłał, charkał, kichał, zażywał tabaki, rozmawiał, pytał i odpowiadał, wszystko na raz. Ledwie rozpoczęte wyrazy mieszały się, zlewały ze sobą. Na tym pustym dziedzińcu słychać było mężczyzn, kobiety, dzieci, słychać było wesoły zgiełk tłoczącej się ciżby. Poprzez ten zgiełk, niby poprzez dym, przewijały się i inne jeszcze głosy – gdakanie kur, miauczenie kotów, kwilenie niemowląt przy piersi. Słychać było ochryple okrzyki pijaków. Psy powarkowały niechętnie, płacząc się pomiędzy ludzkimi nogami. Dźwięki dolatywały z daleka, i z bliska, z góry i z dołu. Całość była zgiełkiem, każdy jej szczegół – krzykiem. Ursus walił pięściami, tupał, rzucał głos swój w głąb dziedzińca i wyprowadzał go jakby spod ziemi. Było to burzliwe a swojskie. Od szepotu przechodził do hałasu, od hałasu do zamieszania, od zamieszania do huraganu. Był sobą i wszystkim zarazem, był monologującym poliglotą. Iluzjonizm istnieć może i dla oka, i dla ucha. Co Proteusz uczynił dla spojrzenia, to dla słuchu czynił Ursus. Trudno wyobrazić sobie bardziej ludzłą podobiznę zgiełkliwego tłumy. Co pewien czas uchylał zasłony gineceum i zaglądał do wnętrza. Dea słuchała.

Chłopiec towarzyszył mu dzielnie z dziedzińca.

Fibi i Vinos sumiennie dęły w trąbki i grzmociły w bębunki. Imć Nicless, jedyny widz, podobnie jak i one myślał, że Ursus po prostu zwariował; było to zresztą tylko drobnym, szarym cieniem przydanym do ponurej melancholii oberżysty. Solidny karczmarz pomrukiwał: – Co za bałagan! – I przypatrywał się z powagą, jak ktoś, kto pamięta, że istnieją prawa i że trzeba je szanować.

Govicum, uszczęśliwiony, że może się przydać w robieniu tego całego zamieszania, wysiłał się nie mniej od Ursusa. Bawiło go to. No i zarabiał na swoje groszaki.

Homo był zamyślony.

W czyniony przez siebie hałas wplątywał Ursus swoje własne słowa:

– Tak, Gwynplaine'ie, to samo co zwykle. Knują coś przeciwko nam. Konkurenci kopią dołki pod naszym powodzeniem. Wygwizdanie – to przyprawa triumfu. A swoją drogą za dużo ludzi wpuszczono. Jest im niewygodnie w tym tłoku. Ostre łokcie sąsiada nie i usposabiają do pobłażliwości. Byleby tylko ławek nie połamali! Możemy stać się pastwą niesfornej hałastry. Ach, gdybyż tu był nasz przyjaciel Tom-Jim-Jack. Ale on już nie przychodzi. Popatrz no, ile tu głów, jedna spoza drugiej wygląda. Ci, co stoją, nie mają rozradowanych min, choć Galienus, ten wielki człowiek, nazywa stanie „ruchem wzmacniającym”. Skrócimy przedstawienie. Na ogłoszeniu jest tylko *Chaos zwyciężony*, więc nie będziemy grać *Ursusa Rursusa*. Wytargujemy sobie choć tyle. Cóż za zgiełk! O ślepa niesforności tłumu! Gotowi porobić nam szkody! To już doprawdy nie do wytrzymania. Nie będziemy mogli grać. Nikt ani słowa z całej sztuki nie usłyszy. Przemówię do nich, Gwynplaine'ie, odgarnij nieco kurtykę. Obywatele...

Tu Ursus krzyknął sam na siebie cienkim, rozgorączkowanym głosem:

– Precz ze starym!

Po czym znów się odezwał, teraz głosem własnym:

– Zdaje mi się, że lud mnie znieważa. Miał rację Cycero: *plebs, fex urbis*. Co począć, spróbujmy ten motłoch poskromić. Nie łatwo mi będzie przekrzyczeć ich. Ale spróbuję mówić. Czyń swoją powinność, człowieku. Widzisz, Gwynplaine'ie, jak tam powarkuje jakaś sekutnica?

Ursus przerwał i wydał z siebie zły pisk kobiety. Zawtórowali mu i Homo, i Govicum.

Po czym mówił dalej:

– Kobiety są gorsze od mężczyzn. Niezbyt sposobna to chwila. Trudno, wypróbujemy, jak wielką bywa władza mówcy. Na wymowę zawsze pora. Posłuchaj, Gwynplaine'ie, na początek – wstęp zręczny i ujmujący. – Obywatelki i obywatele, jestem niedźwiedziem. Oto zdejmuję głowę z karku, żeby do was przemówić. Pokornie proszę o ciszę.

Tu Ursus użył tłumowi okrzyku:

– Grumphll...

I dalej mówił:

– Poważam was wielce, słuchacze moi. Grumphll – to okrzyk niegorszy od innego. Witaj, burczący narodzie. Wszyscy tutaj należycie do hołoty, nie wątpię w to. I fakt ten nie umniejsza mojego dla was szacunku. Szacunku wyrozumowanego. Żywię najgłębszy respekt dla panów nicponi, którzy uczcili mnie na swój sposób. Znajdują się wśród was istoty koślawe, czym się bynajmniej obrażać nie myślę. Panowie kuternogi i panowie garbusy należą do ustroju przyrody. Wielbłąd jest przeciw garbaty; bizon ma narośl na grzbiecie; borsuk ma lewe łapy krótsze od prawych; fakt ten zaznaczony został przez Arystotelesa w jego traktacie *O chodzie zwierząt*. Ci spośród was, co posiadają dwie koszule, jedną mają na grzbiecie, a drugą u lichwiarza. Wiem, że tak się właśnie postępuje. Albuquerque zastawiał niegdyś swoje wąsy, a święty Dionizy swoją aureolę. I Żydzi pożyczali biorąc w zastaw nawet aureolę. Wielkie to przykłady. Kiedy ma się długi – to przynajmniej coś się ma. Niechaj w osobach waszych uczczone obszarpańców.

Tu Ursus przerwał sam sobie głębokim, basowym okrzykiem:

– Potrójny osioł!

Po czym odpowiedział, jak tylko umiał najgrzeczniej:

– Zgoda. Jestem mędrce. Upraszam o przebaczenie. Gardzę nauką w sposób naukowy. Niewiedza daje nam pożywienie, wiedza – tylko post. Tak, człowiek musi się opowiedzieć: czy chce być uczonym i schudnąć, czy też chce skubać trawkę i być osłem. Skubcie trawkę, obywatele! Nauka nie warta jest jednego kaska czegoś smacznego. Wolę jeść rostbef niż wiedzieć, że jest to mięsień zwany psoas. Jedną tylko mam zasługę. Suche oko. Tak jak mnie tutaj; widzicie, nigdy jeszcze nie płakałem. Trzeba też przyznać, że nigdy jeszcze nie byłem zadowolony. Nigdy nie byłem zadowolony. Nawet sam z siebie. Gardzę sobą. Lecz – oddaję

to pod głosowanie obecnych tutaj członków opozycji – jeżeli Ursus jest mędrcem tylko, to Gwynplaine jest za to artystą.

Tu ryknął znowu:

– Grrumphll!

I znowu mówił...

– Jeszcze raz grrumphll! wyraźny sprzeciw. Trudno, puszcę go mimo uszu. A Gwynplaine, o panowie i panie!, ma u swego boku drugiego artystę, tę oto wyjątkową i kudłatą osobistość, która dotrzymuje nam kompanii, imć Homo, niegdyś dzikiego psa, dziś cywilizowanego wilka i wiernego poddanego jej królewskiej mości. Homo – to mim niezwykłego i wielkiego talentu. Proszę o uwagę, proszę o skupienie. Za chwilę wystąpi przed wami Homo, za chwilę wystąpi przed wami Gwynplaine. Oddajcie cześć sztuce, jak obywatelom wielkiego narodu przystało. Czy chowaliście się w lesie? Mógłbym założyć się, że tak. W takim razie *sylvae sint consule dignae*. Dwaj artyści warci konsula. Tak. Ktoś rzucił we mnie kapuścianym głąbem. Lecz nie trafił. Nie przeszkodzi mi to mówić dalej. Przeciwnie. Uniknięcie niebezpieczeństwa jeszcze gadatliwszym czyni człowieka. *Garrula pericula*, mówi Juwenal. Narodzie, są wśród was pijacy, są wśród was również i pijaczki. To dobrze, to bardzo dobrze. Mężczyźni cuchną, kobiety są szkaradne. Macie całe mnóstwo najwspanialszych powodów po temu, by tłoczyć się tu, za stołami karczmy: beczynność, lenistwo, wolną chwilę pomiędzy dwiema kradzieżami, porter, piwo, wódkę pędzoną z buraków, brandy, dżyn i pociąg jednej płci do drugiej płci. Cudownie. Umysł zaprzatający się fraszkami miałby tu piękne pole do spostrzeżeń. Ja wolę dać temu pokój. Rozpusta – bardzo proszę. Ale nawet i wśród orgii trzeba zachować przyzwoitość. Jesteście weseli, ale hałaśliwi. Znakomicie naśladujecie krzyki zwierząt; lecz co byście powiedzieli, gdybym ja zaczął na was szczekać po psiemu wtedy, kiedy wy rozprawiacie o miłości w zamtuzie z piękną lady. Przeszkodziłbym wam na pewno. Otóż teraz wy nam przeszkadzacie. Upoważniam was do uciszenia się. Sztuka jest godna względów nie mniej od rozpusty. Mówię do was językiem uczciwego człowieka.

Zawołał sam na siebie:

– Bodajby cię febra zadusiła, z twoimi brwiami jak wiechy z żytniej słomy!

I odpowiedział:

– Czcigodni panowie, zostawmy słomę w spokoju. Zadawanie gwałtu roślinom dla znalezienia w nich podobieństwa do ludzi czy zwierząt – to bezbożność. A febra nie dusi. Metafora jest fałszywa. Przez litość, uciszcie się! Brak wam nieco tego majestatu, który cechuje prawdziwego angielskiego dżentelmena, wybaczcie, że wyznaję wam to szczerze. Stwierdzam oto, że ci spośród was, którym duży paluch wyłazi z buta, wykorzystują to zdarzenie po to, by kłaść nogi na ramionach widzów siedzących przed nimi, i narażają damy na uczynienie spostrzeżenia, że podeszwy pękają zawsze tam, gdzie znajduje się najbardziej wystająca kość śródstopia. Nieco mniej pokazujcie nogi wasze, a za to nieco bardziej pokazujcie ręce. Widzę stąd, jak ten i ów hultaj wsuwa swoje zręczne szpony do kieszeni głupiego sąsiada. Drodzy kieszonkowcy, miejcież nieco wstydu! Zboksujcie bliźniego, proszę bardzo, lecz go nie ograbiajcie. Kiedy podbijacie ludziom oko, mniej ich obrażacie niż wtedy, kiedy kradniecie im grosz. Można wreszcie uszkodzić komuś nos. Mieszczuchowi bardziej zależy na pieniądzach niż na urodzie. A zresztą – przyjmijcie ode mnie wyrazy najgłębszej sympatii. Nie jestem bakalarzem, nie myślę potępiać złodziei. Zło istnieje. Doświadcza go każdy i każdy je czyni. Nikt nie jest wolny od robactwa grzechów swoich. W tej chwili mam na względzie tylko to właśnie robactwo. Czyż nie dokuczają wam wszystkim swędzenie? Sam Pan Bóg drapie się w tym miejscu, w którym ma diabła. I ja sam też grzeszę. *Plaudite, cives*.

Ursus wydał ze siebie długi pomruk tłumu i przekrzyczał go takimi oto słowami zakończenia:

– Milordowie i panowie, widzę, że mowa moja miała szczęście nie przypaść wam do smaku. A teraz pożegnaj na chwilę wasze gwizdy. Wkładam z powrotem na kark moją głowę i za chwilę rozpocznie się przedstawienie.

Porzucił patetyczny, oratorski ton i rzekł swoim zwykłym głosem:

– Zasuń kurtynę. Odetchniemy nieco. Byłem słodziutki jak miód. Dobrze przemawiałem. Nazwałem ich milordami i panami. Mowa moja była aksamitna i daremna. Co za tałałajstwo, prawda? I cóż ty o tym powiesz, Gwynplaine'ie? Jak łatwo jest przekonać się, ile to wycierpiała Anglia przez ostatnich lat czterdzieści z powodu nadmiernego rozbuwania się tych umysłów, cierpkich i złośliwych. Dawni Anglicy byli dzielni i wojowniczy, ci są melancholijni i natchnieni i za zasługę poczytują sobie pomiatanie prawem i nieuznawanie królewskiej władzy. Uczyniłem wszystko, co tylko uczynić jest w stanie wymowa człowieka. Nie szczędziłem im metonimii wdzięcznych jak świeży, różowy policzek młodzieniaszka. Czy złagodniełi? Wątpię. Czegóż spodziewać się można po narodzie, który obżera się bez pamięci i wędzi w tytoniowym dymie? Przecież w tym kraju nawet i pisarze układają często swoje dzieła z fajką w gębie! A wreszcie – co mi tam. Grajmy naszą sztukę.

Kółka, na których zawieszona była kurtyna, ze zgrzytem przesunęły się po pręcie. Umilkły bębenki Cyganek. Ursus zdjął z kółka swoją lirę, wygrał na niej preludium, szepnął półgłosem: – jak to tajemniczo brzmi, prawda, Gwynplaine'ie? – i zaczął tarmosić wilka.

Razem z lirą zdjął ze ściany bardzo kudłatą perukę i rzucił na podłogę, w kąt sceny. Chciał mieć ją tuż pod ręką.

Przedstawienie *Chaosu zwyciężonego* odbywało się tak samo prawie jak codziennie, nie było tylko błękitnego światła i innych czarodziejskich błysków. Wilk grał z całym zapalem. W odpowiedniej chwili pojawiła się Dea i głosem swoim anielskim i drżącym wzywać zaczęła Gwynplaine'a. Wyciągnęła rękę szukając jego głowy...

Ursus porwał perukę, szczochnął ją, włożył na głowę i wstrzymując oddech podsunął tę zjeżoną czuprynę pod dłoń Dei.

Potem wzywając na pomoc całą swoją sztukę naśladować zaczął głos Gwynplaine'a i wyśpiewał z niewysłowionym uczuciem odpowiedź potwora na wezwanie ducha.

Naśladował go tak znakomicie, że obie Cyganki znowu szukać zaczęły wzrokiem Gwynplaine'a, przerażone, że słyszą go, a nie widzą.

Zachwycony Govicum tupał, klaskał, uderzał w dłonie, robił hałas iście olimpijski i sam jeden śmiał się niczym całe zgromadzenie bogów. Przyznać trzeba, że ten chłopiec wykazał niezwykle i rzadki talent teatralnego widza.

Fibi i Vinos, dwa automaty, których sprężyny poruszały się pod dotknięciem ręki Ursusa, wykonały zwykle szurum-burum na instrumentach z miedzi i osłej skóry. Hałas ten oznajmiał koniec przedstawienia i co wieczora towarzyszył rozchodzeniu się publiczności.

Ursus podniósł się w potach cały.

Po cichutku rzekł do Homo: – Rozumiesz, trzeba było zyskać na czasie. Zdaje mi się, że się nam udało. Nieźle wywiązałem się z zadania, ja, co miałbym chyba prawo stracić nieco głowę w takiej chwili. Gwynplaine może jeszcze wrócić, dziś czy jutro. Po co było zabijać Deę od razu? Mówię to wszystko tylko tobie, pamiętaj.

Zdjął perukę i otarł czoło.

– Jestem genialnym brzuchomówcą – szepnął. – Cóż ja mam za talent! Dorównałem Brabantowi, nadwornemu brzuchomówcy Franciszka I, króla Francji. Dea jest przekonana, że Gwynplaine jest razem z nami.

– Ursusie – odezwała się Dea – gdzie jest Gwynplaine?

Ursus drgnął i odwrócił się.

Dea stała w głębi sceny pod zawieszoną u pułapu latarnią. Była blada bladością cienia.

Znow się odezwała z uśmiechem niewysłowienie rozpaczliwym:

– Ja wiem. On nas porzucił. Odszedł. Ja wiedziałam, że on ma skrzydła.

I patrząc w dal przed siebie niewidzącymi oczami, zapytała:

– A kiedy ja?

### III. KOMPLIKACJE

Ursus zaniemówił.

A więc nie zdołał wywołać złudzenia.

Czy była to wina niedoskonałości jego brzuchomówstwa? Nie, na pewno nie. Udało mu się przecież oszukać Fibi i Vinos, które miały oczy, lecz nie udało mu się oszukać Dei, która była ślepa. Bo u Fibi i Vinos widzące były tylko źrenice; Dea widziała sercem.

Nie potrafił wykrztusić ani słowa. Pomyślał sobie: *Bos in lingua*. Zdumiony, zmieszany człowiek ma na języku wołu.

Kiedy przeżywamy jakieś złożone i zawile wzruszenie, pierwszym uczuciem, które przebija się poprzez inne, jest zazwyczaj upokorzenie. Ursus pomyślał sobie:

„Zmarnowałem moje onomatopeje.”

Po czym, jak każdy marzyciel przyparty do muru rzeczywistości, zaczął sam się łąać:

– Wszystko na nic. Na próżno wyczerpałem całą harmonię naśladownictwa. Ale co teraz zrobimy?

Popatrzył na Deę. Milczała, coraz bardziej blada, i stała bez ruchu. Spojrzenie jej zgubiło się, zatoneło gdzieś w głębinach.

Nagle, w samą porę, oto, co się wydarzyło:

Ursus spostrzegł, że imć Nicless ze swoją świecą w ręku stoi na podwórzu i daje mu znaki.

Imć Nicless nie był obecny przy zakończeniu komedii-widma odegranej przez Ursusa. A nie był przy nim obecny dlatego, że zastukano do drzwi gospody. Imć Nicless musiał otworzyć. Stukano dwukrotnie i imć Nicless dwukrotnie schodził z balkonu. Ursus, zajęty swoim stugłosowym monologiem, nawet tego nie zauważył.

W odpowiedzi na nieme wezwanie imć Niclessa wyszedł z wozu.

Zbliżył się do oberżysty.

Ursus położył palec na swoich ustach.

Imć Nicless położył palec na swoich ustach.

I obaj popatrzyli na siebie.

Każdy z nich zdawał się mówić drugiemu:

„Porozmawiajmy, ale w milczeniu.”

Oberżysta nie mówiąc ni słowa otworzył drzwi niskiej izby gospody. Weszli obaj, imć Nicless i Ursus. Prócz nich nie było tu nikogo. Drzwi na ulicę, wystawa, okna – wszystko było szczelnie pozamykane.

Oberżysta zatrzasnął drzwi od podwórza, tuż przed nosem ciekawego Govicum.

I postawił świecę na stole.

Zaczęli rozmawiać. Półgłosem, szeptem.

– Imć Ursusie...

– Co, imć Niclessie?

– Zrozumiałem nareszcie.

– Ach!

– Chcieliście, żeby biedna ślepa dziewczyna wierzyła, że wszystko jest tak jak dawniej.

– Nie ma prawa, które by zakazywało brzuchomówstwa.

– Macie talent.

– Nie.

– Wprost me do wiary, jak potraficie zrobić to, co się wam tylko podoba.

– Nie, zapewniam was, że nie.

– Chciałem porozmawiać z panem.

- Czy o polityce?
- Ja nic nie wiem o polityce.
- Bo o polityce słuchać nie będę.
- Oto, jak się rzecz ma. Kiedy wy graliście i sztukę, i widzów zarazem, zastukano do drzwi gospody.
- Zastukano do drzwi?
- Tak.
- To mi się nie podoba.
- Mnie też nie.
- No i co?
- No i otworzyłem.
- Kto stukał?
- Ktoś, kto chciał ze mną mówić.
- I co powiedział?
- Ano, słuchałem.
- I cóżeście mu odpowiedzieli?
- Nic. Wróciłem, żeby patrzeć na widowisko.
- I co?
- I zastukano po raz drugi.
- Kto? Ten sam?
- Nie. Inny.
- I ten też chciał mówić z wami?
- Ten nie wyrzekł ani słowa.
- To wolę.
- A ja nie.
- Mów jaśniej, imć Niclessie.
- Zgadnijcie, kto to był ten pierwszy, ten, który chciał pomówić?
- Nie mam czasu na to, by stać się Edypem.
- Był to właściciel cyrku.
- Tego tu, obok?
- Tak, tego tu obok.
- Gdzie zawsze taka wściekła muzyka?
- Wściekła.
- No i co?
- No i, imć Ursusie, przyszedł, żeby ci zrobić propozycję.
- Propozycję?
- Propozycję.
- Dlaczego?
- Dlatego.
- Posłuchaj no, imć Niclessie, masz nade mną przewagę. Tyś odgadł przed chwilą moją zagadkę, a ja nie mogę twojej odgadnąć.
- Właściciel cyrku zlecił mi, bym powiedział wam, że widział, jak odchodził stąd dziś rano oddział straży sądowej, i że on, właściciel cyrku, chcąc dowieść, iż jest waszym przyjacielem, proponuje wam kupno, za pięćdziesiąt funtów szterlingów, wyliczonych w gotówce, waszego wozu – „Zielonego Pudła” – razem z końmi, waszych trąbek razem z dziewczynami, co na nich grają, waszej sztuki razem ze ślepą, co w niej śpiewa, razem z waszym wilkiem i razem z wami.
- Ursus uśmiechnął się wyniośle:
- Właścicielu gospody „Tadcaster”, odpowiedz właścicielowi cyrku, że Gwynplaine wróci niebawem.

Oberżysta podniósł z krzesła jakiś przedmiot leżący tam w ciemności i odwrócił się wyciągając obie ręce w kierunku Ursusa. W jednej trzymał płaszcz, w drugiej – kaftan, napierśnik skórzany i filcowy kapelusz.

I rzekł:

– Człowiek, który zastukał za drugim razem i który był pachołkiem straży, i który wszedł i wyszedł słowem się nie odezwawszy – przyniósł te rzeczy.

Ursus poznał napierśnik, kaftan, kapelusz i płaszcz Gwynplaine'a.



## IV. MOENIBUS SURDIS CAMPANA MUTA

Ursus obmacał filc kapelusza, sukno płaszcza, tkaninę kaftana, skórę napierśnika – tak, bez wątpienia, wiedział, do kogo należały te suknie; krótkim, rozkazującym ruchem, nie mówiąc ani słowa, wskazał imć Niclessowi drzwi gospody.

Imć Nicless otworzył.

Ursus wybiegł z oberży.

Imć Nicless wyjrzał za nim i zobaczył, że Ursus biegnie, ile tylko ma sił w starych nogach, w tę stronę, w którą rano wapentake uprowadził Gwynplaine'a. W kwadrans później zadyszany Ursus dobiegał już do małej uliczki, przy której znajdowało się tylne wejście do więzienia Southwarku, do uliczki, w której tyle godzin spędził wypatrując.

Uliczka ta nie potrzebowała aż północy, żeby być pustą. Tylko że w dzień smutna, w nocy była niepokojąca. Od pewnej godziny począwszy nikt się w nią nie śmiał zapuścić. Wydawać by się mogło, że ludzie boją się, iż te dwa mury mogą się do siebie przysunąć, że się obawiają, iż cmentarz i więzienie a nuż zechcą nagle uściskać się i zgniotą ich w tym swoim uścisku. Zwidy nocne. O poobcinanych wierzbach na uliczce Vauvert w Paryżu krążyły podobne wieści. Utrzymywano, że te kikuty drzew przemieniają się w ogromne dłonie i że duszą przechodniów.

Mieszkańcy Southwarku instynktownie unikali tej uliczki wciśniętej pomiędzy cmentarz i więzienie. Niegdyś zamykano ją na noc żelaznym łańcuchem. Jakże niepotrzebnie; najlepszym łańcuchem zamykającym tę ulicę był strach, jakim od niej wiało.

Ursus śmiało wszedł w zaułek.

Co chciał uczynić? Sam nie wiedział.

Przyszedł na tę ulicę po wieści. Czy chciał może zapukać do więziennej furty? O, nie. Nie zaświtał mu nawet w głowie pomysł taki, przerażający a bezskuteczny. Próbować dostać się tam i prosić o wiadomości? Prawdziwe szaleństwo! Więzienia nie częściej otwierają się przed tymi, co by chcieli wejść do nich, niż przed tymi, co by chcieli z nich wyjść. Zawiasy u ich drzwi obracają się tylko na rozkaz prawa. Ursus wiedział o tym. Po co przyszedł więc aż tutaj? Żeby zobaczyć. Co zobaczyć? Nic. Kto wie zresztą? To, co możliwe. Stanąc na wprost drzwi, za którymi zniknął Gwynplaine – zapewne, to już było coś. Czasami najczarniejszy nawet i najbardziej niemy mur przemówi i spomiędzy kamieni ukazuje się światło. Czasami odrobina jasności przecieka nawet i przez najbardziej spoiste i zamknięte obudowanie. Przypatrywanie się pokrywie wydarzenia jest też jakimś śledzeniem, i skutecznym. Wszyscy staramy się instynktownie, by jak najmniej przestrzeni dzieliło nas od sprawy, która nas obchodzi. To dlatego właśnie wrócił Ursus w uliczkę, na której znajdowały się niskie drzwi i kżnia.

Kiedy wchodził już w zaułek – usłyszał uderzenie dzwonu, jedno, potem drugie.

„Dziwne – pomyślał – czyżby to już była północ?”

Machinalnie zaczął liczyć.

– Trzy, cztery, pięć.

Pomyślał znou:

„Jak rzadko uderza ten dzwon, jak powoli bije.” – Sześć, siedem.

– Co za rozpaczliwy dźwięk! – rozważał po cichu. – Osiem, dziewięć. – Tak, to przecież proste. Zegar więzienny smuci się, bo jest w więzieniu. Dziesięć. Prócz tego – cmentarz tuż. Ten dzwon wydzwania godziny żywym, a wieczność – umarłym. Jedenaście. – Niestety, wydzwaniać godziny tym, co nie są wolni – to też wydzwaniać wieczność! – Dwanaście.

Przystanął.

Tak, to północ.

Dzwon uderzył po raz trzynasty.

Ursus zadrżał.

– Trzynaście.

Dzwon uderzył czternasty raz. Potem piętnasty raz.

– Co to znaczy?

Dzwon bił ciągle bardzo wolno. Ursus słuchał.

– Nie jest to dzwon zegarowy. To dzwon Muta. A mówiłem sobie: jak on długo wydzwania północ! Ten dzwon nie wydzwania, on bije tylko. I cóż to się stało smutnego?

Każde więzienie – i każdy klasztor – miało niegdyś swój dzwon, zwany Muta, używany tylko w melancholijnych okolicznościach. Muta – „niemy” – był to dzwon bijący bardzo nisko, który, rzekłbyś, stara się, jak może, żeby nie być słyszany.

Ursus doszedł do zagłębienia w murze, do wygodnego schowanka, z którego mógł być dziś obserwować więzienie przez większą część dnia.

Dzwonienie nie ustawało, ponuro brzmiały rzadkie uderzenia.

Dzwon pogrzebowy wypunktowuje przestrzeń w sposób jakże przykry! Wśród zwykłych zajęć i spraw ludzkich znaczy on coś na kształt ponurych akapitów. Bicie pogrzebowego dzwonu przypomina rżenie człowieka. Zapowiada konanie. Jeżeli w domach rozrzuconych dookoła tego bijącego dzwonu są jakieś sny niejasne, wyczekujące – uderzenia jego tną te sny na kawały. Nieokreślone rozmarzenie jest jakimś rodzajem schronienia; coś, co rozsiane jest wśród niepokoju, a czego imienia nie znamy, pozwala kiełkować nadziei dzwon pogrzebowy jest rozpaczliwy i określający. Niszczy tamto rozsiane i wśród trwogi, i wśród niepokoju, co usiłuje utrzymać się jakby w zawieszeniu, przyspiesza proces tworzenia się osadu. Dzwon pogrzebowy przemawia do każdego z nas słowami naszego smutku czy też trwogi. Ten dzwon tragiczny nam bije. Wydzwania ostrzeżenie. I cóż bardziej ponurego być może od monologu, pod który podkładają się te uderzenia miarową kadencją? Jednostajność powtórzeń wskazuje na jakiś zamiar. I cóż to młot ten – dzwon – kuje na kowadle myśli ludzkiej?

Ursus, niezupełnie zdając sobie z tego sprawę, liczył uderzenia, choć nie wiodło to przecież do żadnego celu. Czuł, że znajduje się na równi pochyłej, i z całych sił powstrzymać się starał od czynienia przypuszczeń. Przypuszczenia – to zbrocze, po którym stacza się człowiek za daleko i niepotrzebnie. Cóż mógł jednak znaczyć ten dzwon?

Patrzył w to miejsce ciemności, w którym, jak pamiętał, znajdowały się drzwi więzienia.

Nagle w tym miejscu właśnie, co zaznaczało się w mroku na podobieństwo czarnej dziury, ujrzał czerwonawy blask. Blask ten rósł, aż stał się światłem.

Nic w tym świetle nie było nieokreślonego. Od pierwszej chwili miało kształt czworoboku. Drzwi więzienia drgnęły w zawiasach. W blasku światła ukazały się sklepienie i odrzwia.

Drzwi uchyliły się raczej, niż otwały. Więzienie nie rozwiera się szeroko, lecz tylko ziewa półgębkiem. Może z nudy.

Z drzwi więzienia wyszedł człowiek, z zapaloną pochodnią w ręku.

Dzwon nie przestał bić. Ursus czuł, że ogarnia go podwójne napięcie; czekał, uchem przyłgnąwszy do dzwonu, okiem – do pochodni.

Po wyjściu tego człowieka, drzwi, dotychczas uchylone tylko, otwały się szeroko i wyszło przez nie dwu następnych ludzi, potem ktoś czwarty. Tym czwartym był wapentake, widoczny w świetle pochodni. W ręku trzymał swoją żelazną łaskę.

A w ślad za wapentake wychodzić przez drzwi zaczęły milczące sylwetki ludzkie, po dwie, w ordynku, niby dwuszereg sztywnych, maszerujących kłoców.

Ten nocny orszak przesuwiał się pod niskimi drzwiami, para za parą, niby procesja pokutników, nie przerywając nigdzie swej ciągłości, poważnie, niemal bezszelestnie, jakby nieczynienie najmniejszego nawet szmeru było jedyną a ponurą ich troską. Wąż, wyslizgując się ze swej nory, zachowuje się zwykle tak ostrożnie właśnie.

Blask pochodni uwydatniał twarze i postacie. Twarze dzikie, postacie posepne.

Ursus rozpoznał pachołków straży, co tego ranka uprowadzili Gwynplaine'a.

Niewątpliwie. Byli to ci sami. I oto pojawiali się znowu.

A więc Gwynplaine zapewne pojawi się również.

Przywiedli go tutaj, a teraz go wyprowadzali.

Tak, na pewno tak.

Żrenice Ursusa patrzyły zdwoiwszy swoją bystrość. Czy wypuszczą Gwynplaine'a na wolność?

Podwójny szereg pachołków straży wyciekał spod niskiego sklepienia powoli, jakby kropla po kropli. Dzwon, który bił ciągle, poddawał im rytm marszu. Po wyjściu z więzienia orszak, odwracając się tyłem do Ursusa, skręcał w prawo, w stronę przeciwną niż ta, gdzie on stał ukryty.

U wyjścia błysnęła druga pochodnia.

Zwiastowało to koniec pochodu.

Zaraz oto ujrzy Ursus, kogo prowadzą. Zobaczy więźnia; człowieka.

Zaraz zobaczy Gwynplaine'a.

I wreszcie ukazało się to, co prowadzili.

Była to trumna.

Czterech ludzi niosło trumnę przykrytą czarnym kirem.

Za nimi szedł człowiek z łopata na ramieniu.

Trzecia pochodnia, trzymana przez osobę czytającą z książki, a więc widocznie przez więziennego kapelana, zamykała pochód.

Trumna w ślad za dwuszeregiem pachołków skręciła w prawo.

A jednocześnie zatrzymało się czoło pochodu.

Ursus usłyszał zgrzyt klucza.

Naprzeciw więzienia, w niskim murze położonym po drugiej stronie ulicy drugi otwór, druga brama oświetlona została przez pochodnie, co przesunęła się pod jej sklepieniem.

Brama ta, nad którą widniała trupia czaszka, była bramą cmentarza.

Wszedł w nią wapentake, potem reszta ludzi, potem druga pochodnia w ślad za pierwszą, orszak małał niby wąż wślizgujący się do nory, dwuszereg pachołków przeniknął w drugą ciemność, co się znajdowała za tą bramą, potem zniknęła trumna, potem człowiek z łopata, potem kapelan z pochodnią i książką, i brama zamknęła się.

I tylko ponad murem dał się widzieć blady blask światła.

Słysząc było szept, potem głucho stukanie.

Pewnie kapelan i grabarz rzucali na trumnę, jeden – wersety modlitwy, drugi – łopaty ziemi.

Umilkł szept, umilkło głucho stukanie.

Zrobił się ruch, zajaśniały pochodnie, przez otwartą na powrót bramę cmentarza przeszedł wapentake trzymając swą żelazną laskę podniesioną do góry, wrócił kapelan ze swym modlitewnikiem i grabarz z łopata, wyłonił się powoli cały orszak, tylko już bez trumny, dwuszereg ludzki przemierzył w odwrotnym kierunku tę samą drogę, łączącą dwie bramy, furta cmentarza zamknęła się, furta więzienia otworzyła się, grobowcowe sklepienie przedsionka stało się na chwilę widoczne w świetle, widoczną się stała ciemna głąb korytarza, gęsta i głęboka noc więzienna ukazała się oku i widzenie powróciło w tę ciemność.

Umilkł dzwon. Cisza zamknęła wszystko – ponury zamek mroków.

I tylko ona pozostała po zniknięciu widziadła.

Po przejściu widm, co się rozproszyły.

Okoliczności, logicznie wiążąc się ze sobą, tworzą wreszcie całość, która wydaje się oczywista. Do aresztowania Gwynplaine'a, do milczenia, wśród którego został on aresztowany, do ubrań jego odniesionych przez pachołka ze straży, do tego dzwonu pogrzebowego bi-

jącego nad więzieniem, do którego został wtrącony, dodana została oto – jakże znakomicie pasująca – rzecz tragiczna, trumna niesiona na cmentarz.

– Nie żyje! – krzyknął Ursus.

Osunął się na wystającą krawędź muru.

– Nie żyje! Zabili go! Gwynplaine! Moje dziecko! Mój syn!

I zaszlochał.

## V. RACJA STANU NIE ZAPOMINA ANI O WIELKIM, ANI O MAŁYM

Biedny Ursus. A tak się chełpił, że ani razu jeszcze nie zapłakał. Zbiornik łez przepęłił się. Zbiornik, w którym kropla po kropli, ból po bólu, nagromadziło się całe długie życie, nie wypróżnia się w jednej chwili. Ursus długo szlochał.

Pierwsza łza jest jak nakłucie. Płakał nad Gwynplaine'em, nad Deą, nad sobą samym, nad Homo. Płakał jak dziecko. Płakał jak starzec. Płakał nad tym wszystkim, z czego dotychczas śmiał się. Płacił zaległości. Prawo człowieka do łez nie ulega przedawnieniu.

Umarłym, którego pogrzebano w ziemi, był Hardquanon; lecz skądże miał Ursus o tym wiedzieć.

Przeminęło kilka godzin.

Pocynało dzień; nad Polem Tarrinzeau rozpościerał się powoli blady szmat poranka, lekko sfałdowany cieniem. Świt wybielił ściany gospody „Tadcaster”. Imć Nicless nie kładł się tej nocy; gdyż to samo wydarzenie staje się nieraz przyczyną kilku bezsenności.

Katastrofy promieniują na wszystkie strony. Rzuć kamień w wodę i zlicz krople, co wytrysną.

Imć Nicless strapiony był wielce. Takie hece we własnym domu – rzecz to nad wyraz nieprzyjemna. Imć Nicless był niespokojny, przewidywał smutne dla siebie następstwa i rozmyślał. Jakże żałował, że przyjął do swej gospody „tych ludzi”. – Gdybyż był wiedział! – Skończy się na tym, że ściągną jeszcze na jego głowę jakieś nieszczęście. – I jakby się tu ich pozbyć? – Zawarł przecież z Ursusem umowę. – I jakby tu uwolnić się od nich? – W jaki sposób ich wyrzucić?

Nagle zastukano do drzwi gospody gwałtownie i głośno. W Anglii taki sposób stukania oznacza niechybnie, że przyszedł „ktoś”. Gama uderzeń tym jest szybsza, im wyższy stopień w hierarchii społecznej zajmuje stukający.

Nie było to może stukanie lorda, lecz na pewno stukanie urzędnika.

Oberżysta drząc cały uchylił lufcika.

Rzeczywiście był to urzędnik. Imć Nicless w bladym świetle poranka ujrzał u drzwi swoich kilku pachołków policyjnych i jeszcze dwóch ludzi; jeden z nich był naczelnikiem straży sądowej.

Imć Nicless widział poprzedniego ranka naczelnika straży, znał go już więc.

Drugiego mężczyzny nie znał.

Był to gruby pan o twarzy w kolorze wosku, w eleganckiej peruce. Na ramionach miał płaszcz podróżny.

Imć Nicless zląkł się bardzo pierwszego z nich, naczelnika straży. Gdyby imć Nicless znał stosunki panujące na dworze – na pewno zląkłby się jeszcze bardziej drugiego, był to bowiem Barkilphedro.

Jeden z pachołków po raz drugi gwałtownie zakolał do drzwi.

Oberżysta otworzył. Czoło pokrył mu kroplisty pot.

Naczelnik straży donośnym i surowym głosem człowieka piastującego urząd w straży porządkowej i dobrze znającego osoby wszystkich włóczęgów zapytał:

– Imć Ursus?

Oberżysta odrzekł mu zdejmując czapkę:

– To tutaj, wasza wielmożność.

– Wiem – odrzekł naczelnik straży.

– Bez wątpienia, wasza wielmożność.

- Niech tu przyjdzie.
- Wasza wielmożność, nie ma go.
- A gdzie jest?
- Nie wiem.
- Jak to?
- Dotąd nie wrócił jeszcze.
- Tak wcześnie wyszedł?
- Nie. Ale on wyszedł bardzo późno.
- Te włóczęgi! – rzekł naczelnik straży.
- Wasza wielmożność – powiedział cicho imć Nicless – oto i on.

Rzeczywiście zza węgła ukazał się Ursus. Wracał do gospody. Całą prawie noc spędził między więzieniem, do którego na jego oczach wszedł w południe Gwynplaine, i cmentarzem, gdzie o północy zasypywano ziemią grób, kiedy on nasłuchiwał zza muru. Był blady podwójną bladością – smutku i brzasku.

Brzask, który jest światłem w stadium poczwarki, wszelkie kształty, i te nawet, które poruszają się, rozprasza w odchodzącym mroku nocy. Ursus, blady, białawy, niewyraźny, szedł powoli i podobny był do postaci ze snu.

W dzikim roztargnieniu, tak znamienym dla stanu rozpacz, wybiegł był z gospody z gołą głową. I przez cały ten czas nie spostrzegł nawet, że nie ma kapelusza. Jego nieliczne siwe włosy rozwiewał wiatr. Oczy, choć otwarte, zdawały się nie widzieć. Zdarza się, że człowiek śpi na jawie, jak zdarza się również, że czuwa śpiąc. Ursus wyglądał jak obłąkany.

– Imć Ursusie – krzyknął oberżysta – proszę tutaj! Wielmożni panowie chcą pomówić z wami.

Imć Niclessowi, tym tylko przejętemu, by złagodzić grozę wydarzenia, wymknęła się ta niebezpieczna liczba mnoga „wielmożni panowie”, zaszczytna wprawdzie dla całej gromady, lecz ubliżająca, być może, dowódcy, bo stawiająca go z podwładnymi na równi.

Ursus ocknął się gwałtownie niby człowiek w głębokim śnie wyrzucony z łóżka.

– Co się stało? – zapytał.

Wtem spostrzegł oddział straży i towarzyszącego mu urzędnika.

Był to drugi wstrząs, jeszcze gwałtowniejszy chyba.

Przed niedawną chwilą – wapentake, teraz – dowódca straży. Jakby jeden odrzucał go drugiemu. Powtarzała się oto odwieczna historia rozbicia o podwodne skały.

Naczelnik straży zawezwał go skinieniem do gospody.

Ursus wszedł posłusznie.

Govicum, który wstał był niedawno i zamiatał właśnie izbę, wcisnął się w kąt, za stoły, odstawił miotłę i wstrzymał oddech. Palce ręki wsadził w czuprynę i niemrawo drapał się po głowie. Ruch ten był oznaką wielkiego napięcia uwagi.

Naczelnik straży zasiadł na ławie za stołem. Barkilphedro – na krześle. Ursus i oberżysta stali. Pachołkowie ze straży zostali na dworze, przed zamkniętymi drzwiami.

Naczelnik straży utkwiał swe urzędowe źrenice w Ursusie i rzekł:

– Waszeć trzymasz u siebie wilka.

Ursus odpowiedział mu:

– Niezupełnie.

– Waszeć trzymasz wilka – powtórzył naczelnik straży podkreślając słowo „wilk” z nieodwołalnym naciskiem.

– Ale bo... – odezwał się Ursus.

I umilkł.

– Jest to przestępstwem – powiedział naczelnik straży.

Ursus próbował się bronić.

– To mój domownik.

Naczelnik straży położył na stole dłoń rozczapierzając palce, który to ruch jest pięknym wyrazem władzy.

– Kuglarzu – rzekł – jutro o tej samej godzinie ty i twój wilk opuścicie Anglię. W przeciwnym wypadku wilk zostanie pojmany, odstawiony do kancelarii sądowej i zabity.

Ursus pomyślał sobie: „Dalszy ciąg morderstw!” Nie wyrzekł jednak ni słowa, tylko trząśniętą się całym.

– Czy słyszycie? – zapytał naczelnik straży.

Ursus kiwnął głową na znak, że słyszy.

Naczelnik straży powtórzył z naciskiem:

– Zostanie zabity!

I po chwili milczenia dorzucił:

– Uduşony albo utopiony.

Tu spojrział na Ursusa.

– A waszeć, pójdiesz do więzienia.

– Panie sędzio... – szepnął Ursus.

– Przed jutrzejszym rankiem opuścicie Anglię. A jeżeli nie – to wiecie już, co stać się musi.

– Panie sędzio...

– Co?

– Mamy opuścić Anglię, i on, i ja?

– Tak.

– Dzisiaj?

– Dzisiaj.

– Ale w jaki sposób?

Imć Nicless był uszczęśliwiony. Urzędnik sądowy, którego zląkł się był tak bardzo, przychodził mu oto z pomocą. Policja stawała się sprzymierzeńcem jego, Niclessa. Uwalniała go od „tych ludzi.” Nastęrczała mu ten właśnie sposób, którego sam nie potrafił znaleźć. Wyganiała tego Ursusa, którego nie wiedział, jak się ma pozbyć. Siła wyższa. Przeciwstawić się jej nie podobna. Był zachwycony. I wmieszał się do rozmowy:

– Wasza wielmożność, ten człowiek...

Tu wskazał palcem na Ursusa.

– ...Ten człowiek pyta, w jaki sposób ma opuścić Anglię dzisiaj jeszcze? Otóż nic prostszego. Każdego dnia i każdej nocy z portów na Tamizie, położonych i po tej, i po tamtej stronie Londyńskiego mostu, odjeżdżają statki do najprzeróżniejszych krajów. Do Danii, i do Holandii, i do Hiszpanii, do Francji nie, bo wojna, ale tak – to wszędzie. Tej nocy około pierwszej razem z odpływem też odjedzie kilka statków. Między innymi – galiota „Vograat” z Rotterdamu.

Naczelnik straży obrócił się w stronę Ursusa:

– Dobrze. Odpłyniecie na pierwszym statku. Choćby na „Vograat”.

– Panie sędzio... – rzekł Ursus.

– Czego chcecie jeszcze?

– Panie sędzio, gdybym miał tylko mój wózek jak niegdyś – mógłbym tak uczynić. On zmieściłby się na pokładzie. Ale...

– Ale co?

– Ale teraz mam „Zielone Pudło”, wielką, dwukonną landarę, której nie da się załadować na żaden statek.

– A cóż mnie to obchodzi? – odrzekł naczelnik straży. – Wilk zostanie zabity.

Ursus, drżący całym, czuł, jakby obejmowały go coraz silniej palce jakiejś lodowatej dłoni. „Potwory! – pomyślał. – Ich rzemiosło – to zabijanie ludzi!”

Oberżysta uśmiechnął się i rzekł do Ursusa:

– Imć Ursusie, możecie sprzedać „Zielone Pudło”.

Ursus spojrział na Niclessa.

– Imć Ursusie, macie przecież ofertę.

– Na co?

– A na wóz. I na dwa konie. I na dwie cygańskie dziewczki. I na...

– Kto chce kupić?

– Właściciel sąsiedniego cyrku.

– Aha, prawda.

Ursus przypomniał sobie.

Imć Nicless zwrócił się do naczelnika straży:

– Wasza wielmożność, dziś jeszcze można dobić targu. Właściciel cyrku, który zatrzymał się tuż obok, chce kupić wielki wóz i oba konie.

– I właściciel cyrku dobrze zrobi – rzekł naczelnik straży. – Bo wóz będzie mu potrzebny. Wóz i dwa konie – przyda mu się to. przyda. On też odjedzie dziś jeszcze. Bowiem plebani wszystkich parafii Southwarku skarżą się na rozwiązłe hałasy z Pola Tarrinzeau. Szeryf wydał już w tym względzie zarządzenia. Do wieczora ani jedna kuglarska будa nie pozostanie na placu. Zgorszeniu kres się położy. Wielmożny pan, który raczył przybyć tutaj...

Tu naczelnik straży przerwał i skłonił się w stronę Barkilphedra, na co Barkilphedro wzajemną odpowiedział grzecznością.

– ...Wielmożny pan, który raczy być tutaj obecny, przybył tej nocy z Windsoru. Przywozi on rozkazy. Jej królewska mość powiedziała: „Trzeba to wszystko uprzętać do czysta.”

Ursus wśród długich, całonocnych rozmyślań niejedno zadawał sobie pytanie. Bo przecież widział w końcu tylko trumnę. Czy mógł być całkiem pewny, że znajdował się w niej Gwynplaine? Kto inny też przecież mógł umrzeć na tym świecie. Mijająca nas trumna to jeszcze nie nieboszczyk przedstawiający się z imienia i nazwiska. Po aresztowaniu Gwynplaine'a odbył się pogrzeb. To nie dowodziło jeszcze niczego. *Post hoc, non propter hoc* – i tak dalej. I Ursus znowu powątpiewać zaczął. Nadzieja płonie i lśni na powierzchni rozpaczy niby na powierzchni wody. Ten pełgający płomyk pływa wiekuiście po głębinie ludzkiego bólu. Ursus rzekł sobie w końcu: „Być może, że pochowano Gwynplaine'a, ale nie jest to pewne wcale. Kto wie? A nuż Gwynplaine żyje jeszcze?”

Ursus skłonił się przed dowódcą straży.

– Czcigodny sędzio, pojedę! Pojedziemy! Pojedziemy wszyscy! Na „Vograat”. Do Rotterdamu. Usłucham. Sprzedam „Zielone Pudło”, konie, trąby, egipskie kobiety. Ale jest jeszcze ktoś, jest mój towarzysz, którego żadną miarą nie mogę pozostawić samego. Gwynplaine...

– Gwynplaine nie żyje – odezwał się jakiś głos.

Ursusowi wydało się, że czuje na swej skórze zimne dotknięcie gada. Słowa te wyrzeczone zostały przez Barkilphedra.

Ostatni błysk zgasł. Nie było już można wątpić dłużej. Gwynplaine nie żył.

Tamten człowiek na pewno wiedział swoje. Dość był na to posępny i ponury.

Ursus znów się uklonił.

Imć Nicless, dopóki nie o władnęło nim tchórzostwo, był dobrym człowiekiem, lecz przestraszony – stawał się okrutny. Największą niegodziwością jest strach.

Mruknął:

– Chwała Bogu, łatwiej pójdzie!

I za plecami Ursusa zatarł ręce ruchem, tak właściwym wszystkim egoistom, który znaczy:

– To już nie moja sprawa! – ruchem, który zawsze wydaje się być uczyniony nad miednicą Piłata Ponckiego.

Ursus stał z pochyloną głową, pogiębiony. Na Gwynplaine'ie wyrok już wykonano, wyrok śmierci; jemu samemu zaś wyrok odczytano – wyrok skazujący go na wygnanie. Trzeba było usłuchać, nie pozostało nic innego. Zamyślił się.



Nagle uczył, że ktoś dotyka jego łokcia. Był to ten drugi człowiek, towarzysz dowódcy straży. Ursus zadrżał.

Głos, który wyrzekł przed chwilą „Gwynplaine nie żyje”, szepnął mu do ucha:

– Macie tutaj dziesięć funtów szterlingów, które przysłała ktoś, kto dobrze wam życzy.

I Barkilphedro położył na stole przed Ursusem niewielką sakiewkę.

Przypominamy sobie szkatułkę, którą Barkilphedro zabrał był z Windsoru.

Dziesięć gwinei z dwu tysięcy – oto wszystko, na co stać było Barkilphedra. I sumiennie było to dość. Gdyby dał więcej – sam by stracił. Zadał sobie trud odkrycia lorda, rozpoczynał oto eksploatację, i pierwszy dochód z tej kopalni słusznie mu się należał. Kto by upatrywał w tym małoduszność – byłby w swoim prawie niewątpliwie, lecz nie powinien dziwić się. Barkilphedro lubił pieniądze, nade wszystko pieniądze ukradzione. W człowieku zawistnym kryje się sknera. Barkilphedro nie był bez przywary. Popędzanie zbrodni nie przeszkadza w posiadaniu ułomności. Tygrysy też miewają pchły.

Była to zresztą szkoła Bacona.

Barkilphedro zwrócił się ku dowódcy straży i rzekł:

– Zechciejcie kończyć już, panie. Czasu mam niewiele. Czeka na mnie powóz zaprzężony we własne konie jej królewskiej mości. Muszę wyciągniętym kłusem wracać do Windsoru i być tam najdalej za dwie godziny. Mam zdać sprawę z poruczonych mi czynności i odebrać dalsze rozkazy.

Dowódca straży wstał.

Podszedł ku drzwiom, które zamknięte były bardzo lekko, Otworzył je, popatrzył bez słowa na sądowych pacholków, a z dużego palca jego ręki wytrysła błyskawica władzy. Oddział wszedł do izby w milczeniu, które zapowiadało, że zbliża się oto chwila pełna surowości.

Imć Nicless uszczęśliwiony nagłym obrotem sprawy, kiedy to jednym cięciem przecięte zostały wszelkie możliwe kłopoty, uradowany, że wyplątał się nareszcie z tych zawilosci – na widok pacholków sądowych, sunących w rozwiniętym szyku, zląkł się, czy aby nie mają oni zamiaru pojmać Ursusa, i to tutaj, u niego właśnie. Dwa aresztowania w jego domu, jedno po drugim, w pierw Gwynplaine'a, a teraz Ursusa, zaszkodziłyby dobrej sławie gospody; ci, co piją w karczmie, nie lubią zgoła, by ich niepokoiła policja. Uznał, że należy oto wmieszać się w sposób należyte uniżony a szlachetny. Imć Nicless zwrócił tedy ku naczelnikowi straży swe uśmiechnięte oblicze, na którym uszanowanie miarkowało ufność.

– Wasza wielmożność, chciałbym zwrócić uwagę waszej wielmożności, że czcigodni panowie ze straży nie są już niezbędni teraz, skoro wilk-przestępca będzie wywieziony z Anglii, skoro tak zwany Ursus nie stawia żadnego oporu, skoro rozkazy waszej wielmożności najdokładniej są wykonane. Niechże wasza wielmożność rozważyć raczy, że działania urzędników policji – największego poszanowania godne i tak bardzo dla dobra królestwa potrzebne – szkodzić mogą zakładowi i że mój dom jest niewinny. Po uprzątnięciu – jak to jej królewska mość nazwać raczyła – linoskoków z „Zielonego Pudła” żadnych już tutaj przestępców nie widzę, nie sądzę bowiem, ażeby ślepa dziewczyna i dwie Cyganki mogły w czymkolwiek zawinić, upraszam więc i błagam waszą wielmożność, aby swe dostojne odwiedziny skrócić zechciała i aby raczyła odprawić tych cnych panów, którzy przed chwilą tutaj weszli, gdyż nie mają oni nic do czynienia w moim domu; jeżeli zaś wasza wielmożność zezwoli mi na danie świadectwa słowom moim w formie pokornego pytania – wykażę niezbitcie, że obecność tutaj tych czcigodnych panów jest zbyteczna, zapytując waszą wielmożność: skoro tak zwany Ursus poddaje się konieczności, kogóż mogą też oni jeszcze poszukiwać?

– Was! – odrzekł naczelnik straży.

Nie podobna pertraktować z pchnięciem szpady, które cię na wylot przeszywa. Imć Nicless, ogłuszony, siadł ciężko na stole czy też na ławie, na tym, co obok niego stało.

Dowódca straży podniósł głos; jeżeli na placu znajdowali się jacyś ludzie, mogli go usłyszeć.

– Imć Niclessie Plumptre, właścicielu tej tu właśnie oberży, oto, jaki jest ostatni już rachunek, który załatwić trzeba. Kuglarz i wilk – to włóczędzy. Zostają wygnani. Ale największym winowajcą wy właśnie jesteście. U was to bowiem i za waszą wiedzą i wolą pogwałcone zostało prawo; wy to, mający urzędowe zezwolenie na prowadzenie oberży, wy, obdarzeni publicznym zaufaniem i obarczeni publiczną odpowiedzialnością, wy sami umieściliście zgorzenie w waszym własnym domu. Imć Niclessie, zezwolenie na prowadzenie oberży cofnięte ci zostaje, zapłacisz grzywnę i pójdziesz do więzienia.

Pachołkowie otoczyli oberżystę.

Naczelnik straży wskazując na Govicum mówił dalej:

– Ten chłopak, współnik wasz, też wzięty zostanie.

Na ramię Govicum spadła dłoń sądowego pachołka. Chłopiec spojrzał nań z zaciekawieniem. Nie przestraszył się nadmiernie, niewiele z tego wszystkiego pojmował, oglądał już w życiu swoim niejedno dziwo i zapytywał sam siebie, czy nie jest to aby tylko dalszy ciąg komedii.

Dowódca straży nałożył kapelusz, skrzyżował obie ręce na brzuchu, co wyrażać miało najwyższy majestat władzy, i dodał jeszcze:

– Tak, imć Niclessie, zostaniecie odprowadzeni do więzienia i osadzeni w lochu. Wy i ten chłopak. A dom twój, gospoda „Tadcaster”, będzie zamknięty i opieczętowany. Dla przykładu. Wstań więc i chodź za nami.

# KSIĘGA SIÓDMA TYTANKA

## I. PRZEBUDZENIE

Dea?

Gwynplaine'owi, co z Corleone-lodge oglądał, jak dzień się rodzi, kiedy w gospodzie „Tadcaster” odbywały się te wszystkie wydarzenia – wydało się, że krzyk ten z zewnątrz przyszedł; a krzyk ten brzmiał w nim samym.

I któż nie usłyszał nigdy głębokiego wołania duszy?

Dniało zresztą.

A świt jest głosem.

I po cóż istniałoby słońce, jeśli nie po to, by budzić ze snu sumienia?

Światło i cnota jednego są gatunku.

Jakkolwiek nazywa się bóstwo, czy Chrystus czy Amor, zawsze nadejść musi godzina, w której zapomniane ono zostanie nawet i przez najlepszych; wszystkim nam, ludziom, wszystkim, nawet i świętym, potrzeba głosu, który by nam o nim przypomniał, a świt sprawia, że odzywa się w nas ostateczne ostrzeżenie. Sumienie budzi krzykiem swoim obowiązek, niczym pianie koguta, co odzywa się przed nastaniem dnia.

Serce człowiecze, ów chaos, słyszy *Fiat lux*.

Gwynplaine – nadal będziemy go nazywać tym imieniem; Clancharlie – to lord, Gwynplaine – to człowiek; – Gwynplaine jakby zmartwychwstał.

A czas już był na podwiązanie tętnicy.

Uchodzić z niego zaczęła uczciwość.

– A Dea! – tak rzekł.

I uczył w żyłach swoich krązenie jakby jakiejś transfuzji szlachetnej. Coś zdrowego a burzliwego poruszyło się w nim gwałtownie. Nagły wybuch dobrych myśli jest jak powrót do domu kogoś, kto nie ma klucza od własnych drzwi i najuczciwiej wyważa swoją własną ścianę. Zdarzają się wtargnięcia przemocą, ale dobra. Zdarzają się włamania, ale zła.

– Dea! Dea! Dea! – powtarzał.

Sam przed sobą potwierdzał istnienie swego własnego serca.

I zapytał głośno:

– Gdzie ty jesteś?

I zdziwił się prawie, że nikt mu nie odpowiedział.

Rozglądając się po suficie, po ścianach, w obłąkaniu, w które rozum powracać zaczynał, mówił:

– Gdzie ty jesteś? Gdzie ja jestem?

I po komnacie tej, po tej klatce znów chodzić zaczął krokami dzikiego, zamkniętego zwierzęcia.

– Gdzie ja jestem? W Windsorze. A ty gdzie? W Southwarku. Ach, Boże mój! Oto po raz pierwszy przestrzeń oddziela nas od siebie. Kto to wykopał tę przepaść? Ja tu, ty tam! Nie, tego nie ma, tego nie będzie. Co oni ze mną uczynili?

Zatrzymał się.

– I któż to mówił ze mną o królowej? Czy ja co o tym wszystkim wiem? Zmienić się! Ja zmienić się miałem! Dlaczego? Dlatego, że jestem lordem? Czy wiesz, Deo, co się stało? Jesteś lady. Dziwne rzeczy dzieją się na świecie. Tak, trzeba odnaleźć swoją własną drogę. I któż to sprawił, że się zabląkał? Jakiś człowiek mówił do mnie tajemniczo, niejasno. Pamiętam jego słowa: „Milordzie, z otwarciem jednych drzwi zamykają się drugie. Nie ma już tego, co za tobą pozostało.” Innymi słowy: Jesteś łotrem! Ten człowiek, ten nędznik mówił mi to wszystko, kiedy nie byłem jeszcze rozbudzony. Nadużył pierwszej chwili mojego zdumienia. Byłem niby zdobycz w jego rękach. Gdzież on jest? Niechaj go znieważę! Mówił do mnie z mrocznym uśmiechem ze snu. Ale oto na powrót sobą się staje! I tak jest dobrze. Myli się ten, co by sądził, że zrobi to, co zechce, z lordem Clancharlie! Par Anglii, tak, zapewne, ale u boku parowej, którą jest Dea. Warunki! A czyż ja je przyjąłem? Królowa! Cóż mnie obchodzi królowa! Nigdy jej nawet nie widziałem. Nie po to jestem lordem, żeby stać się niewolnikiem. W potęgę moją wchodzi wolny. Czy oni wyobrażają sobie, że nadaremnie oswobodzili mnie z pęt? Zdjęto mi kaganiec, i to wszystko. Deo! Ursusie! Razem jesteśmy. Czym wy byliście, tym ja byłem. Czym ja jestem, tym wy jesteście. Chodźcie tu! Nie! Ja idę do was! Natychmiast! Natychmiast! Za długo czekałem. Co oni myślą tam, widząc, że mnie dotąd nie ma? Te pieniądze! Kiedy pomyślę sobie, że posłałem im pieniądze! Ja sam powinienem był do nich iść. Tak, przypominam sobie, ten człowiek powiedział, że nie wolno mi wyjść stąd. Zobaczmy! Powóz, hej, powóz! Zaprzęgać, szybko! Jadę po nich. Gdzie jest służba? Musi być służba, skoro jest pan. Ja tu jestem panem. To mój dom. I powykręcam w nim rygle, wyłamuję zamki i wywalę drzwi kopniakami. Kto by mi zastąpił drogę, tego szpadą przeszyję na wskroś, bo teraz mam i szpadę. Chciałbym zobaczyć tego, co mi opór stawia. Mam żonę, jest nią Dea. Mam ojca, jest nim Ursus. Mój dom jest pałacem i daję go Ursusowi. Moje imię jest diademem i daję go Dei. Szybko! Szybko! Oto jestem, Deo! Jakże szybko przebędę dzielącą nas przestrzeń. Idę!

I podniósłszy pierwszą z brzegu kotarę, z impetem wyszedł z komnaty.

Znalazł się na korytarzu.

Poszedł przed siebie.

Wkrótce ukazał się drugi korytarz.

Wszystkie drzwi były pootwierane.

Począł iść na chybił trafił, z komnaty, do komnaty, z galerii w galerię, szukając wyjścia.

## II. PAŁAC PODOBNY JEST DO LASU

W pałacach budowanych w stylu włoskim, a takim właśnie pałacem był Corleone-lodge, drzwi bywa niewiele. Wszędzie tylko zasłony, portiery, kotary.

W czasach owych wewnątrz każdego pałacu było osobliwą gmatwaniną komnat i korytarzy, w których wszędzie panoszył się przepych; złocenia, marmury, rzeźbione boazerie, wschodnie jedwabie; zakamarki to tajemnicze, ciemne, to znowu światłem zalane. Znaleźć tam mógłś i pokoiki na poddaszu, urządzone z wesołym zbytkiem, i zakątki wylakierowane całe, błyszczące, o ścianach przyodzianych w fajansowe kafle holenderskie czy też portugalskie, i antresole umieszczone we wnękach wysokich okien, i gabineciki całe z szyb, śliczne mieszkalne latarnie. W grubych murach wydrążone bywały ukryte komnatki. Tu i ówdzie – istne pudełeczka, czyli garderoby. Nosiło to wszystko nazwę „małych apartamentów”. Tu właśnie popełniano zbrodnie.

Jakże poręcznie było tutaj czy to zabić księcia de Guise, czy zniewolić ładną prezydentową de Sylvecane, czy też, później już, zdusić krzyki dziewczątek sprowadzanych przez Lebela. Wnętrza zawile, w których nowoprzybyły nie mógł się rozeznać. Miejsca gwałtów; dna nieznanne, na których osiadały zniknięcia. Książęta i możni składali w tych wykwintnych pieczarach zdobycz swoją, hrabia de Charolais ukrywał tutaj panią Courchamp, małżonkę sędziego, pan de Monthulé ukrywał tutaj córkę Haudry'ego, fermiera z Croix Saint-Lenfroy; księżę de Conti ukrywał tutaj dwie piękne piekarki z Ile-Adam, księżę de Buckingham ukrywał tutaj biedną Pennywell i tak dalej. Rzeczy, które się tam działy, należały do tych, co dokonują się – jak mówi prawo rzymskie – *vi, clam et precario*, siłą, w tajemnicy i na krótko. Kto tam się znalazł – ten zdany był na kaprys pana pałacu. Były to lochy tajemne, tyle że pozłacane. Ni to klasztor, ni to harem. Kręcone schodki pięły się w górę i w dół wiodły. Spirala pokoi, jeden, w drugi przechodzących, doprowadzała cię tam, skąd wyszedłeś. Galeria rozszerzała się w domową kaplicę, konfesjonał rozrastał się w alkowę. Rozgałęzienia krzaków koralowych i wydrążenia gąbek służyc chyba musiały za wzór architektom tych „małych apartamentów” królewskich i wielkopańskich. Płatanina ich była nie do rozwikłania. Ruchome portrety przesuwały się odsłaniając otwory-drzwi. Działy mechanizmy. I tak trzeba było; bo odgrywały się tutaj dramaty. Piętra tego ula wspinały się od piwnic aż do poddasza. Ten polip koralowy, winkrustowany we wszystkie pałace, poczynając od Wersalu, był niby mieszkanie pigmejów w domu tytanów. Korytarze, zaciszne kąciki, gniazdka, komórki w plastrze miodu, skrytki, wszelakiego rodzaju zakamarki, w których wielcy ukrywali swoją małość.

Miejsca te, wijące się i zamknięte, naprowadzały na myśl o zabawie w ciuciu-babkę, na myśl o zawiązanych oczach, dłoniach szukających po omacku, stłumionych chichotach; i zarazem przywodziły na pamięć wspomnienia Atrydów, Plantagenetów, Medyceuszy, dzikich rycerzy z Elz, Rizzia, Monaldeschi, szpady, co z pokoju do pokoju goniły uciekającego.

Starożytność znała również takie swoje tajemnicze pomieszczenia, w których przepych przystosowany był do potworności. Modele ich zachowały się pod ziemią w niektórych egipskich grobowcach, choćby w krypcie króla Psametikusa, odkrytej przez Passaleacqua. U dawnych poetów odnaleźć można strach przed takimi podejrzanymi budowlami. *Error circumflexus, locus implicitus gyris*.

Gwynplaine znalazł się w małych apartamentach Corleone-lodge.

Trawiła go gorączka wyjścia stąd, odjechania, zobaczenia Dei. Ta płatanina korytarzy, pokoiaków, przejść ukrytych i niespodzianych zatrzymywała go, opóźniała wykonanie zamiaru. Chciał biec, a musiał się tu błąkać. Wydawało mu się, że wystarczy pchnąć jedne drzwi, a oto trzeba mu było rozplątywać nie lada jaką zawilść.

Po pokoju – drugi pokój. I znów rozdroża salonów.

Nie napotykał niczego żyjącego. Nasłuchiwał. Nic się nie poruszało.

Chwilami wydawało mu się, że wraca po swoich własnych śladach.

Chwilami mniemał, że ktoś idzie mu naprzeciw. Ale nikt nie szedł. Był to on sam, odbity w lustrze, w swoim pańskim stroju.

Był to on sam, nieprawdopodobny. Poznawał samego siebie po chwili dopiero.

Szedł, jak wiodły drzwi i korytarze.

Zapuszczał się w meandry tej intymnej architektury; tu gabinet kokieteryjnie malowany i rzeźbiony, nieco rozwiązły i bardzo dyskretny; tam kaplica, dwuznaczna, wykładana emalią i masą perłową, ozdobiona rzeźbami w słoniowej kości, które oglądać trzeba było przez powiększające szkło, niby wieczko tabakierki; tam znowu wytworny florencki zakątek, przystosowany do tego, by stać się schronieniem kaprysom kobiecym, który później otrzymał nazwę buduaru. Wszędzie – na sufitach, na ścianach, na posadzkach nawet – znajdowały się wyrobione w aksamicie i drogich kruszcach przedstawienia ptaków i drzew, najdziwniejszej roślinności, ozdobione perłami, wypukłym haftem złotym, rzędami ponaszywanych kamieni, rycerze, królowe, trytony-kobiety z ogonami hydry. Cięte ukośnie kryształły grały tęczowym blaskiem swych pryzmatów. Migoczące szkiełka udawały drogocenne klejnoty. Iskrzyły się ciemne wnęki. I nie wiedziałeś zgoła, czym były te powierzchnie świecące, te szmaragdowe zielenie zmieszane ze złotem słońca wschodzącego, te tumany pyłków mieniących się niczym podgardle gołębia – czy maleńkimi zwierciadełkami czy też akwamarynami niezwyklej wielkości. Przepych jakże subtelny i jakże przeogromny zarazem. Co to było? Może milutkie cacko, miniatura pałacu, a może największa ze wszystkich na świecie szkatulek na klejnoty? Domek dla królowej Mab lub też zabawka dla Géo. Gwynplaine szukał wyjścia.

I nie mógł go znaleźć. Rozeznanie się w tych zawiłościach było nieprawdopodobieństwem. Nic tak mocno nie uderza do głowy jak przepych oglądany po raz pierwszy. A swoją drogą był to prawdziwy labirynt. Po każdym kroku wyrastała przed nim jakaś nowa zbyt kowna przeszkoda. Pałac jakby opierał się jego odejściu, jakby nie chciał go wypuścić. Oblepił go istny lep cudów. Czuł się schwytyany, przytrzymany.

„Cóż za straszliwy pałac” – myślał sobie.

Błąkał się po tym labiryncie, niespokojnie zapytując samego siebie, co to wszystko znaczy. Czyżby był w więzieniu? Rósł w nim gniew, łaknął powietrza. Powtarzał: – Dea! Dea! – jak trzyma się w ręce nić, której przerwać nie wolno, nić, za którą idąc, jedynie wydostać się można.

Co pewien czas nawoływał:

– Hola! Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi.

Pokojom tym nie było końca. Stały puste, ciche, wspaniałe, złowrogie.

Tak właśnie wyobraża sobie człowiek zaczarowane pałace.

Ukryte źródła ciepła utrzymywały temperaturę pełnego lata we wszystkich tych gabinetkach i korytarzach. Wydać by się mogło, że czerwiec schwytyany został przez jakiegoś czarodzieja i tu, w tym labiryncie, zamknięty. Chwilami pachniało. Mijałeś fale woni, jakby kwitły gdzieś niewidzialne kwiaty. Ciepło było. Wszędzie dywany. Można by tu chodzić nago.

Gwynplaine wyglądał przez okna. Widoki zmieniały się. To były to ogrody, pełne świeżości wiosennej i porannej, to znów inne ściany z innymi rzędami posągów, to hiszpańskie patia – kwadratowe wewnętrzne dziedzińce wykładane kamiennymi płytami, wilgotne i chłodne; czasem widział rzekę – Tamizę, czasem zaś wysoką wieżę Windsoru.

Na dworze o tak wczesnym ranku nie było jeszcze nikogo.

Przystawał. Nasłuchiwał.

– Wydostanę się stąd – mówił sobie. – Pośpieszę do Dei. Nikt mnie przecież siłą nie zatrzyma. Biada temu, kto by mi próbował przeszkadzać przy wyjściu! Cóż to za wieża taka

ogromna? Jeżeli mieszka w niej olbrzym, pies piekielny, Cerber straszliwy, co strzeże bram tego zaklętego pałacu – zmożę go i zabiję. Zastępy pokonam! Deo! Deo!

Wtem usłyszał jakiś leciutki szelest. Podobny do szmeru spływającej wody.

Znajdował się właśnie w galerii wąskiej, ciemnej, zamykającej się o kilka kroków przed nim rozciętą pośrodku kotarą.

Podszedł do kotary, rozsunął ją, wszedł.

Wszedł w niespodziankę.

### III. EWA

Ośmioboczna, sklepiąca sala bez okien, górnym tylko światłem oświetlona; ściany, posadzka, sklepienie – wszystko to było z brzoskwiniowego marmuru; na środku sali stał baldachim w kształcie stożka, z marmuru czarnego, wsparty na kolumnach skręconych spiralnie, w ciężkim a czarującym stylu elżbietańskim; baldachim ten okrywał swoim cieniem wannę-basen, również z czarnego marmuru; w środku basenu wodotrysk, ciepły i pachnący, bił łagodnie, napełniając powoli wielką misę; oto, co ukazało się oczom Gwynplaine'a.

Czarna kąpiel przekształcająca biel ciała w promienistość.

Tej to wody szmer usłyszał. Upływ, umieszczony w owej wannie na pewnej wysokości, nie dopuszczał do jej przepełnienia. Unosiła się nad nią para, ale tak lekka, że odrobina tylko wilgoci skropiła się na marmurze. Wąty wodotrysk podobny był do smukłej różdżki, ze stali, chwiejącej się pod lada powiewem.

Nigdzie żadnego sprzętu. Tuż obok wanny tylko jedno z tych foteli-łóżek, z poduszkami, dość długie, aby u stóp leżącej na nim kobiety zmieścić się mógł jej piesek czy też jej kochanek; stąd i nazwa *can-al-pie*<sup>5</sup>, z której powstała później „kanapa”.

Był to szezlong hiszpański, ramę i nogi miał ze srebra. Poduszki i obicie były z białego atłasu.

Z drugiej strony wanny, pod samą ścianą, stała wysoka etażerka, też srebrna, z wszelakimi przyborami toaletowymi, mająca pośrodku osiem niewielkich weneckich luster, umieszczonych w srebrnej oprawie w sposób naśladowujący okno.

W jednej z ośmiu ścian, tej, która znajdowała się najbliżej szezlongu, wycięty był kwadratowy otwór przypominający okienko, zamknięty klapą ze srebrnej blachy. Kłapa ta miała zawiasy niczym okiennica. Na jej srebrnym tle błyszczała korona królewska ze złota i czarnej emalii. Ponad klapą zwisał przytwierdzony do ściany dzwonek z połączanego srebra, a może nawet i ze złota.

Naprzeciwno wejścia do tej sali, na wprost Gwynplaine'a, który jak wryty stał na progu, brakowało jednej z ośmiu marmurowych ścian. Zastępował ją otwór takiej samej wielkości, dochodzący aż do sklepienia i przesłonięty wielką płachtą srebrzystej tkaniny.

Tkanina ta, przedziwnej cienkości, była przezroczysta. Mogłeś poprzez nią widzieć wszystko.

W samym środku tkaniny, tam gdzie na pajęczynie znajduje się pająk, ujrzał oto Gwynplaine rzecz przerażającą – nagą kobietę.

Nie dosłownie nagą. Kobieta ta była ubrana. Ubrana od stóp do głów. Stojem jej była koszula bardzo długa, niczym suknia aniołów na świętych obrazach, lecz taka cienka, że wydawała się wilgotna. Stąd i pozór nagości, jeszcze niebezpieczniejszy niż nagość prawdziwa. Znane są nam z historii księżniczki i wielkie damy idące w procesji między dwoma rzędami mnichów; tak więc księżna de Montpensier, na przykład, pod pretekstem bosych stóp i pokory ukazała się całemu Paryżowi w koronkowej koszuli jedynie. Dodajmy, że ze świecą w ręku.

Srebrzysta tkanina, przezroczysta jak szyba, tworzyła kotarę. Umocowana była tylko w górze i można ją było podnosić. Oddzielała salę z marmuru – łazienkę – od komnaty, od sypialni. Komnata ta, niewielka, tworzyła coś na kształt zwierciadlanej groty. Weneckie lustra, przylegające do siebie wielościannie pospajane złotymi listewkami, odbijały zewsząd łoża stojące pośrodku. Na łożu tym, również srebrnym jak i szezlong, i toaleta, leżała kobieta. Spała.

---

<sup>5</sup> Piesek u stóp.



Spała z głową w tył przechyloną, odrzuciwszy nogą przykrycie, jak piękna upioryca, ponad którą sen unosi się na skrzydłach.

Jej koronkowa poduszka spadła na kobierzec.

Dwie przeszkody stały pomiędzy nagością tej kobiety i spojrzeniem – koszula jej i zasłona ze srebrnej gazy, dwie przezroczystości. Komnata – raczej alkowa – oświetlona była dość wstrzemięźliwie odblaskiem przedostającym się z łazienki. Kobieta, być może, nie знаła wstydu, lecz znało światło.

Łoże nie miało kolumn ani baldachimu, ani poręczy; kiedy kobieta otwierała oczy, mogła ujrzeć się po tysiącokroć nagą w lustrach rozmieszczonych nad jej głową.

Beżład pościeli opowiadał o niespokojnym śnie. Piękno fałd świadczyło o cienkości płótna. Była to epoka, kiedy królowa pewna obawiając się, że może zostać potępiona po śmierci, wyobrażała sobie, że piekło – to łoże zasłane grubym prześcieradłem.

Zwyczaj sypania nago pochodził z Włoch i brał swój początek od Rzymian. *Sub clara nuda lucerna* – mówi Horacy.

Zwierzchnia szata poranna z niezwyklego, chińskiego chyba jedwabiu – gdyż w fałdach jej dostrzec można było wielką jaszczurkę złotem tkaną – porzucona była w nogach łoża.

Z tyłu, za łożem, w głębi alkowy, znajdowały się zapewne drzwi, zamaskowane i zaznaczone zarazem dużą taflą lustrzaną, na której wymalowane były łabędzie i pawie. W komnacie tej, urobionej z cienia, wszystko połyskiwało. Szpary pomiędzy taflami luster i ich obramieniem złotym wypełnione były błyszczącą masą, zwaną w Wenecji „zółcią szklaną”.

U wezgłowia umocowany był na ruchomych podpórkach pulpit srebrny z dwoma świecznikami; leżała na nim otwarta księga z wypisanym czerwonymi literami u góry każdej strony tytułem: *Alcoranus Mahumedis*.

Gwynplaine szczegółów tych nie dostrzegał. Widział jedno tylko: kobietę.

Stał jak skamieniały i wzburzony zarazem; zdarza się bowiem, że współlistnieje to, co się nawzajem wyklucza.

Poznawał tę kobietę.

Oczy miała zamknięte, lico zwrócone w jego stronę.

Była to księżniczka.

Ona, owa istota tajemnicza, w której połączyły się wszystkie blaski nieznanego, ta, która prześnić mu kazała tyle niewyznawalnych snów, ta, która mu napisała list taki dziwny! Jedyna na świecie kobieta, o której mógł powiedzieć: „Widziała mnie i chce być moją.” Odpędził sny, list spalił. Wygnał ją, jak tylko mógł najdalej, ze swego marzenia i ze swej pamięci; już o niej nie myślał; już o niej zapomniał...

I widzi ją znowu!

I widzi ją, jakże groźną.

Kobieta naga jest zbrojna.

Nie oddychał wcale. Czuł się jakby podniesiony na obłoku i naprzód pchany. Patrzył. Ta kobieta przed nim! Czy to możliwe?

W teatrze – księżniczka. Tu – nereida, najada, wróżka. I tu, i tam – piękne widziadło.

Próbował uciec i czuł, że nie jest to możliwe. Spojrzenie jego zamieniło się w dwa łańcuchy, które go przykuwały do tej zjawy.

Czy była dziewczką? Czy dziewczycą? I tym, i tym zarazem. Mesalina, obecna tu, być może, choć niewidzialna, uśmiechała się pewnie, a Diana czuwała. Na piękności tej leżał blask niedostępnego. I jakąż to czystość porównać można było z tym kształtem niewinnym i dumnym? Rozpoznaje się od razu śniegi, których nigdy nie dotknęła ludzka stopa. Była w tej kobiecie święta białość Jungfrau. Z jej nieświadomego czoła, z rozrzuconych, płomiennych włosów, ze spuszczonej rzęs, z ledwie dostrzegalnych błękitnych żyłek, z wyrzeźbienia krągłych piersi, z ud i kolan wymodelowanych różowym dotknięciem koszuli tchnęła wspaniałość boskiego snu. Bezwstyd ten rozkładał się w promienistość. Istota owa była naga ze spokojem tak wiel-

kim, jakby miała prawo do cynizmu bogów, była naga ze swobodą mieszkanki Olimpu, co stała się córą otchłani, co rzecz może Oceanowi: „Ojczel!”, i oddawała się, niedostępna i wspa-  
niała, wszystkiemu, co mogło przejść mimo, spojrzeniom, pragnieniom, żądom, marzeniom, uśpiona w tym łożu sypialni tak dumnie jak Wenus w pianie morza.

Usnęła w nocy i teraz, choć był już dzień biały, jeszcze spała; ufność, zrodzona wśród ciemności, trwała wśród światła.

Gwynplaine drżał. Podziwiał.

Podziw to niezdrowy, nazbyt wszechogarniający.

I bał się.

Szkatułka z niespodziankami ludzkiego losu nigdy się nie wyczerpuje. Gwynplaine sądził, że jest już u kresu. I oto rozpoczynał od nowa. Czymże były te błyskawice rozrywające się nad jego głową raz po raz, bez ustanku, i ten grom wreszcie, najpotężniejszy, rzucający przed niego, drżącego człowieka, uśpioną boginię? Czymże było to stopniowe rozwieranie się niebiosów, z których oto wreszcie wychodził sen jego upragniony i groźny? Czymże były te uprzejmości nieznanego kusiciela, podsuwające mu po kolei jego niejasne pragnienia, nieokreślone zachcianki, jego złe myśli w końcu, co żywym stały się ciałem i przygniatały go narastającym a upajającym ciężarem rzeczywistości czerpanej z nieprawdopodobieństwa? Czyżby wszystkie mroki świata zmówiły się przeciwko niemu, nędzarzowi? I co się z nim stanie teraz, wśród tych wszystkich złowrogich uśmiechów fortuny dookoła? Czymże było to oszołomienie zawrotne, ułożone z rozmysłem? Ta kobieta! Tam! Dlaczego? W jaki sposób? Nie było wytłumaczenia. Dlaczego on? Dlaczego ona? Czyżby go zrobiono parem Anglii umyślnie dla tej księżniczki? Któż to sprawił, że się oto oboje spotykali? Kto był tu oszukany? Kto był ofiarą? Czyjej dobrej wiary nadużyto? Czyżby oszukiwano Boga? Myśli tych nie uświadamiał sobie wyraźnie, lecz tylko jakby je dostrzegał na chwilę w mózgu swoim poprzez czarne chmury, co się tam przesuwają. Ta siedziba zaczarowana i niezycziwa, ten pałac dziwny, uporczywy jak więzienie – czyżby i on też należał do spisku? Gwynplaine ulegał oto jakiemuś wchłanianiu. Ciemne siły spętywały go tajemnym sposobem. Ciężenie własnego ciała trzymało go na uwięzi. Wola, jakby ją ktoś wyłudzał, opuszczała go. Czegóż mógł się uchwycić? Stał błędny i zachwycony. Czuł, że tym razem postradał rozum bezpowrotnie. Spadał i spadał w dół, w nieznaną otchłań olśnienia.

Kobieta spała.

A w nim wzburzenie wzmagало się, rosło; nie była to już dłoń lady, księżniczka, wielka pani; lecz po prostu i jedynie – kobieta.

Wszelakie zboczenia bezwładnie spoczywają w człowieku. W organizmie naszym znajduje się niewidzialny a gotowy wykres każdego występku. Nosimy go w sobie nawet niewinni, nawet czysti z pozoru. Być bez zmywy nie jest to jeszcze być bez skazy. Miłość jest prawem. Rozkosz jest zasadzką. Istnieje upojenie, istnieje i pijaństwo. Upojenie – to pragnienie tej właśnie, jedynej kobiety. Pijaństwo – to pragnienie kobiety, jakiegokolwiek.

Gwynplaine odchodząc od zmysłów drżał.

Co począć przeciwko temu spotkaniu? Nie było tu nafałdowania tkanin, jedwabistej obfitości, toalety zalotnej i powłóczystej, nie było wykwintnej przesady to zasłaniającej, to odsłaniającej, nie było obłoku. Tylko nagość w swojej groźnej zwięzłości. Niby tajemnicze podsumowanie, bezwstyd rajski. Wyzwanie rzucone ciemnej stronie natury człowieka. Ewa – gorsza od Szatana. Połączenie ludzkiego i nadludzkiego. Niepokojące upojenie, doprowadzające do zwycięstwa brutalności i instynktu nad obowiązkiem. Królewski kształt piękności jest jak rozkaz. Kiedy zstąpi on ze sfery ideału i rzeczywistością stać się raczy – bliskość to dla mężczyzny zgubna.

Chwilami księżniczka poruszała się miękko w łożu, ledwie dostrzegalnymi ruchami obłoków na niebie, i zmieniała pozycję, jak mgła zmienia swój kształt. Falowała układając się w coraz to inne czarowne przegięcia. Kobieta posiada całą gibkość wody. W księżniczce było

coś nieuchwytnego jak w wodzie. Choć zabrzmiało to dziwacznie – leżała tam, ona, widzialne ciało, a nadal była chimera. Dotykalna, jakże wydawała się daleka. Gwynplaine, oszołomiony, błądził, patrząc. Słuchał, jak drga ta pierś, i sądził, że słyszy oddech widma. Był przyciągany i szamotał się. Co począć przeciwko niej? Co począć przeciwko sobie?

Przygotowany był na wszystko, z wyjątkiem tego właśnie jedynie. Okrutny strażnik u drzwi, straszliwy potwór-stróż, którego zwyciężyć trzeba – oto, czego się spodziewał. Przewidywał Cerbera, znalazł Hebe.

Naga kobieta. Śpiąca kobieta.

Cóż za posępna walka!

Zamknął oczy. Nadmiar jutrzeńki sprawia cierpienie żrenicom. Lecz znów ją ujrzał, natchmiast, poprzez zamknięte powieki. Bardziej mroczną, równie piękną.

Uciec nie jest łatwo. Próbował, lecz nie mógł. Wrósł w miejsce, w którym stał, jak wrasta się czasem we śnie. Kiedy chcielibyśmy cofnąć się, pokusa przygwaźdza nasze stopy do posadzki. Można iść naprzód, nie można iść w tył. Niewidzialne ramiona grzechu wyrastają spod ziemi i ciągną nas po pochyłości.

Przyjęło się powszechnie twierdzenie banalne, jakoby wzruszenie przytępiało się, słabło. Jak bardzo jest to fałszywe! Równie dobrze powiedzieć by można, że od kwasu azotowego, kapiącego powoli, kropla po kropli, goi się i zabliznia rana, że przywykł do swego losu ćwiartowany Damiens.

Naprawdę zaś każda nowa doza wzruszenia budzi w nas doznania coraz to bardziej przenikliwe.

Od zdumienia do zdumienia doszedł oto Gwynplaine do paroksyzmu. Waza – rozum jego – przelała się z dodaniem tego nowego dziwu. Czuł w sobie straszliwe jakieś przebudzenie.

Nie miał już busoli. Była przed nim jedna tylko pewność – ta kobieta. Otwierało się przed nim szczęście, na które nie było rady, szczęście podobne do rozbicia się okrętu na morzu. Nie było już wyboru drogi. Prąd, któremu niesposób się ostać, i skała podwodna. Nie skała, lecz syrena. Magnes znajdujący się na dnie przepaści. Gwynplaine chciał wyrwać się z kręgu Jego przyciągania – lecz w jaki sposób miał to uczynić? Nie miał już żadnego punktu oparcia. Rozkołysaniu człowieka nie ma końca. Człowiek stać się może równie bezbronny co statek na fali. Kotwicą jest sumienie. Smutne to, ale i sumienie może się zerwać.

I tej oto nawet nie miał ucieczki i pomocy: – Jestem zniekształcony i straszny. Ona odepchnie mnie. – Ta kobieta napisała mu, że go kocha.

Wśród przesilenia nadchodzi chwila zawiśnięcia w próżni. Kiedy zrywa się więź łącząca nas z dobrem i ciężać zaczynamy w stronę zła – ta część natury naszej, która już się ku temu złu przechyliła, przeważa i pociąga nas. Czyżby właśnie i dla Gwynplaine'a nadeszła ta smutna chwila?

Jak umknąć?

A więc ona to była, księżniczka! Tamta kobieta! Miał ją oto przed sobą, w tej alkwie, w tym miejscu ustronnym, uśpioną, bezbronną, samą. Na jego łasce była, a on był w jej władzy!

Księżniczka!

Dostrzegłeś gwiazdę daleko, daleko w przestrzeni. I zachwyty cię ogarnął. Taka jest odległa! I po cóż bać się tej gwiazdy przytwierdzonej do nieba? Pewnego dnia – pewnej nocy – widzisz, że gwiazda porusza się. Widzisz, jak drży wokół niej światło. Gwiazda ta, zdawało ci się – obojętna, drgnęła. To nie gwiazda, to kometa. To potęga podpalająca niebo. Gwiazda zbliża się, rośnie, potrząsa purpurową grzywą, staje się olbrzymia. Idzie w twoją stronę. O grozo, do ciebie idzie! Kometa zna cię, kometa pragnie ciebie, kometa ciebie chce. O przerażające niebiańskie nadejście! To, co zbliża się ku tobie, to nadmiar światła, który jestślepieniem; to nadmiar życia, który jest śmiercią. Nie pragniesz tego pochylenia się nad tobą zenitu. Odrzucasz ten dar miłosny otchłani. Kładziesz dłoń swoją na oczach, kryjesz się, uciekasz, sądzisz, żeś ocalony. Otwierasz oczy... – Groźna gwiazda znowu jest przed tobą. I nie jest już

gwiazdą, lecz światem całym. Światem nieznanym. Światem z lawy i żaru. Żarłocznym cudem głębokości. Ten karbunkuł z dna nieskończoności, ten diament z najdalszej otchłani podszedł blisko i stał się oto ogniem. Ogarnął cię jego płomień.

I czujesz, jak spalenie twoje rozpoczyna się ciepłem raj.

## IV. SZATAN

Nagle śpiąca przebudziła się. Usiadła na łóżku ruchem pełnym żywego i harmonijnego majestatu; jej jasne, jedwabiste włosy rozsypały się w miłym nieładzie aż na biodra; koszula osunęła się z ramienia, odsłaniając pierś; dotknęła smukłą dłonią bosych palców swej nagiej stopy i przypatrywała się przez chwilę jej kształtom godnym uwielbienia Peryklesa i dłuta Fidiasza; potem, przeciągnęła się i ziewnęła jak tygrysica o wschodzie słońca.

Gwynplaine dyszał zapewne ciężko, z wysiłkiem, jak zwykle się dzieje wtedy, kiedy brak nam oddechu.

– Czy jest tam kto? – zapytała.

Wymówiła te słowa ziewając, a było to pełne uroku.

Gwynplaine usłyszał głos, którego nie znał jeszcze. Głos czarodziejski, o brzmieniu rozkosznie wyniosłym, w którym pieśczośliwość tonu łagodziła nawyknięcie do rozkazywania.

A ona uklękawszy – istnieje posąg grecki, klęczący tak w fałdach przezroczystej draperii – przyciągnęła ku sobie swą szatę poranną, wyskoczyła z łóżka zwinnie, niczym strzała, i stanęła, naga na chwilę. W mgnieniu oka otuliła się w jedwab swojej sukni. Rękawy jej, bardzo długie, skrywały dłonie. Widać było tylko palce stóp, białe, z małymi paznokietkami, jak u dziecka.

Falę włosów wyrzuciła na plecy, na wierzch sukni, pobiegła w głąb alkowy, za łóżko, i przyłożyła ucho do malowanego lustra, za którym zapewne ukryte były drzwi.

Zgiętym palcem zastukała w zwierciadło.

– Czy jest tam kto? Lordzie Dawidzie, czy to ty już może? Która godzina? Czy to ty, Bar-kilphedro?

Odwróciła się.

– Nie. To nie z tej strony. Czyżby był ktoś w łazience? Proszę odpowiadać. Ależ nie, przecież nikt nie może przyjść od tamtej strony.

Podeszła do kotary srebrnej, rozsunęła ją stopą, odgarnęła ręką i weszła do marmurowej komnaty.

Gwynplaine poczuł w sobie niby dreszcz konania. Nie było gdzie się schronić. Nie było kiedy uciekać. A zresztą i sił mu zabrakło. Pragnął, aby rozstała się posadzka, pragnął zapasć się pod ziemię. Musiała go ujrzyć, nie było na to rady.

I ujrzała go.

Patrzyła nań cudownie zadziwiona, bez drgnienia jednak, z wyrazem i szczęścia, i pogardy.

– O! – rzekła – Gwynplaine!

Jednym nagłym skokiem, bo kotka ta była panterą, rzuciła mu się na szyję.

Objęła jego głowę nagimi ramiony, w uniesieniu w tył odrzucając rękawy sukni.

I nagle odepchnawszy go, wpiła w kark Gwynplaine'a swoje dwie drobne ręce, jak szpony, i stanęła przed nim, a on przed nią stał, a ona zaczęła wpatrywać się dziwnie w jego twarz.

Patrzyła urocząc go swymi aldebaranowymi oczami z dwoistych promieni, swym wzrokiem nieczystym i gwiezdny. Gwynplaine zapatrzył się w jej błękitną źrenicę i w jej czarną źrenicę, tracąc zmysły pod utkwionym w nim podwójnym spojrzeniem i piekła, i nieba. Kobieta i mężczyzna przesyłali sobie złowrogie olśnienie. Fascynowali się, on ją potwornością, ona jego urodą; a oboje siebie nawzajem – grozą straszliwą.

Gwynplaine milczał jakby przywalony ciężarem, którego podnieść nie można. A ona zawołała:

– Jakiś ty rozumny! Przyszedłeś. Dowiedziałeś się, że przymuszono mnie, bym wyjechała z Londynu. Pośpieszyłeś za mną. Dobrześ uczynił. Jesteś zaiste niezwykły, skoroś się tutaj dostał.

Kiedy dwie istoty znajdują się we władzy wzajemnego pożądania tak jest, jakby je poraził grom. Gwynplaine, tknięty jakimś niejasnym przecuciem, jakąś gwałtowną i uczciwą trwożą, cofnął się, lecz przytrzymały go różowe paznokcie, co wpiły się w jego kark. Oto nadchodziło nieuniknione. Był w jaskini dzikiej, pierwotnej kobiety, on, mężczyzna pierwotny i dziki.

A ona mówiła:

– Anna, ta głupia Anna – wiesz przecie? – królowa – wezwała mnie do Windsoru, sama nie wiedząc po co. Kiedy przyjechałam, zamknęła się ze swoim idiotycznym kanclerzem. Ale w jaki sposób udało ci się aż tutaj do mnie dostać? Oto mi prawdziwy mężczyzna, mężczyzna co się zowie. Przeszkody? Nie ma przeszkód. Wezwano cię, więc przybywasz. Dowiadywałeś się, prawda? Znałeś chyba moje imię, wiedziałeś, że nazywam się księżniczka Jozjana. Kto cię wprowadził tutaj? Pewnie paż. Sprytny jest. Dam mu sto gwinei. Jakżeś sobie poradził? Powiedz. Nie, nie mów nic. Nie chcę o tym wiedzieć. Wyjaśnianie umniejsza. Bardziej cię kocham niezwykłego. Dość jesteś potworny, aby być cudotwórcą. Po prostu spadłeś z raję albo też może wyłoniłeś się z samego dna piekła. Cóż prostszego – albo rozstał się sufit, albo rozstała się podłoga. Może spuściłeś się na obłoku, może uniosłeś się w górę w kłębach siarczanego dymu – oto, jakim sposobem przybywasz. Zaslugujesz, aby stać się bogom równy. I oto jesteś moim kochankiem.

Gwynplaine słuchał oszołomiony, a myśl jego ogarniała niemoc coraz większa. Oto już kres. Niesposób wątpić dłużej. Słowa tej kobiety potwierdzały list z tamtej nocy. On, Gwynplaine, kochankiem księżniczki, kochankiem kochanym! Przeogromna pycha o tysiącu mrocznych głów poruszyła się w jego nieszczęśliwym sercu.

Próżność – to wielka siła. Jest ona w nas i przeciwko nam się obraca.

A księżniczka dalej mówiła:

– Jesteś tutaj, a więc tak było sądzone. Niczego więcej nie pragnę. Widocznie ktoś, kto jest tam, w górze czy też w dole, rzuca nas sobie w objęcia. Zaręczyny Styksu z Jutrzenką. Rozpasane zaręczyny, natrzęsające się z wszelkich praw. W dniu, w którym cię ujrzałam, rzekłam sobie: „Oto on! Poznaję go: Oto potwór z moich snów. I będzie moim.” – Trzeba pomóc przeznaczeniu. Dlatego napisałam do ciebie. Powiedz, Gwynplaine'ie, czy ty wierzysz w predestynację? Ja wierzę, odkąd przeczytałam *Sen Scypiona* w Cyceronie. O, nie spostrzegłam nawet, strój szlachcica! Przebrałeś się po pańsku. I czemuż by nie? Jesteś linoskokiem. Tym słuszniej. Kuglarz wart jest lorda. Lordowie, i czymże oni są właściwie? To błazny. Masz szlachetną postać, jesteś pięknie zbudowany. To niesłychane, że jednak udało ci się dostać aż tutaj! Kiedy przyszedłeś? Od jak dawna jesteś? Czy widziałeś mnie naga? Piękna jestem, prawda? Miałam się, kąpać. Kocham cię! Przeczytałeś mój list! Czy sam? Czy też ktoś ci go przeczytał? Czy ty umiesz czytać? Pewnie jesteś niepiśmienny. Zadaję ci pytania, ale nie odpowiadaj na nie. Nie lubię brzmienia twego, głosu. Jest łagodne. Istota, tak jak ty nieporównana, powinna nie mówić, ale zgrzytać. A ty śpiewasz harmonijnie i tkliwie. Nienawidzę tego. Jedyna to rzecz, co mi się w tobie nie podoba. Wszystko inne jest wstrząsające, wszystko inne jest wspaniałe. W Indiach byłbyś bogiem. Czy urodziłeś się z tym przerażającym śmiechem na twarzy? Nie, prawda? Na pewno napiętnowano cię za karę. Nie wątpię, że popełniłeś jaką zbrodnię. Pójdź w moje objęcia.

Osunęła się na szeszloneg pociągając go za sobą. Nie wiedząc nawet jak i kiedy, znaleźli się oto obok siebie. Słowa, które mówiła, przelatywały nad Gwynplaine'em na podobieństwo wichury. Zaledwie zrozumieć mógł znaczenie ich szalonego wiru. W oczach miała podziw. Mówiła nieskładnie, gorączkowo, głosem nieprzytomnym i tkliwym. Mowa jej była muzyką, ale Gwynplaine słyszał w tej muzyce tylko burzę.

I znowu utkwiała w nim swe uporczywe spojrzenie.

– Przy tobie czuję się poniżona, cóż za radość! Książęca wysokość – jakie to mdłe! Jestem jej dostojnością – cóż za męka. Upadek to wypoczynek. Tak bardzo przesycona jestem szcunkiem, że potrzebuję pogardy. Wszystkie jesteśmy nieco perwersyjne, zaczynając od Wenus, Kleopatry, pani de Chevreuse, pani de Longueville, a kończąc na mnie. Oświadczam ci, że będę się z tobą wszędzie pokazywać. Oto miłostka, która porazi jak grom całą królewską rodzinę Stuartów, do której i ja należę. Ach, odetchnęłam wreszcie! Znalazłam wyjście. Wydobyłam się z majestatu. Zdeklasowanie – to wyzwolenie. Wszystko złamać, wszystko przezwyciężyć, wszystko zrobić i wszystko popsuć – oto, co nazywa się żyć. Słuchaj, ja cię kocham.

Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się jakoś strasznie.

– Kocham cię nie tylko dlatego, żeś ohydny, ale też i dlatego, żeś nikczemny. Kocham w tobie i monstrum, i histriona. Kochanek upokorzony, wyśmiewany, śmieszny, wstrętny, wystawiony na pośmiewisko u pręgiarza, który teatrem się zowie, kochanek taki ma dla mnie przedziwny smak. Smak owocu z dna przepaści. Kochanek, który mnie hańbi; jakież to чудо! Spróbować jabłka nie z raj, lecz z piekieł, oto, co mnie kusi, ten czuję głód, to pragnienie, jestem tą właśnie Ewą. Ewą otchłani. Ty jesteś pewnie demonem, choć sam nie wiesz o tym. Strzegłam mej czystości dla maskary ze snu. Jesteś pajacem poruszonym na nitce przez widmo. Jesteś wcieleniem ogromnego śmiechu piekła. Jesteś panem moim, na którego czekałam. Potrzebowałam takiej miłości, jaką miały Medee i Kanidie. I miałam pewność, że i mnie spotka jedna z tych wielkich przygód nocy. Jesteś tym, którego pragnę. Ach, mówię ci tyle rzeczy, a ty ich pewnie nawet nie rozumiesz. Gwynplaine'ie, nikt nie posiadał mnie jeszcze, oddaję ci się czysta jak płonące zarzewie. Pewnie nie wierzysz mi; o, gdybyś mógł wiedzieć, jak bardzo jest mi to obojętne!

W słowach jej był bezład wybuchu. Nakłucie zbocza Etny mogłoby może dać wyobrażenie o tym wytrysku płomieni.

Gwynplaine wyjąkał:

– Pani...

Położyła mu rękę na ustach:

– Cicho! Chcę patrzeć na ciebie. Jestem wyuzdanie niepokalana, Gwynplaine'ie. Jestem westalką bachiczną. Nie poznał mnie jeszcze żaden mężczyzna i mogłabym być Pytią w Delfach i mieć u stóp moich trójnóg z brązu, przy którym kapłani, opierając łokcie na skórze Pytona, szeptałyby pytania zadawane niewidzialnemu bóstwu. Serce moje jest kamienne, lecz podobne jest ono do tych tajemniczych głazów, które morze wyrzuca u podnóża skały Huntly Nabb, u ujścia rzeki Thees, a w których, jeżeli rozbijesz je – znajdziesz węża. Wąż ten to miłość moja. Miłość wszechmocna, sprawiła bowiem, żeś przyszedł. Dzieliła nas odległość nieprzebyta. Ja byłam na Syriuszu, ty na Allioth. I przebyłeś tę drogę nie do wymierzenia, i jesteś tutaj. Jak dobrze. Nie mów nic. Weź mnie.

Umilkła. On zadrżał. A ona znów się uśmiechnęła.

– Widzisz, Gwynplaine'ie, kto marzy, ten tworzy. Pragnienie jest wołaniem. Kształtując chimery prowokujemy rzeczywistość. Wszechmocne mroki groźne są, nie wolno ich wyzywać bezkarnie. Dają nam, czego pożądamy. Oto jesteś. Czy odważę się na zgubę? Tak. Czy odważę się zostać twoją kochanką, twoją konkubiną, niewolnicą, twoją własnością bezwolną? Z radością. Jestem kobietą, Gwynplaine'ie. Kobieta to glina, co pragnie stać się błotem. Muszę sama sobą pogardzić. Dodaje to smaku pysze. Niechaj do wielkości domiesza się upodlenie. Nic się lepiej nie kojarzy. Pomiataj mną, ty, którym pomiatają. Nikczemność niższa jeszcze od najniższej nikczemności – cóż to za rozkosz! Podwójny kwiat hańby! Oto go zrywam. Zdepcz mnie! Tym lepiej kochać mnie będziesz. Wiem to dobrze Czy wiesz, dlaczego cię ubóstwiam? Dlatego, że gardzę tobą. Znajdujesz się o tyle niżej ode mnie, że stawiam cię na ołtarzu. Pomieszanie dołów i wierzchołków to chaos, a chaos podoba mi się. Wszystko za-

czyna się z chaosu i chaosem kończy. Czymże jest chaos? Brudem przeogromnym. I z tego brudu Bóg uczynił światło, i z tego bagna cuchnącego Bóg uczynił świat! Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem przewrotna. Zagnieć gwiazdę z błotem, a uczynisz mnie.

Tak mówiła ta straszliwa kobieta, a opadająca suknia odsłaniała piersi jej nagie i dziewicze.

– Wszystkim – wilczyca; tobie – suka. To dopiero zadziwi się świat! Słodkie jest zdumienie głupców. Jakże rozumiem siebie. Kim jestem? Boginią? Amfitryta oddała się cyklopowi. *Fluctivoma Amphitrite*. Kim jestem? Wróżką? Urgela oddała się Bugryksowi, pół--ptakowi, pół-mężczyźnie, o ośmiu dłoniach, których palce pletwą były połączone. Kim jestem? Księżniczką? Maria Stuart miała Rizzia. Trzy piękne, trzy potwory. Jestem większa niż one, bo ty gorszy jesteś niż oni. Zostaliśmy stworzeni dla siebie, Gwynplaine'ie. Jestem w duszy mojej tym samym monstrum, którym ty jesteś na twarzy. I stąd moja miłość. Kaprys? Być może. A czymże jest huragan? Kaprysem. Łączy nas jakieś powinowactwo planetarne; oboje z nocy jesteśmy, ty z oblicza, ja z umysłu. Ty mnie odtwarzasz. Przyszedłeś – i oto widzę moją własną duszę. Nie znałam jej. Jest zadziwiająca. Zbliżenie twoje sprawia, że hydra wypełza ze mnie, bogini. Objawiasz mi moją prawdziwą naturę. Pozwalasz mi odkryć samą siebie. Spójrz, jak bardzo jestem do ciebie podobna. Patrz we mnie jak w zwierciadło. Twoja twarz to moja dusza. Nie wiedziałam, żeś tak przerażająca. A więc i ja jestem potworem! O, Gwynplaine'ie, ratujesz mnie od nudy.

Zaśmiała się jakimś dziwnym, dziecinnym śmiechem, przysunęła się i cichutko szepnęła mu na ucho:

– Czy chciałbyś zobaczyć szaloną kobietę? Ja nią jestem.

Spojrzenie jej przenikało w głąb Gwynplaine'a. Spojrzenie jest napojem odurzającym. Suknia jej była w niebezpiecznym nieładzie. Ślepa i zwierzęca ekstaza coraz mocniej ogarniała Gwynplaine'a. Ekstaza, w której było coś z agonii.

Kiedy ta kobieta mówiła, miał uczucie, jakby go obryzgiwał ogień. Nieodwołalne przybliżało się. Nie miał siły wyrzec słowa. A ona milkła, wpatrywała się weń, szeptała: – Potwór! – Była straszna, dzika.

Nagle schwyciła go za ręce.

– Gwynplaine'ie, Ja jestem tronem, ty – jarmarcznym teatrem. Zrównajmy się. Ach, jakże jestem szczęśliwa! Upadłam. Chciałabym, by cały świat dowiedział się, jak bardzo jestem upodlona. Tym niżej padłby przede mną na twarz, bo im bardziej nienawidzą, tym bardziej się płaszczą. Taki jest już rodzaj ludzki. Niechętny, a płazi. Niby smok, a robak. O, zepsuta jestem na podobieństwo bogów. Czyż nie jestem w końcu nieprawą córą królewską? Nikt mi nią być nie zabroni! Postępuję jak królowa. Kim była Rodope? Władczynią, co pokochała Phthea, człowieka z głową krokodyla. Na jego to cześć zbudować kazała trzecią piramidę. Pentesilea pokochała Centaura, który nazywał się Sagittarius, Strzelec, i stał się gwiazdozbiorem. A cóż mi powiesz o Annie Austriaczce? Mazarini był taki brzydki! Ty nie jesteś brzydki, ty jesteś potworny. Brzydota jest mała, potworność – wielka. Brzydota to grymas diabła za plecami piękna. A potworność jest odwrotnością wzniosłości. To jej druga strona. Dwa zbocza ma Olimp; jedno zbocze, to, które jest w świetle, wydało Apollina; drugie, to, które jest w mroku, wydało Polifema. Ty jesteś Tytanem. W lesie byłbyś Behemothem, Lewiatanem w oceanie, Tyfonem w kloace. Jesteś doskonały. Potworność twoja jest jak grom. Twoja twarz została zepsuta uderzeniem piorunu. Twarz twoją rozmiażdżyła w gniewie olbrzymia pięść z płomienia. Urobiła cię, ugniotła i znikła. Ogromna ciemna złość w przystępie szału oblepiła duszę twoją tym przerażającym, nadludzkim wyglądem. Piekło – to ognisko kaźni, w którym rozgrzewa się do czerwoności żelazo, Losem nazywane; ty zostałeś tym żelazem naznaczony. Kochać ciebie – to zrozumieć wielkość. Mnie to przypadło w udziale. Wielki mi wysiłek pokochać Apollina! Sława mierzy się zdumieniem. Kocham cię. Śniłam o tobie całe noce, całe noce, całe noce! To mój pałac. Zobaczysz moje ogrody. Są tam źródelka pod liśćmi, grotty, w



których można się pieścić, przepiękne posągi, kute w marmurze przez kawalera Berniniego. A co kwiatów! Aż za wiele. Wiosną to istny pożar z róż. Czy mówiłam ci, że królowa jest moją siostrą? Uczyni ze mną, co zechcesz tylko. Stworzona zostałam na to, aby Jowisz całował moje stopy, a Szatan pluł mi w twarz. Czy masz jakąś wiarę? Ja jestem papistką. Ojciec mój, Jakub II, umarł we Francji, w otoczeniu całej czeredy jezuitów. Nigdy jeszcze nie doznawałam tego, co czuję w twojej obecności. O, chciałabym być razem z tobą wieczorem i żeby grała muzyka, i żebyśmy siedzieli obok siebie na tej samej, poduszce oparci, pod szkarłatnym namiotem, na złotej galerze, wśród nieskończonego, łagodnego morza! Znieważaj mnie! Bij mnie! Płać mi! Traktuj mnie jak dziewczkę! Ubóstwiam cię.

I ryk może być głosem pieszczoty. Nie wierzycie? Przyjrzyjcie się lwom. W kobiecie tej była ohyda z wdziękiem po społu. I cóż napotkać można tragiczniejszego? Czułeś pazury, czułeś i aksamit. Nacierała jak kot, to atakując, to znów cofając się. W tym wahającym się ruchu było coś z gry i coś z morderstwa. Ubóstwiała zuchwale. I obłęd ten udzielał się w końcu, zarażał. Słowa nieprzeparte, niewymownie gwałtowne, a słodkie. Nie znieważało to, co znieważać powinno. Ubóstwienie było obelgą. Policzek – apoteozą. Głos jej wyciskał na słowach szalonych i miłosnych jakiś dziwny znak prometejskiej wielkości. Święta Wielkiej Bogini, opiewane przez Ajschylosa, opętywały kobiety, szukające w świetle gwiazd satyrów, tym ciemnym epickim szałem. Paroksyzmy szału tego wstrząsały korowodami tańczących w dębowych gajach Dodony. Ta kobieta była jakby przeobrażona, jeżeli można przeobrazić się odwracając się od nieba. Potrząsała włosami jak grzywą; suknia jej to skrywała nagość, to rozchylała się; jakże piękną była ta pierś pełna dzikiego krzyku, jakże piękne było podwójne spojrzenie jej oczu – promiennosc błękitu i płomiennosc czerni; wydawała się nadprzyrodzona. Gwynplaine, coraz bardziej słabnąc, czuł, jak zwycięża go coraz to głębsze przenikanie jej bliskości.

– Kocham cię! – krzyknęła.

I ugryzła go w pocałunku.

Są u Homera chmury, co, być może, Gwynplaine i Jozjanę zakryć teraz powinny, jak zakrywały Jowisza i Junonę. Dla Gwynplaine'a być kochanym przez kobietę, która ma wzrok i widzi go, poczuć na swoich ustach potwornych dotknięcie boskich warg było czymś niewysłowienie błogim i porażającym. W obecności tej pełnej zagadek istoty czuł, że wszystko w nim omdlewa. Wspomnienie Dei szamotało się gdzieś w głębi tego mroku, kwiląc żałośnie. Jest taka starożytna płaskorzeźba przedstawiająca Sfinksa pożerającego Amora; skrzydełka rajskiej istotki krwawią miazdzone w paszczy okrutnej i uśmiechniętej.

Czy Gwynplaine kochał tę kobietę? Czy mężczyzna, jak glob, też ma dwa bieguny? Czyżby człowiek był kulą wirującą na nieugiętej osi, kulą, co z daleka jest gwiazdą, z bliska – błotem, na której dzień i noc nieodmiennie następują po sobie? Czy serce ma dwie strony, jedną, co kocha w świetle, i drugą, co kocha w mroku? Tu kobieta-promień; tam kobieta-kloaka. Anioł jest nam potrzebny. Czyżby to było możliwe, że demon jest nam również potrzebny? Czyżby i dusza miała swoje nietoperze skrzydło? Czyżby zmierzchowe godziny były zgubne dla wszelkiego stworzenia? Czyżby grzech stanowił nieodłączną część naszego przeznaczenia, nieodłączną i konieczną? Czy zło w naturze naszej musi być przyjęte jako nie dająca się wydzielić część tej całości? Czyżby grzech był długiem, który koniecznie spłacić trzeba? Pyta człowiek drżący aż do głębi.

A jednak jakiś głos mówi nam, że zbrodnią jest być słabym. Niesposób wypowiedzieć, czego doświadczał w tej chwili Gwynplaine. Czuł ciało i życie, przestrach i rozkosz, obywatelstwo upojenie i cały ogrom wstydu, jaki pycha może pomieścić w sobie. Czy upadnie już za chwilę?

– Kocham cię – powtarzała.

I spazmatycznie przytuliła go do swej piersi.

Gwynplaine dyszał ciężko.

Nagle tuż obok zabrzmiało srebrzyste głośne dzwonienie. To odezwał się dzwonek przytwierdzony do ściany. Księżniczka odwróciła głowę i rzekła:

– Czegóż ona znowu chce ode mnie?

Gwałtownie, z hałasem zatrzaszkującej się pułapki opadła srebrna kłapa ozdobiona królewską koroną.

Ukazało się wnętrze szafki wybite szafirowym aksamitem, a w nim na złotej tacy list.

List ten był gruby, kwadratowy, tak położony, że widać było wielką pieczęć z czerwonego wosku. Dzwonek ciągle dzwonił.

Otwarta kłapa prawie dotykała szezlonga, na którym siedzieli oboje. Księżniczka, jednym ramieniem obejmując szyję Gwynplaine'a, przechyliła się, wyciągnęła drugie ramię, wzięła list z, tacki i zatrzasnęła kłapę. Szafka zamknęła się, dzwonek umilkł.

Księżniczka złamała w palcach wosk, otworzyła kopertę, wyjęła z niej dwa złożone arkusze, a kopertę rzuciła na podłogę, pod stopy Gwynplaine'a.

Można było jeszcze odszyfrować pieczęć na złamanym wosku. Gwynplaine zobaczył królewską koronę, a pod nią literę A.

Rozdarta koperta leżała tak, że widać było obie jej strony, można więc było przeczytać i słowa na niej napisane: „Dla jej dostojności księżniczki Jozjany.”

Jeden z arkuszy, które znajdowały się w kopercie, był pergaminowy, drugi – welinowy. Pergamin był duży, welin – niewielki. Na pergaminie widniała ogromna pieczęć kancelarii królewskiej z zielonego wosku, zwanego woskiem wielkich panów. Księżniczka, drżąca cała, z oczami wilgotnymi od ekstazy, skrzywiła się nieznacznie, a niecierpliwie.

– Cóż mi ona tutaj przysyła? – rzekła. – Jakies papiery! Ta kobieta potrafi zatruć każdą chwilę szczęścia.

Odłożyła pergamin i zajrzała do złożonej kartki welinu.

– Jej pismo. Pismo mojej siostry. Męczy mnie to wszystko. Pytałam, czy umiesz czytać, Gwynplaine'ie? Umiesz?

Gwynplaine twierdząco skinął głową.

Wyciągnęła się na szezlongu, położyła się prawie, starannie otulając suknią stopy, a ręce kryjąc w rękawy z osobliwą wstydlivością, co pierś pozostawiała odkrytą, i wpatrując się namiętnym spojrzeniem w Gwynplaine'a, podała mu list.

– A więc moim jesteś, Gwynplaine'ie. Rozpocznij służbę. Przeczytaj, ukochany mój, co mi pisze królowa.

Gwynplaine wziął list, rozłożył go i głosem drżącym wszelakiego rodzaju wzruszeniem odczytał:

„Pani!

Razem z listem naszym posyłamy ci najmiłościwiej opis protokołu poświadczony i podpisany przez sługę naszego, Williama Cowpera, lorda kanclerza królestwa naszego angielskiego, z którego to protokołu wynika, iż wydarzyła się rzecz wielkiej wagi, iż prawy syn i spadkobierca lorda Linneusza Clancharlie rozpoznany został i odnaleziony pod imieniem Gwynplaine'a żyjącego wśród nizin wędrowniej i koczowniczej egzystencji, w otoczeniu linoskoków i kuglarzy. Od najwcześniejszego dzieciństwa nie znał on swego prawdziwego stanu. Stosownie tedy do ustaw królestwa naszego i niezaprzeczonych praw jego do należnego mu dziedzictwa, lord Fermain Clancharlie, syn lorda Linneusza, nie dalej jak dnia dzisiejszego wprowadzony zostanie do Izby Lordów na należne mu z urodzenia miejsce. Z tego to powodu pragnąc w życzliwości naszej, aby utrzymana została w mocy obietnica przekazania waszej osobie dóbr i posiadłości lordów Clancharlie-Hunkerville – pomienionego lorda Fermaina względem serca waszego w miejsce lorda Dawida Dirry-Moir zalecamy. Rozkazaliśmy, aby lord Fermain odwieziony został do Corleone-lodge, rezydencji waszej; rozkazujemy i życzymy sobie jako królowa i siostra wasza, aby lord nasz, Fermain Clancharlie, aż do dnia tego

Gwynplaine'em zwany, został małżonkiem waszym i abyście zaślubili go, gdyż taka jest nasza królewska wola.”

Kiedy Gwynplaine czytał głosem zamierającym przy wymawianiu każdego niemal słowa, księżniczka, podnosząc się z poduszek, słuchała i nie spuszczała spojrzenia swego z jego twarzy. Kiedy skończył, wyrwała mu list.

– Anna, Królowa – wyrzekła, odczytując podpis, głosem jakby sennym.

Podniosła z podłogi porzucony pergamin i przebiegła go wzrokiem. Było to zeznanie rozbitków z „Matutiny”, odpisane i potwierdzone podpisami szeryfa Southwarku i lorda-kanclerza.

Przeczytała protokół, przeczytała raz jeszcze list królowej. I potem rzekła:

– A więc dobrze.

Spokojnie wskazała palcem Gwynplaine'owi portierę ukrywającą wejście do galerii, przez którą wszedł tutaj.

– Proszę wyjść – rzekła.

Gwynplaine siedział bez ruchu, jakby skamieniały.

Ona znów odezwała się lodowatym głosem:

– Skoro jesteście mężem moim – proszę wyjść.

Gwynplaine ciągle siedział milcząc, ze spuszczonego wzrokiem, niby winowajca.

A ona rzekła jeszcze:

– Nie macie prawa być tutaj. To miejsce mojego kochanka.

Gwynplaine siedział jak przykuty.

– Dobrze – powiedziała. – A więc ja wyjdę. Jesteście mężem moim! To świetnie. Nienawidzę was.

Wstała i rzuciwszy w przestrzeń dumny gest, zegnający nie wiadomo kogo, wyszła.

Zasunęła się za nią portiera galerii.

## V. TWARZ ZNAJOMA, CZŁOWIEK NIEZNAJOMY

Gwynplaine został sam.

Sam, wobec tej wanny ciepłej jeszcze, wobec tego zmiętego łoża.

Rozproszenie świadomości osiągnęło w nim swoje najwyższe nasilenie. To, co myślał, w niczym nie było do myśli podobne. Był to sam bezład, sam popłoch, sama trwoga znajdowania się wśród niepojętego. Jakby marzenia rozpieczętowały się, uciekły.

Nie łatwo jest wchodzić w nieznaną świat.

Z otrzymaniem listu księżniczki, który przyniósł paż, rozpoczął się dla Gwynplaine'a pochód godzin zdumiewających, coraz to mniej zrozumiałych. Aż po tamtą chwilę śnił, lecz wiedział dobrze, co jest snem, a co jawą. Teraz poruszał się wśród marzeń po omacku.

Nie myślał. Nie marzył już nawet ulegał tylko.

Siedział na szezlongu, tam gdzie pozostawiła go księżniczka.

Nagle wśród tego zamroczenia usłyszał odgłos kroków. Były to kroki mężczyzny. Nadchodziły od strony przeciwnej niż galeria, w której znikła księżniczka. Zbliżały się przygięte, lecz wyraźne. Gwynplaine, choć oszołomiony jeszcze tym, co stało się przed chwilą, zaczął nasłuchiwać.

I oto za zasłoną ze srebrnej gazy, na pół rozsuniętą przez księżniczkę, drzwi, których domyślić się łatwo można było pod malowanym lustrem, umieszczonym tuż za łożem, rozwarły się szeroko, a do zwierciadlanego pokoju wpadł refren starej francuskiej piosenki, śpiewanej głosem męskim i radosnym:

Trzy świnki w chlewiku  
Kłęły jak tragarze.

Na progu ukazał się mężczyzna.

Mężczyzna ten u boku miał szpadę, w ręku trzymał kapelusz przystrojony jedwabnym sznurem, pióropuszem i kokardą, ubrany był zaś we wspaniały strój marynarski z galonami.

Gwynplaine podniósł się, jakby go podrzuciła, sprężyna.

Poznawał tego człowieka, a człowiek ten poznawał jego.

Z ich zdumionych ust wyrwał się równocześnie podwójny okrzyk:

– Gwynplaine!

– Tom-Jim-Jack!

Człowiek z kapeluszem przystrojonym piórami podszedł do Gwynplaine'a. Gwynplaine skrzyżował ręce na piersi.

– Skąd się tu wzięłeś, Gwynplaine'ie?

– A ty, Tom-Jim-Jack, skąd wzięłeś się tutaj?

– Aha, rozumiem. Jozjana! Kaprys. Linoskok i potwór zarazem – to zbyt piękne, aby się oprzeć pokusie. Przebrałeś się przychodząc tutaj, Gwynplaine'ie.

– I ty też, Tom-Jim-Jack.

– Co znaczy ten parowski strój, Gwynplaine'ie?

– Co znaczy ten admirański mundur, Tom-Jim-Jack?

– Nie odpowiadam na pytania, Gwynplaine'ie.

– Ani ja, Tom-Jim-Jack.

– Nie nazywam się Tom-Jim-Jack, Gwynplaine'ie.

– Nie nazywam się Gwynplaine, Tom-Jim-Jack.

– Wiedz o tym, że jest u siebie, Gwynplaine'ie.

– Wiedz o tym, że jestem u siebie, Tom-Jim-Jacku.  
– Zabraniam ci przedrzeźniać mnie. Ty umiesz używać ironii, ale ja umiem używać laski.  
Dość tych błazeństw, nędzny kuglarzu.  
Gwynplaine zbladł.  
– Sam jesteś błaznem! Odpowiesz mi za tę zniewagę.  
– W twojej budzie – ile zechcesz tylko. Na pięści.  
– Tutaj, i na szpady.  
– Wiedz, przyjacielu Gwynplaine'ie, że ze szpadą mieć może do czynienia tylko szlachcic.  
Biję się tylko z równymi sobie. My dwaj równi jesteśmy wobec pięści, wobec szpady – nierówni. W gospodzie „Tadcaster” Tom-Jim-Jack może poboksować się z Gwynplaine'em. Ale w Windsorze – to inna sprawa. Zapamiętaj sobie, że jestem kontradmirałem.  
– A ja jestem parem Anglii.  
Człowiek, w którym Gwynplaine widział Tom-Jun-Jacka, wybuchnął śmiechem.  
– Dlaczego nie królem? Bogiem a prawdą, masz słusność. Aktor stać się może każdym, może zagrać każdą rolę. Jeśli powiesz mi, że jesteś Tezeuszem, księciem ateńskim – także w to uwierzę.  
– Jestem parem Anglii i będziemy się bić.  
– To zaczyna być nudne, Gwynplaine'ie. Nie graj wobec tego, który może cię kazać wychłostać. Nazywam się lordem Dawidem Dirry-Moir.  
– A ja nazywam się lordem Clancharlie.  
Lord Dawid znów wybuchnął śmiechem.  
– Nieźle pomyślane! Gwynplaine jest lordem Clancharlie! W istocie, jest to nazwisko, które nosić trzeba, aby móc posiadać Jozjanę. Słuchaj, przebaczam ci. A wiesz, dlaczego? Bo obydwaj jesteście kochankami.  
Rozsunęła się portiera od strony galerii i głos jakiś wyrzekł:  
– Obydwaj jesteście mężami, jaśnie oświeceni panowie.  
Odwrócili się.  
– Barkilphedro! – wykrzyknął lord Dawid.  
Był to rzeczywiście Barkilphedro.  
Z uśmiechem złożył głęboki ukłon obydwu lordom.  
Za nim w oddaleniu kilku kroków dostrzec można było szlachcica o obliczu surowym i najgłębszy szacunek wyrażającym; szlachcic ten trzymał w dłoni czarny pręt.  
Zbliżył się, ukłonił trzykrotnie Gwynplaine'owi i rzekł:  
– Jestem królewskim odźwiernym z czarną różgą, milordzie. Przychodzę po waszą wysokość stosownie do rozkazów jej królewskiej mości.

## KSIĘGA ÓSMA KAPITOL I JEGO OTOCZENIE

### I. JAK ROZDRABNIAJĄ SIĘ SPRAWY MAJESTATU

Niebezpieczna siła od tyłu godzin unosząca Gwynplaine'a coraz to wyżej i wyżej, roztaczała przed nim coraz to inne olśniewające widoki. Siła ta porwała go do Windsoru; a teraz przerzucała na powrót do Londynu.

Rzeczywistości przesuwały się przed nim jak widziadła, rozmaite, nie związane w żadną ciągłość.

Niesposób było umknąć im. Ledwie jedna opuściła go, już go chwyciła druga.

By odetchnąć, nie miał czasu.

Ten, kto widział żonglera, widział los. Kule spadające, podrzucane w górę i znów spadające – to ludzie w ręku przeznaczenia.

Są oni jak te kule, jak zabawki.

Wieczorem tegoż dnia jeszcze znalazł się Gwynplaine w miejscu zaiste niecodziennym.

Siedział na ławie rzeźbionej w kwiaty lili. Na strój atlasowy narzucony miał płaszcz ze szkarłatnego aksamitu, podbity białą taftą, bramowany gronostajami, z dwoma podłużnymi pasami z gronostajów, lamowanymi złotem na ramionach.

Dookoła – mężczyźni różnego wieku, i młodzi, i starzy, tak jak i on siedzący na kwiatkach lili, tak jak i on strojni w gronostaje i purpurę.

Przed sobą widział innych ludzi. Ci klęczeli. Ubrani byli w czarne jedwabne suknie. Niektórzy z tych klęczących pisali.

Na wprost, w pewnej odległości, widział stopnie, wzniesienie, baldachim, ogromną tarczę herbową, błyszczącą między lwem i jednorożcem, a pod tym baldachimem, na tym podniesieniu, u góry tych stopni, oparty o tę tarczę stał fotel pozłacany, z koroną u szczytu. Był to tron.

Tron Wielkiej Brytanii.

Gwynplaine, sam par, zasiadał oto w Izbie Parów Anglii. W jakim sposobie odbyło się wprowadzenie Gwynplaine'a do Izby Lordów? Opowiedzmy.

Cały ten dzień, od ranka do wieczora, od Windsoru do Londynu, od Corleone-lodge do Westminster-Hallu, był jednym marszem w górę, ze szczebla na szczebel. A co szczebel – nowe oszołomienie.

Wyjechał był z Windsoru w pocztowej karecie królowej, z eskortą, jaką parowi otoczyć się przystało. Straż honorowa bywa bardzo podobna do straży pilnującej.

Dnia tego ludzie, co zamieszkiwali przy szosie wiodącej z Windsoru do Londynu, oglądać mogli liczny orszak królewskich dworzan, towarzyszący w galopie dwu karetom mknącym szybko i zaprzężonym w konie ze stajen królowej. W pierwszej karecie jechał królewski odźwierny z czarną różgą, trzymający w dłoni swój pręt. W drugiej dostrzec można było szeregi kapeluszy z białymi piórami, skrywający w cieniu swoim twarz jadącego. Któż to przejeżdżał? Czy księżę jaki? Czy też więzień?

Był to Gwynplaine.

W taki sposób odwożonym być można tylko albo do Wieży Londyńskiej, albo do Izby Parów.

Królowa sama zadbała o wszystko. Chodziło przecież o przyszłego małżonka jej siostry, dodała mu więc eskortę z własnych dworzan.

Urzędnik dworski, towarzyszący zazwyczaj odźwiernemu z czarną różgą, jechał konno na czele orszaku.

W karecie zajmowanej przez królewskiego odźwiernego leżała na ławeczce poduszka sukienka, srebrem przetykana. Na poduszce tej – czarna teczka z królewską koroną.

W Brentford, na ostatnim przepręgu po drodze do Londynu, orszak zatrzymał się.

Oczekiwała tam czworokonna karetka z szylkretu; towarzyszyło jej dwu forysiów, na koźle siedział stangret w peruce, z tyłu – czterech lokai. Koła, stopnie, pasy dźwigające pudło, dyszel, wszystko to było pozłacane. Konie miały uprząż srebrną.

Ta galowa kolasa wykonana była z niezwykłym przepychem i znakomicie figurować by mogła wśród owych pięćdziesięciu jeden wizerunków przedstawiających słynne karety, a pozostawionych nam przez Roubo.

Odźwierny z czarną różgą wysiadł z karety, urzędnik dworski, towarzyszący mu, zeskończył z siodła.

Urzędnik ów wyjął z karety poduszkę z leżącą na niej czarną teczką z koroną i trzymając ją oburącz stanął za królewskim odźwiernym.

Odźwierny z czarną różgą otworzył drzwi oczekującej karety – była ona pusta – następnie otworzył drzwi karety, w której znajdował się Gwynplaine, i w dół spuszczać spojrzenie, głosem szacunku pełnym poprosił Gwynplaine'a, aby raczył przesiąść się do galowego ekwipażu.

Gwynplaine przesiadł się więc. Odźwierny trzymając pręt w ręku i urzędnik podtrzymujący oburącz poduszkę weszli tuż za nim do karety i usiedli na niskiej ławeczce, przeznaczonej dla paziów w dawnych ceremonialnych pojazdach.

Wnętrze karety wybite było białym aksamitem, przystrojone koronkami z Binche i srebrnymi sznurami i chwastami. Na suficie – herby.

Służba towarzysząca karetom, które właśnie opuścili, ubrana była w dworską liberię. Stangret, forysie i lokaje siedzący na tylnym koźle tej karety, do której się teraz przesiadli, nosili inną liberię, niemniej wspaniałą.

Gwynplaine, poruszający się niby lunatyk dostrzegał jednak poprzez oszołomienie swoje tych pysznych lokai i zapytał odźwiernego z czarną różgą:

– Czyja to liberia?

A odźwierny z czarną różgą odrzekł:

– Twoja, milordzie.

Dnia tego Izba Lordów obradować miała wieczorem. *Curia erat serena* – mówią stare protokoły. Życie parlamentarne Anglii chętnie bywa nocnym życiem. Znanym jest faktem, że Sheridan rozpoczął raz pewnego przemówienie swoje o północy, a skończył je o wschodzie słońca.

Obie karety pocztowe zawróciły, puste, do Windsoru; karetka, do której przesiadł się Gwynplaine, ruszyła w kierunku Londynu.

Szylkretowa, w cztery konie zaprzężona karetka jechała od Brentford do Londynu stępą. Tak nakazywała godność peruki stangreta.

Ceremoniał, w osobie tego uroczystego woźnicy, obejmował w posiadanie swe Gwynplaine'a.

Powolność tej jazdy była zresztą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, umyślna. Dowiadujemy się za chwilę, jakie były jej przypuszczalne przyczyny.

Wieczór już był prawie, kiedy szylkretowa karetka zatrzymała się przed King's Gate, ciężką bramą o obniżonym łuku, z dwiema wieżyczkami po obu stronach, która z White-Hall prowadziła do Westminsteru.

Orszak dworzan skupił się dookoła karety.

Jeden z lokai zeskoczył z tylnego kozła i otworzył drzwiczki.

Odźwierny z czarną różgą i towarzyszący mu urzędnik wysiedli; odźwierny zwrócił się do Gwynplaine'a:

– Racz wysiąść, milordzie. Niech wasza dostojność zachowa kapelusz na głowie.

Gwynplaine pod płaszczem podróżnym odziany był w jedwabny strój, którego od poprzedniego dnia nie zdejmował jeszcze. Nie miał szpady.

Płaszcz swój zostawił w karecie.

Pod sklepieniem bramy wjazdowej King's Gate znajduje się boczne wejście, mniejsze, w które wchodzi się po kilku stopniach.

W chwilach uroczystych szacunek nakazuje iść przodem.

Odźwierny z czarną różgą kroczył pierwszy, za nim – towarzyszący mu urzędnik.

Gwynplaine szedł za nimi.

Weszli po schodach w boczną bramę.

Niebawem znaleźli się w obszernej, okrągłej komnacie, podpartej w środku jedną kolumną i będącej zapewne parterową kondygnacją wieży. Komnata oświetlona była wąziutkimi ostrołukowymi oknami. Mrok zalegać ją musiał nawet i w południe. Niedostatek światła podkreśla niekiedy uroczysty charakter miejsca. Mrok jest majestatyczny.

W komnacie tej stało trzynastu ludzi. Trzech na przedzie, sześciu w drugim rzędzie i czterech z tyłu.

Jeden z tych trzech z pierwszego rzędu miał na sobie płaszcz rycerski ze szkarłatnego aksamitu, dwaj pozostali nosili również szkarłatne płaszcze, lecz atłasowe. Wszyscy trzej wyhaftowane mieli na ramionach herby Anglii.

Sześciu stojących w drugim rzędzie nosiło dalmatyki z białej mory, każdy z nich miał na piersi inny herb.

Czterech stojących z tyłu nosiło strój z mory czarnej, a tym różnili się między sobą, że pierwszy miał błękitną pelerynę, drugi przepasany był przez brzuch szkarłatną wstęgą orderu świętego Jerzego, na piersi i na plecach trzeciego wyhaftowano dwa czerwone krzyże, czwartego zaś przystrajał kołnierz z czarnego, kosztownego futra. Wszyscy w perukach; głowy mieli odkryte; u boku – szpady.

W półmroku zaledwie że rozróżnić można było ich twarze. Oni zaś nie mogli widzieć oblicza Gwynplaine'a.

Odźwierny z czarną różgą podniósł swój pręt i rzekł:

– Milordzie Fermainie Clancharlie, baronie Clancharlie i Hunkerville, ja, królewski odźwierny z czarną różgą, pierwszy urzędnik gabinetu przyjęć jej królewskiej mości, przekazuję osobę waszą w ręce Podwiązki, pierwszego herolda królestwa angielskiego.

Postać przyodziana w aksamitny płaszcz rycerski wystąpiła z szeregu, skłoniła się przed Gwynplaine'em aż do ziemi i rzekła:

– Milordzie Fermainie Clancharlie, jestem Podwiązka, pierwszy herold królestwa angielskiego. Urząd mój otrzymałem z rąk jaśnie oświeconego księcia Norfolku, dziedzicznego hrabiego-marszałka. Przysięgałem posłuszeństwo królowi, parom i kawalerom orderu Podwiązki. W dniu nadania mi mego urzędu, kiedy to hrabia-marszałek Anglii wylał na głowę moją kubek wina, przyrzekłem uroczyście, że będę służył szlachcie, unikał towarzystwa osób o złej reputacji, raczej usprawiedliwiał, niż ganił ludzi szlacheckiego rodu i niósł pomoc wdowom i dziewicom. Moim to jest obowiązkiem czuwanie nad ceremoniami pogrzebowymi parów, ja sprawuję pieczę i straż nad ich herbami. Czekam na rozkazy waszej dostojności.

Teraz pierwszy z tych dwu, co nosili rycerskie płaszcze z atłasu, skłonił się i rzekł:

– Milordzie, jestem Clarence, drugi herold królestwa angielskiego. Obowiązkiem moim jest doglądanie ceremonii pogrzebowych tych osób szlacheckie urodzonych, które nie mają tytułu parowskiego. Czekam na rozkazy waszej dostojności.

Drugi człowiek w atłasowym płaszczu rycerskim skłonił się z kolei i tak rzekł:



– Milordzie, jestem Norroy trzeci herold królestwa angielskiego. Czekam na rozkazy waszej dostojności.

Sześciu ludzi stojących w drugim szeregu wystąpiło o krok ku przodowi, sztywno, bez ukłonu.

Pierwszy, stojący po prawej ręce Gwynplaine'a, rzekł:

– Milordzie, jesteśmy sześcioma, heroldami księstw Anglii. Jam jest York.

Po czym każdy z heroldów księstw Anglii odezwał się wymawiając swoje imię:

– Jam jest Lancaster.

– Jam jest Richmond.

– Jam jest Chester.

– Jam. jest Somerset.

– Jam jest Windsor.

Herby na piersiach ich wyhaftowane były herbami hrabstw i miast, których imiona nosili.

Stojąca za heroldami czwórka w czerń przyodziana milczała.

Pierwszy herold królestwa angielskiego, Podwiązka, wskazując za nich palcem rzekł do Gwynplaine'a:

– A oto, milordzie, czterej giermkowie koronni. Błękitny Płaszcz. Ten, co nosił błękitną pelerynę, ukłonił się pochylając głowę.

– Czerwony Smok.

Tu ukłonił się ten z orderem świętego Jerzego.

– Czerwony Krzyż.

Tu ukłonił się ten ze szkarłatnymi krzyżami.

– Strażnik Kraty.

Tu ukłonił się ten, co nosił kołnierz z futra.

Na znak dany przez pierwszego herolda królestwa pierwszy z giermków, Błękitny Płaszcz, zbliżył się i wziął z rąk towarzyszącego odźwiernemu królewskiemu urzędnika poduszkę srebrną tkaną z leżącą na niej teczka.

Pierwszy herold królestwa rzekł do odźwiernego z czarną różgą:

– Tak ma być. Przekazaną mi przez waszą miłość osobę jego dostojności przyjmuję w zakres moich obowiązków.

Te przepisy etykiety, te i inne jeszcze, które oglądać będziemy za chwilę, stanowią część starego ceremoniału będącego w użyciu dawno temu, jeszcze przed panowaniem Henryka VIII, a który królowa Anna usiłowała przez czas pewien wskrzesić na nowo. Nic z tego wszystkiego nie przetrwało do naszych dni. A przecież Izba Lordów uważa się za niedostępną żadnej zmianie; i jeśli cokolwiek gdzieś od niepamiętnych czasów przechowało się – to tam właśnie.

Zmienia się jednak i ona. *E pur si muove*.

Któż dziś pamięta jeszcze, na przykład, o *may pole*, tym umajonym słupie, który mieszkańcy Londynu stawiali przy drodze, po której parowie udawali się do parlamentu? Ostatni z nich zatknięto w roku 1713. I odtąd *may pole* znika. Zwyczaj ten zarzucono.

Niezmienność jest pozorem tylko; a rzeczywistością jest zmiana. Ot, weźmy dla przykładu tytuł książąt Albemarle. Wydaje się on wieczny. A przeminęło pod nim aż sześć rodów: Odo, Mandeville, Béthune, Plantagenet, Beauchamp, Monk. Tytuł książąt Leicester przysługiwał kolejno pięciu różnym nazwiskom: Beaumont, Brewose, Dudley, Sidney, Coke. Tytuł książąt Lincoln – sześciu. Książąt Pembroke – siedmiu itd. Rodziny zmieniają się, tytuły trwają nieruchome. I powierzchowny historyk wierzy w ten bezruch, w to trwanie. A w gruncie rzeczy nie trwa nic. Człowiek jest zawsze jak płynąca woda. Ludzkość jest falą.

Arystokracje szczytą się tym, czym czują się upokorzone kobiety – starzeniem się; lecz i kobiety, i arystokracje pielęgnują to samo złudzenie – że zdołają się zakonserwować.

Bardzo to możliwe, iż Izba Lordów nie poznałaby zgoła samej siebie w tym, co opisywaliśmy przed chwilą, i w tym, co za chwilę opiszemy, trochę tak jak kobieta, niegdyś piękna, co nie chce dostrzec swoich zmarszczek. Wszystkiemu winne jest lustro; ten stary winowajca przyzwyczał się już do tych oskarżeń.

Jedyna powinność historyka to oddanie podobieństwa.

Pierwszy herold królestwa angielskiego zwrócił się do Gwynplaine'a:

– Zechciej pójść za mną, milordzie.

I dodał:

– Będą się kłaniać waszej dostojności. A wasza dostojność uchyli tylko brzegu kapelusza.

Ruszeni całym orszakiem w kierunku drzwi, które znajdowały się w głębi okrągłej sali.

Na przedzie kroczył odźwierny z czarną różgą.

Za nim Błękitny Płaszcz niosąc poduszkę; następnie pierwszy herold królestwa, a za pierwszym heroldem królestwa Gwynplaine w kapeluszu na głowie.

Inni heroldowie i giermkowie zostali w okrągłej komnacie.

Gwynplaine, poprzedzany przez odźwiernego z czarną różgą, a prowadzony przez pierwszego herolda królestwa, szedł z komnaty do komnaty, szlakiem, który próżno byście odzyskali dzisiaj, bowiem stary gmach parlamentu angielskiego został zniszczony.

Przechodził, idąc tak, i przez gotycką salę posłuchań, w której odbyło się ostatnie spotkanie Jakuba II z Monmouthem, przez salę, która widziała, jak nikczemny synowiec klękał na próżno przed okrutnym stryjem. Dookoła tej sali porozwieszane było na ścianach, w chronologicznym porządku, z imionami i herbami, dziewięć portretów przedstawiających w całej ich postaci dziewięciu dawnych parów: lord Nansladron, 1305. Lord Baliol, 1306. Lord Benestede, 1314. Lord Cantilupe, 1356. Lord Montbegon, 1357. Lord Tibotot, 1372. Lord Zouch of Codnor, 1615. Lord Bella-Aqua, bez daty. Lord Harren and Surrey, hrabia de Blois, bez daty.

Noc już zapadła, w galeriach pozapalano nieliczne lampy. Świece woskowe w świecznikach z brązu płonęły po komnatach, na pół mrocznych, niby boczne nawy kościołów.

Spotykali tu tylko osoby niezbędne.

W jednej z komnat, przez które orszak przechodził, stało, z szacunkiem pochyliwszy głowy, czterech strażników pieczęci i strażnik dokumentów państwowych.

W innej znajdował się wielmożny Filip Sydenham, kawaler proporca, pan na Brympton w Somerset. Kawalera proporca mianuje sam król we własnej osobie, podczas wojennej potrzeby, pod rozwiniętą chorągwią królewską.

W innej jeszcze komnacie spotkali najstarszego baroneta Anglii, sir Edmunda Bacona z Suffolk, dziedzica sir Nicholasa mającego rangę *primus baronetorum Angliae*. Za sir Edmundem stał strzelec z rusznicą i giermek trzymający tarczę z herbami Ulster, baronci już z urodzenia bowiem byli obrońcami hrabstwa Ulster w Irlandii.

W jeszcze innej był wielki skarbnik w asyście czterech swoich starszych rachmistrzów i dwóch delegatów lorda-szambelana, którzy pilnowali nakładania podatków. Stał tu również i naczelnik mennicy, trzymający na dłoni funta szterlinga odcisniętego specjalną sztancą. Ośmiu tych dostojników złożyło ukłon nowemu lordowi.

U wejścia do korytarza wysłanego mata, który łączył izbę wyższą z izbą niższą, Gwynplaine powitany został przez sir Tomasza Mansell de Margam, kontrolera dworu jej królewskiej mości członka parlamentu dla Glamorgan; u wyjścia z korytarza spotkała go deputacja baronów z Pięciu Portów, ustawiona w dwie czwórki, po prawej jego i po lewej ręce, gdyż portów tych było nie pięć, lecz osiem. William Ashburnham powitał go w imieniu Hastings, Mateusz Aylmor w imieniu Douvres, Jozjasz Burchett w imieniu Sandwich, sir Filip Boteler w imieniu Hyeth, Jan Brewer w imieniu New Rumney, Edward Southwell w imieniu miasta Rye, Jakub Hayes w imieniu miasta Winchelsea, a Jerzy Nailor w imieniu miasta Seaford.

Gwynplaine chciał się odkłonić, lecz pierwszy herold królestwa cichym szeptem przypomniał mu o ceremoniale.

– Tylko brzegiem kapelusza, milordzie.

Gwynplaine zrobił tak, jak mu zalecono.

Wszedł wreszcie do Malowanej Izby, w której nie było żadnych malowideł prócz kilku postaci świętych – między innymi świętego Edwarda – na sklepieniach długich okien gotyckich, na pół przeciętych podłogą; dół ich należał do Westminster-Hallu, góra – do Malowanej Izby.

Po tej stronie drewnianej bariery, dzielącej Malowaną Izbę na dwie części, stały trzy ważne osobistości – trzech sekretarzy stanu. Po pierwszego z tych urzędników należały sprawy południowej części Anglii, Irlandii i kolonii, prócz tego zaś sprawy Francji, Szwajcarii, Włoch, Hiszpanii, Portugalii i Turcji. Drugi kierował sprawami północnej części Anglii i miał nadzór nad Holandią, Niemcami, Danią, Szwecją, Polską i Moskwą. Trzeci, Szkot, miał sobie poruczoną Szkocję. Dwaj pierwsi byli Anglikami, Jeden z nich – to wielmożny Robert Harley, członek parlamentu z miasta New-Radnor. Znajdował się tam również deputowany szkocki, Mungo Graham, esquire, krewniak księcia de Montrose. Wszyscy w milczeniu ukłonili się Gwynplaine'owi.

Gwynplaine dotknął brzegu kapelusza.

Specjalny służący podniósł drewnianą, barierę umocowaną na zawiasach otwierając wejście do dalszej części Malowanej Izby, gdzie stał długi stół nakryty zielonym sukniem, przy którym zasiadać mogli tylko lordowie.

Na stole tym stał zapalony kandelabr.

Gwynplaine, poprzedzany przez odźwiernego z czarną różgą, Błękitny Płaszcz i Podwiązkę, wszedł do uprzywilejowanej części sali.

Lokaj zamknął za nim przejście.

Po przekroczeniu bariery pierwszy herold królestwa zatrzymał się.

Malowana Izba była bardzo obszerna.

W głębi niej widzieć można było dwu starców stojących pod tarczą, z herbem królewskim, umieszczoną między dwoma oknami. Starcy ci ubrani byli w płaszcze z czerwonego aksamitu, na ramionach mieli po dwa pasy z gronostajów, obszyte złotym galonem. Na perukach nosili kapelusze z białymi piórami. W rozchyleniu płaszczy widać było ich jedwabne szaty i rękojeści ich szpad.

Za nimi stał nieruchomo człowiek przyodziany w czarną moreę, dzierżąc wielką złotą buławę z lwem w koronie.

Był to strażnik buławy parów Anglii.

Godłem ich jest lew: *Et les lions ce sont les Barons et li Per*<sup>6</sup> – mówi rękopiśmienna kronika Bertranda Duguesclin.

Pierwszy herold królestwa wskazując Gwynplaine'owi dwie postacie w aksamitnych płaszczach szepnął mu z cicha:

– Ci są równi tobie, milordzie. Oddasz im ukłon dokładnie taki, jakim oni ciebie powitają. Dwie ich dostojności obecne tutaj są to dwaj baronowie wyznaczeni na twoich ojców chrzestnych przez lorda-kanclerza. Są oni bardzo starzy i prawie niewidomi. Oni to wprowadzą cię do Izby Lordów. Pierwszy z nich – to Karol Mildmay, lord Fitzwalter, zasiadający na ławie baronów jako szósty z kolei, drugi – to August Arundel, lord Arundel de Trerice, zajmujący na ławie baronów miejsce trzydzieste ósme.

Tu pierwszy herold królestwa zbliżył się o krok ku starcom i rzekł donośnym głosem:

– Fermain Clancharlie, baron Clancharlie, baron Hunkerville, margrabia Corleone na Sycylii pozdrawia wasze dostojności.

Obaj lordowie unieśli w górę swe kapelusze na całą długość ramienia, po czym na powrót przykryli głowy.

Gwynplaine odwzajemnił się im takim samym ukłonem.

Odźwierny z czarną różgą ruszył teraz przodem, za nim – Błękitny Płaszcz, za nim – Podwiązka.

---

<sup>6</sup> A lwami są Baronowie i Parowie.

Za nimi, przed Gwynplaine'em – strażnik buławy. Obaj lordowie stanęli obok Gwynplaine'a, lord Fitzwalter po prawej, a lord Arundel de Trerice po lewej jego ręce. Starszy z nich dwóch lord Arundel był już bardzo sędziwy. Zmarł on w rok później, pozostawiając w spadku małoletniemu wnukowi, Janowi, parostwo swoje, które ostatecznie wygasło w roku 1768.

Orszak ten opuścił Malowaną Izbę i wszedł w galerię z pilastrami, pod którymi stali na przemian angielscy i szkoccy halabardnicy.

Halabardnicy szkoccy stanowili ów wspaniały zastęp o gołych kolanach, który później nieco, pod Fontenoy, godnie potykał się z jazdą francuską i owymi kirasjerami królewskimi, do których mawiał ich pułkownik: „Mości panowie, umocnijcie na głowach kapelusze, za chwilę będziemy mieli zaszczyt ruszenia do natarcia.”

Kapitan halabardników angielskich i kapitan halabardników szkockich sprezentowali szpady Gwynplaine'owi i obu towarzyszącym mu lordom. Żołnierze sprezentowali halabardy.

W głębi galerii jaśniały ogromne drzwi, tak wspaniałe, że dwa ich skrzydła wyglądały jak ze złota.

Po obu ich stronach stały nieruchomo dwie postacie. Po liberii poznać można było, że są to *door-keepers*, odźwierni.

Tuż przed drzwiami tymi galeria rozszerzała się w oszkloną rotundę.

W rotundzie, na fotelu z niepomiarnie wysokim oparciem, siedział dostojnik jakiś, wyróżniający się pysznością ubioru i wielkością peruki. Był to William Cowper, lord-kanclerz Anglii.

Nie byle jaka to zaleta być większym kaleką niż król. William Cowper był krótkowidzem, Anna również, lecz w mniejszym stopniu. Krótkowzroczność Williama Cowpera spodobała się krótkowzroczności monarchini i sprawiła, że jej królewska mość obrała go sobie na kanclerza i stróża swego królewskiego sumienia.

William Cowper miał usta o górnej wardze wąskiej, dolnej zaś obwisłej i grubej, co bywa oznaką półdobroci.

Oszklona rotunda oświetlona była lampą zawieszoną u sufitu.

Lord-kanclerz siedział z powagą w swoim wysokim krześle. Po jego prawej ręce stał stół, przy którym zajął miejsce pisarz koronny, po jego lewej ręce stał stół, przy którym zajął miejsce pisarz parlamentu.

Przed każdym z nich leżała otwarta księga i przybory do pisania.

Za krzesłem lorda-kanclerza stał strażnik buławy trzymający buławę z koroną i dwaj dworzanie w perukach; jeden nosił za nim kraj płaszcz, drugi – sakiewkę. Wszystkie te urzędy istnieją jeszcze.

Obok fotela na rzeźbionej ławie, leżała szpada o złotej rękojeści i pochwa, i pas z czerwonego aksamitu.

Za pisarzem koronnym stał urzędnik dworski trzymający oburącz płaszcz – płaszcz ceremonialny.

Za pisarzem parlamentu inny dworski urzędnik trzymał oburącz inny płaszcz. W takich płaszczach parowie zasiadają w parlamencie.

Oba te płaszcze sporządzone były ze szkarłatnego aksamitu, podbite białą taftą, z gronostajowymi pasami lamowanymi złotem na ramionach, a różniły się tym jedynie, że u płaszcza ceremonialnego kołnierz gronostajowy był nieco szerszy.

Trzeci urzędnik dworski, *librarian*, trzymał na kwadratowej podstawie ze skóry flandryjskiej niewielką książeczkę, oprawną w czerwony safian, w której znajdowała się lista parów i gmin, dalej kilka kart białych, nie zapisanych, i ołówki; oba te przedmioty według zwyczaju otrzymywał w darze każdy nowowstępujący członek parlamentu.

Orszak, na którego końcu szedł Gwynplaine między dwoma patronującymi mu parami, zatrzymał się przed krzesłem lorda-kanclerza.

Obydwaj lordowie odkryli głowy. Gwynplaine uczynił tak jak i oni.

Pierwszy herold królestwa odebrał z rąk Błękitnego Płaszczu poduszkę srebrem tkaną, ukląkł i podał leżącą na poduszce czarną teczkę lordowi-kanclerzowi.

Lord-kanclerz wziął teczkę i oddał ją pisarzowi parlamentu. Pisarz odebrał ją ze Stosownym ceremoniałem i na powrót usiadł.

Następnie otworzył teczkę i wstał.

W tece znajdowały się dwa wymagane przez chwilę dokumenty – odręczne pismo królowej do Izby Lordów i wezwanie do zasiadania w parlamencie<sup>7</sup>, skierowane do osoby nowego para.

Pisarz, stojąc, odczytał oba dokumenty głośno i wolno, jak nakazywał szacunek.

Wezwanie do zasiadania w parlamencie skierowane do lorda Fermaina Clancharlie kończyło się zwyczajową formułą:

„...Zalecamy wam jak najściślej<sup>8</sup>, powołując się na wierność i powolność, jaką nam winni jesteście, abyście we własnej osobie zając zechcieli miejsce wasze w gronie prałatów i parów zasiadających w parlamencie naszym w Westminsterze, po to, by zgodnie z honorem i sumieniem waszym orzekać o sprawach królestwa i Kościoła.”

Po odczytaniu królewskiego pisma odezwał się lord-kanclerz:

– Wola jej królewskiej mości została objawiona. Lordzie Fermainie Clancharlie, czy odrzekasz się, wasza dostojność, od dogmatu przemiany chleba i wina w ciało i krew pańską, od kultu świętych i od mszy?

Gwynplaine skłonił się.

– Prawom zadosyć się stało – rzekł lord-kanclerz.

A pisarz parlamentu powiedział:

– Jego dostojność dał świadectwo prawdzie.

Lord-kanclerz mówił dalej:

– Milordzie Fermainie Clancharlie, odtąd zasiadać możecie w parlamencie.

– Niechaj tak się stanie – odezwali się dwaj lordowie patronujący osobie Gwynplaine'a.

Pierwszy herold królestwa powstał z klęczek, wziął z ławy szpadę i przypasał ją Gwynplaine'owi do boku.

„Co gdy się stało – powiadają stare kodeksy normandzkie – par bierze szpadę swoją i zasiada na wysokiej ławie, i towarzyszy posiedzeniom.”

Teraz Gwynplaine usłyszał za sobą głos mówiący mu:

– Odziewam waszą dostojność w płaszcz parlamentu.

To odezwał się urzędnik dworski trzymający ten właśnie płaszcz. Włożył go Gwynplaine'owi na ramiona i zawiązał mu pod brodą czarne wstęgi gronostajowego kołnierza.

W purpurowym płaszczu i ze szpadą u boku wyglądał teraz Gwynplaine tak samo jak i dwaj stojący po obu jego stronach lordowie.

*Librarian* zbliżył się i włożył mu do kieszeni książeczkę.

Pierwszy herold królestwa szepnął mu na ucho:

– Wchodząc pokłonisz się krzesłu królewskiemu, milordzie.

Krzesło królewskie – to tron.

Tymczasem obaj pisarze pisali, każdy przy swoim stole, wpisując przyjęcie nowego para: jeden – do rejestrów koronnych, drugi – do rejestrów parlamentu.

Potem po kolei – najpierw pisarz koronny, później pisarz parlamentu – przedkładali księgi swoje lordowi-kanclerzowi a ten podpisywał.

Po położeniu obydwóch podpisów lord-kanclerz podniósł się.

---

<sup>7</sup> *Writ of summons.*

<sup>8</sup> *Strictly enjoin you.*

– Lordzie Fermainie Clancharlie, baronie Clancharlie, baronie Hunkerville, margrabio Corleone na Sycylii, oto witam cię w gronie równych tobie – duchownych i świeckich lordów Wielkiej Brytanii.

Dwaj lordowie, patronujący Gwynplaine'owi, dotknęli jego ramion. Odwrócił się.

I oto wielkie złożone drzwi w głębi galerii otwarły się na oścież.

Były to drzwi do Izby Parów Anglii.

Nie upłynęło jeszcze półtorej doby od chwili, kiedy przed Gwynplaine'em, innym wówczas otoczonym orszakiem, otwarły się żelazne wrota więzienia Southwarku.

Ze straszliwą szybkością przelatwały nad jego głową obłoki; obłoki, co były wydarzeniami; przeleciały z gwałtownością szturmu.

## II. BEZSTRONNOŚĆ

Utworzenie czegoś, co stałoby z królem na równi, utworzenie parostwa, było w dawnych, barbarzyńskich czasach pożyteczną fikcją. Ten nieskomplikowany wybieg polityczny, zastosowany we Francji i w Anglii, odmienne w obu krajach wydał rezultaty. We Francji par był fałszywym królem; w Anglii był on prawdziwym księciem. Mniej wielkim niż we Francji, lecz bardziej rzeczywistym. Rzec by można: mniejszym, lecz groźniejszym.

Parostwo narodziło się we Francji. Kiedy – tego na pewno nie wiemy; według legendy – za panowania Karola Wielkiego; według historii – za panowania Roberta Mądrego. Historia nie bardziej pewna jest tego, co mówi, niż legenda. Favin pisze: „Król Francji chciał przyciągnąć ku sobie możnych swego stanu wspaniałym tytułem para, głoszącym, jakoby byli mu oni równi.”

Parostwo rozwidła się szybko i z Francji dociera do Anglii.

Powstanie parostwa w Anglii było wielkim wydarzeniem, rzeczywiście ważnym w swoich skutkach. Zaczątkiem parostwa był już saksoński *wittenagemot*. Duński *thane* i normandzki *vavasseur* stopili się razem w barona. Baron i *vir* – to jedna i ta sama nazwa. *Vir* po hiszpańsku brzmi: *varon* i oznacza męża, mężczyznę w całym tego słowa znaczeniu. Od roku 1075 baronowie zaczynają dawać się we znaki królowi. I to jakiemu królowi! Wilhelmowi Zdobywcy. W roku 1086 tworzą oni podwalinę ustroju feudalnego, podwaliną tą jest *Doomsday-book*. *Księga Sądu Ostatecznego*. Za panowania Jana bez Ziemi – konflikt; arystokracja francuska z pańska traktuje Wielką Brytanię i parowie Francji wzywają przed sąd swój angielskiego króla. Wśród baronów angielskich oburzenie. Podczas koronacji Filipa Augusta król Anglii jako książę Normandii niesie pierwszą kwadratową chorągiew, a książę Guyenne'y – drugą. Przeciwno temu cudzoziemskiemu królowi-wasalowi wybucha „wojna panów”. Baronowie zmuszają nieszczęsnego króla Jana bez Ziemi do podpisania Wielkiej Karty i stąd powstaje Izba Lordów. Papież bierze stronę króla i rzuca na lordów ekskomunikę. Czas – rok 1215. Papież – Innocenty III, ten, który napisał *Veni Sancte Spiritus* i przysłał Janowi bez Ziemi cztery cnoty główne w kształcie czterech złotych pierścieni. Lordowie trwają w swym uporze. Długi to pojedynek i trwać będzie przez kilka pokoleń. Pembroke walczy. Rok 1248, to rok Tymczasowych Statutów Oksfordzkich. Dwudziestu czterech baronów ogranicza władzę króla, roztrząsa jego wolę i przyzywa po jednym rycerzu z każdego hrabstwa, by wzięli udział w tak rozszerzonym sporze. Zaranie gmin. Później lordowie dodadzą sobie do pomocy po dwóch obywateli z każdego dużego miasta i po dwóch mieszczan z każdego miasteczka. Stąd to właśnie, aż do czasów Elżbiety, parowie orzekają o ważności wyborów we wszystkich gminach. Z tej ich jurysdykcji narodziło się przysłowie: „Posłowie obierani być powinni bez trzech P, *sine Prece, sine Pretio, sine Poculo*. Co zresztą nie zapobiegło przekupstwu w wielu miasteczkach. W roku 1293 parowie Francji uważali że król Anglii podlega ich sądom, i Filip Piękny zawezwał przed oblicze swoje Edwarda I. Edward I był tym właśnie królem, który nakazał synowi swemu, aby po śmierci ugotował go i aby kości jego zabrał ze sobą na wojnę. Wobec szaleństwa królów lordowie odczuwać zaczynają potrzebę umocnienia parlamentu; i dzielą go na dwie izby, izbę wysoką i izbę niską. Przewagę zachowują lordowie najbezpieczniej dla siebie. „Jeśli zdarzy się, że ktoś z Gmin będzie aż tak zuchwały, by niepochlebnie wyrazić się o Izbie Lordów, wzywają go oni przed swe oblicze i udzielają mu nagany, a niekiedy nawet i wysyłają go do Tower.”<sup>9</sup> Przy głosowaniu ta sama różnica. Lordowie głosują w Izbie, jeden po drugim, zaczynając od ostatniego z ławy baronów, zwanego „młodszym”.

<sup>9</sup> Chamberlayne, *Obecny stan Anglii*, t. II, cz. 2, rozdz. IV, str.64, 1688.

Każdy z parów odpowiada na wezwanie: „zezwalam” lub „nie zezwalam”. W Izbie Gmin wszyscy głosują równocześnie, stadem: „tak” lub „nie”. Gminy – oskarżają, sądzą – parowie. Z pogardy dla liczb poruczyli parowie Gminom – które nie omieszkają wyciągnąć z tego korzyści – nadzór nad Izbą Skarbową „szachownicą” zwaną, która to nazwa według jednej opinii wywodzi się z wzoru szachownicy na kobiercu przykrywającym stół, według drugiej zaś – z układu szuflad starej szafy, w której za żelazną kratą znajdował się skarbiec królów Anglii. W końcu trzynastego stulecia pojawia się *Rocznik – Year-book*. Podczas wojny Dwóch Róż lordowie dają odczuć znaczenie swoje, przeważając jej szale to na stronę Jana of Gaunt, księcia Lancaster, to na stronę Edmunda, księcia Yorku, Wat Tylera, Lollardów, Warwicka „kreującego królów”, całą tę anarchię-matkę, z której narodzi się wyzwolenie, wspiera, jawnie lub tajnie, feudalizm angielski. Lordowie żywią zazdrość w stosunku do tronu, zazdrość pożyteczną; kto zazdrości – ten pilnuje; ograniczają oni samowolę królewskich poczynań, nie dopuszczają do zdrady stanu, podszczuwają samozwańcych Ryszardów przeciwko Henrykowi IV, grają rolę arbitrów, rozsądza spór o trzy korony pomiędzy księciem Yorku i Małgorzatą d'Anjou, a w potrzebie chwytają za broń i staczają własne bitwy, Shrewsbury, Tewkesbury, Saint-Albans, raz przegrane, raz zwycięskie. Już w trzynastym wieku odnieśli oni zwycięstwo pod Lewes i wygnali z granic królestwa czterech braci króla, synów Izabeli i hrabiego de la Marche, lichwiarzy, co z pomocą Żydów wyzyskiwali chrześcijan; w połowie księżęta, w połowie oszuści, połączenie, jakie nieraz później oglądać będziemy, w owych czasach jednakże nie cieszyło się ono jeszcze większym uznaniem. Aż do piętnastego wieku w królu angielskim widać jeszcze wyraźnie normandzkiego księcia i akty parlamentu sporządzane są w języku francuskim. Od panowania Henryka VII z woli baronów zaczyna się spisywać je po angielsku. Anglia, bretońska pod Utherem Pendragonem, romańska pod Cezarem, saksońska za czasów heptarchii, duńska pod Haroldem, normandzka pod Wilhelmem, dzięki lordom staje się angielska. A później – anglikańska. Mieć u siebie swoją religię – to wielka siła. Papież z zewnątrz wysysa życie z narodu. Wszelka Mekka jest zawsze ośmiornicą. W roku 1534 Londyn żegna się z Rzymem, parowie zatwierdzają reformę i lordowie uznają Lutra. Odpowiedź na ekskomunikę z roku 1215. To Henrykowi VIII dogadzało, lecz z innych względów lordowie byli mu niewygodni. Buldog wobec niedźwiedzia – oto, czym jest Izba Lordów wobec Henryka VIII. Kiedy Wolsey ukradł White-Hall narodowi, kiedy Henryk VIII ukradł White-Hall Wolseyowi – kto warczy? czterej lordowie, Dartie de Chichester, Saint-John da Bletso i (te dwa nazwiska są normandzkie) Mountjoye i Mounteagle. Król zagarnia władzę. I tu wkraczają parowie. Dziedziczość zawiera w sobie nieskazitelność; i stąd krnąbrność lordów. Baronowie burzą się nawet i wobec Elżbiety. Wynikiem tego jest kaźń w Durham. Ta tyrańska spódnica cała ufarbowana jest we krwi. Pień katowski pod halką z fiszbiniów – oto, czym jest Elżbieta. Elżbieta zwołuje parlament, jak tylko może najrządziej, i ogranicza liczbę członków Izby Lordów do sześćdziesięciu pięciu, w tym jeden tylko margrabia, Westminster, i ani jednego księcia. Królowie Francji zresztą, taką samą zazdrością powodowani, dokonali takiej samej eliminacji. Za panowania Henryka III było już tylko osiem księstw-parostw, a baron de Mantes, baron de Coucy, baron de Coulommiers, baron de Châteauneuf w Timerais, baron de la Fère w Tardenois, baron de Mortagne i kilku innych jeszcze zachowali swą godność parów Francji ku wielkiemu niezadowoleniu króla. W Anglii korona życzliwym okiem widziała wygasanie parowskich rodów; dość będzie wspomnieć, że za panowania Anny liczba parostw wygasających stopniowo od wieku dwunastego doszła do pięciuset sześćdziesięciu pięciu. Wytepienia książąt, rozpoczętego przez wojnę Dwóch Róż, dokończyła Maria Tudor ciosami topora. Tak więc ścięto głowę szlachcie. Ścięcie księcia, to ścięcie głowy. Polityka, niewątpliwie, niezła, lepiej się jednak opłaca przekupić niż ścić. Pojął to Jakub I. Przywrócił on tytuł księcia. Zrobił lisięciem faworyta swego, Villiersa, który jego w zamian za to zrobił wieprzem<sup>10</sup>. Dokonała się przemiana księcia-feudała w księcia-

<sup>10</sup> Villiers mówił do Jakuba I *Votre Cochonnerie* – Wasza wieprzowatość.



dworzanina. I odtąd zaroilo się od książąt. Karol II dwóm swoim kochankom nadaje tytuły księżnych; Barbarze de Southampton i Ludwice de Quérouel. Za panowania Anny było już dwudziestu pięciu książąt, w tym trzech cudzoziemców – Cumberland, Cambridge i Schoenberg. Czy te praktyki dworskie, wprowadzone przez Jakuba I, dają wyniki pożądane? Nie. Izba Lordów czuje, że kierować nią zaczyna intryga, i burzy się. Burzy się przeciwko Jakubowi I, burzy się przeciwko Karolowi I, który, dodajmy tu mimochodem, przyłożył się nieco, być może, do śmierci ojca swego, jak Maria Medycejska, która – kto wie? – a nuż dopomogła nieco do śmierci swego małżonka. Między Karolem I i Izbą Parów powstaje rozłam. Lordowie, którzy za panowania Jakuba I pociągnęli przed sąd swój sprzeniewierzenie grosza publicznego w osobie Bacona, za Karola I wytaczają proces zdradzie w osobie Stafforda. Przedtem skazali Bacona, teraz skazują Stafforda. Pierwszy stracił honor, drugi traci życie. W osobie Stafforda Karol I został ścięty po raz pierwszy. Lordowie przychodzą z pomocą Gminom. Król zwołuje parlament do Oxfordu, rewolucja zwołuje go do Londynu; czterdziestu trzech parów idzie za królem, dwudziestu dwóch – za republiką. Z tego opowiedzenia się lordów po stronie ludu powstaje bill praw, zarys naszych francuskich praw człowieka, błąd cień rzucony z głębin przyszłości na rewolucję angielską przez rewolucję francuską.

Takie są usługi. Niezamierzone, zapewne. I opłacone drogo, bo parostwo jest ogromnym pasożytem. Ale znaczne. Dzieło despotyzmu Ludwika XI, Richelieu'go i Ludwika XIV, stworzenie sułtanatu, powszechne upodlenie, za równość uważane, berło, co zamieniło się w pałkę bijącą na lewo i prawo, masy ujednoczone poniżeniem – wszystkie te zaiste tureckie obyczaje wprowadzone zostały we Francji. W Anglii nie dopuścili do tego lordowie. Stworzyli oni z arystokracji mur, którego jedna strona ograniczała króla, druga – chroniła naród. Swą arogancję wobec narodu okupili zuchwałością wobec monarchy. Szymon, hrabia Leicester, powiedział Henrykowi III: „Królu, skłamałeś.” Lordowie nakładają serwituty na koronę; urażają króla w miejsce bardzo czułe – w łowiectwo. Każdy lord przechodzący przez park królewski ma prawo zabić daniela. Będąc u króla, lord jest u siebie. Król, który może znaleźć się w Wieży Londyńskiej, król, na którego utrzymanie w więzieniu przeznaczają ustawa dwanaście funtów szterlingów tygodniowo – tyleż samo więc co i dla para – oto, co zawdzięcza Anglia Izbie Lordów. Więcej jeszcze. Zawdzięcza jej króla pozbawionego korony. To lordowie usunęli z tronu Jana bez Ziemi, to oni zmusili do złożenia berła Edwarda II i Ryszarda II, to oni złamali Henryka VI i sprawili, że Cromwell stał się możliwy. W Karolu I tkwił nie lada jaki Ludwik XIV! Dzięki Cromwellowi nie zdążył się ujawnić. Należy zresztą przypomnieć tutaj, że Cromwell – żaden historyk nie zauważył tego faktu – też usiłował zostać parem; dlatego właśnie poślubił on Elżbietę Bouchier, potomkinię i dziedziczkę Cromwella, lorda Bouchier, którego parostwo wygasło w roku 1471, i Bouchiera, lorda Robesart, którego parostwo wygasło w roku 1429. Lecz porwany gwałtownym rozwojem wydarzeń spostrzegł, iż przez unicestwienie króla szybciej da się zagarnąć władzę niż poprzez odzyskiwanie parostwa. Ceremoniał sądowy dotyczący lordów, bardzo ponury niekiedy, osiągał osoby panującego. Na sądzie, po obu stronach oskarżonego para, stali dwaj strażnicy z Tower, z toporami na ramieniu. Według ustawy towarzyszyć mieliby oni w podobnej chwili i królowi też jak i każdemu innemu lordowi. Stara Izba Lordów przez pięć stuleci miała swój plan, swój cel i dążyła doń uporczywie. Zapewne, że i jej zdarzały się chwile słabości, roztargnienia, jak na przykład ów moment dziwny, kiedy to zwiesić się dała okrętem wyładowanym serami, szynką i winem greckim, przysłanym jej przez Juliusza II. Arystokracja angielska była płochliwa, wyniosła, trudna, czujna, patriotycznie nieufna. Ona to przecież u schyłku siedemnastego stulecia, dziesiątą z kolei uchwałą z roku 1694, odebrał miastu Stockbridge w Southampton prawo wysyłania posła do parlamentu i zmusiła Gminy do unieważnienia wyborów z tego miasta, splamionego sprzyjaniem papistom. Ona to od Jakuba, księcia Yorku, zażądała złożenia przysięgi, że odrzeka się katolickiej wiary, a kiedy odmówił – odsunęła go od tronu. Został on wprowadzonym królem, lecz wreszcie lordowie zwyciężyli i wygnali go. Arystokracja ta podczas długiego

okresu swego trwania miewała również i jakiś instynkt postępu. Pewna ilość światła, której nie doceniać nie należy, promieniowała z niej zawsze, z wyjątkiem okresu końcowego, który nadszedł teraz właśnie. Za panowania Jakuba II arystokracja pilnie strzegła, by w izbie niskiej na trzystu czterdziestu sześciu przedstawicieli mieszczan przypadało dziewięćdziesięciu dwóch przedstawicieli szlachty, a szesnastu baronów „z kurtuazji” z Pięciu Portów dostatecznie równoważyło pięćdziesięciu przedstawicieli dwudziestu pięciu dużych miast. Przy całym zepsuciu, jakie szerzyła, przy całym swoim egoizmie, arystokracja ta w pewnych wypadkach wykazywała niezwykłą bezstronność. Sądzi się ją surowo. Historia traktuje życzliwie tylko Gminy; trzeba by rozpatrzyć ten pogląd. Wydaje się nam, że znaczenie lordów było bardzo duże. Oligarchia – to niezależność, w stadium barbarzyńskim, ale niezależność. Spójrzcie na Polskę, królestwo z imienia, republikę w rzeczywistości. Parowie Anglii otoczyli tron swoją podejrzliwą opieką. W licznych okazjach lordowie potrafili dać się królowi we znaki, potrafili to lepiej niż Gminy. Szachowali oni króla. W pamiętnym roku 1694 na przykład ustawa o obowiązku zwoływania parlamentu co trzy lata odrzucona przez Gminy dlatego, że nie życzył jej sobie Wilhelm III, uchwalona została przez parów. Rozdrażniony Wilhelm III odebrał zamek Pendennis hrabiemu de Bath, a wicehrabiemu Mordaunt wszystkie jego urzędy. Izba Lordów była to republika wenecka w samym sercu angielskiego królestwa. Celem jej było ograniczenie roli króla do roli doży i dzięki niej naród wyrósł o tyle, o ile umniejszony został król.

Królowie rozumieli to i nienawidzili parów. Obie strony usilnie pracowały, by jak najbardziej ograniczyć się nawzajem. A te wzajemne ograniczenia wychodziły na pożytek ludowi. Dwie ślepe siły, monarchia i oligarchia, nie spostrzegały nawet, że pracują na korzyść kogoś trzeciego – demokracji. W poprzednim stuleciu, kiedy udało się powiesić para, lorda Ferrers – jakąż radość wzbudziło to na królewskim dworze!

Wieszano go na jedwabnym stryczku, to prawda. Z kurtuazją.

Para Francji nie powieszono by nigdy. Zauważył to z pańska księżę de Richelieu. Zgoda. Ścięto by go. Wyższy stopień kurtuazji. Montmoreney-Tancarville podpisywał się: „Par Francji i Anglii”, przesuwając tym sposobem swoje angielskie parostwo na drugie miejsce. Parowie Francji wyżej nosili się, a mniej mogli, bardziej dbali o rangę swą niż o władzę, pierwszeństwo ważniejsze im było niż panowanie. Różnica między nimi i lordami mieści się w tym odcieniu, którym próżność różni się od pychy. Co obchodziło rzeczywiście parów Francji? Dbali oni, aby brać prym i krok przed cudzoziemskimi książętami, przed grandami Hiszpanii i patrycjuszami Wenecji, by zmusić do zasiadania na najniższych miejscach w parlamencie marszałków Francji, konetabla i admirała Francji, choćby był on hrabią Tuluzy i synem Ludwika XIV, by pilnować rozróżnienia między parostwem po mieczu i parostwem po kądzieli, utrzymać należyty dystans między zwykłym hrabstwem, jak Armagnac lub Albret, a hrabstwem-parostwem, jak Évreux, przywdziewać w pewnych okazjach błękitną wstęgę czy też złote runo w dwudziestym piątym roku życia, przeciwstawiać księciu de Trémoille, najstarszemu parowi królestwa, księcia d'Uzès, najstarszemu para parlamentu, zgłaszać pretensje swoje do tyłuż pazi i koni u karety, ile miewał ich elektor, kazać mówić do siebie *monsieur* pierwszemu prezydentowi, roztrząsać, czy księżę du Maine jako hrabia d'Eu ma prawo używania tytułu parowskiego z roku 1458, i aby ustalić, czy przez wielką salę posiedzeń przechodzić należy na skos czy też wzdłuż ścian. A co naprawdę obchodziło lordów? Akt nawigacyjny, przysięga na wyrzeczenie się katolickiej wiary, wprzęgnięcie Europy w służbę Anglii, zapanowanie na morzach, wygnanie Stuartów, wojna z Francją. Tu – przede wszystkim etykieta; tam – przede wszystkim mocarstwo. Parowie Anglii ścigali zdobycz, parowie Francji ścigali cienie.

Izba Lordów Anglii stała się więc punktem wyjścia; w cywilizacji znaczy to bardzo wiele. Przypadł jej w udziale zaszczyt dania początku narodowi. Była ona pierwszym wcieleniem jedności całego ludu. Opór angielski, ta ciemna, a wszechwładna siła, narodził się w Izbie

Lordów. Baronowie, szeregiem aktów przemocy dokonanych. na osobie władcy, pokazali drogę do ostatecznej detronizacji króla. Dziś Izba Lordów nie bez zdziwienia i smutku spogląda na to, czego niechcący i bezwiednie dokonała. Tym bardziej że jest to już nie do odrobienia. Czym są ustępstwa? Nadawaniem praw. I narody dobrze to wiedzą. „Daję” – mówi król; „Biorę swoje” – mówi naród. Izba Lordów sądziła, że tworzy przywileje dla parów, a wypracowała prawa dla obywateli. Arystokracja, ten jastrząb drapieżny, wysiedziała orle jajo – wolność.

Dziś skorupa jajka została rozbita, orzeł wyfrunął i buja w powietrzu, a jastrząb kona.

Arystokracja zamiera, Anglia rośnie.

Ale oddajmy sprawiedliwość arystokracji. Utrzymała ona w równowadze władzę królewską, była jej przeciwwagą. Była przeszkodą na drodze despotyzmu; miała znaczenie bariery.

Podziękujmy jej i pochowajmy ją.

### III. STARA SALA

Tuż obok westminsterskiego opactwa znajdował się starożytny pałac normandzki, który za panowania Henryka VIII spłonął. Z pałacu tego zachowały się dwa skrzydła. Edward VI w jednym z nich umieścił Izbę Lordów, a w drugim Izbę Gmin.

Nie istnieją już ani te dwa skrzydła, ani te dwie sale, wszystko zostało przebudowane.

Wspominaliśmy już i podkreślamy raz jeszcze, że pomiędzy dawną i dzisiejszą Izbą Lordów nie ma żadnego podobieństwa. Zburzono stary pałac i tym samym zburzono po trosze stary obyczaj. Uderzenia oskarża w gmach odbijają się zawsze i w obrzędach i w ustawach. Stare kamienie rozpadając się pociągają za sobą stare prawa. Wprowadźcie do okrągłej sali senat z sali kwadratowej, a będzie on innym już senatem. Zmiana muszli przekształca mięczaka.

Jeżeli pragniecie zachować jakąkolwiek rzecz starą, ludzką czy boską, kodeks czy dogmat, patrycjat czy kapłaństwo, nie odnawiajcie w niej gruntownie niczego, nie odnawiajcie nawet jej zewnętrznej oprawy. Co najwyżej tu czy tam wstawcie łąkę. Jezuityzm, na przykład, jest taką łąką na katolicyzmie. Tak postępujcie z budynkami, jak postępujecie z instytucjami.

Cienie muszą mieszkać w ruinach. Zgrzybiałe potęgi źle się czują w świeżo przystrojonych mieszkaniach. Instytucje-łachmany potrzebują pałaców-ruder.

Pokazać wnętrze dawnej Izby Lordów to tyle co pokazać Nieznane. Historia to noc. W historii nie ma drugiego planu. Zanik i mrok pochłaniają natychmiast wszystko, co nie znajduje się już na samym przodzie sceny. Wyniesiono dekoracje, przemazano, zapomniano. Minione to synonim Nieznanego.

Parowie Anglii jako najwyższy sąd zasiadali w wielkiej sali Westminsteru, a jako izba ustawodawcza – w innej sali, zwanej „domem lordów”, *house of the lords*.

Oprócz sądu parów Anglii, który zbierał się tylko na wezwanie korony, dwa inne trybunały angielskie, niższe niż sąd parów, lecz wyższe od wszelkich innych jurysdykcji, zbierały się w wielkiej sali Westminsteru. Zasiadały one, sąsiadując ze sobą, w przedniej części sali. Pierwszemu trybunałowi, zwanemu sądem królewskim, przewodniczył w zasadzie sam król; drugiemu, zwanemu sądem kanclerskim, przewodniczył kanclerz. Pierwszy sąd zatwierdzał wyroki, drugi rozpatrywał sprawy ulaskawień. To kanclerz doradzał królowi, by skorzystał z prawa łaski; nieczęsto. Dwa te sądy, do tej pory jeszcze istniejące, interpretowały ustawy i poprawiały je nieco; sztuka sądenia bowiem – to przemiał kodeksu na orzecznictwo. Przemysł, z którego poczucie słuszności wywiązuje się, jak tylko potrafi. W tym miejscu surowym, w wielkiej sali Westminsteru, odbywała się i fabrykacja prawa, i jego stosowanie. Sklepienie tej sali było z kasztanowego drzewa, którego nie ma się pajączyna; obrastają nią ustawy, to dość.

Zasiadanie jako sąd i zasiadanie jako izba ustawodawcza – to dwie różne sprawy. Podwójność ta składa się na najwyższą władzę. Długotrwały parlament, co rozpoczął się trzeciego listopada 1640 roku, zrozumiał, że rewolucja potrzebuje tego podwójnego miecza. Ogłosił się więc, na podobieństwo Izby Parów, władzą i sądową, i ustawodawczą zarazem.

Izba Lordów posiadała tę podwójną władzę od niepamiętnych czasów. Jak to rzekliśmy, jako sędziowie zasiadali lordowie w Westminster-Hallu; jako prawodawcy zbierali się w innej sali.

Ta inna sala, właściwa Izba Lordów, była podłużna a wąska. Światło przedostawało się do jej wnętrza przez cztery tylko okna wyrżnięte w górze sklepienia; prócz tego nad baldachimem królewskim znajdowało się owalne okno o sześciu szybach, z zasłoną. Wieczorami jedynym oświetleniem były świece dwunastu kandelabrow przytwierdzonych do ścian. Sala

weneckiego senatu oświetlona była jeszcze bardziej skąpo. Sowy wszechwładzy dobrze się czują wśród półmroku.

Nad salą, w której zbierali się lordowie, wznosiło się wyniosłe sklepienie, całe jakby z małych ostrosłupów, ułożone i wyłącane bogato. Gminy miały tylko płaski sufit; w budownictwie monarchii wszystko ma swoje znaczenie. W jednym końcu długiej sali lordów znajdowały się drzwi, w drugim, naprzeciw nich – tron. Tuż za drzwiami przecinała ją na poprzek krata, rodzaj granicy wyznaczającej miejsce, w którym kończy się lud, a zaczyna arystokracja. Na prawo od tronu, na kominku z herbem w górze – dwie marmurowe płaskorzeźby. Na jednej – zwycięstwo pod Cuthwolph nad Bretonami w roku 572, na drugiej – geometryczny plan miasta Dunstable, które ma tylko cztery ulice, równoległe do czterech stron świata. Na podwyższeniu, składającym się z trzech stopni, stał tron. Tron nazywany był „krzesłem królewskim”. Na dwóch naprzeciwległych dłuższych ścianach rozwieszono były ogromne tkaniny ofiarowane lordom przez Elżbietę. Przedstawione były na nich w następujących po sobie obrazach przygody Niezwycięzonej Armady, od wypłynięcia jej z Hiszpanii aż po klęskę u brzegów Anglii. Wysmukłe zarysy statków utkane były złotą i srebrną nicią, która z upływem czasu szerniała. Pod tą tkaniną, poprzecinaną w pewnych odstępach przez przytwierdzone do ścian świeczniki, ustawione były na prawo od tronu trzy rzędy ław dla biskupów, na lewo zaś – trzy rzędy ław dla książąt, margrabiów i hrabiów, na trzech schodach. Na trzech ławach pierwszego rzędu zasiadali książęta; na trzech ławach drugiego rzędu – margrabiowie, na trzech ławach trzeciego rzędu – hrabiowie. Ława wicehrabiów ustawiona była pod kątem, na wprost tronu, za nią zaś, pomiędzy Wicehrabiami i kratą, stały dwie ławy dla baronów. Po prawej stronie tronu, na najwyższej ławie, zasiadali dwaj arcybiskupi, Canterbury i Yorku; na średniej ławie – trzech biskupi, Londynu, Durham i Winchester; pozostali biskupi zajmowali najniższą ławę. Arcybiskup Canterbury wyróżnia się znacznie od reszty wysokiego duchowieństwa: jest on biskupem „z bożej opatrności”, a wszyscy inni są biskupami tylko „z bożego przyzwolenia”. Przy tronie, po stronie prawej, stało krzesło dla księcia Walii, po lewej – dwa składane krzesła dla książąt krwi, z tyłu, za nimi – podwyższenie dla parów małoletnich, nie biorących jeszcze udziału w obradach Izby. Wszędzie kwiaty lilii; a na wszystkich czterech ścianach wielkie tarcze z herbami Anglii, tak nad królem, jak i nad parami. Synowie parów i spadkobiercy parostw asystowali przy debatach stojąc za tronem, między baldachimem i ścianą. Tron stał w głębi, a ławy parów w rzędach pod ścianami, pozostawiając na środku sali pustą prostokątną przestrzeń. W tym ogromnym prostokącie, zasłanym kobiercem z herbami Anglii, leżały cztery wory napełnione wełną; na jednym z nich, u stóp tronu, zasiadał kanclerz, między buławą i pieczęcią, na drugim, przed ławami biskupów, zasiadali sędziowie – radcy stanu biorący udział w posiedzeniach bez prawa głosu, na trzecim przed ławami książąt, margrabiów i hrabiów, zasiadał sekretarz stanu, na czwartym, położonym przed ławą wicehrabiów i baronów – pisarz koronny i pisarz parlamentu, obok nich zaś klęczeli dwaj niżsi pisarze i na tym worku pisali. Na środku prostokątnej przestrzeni stał stół sukniem przykryty, na nim akty, rejestry, księgi, wielkie srebrne kałamarze i wysokie czteroramienne świeczniki. Parowie zasiadali w ławach w chronologicznym porządku, według daty utworzenia parostwa. Zajmowali miejsca swoje według starszeństwa tytułu, a gdy tytuł był taki sam – według jego dawności. Przy kracie stał odźwierny z czarną różgą, trzymając w ręku swój pręt. W drzwiach – urzędnik towarzyszący, odźwiernemu z czarną różgą, a przed drzwiami herold czarnej różgi, którego obowiązkiem było otwieranie posiedzenia trzykrotnym okrzykiem: „Słuchajcie!” Słowo to wymawiał po francusku – *Oyez!* – z uroczystym akcentem na pierwszej sylabie. Obok herolda stał strażnik kanclerskiej buławy.

Jeżeli posiedzenie odbywało się w przytomności króla, świeccy parowie mieli na głowach korony, duchowni zaś parowie – mitry.

Arcybiskupi używali mitry z koroną książęcą, biskupi zaś, idący po wicehrabiach, używali jako mitry baronowskiego biretu z perłami.

Zauważmy teraz rzecz niezwykłą a pouczającą: ów prostokąt ukształtowany z tronu, biskupów i baronów, z urzędnikami klęczącymi w środku – to dawny parlament francuski z czasów dwóch pierwszych dynastii. Władza i we Francji, i w Anglii taki sam wygląd przybrała, Hincmar w swoim *De ordinatione sacri palatii* z roku 853 opisał Izbę Lordów obradującą w Westminsterze w osiemnastym wieku. Coś na kształt dziwnego protokołu spisanego na dziewięćset lat z góry.

Czym jest historia? Echem przeszłości odbitym przez przyszłość. Odblaskiem przyszłości rzuconym w przeszłość.

Posiedzenia parlamentu odbywały się ustawowo co siedem lat.

Lordowie obradowali w tajemnicy, przy drzwiach zamkniętych. Posiedzenia Izby Gmin były otwarte, publiczne. Popularność uważana była za poniżenie.

Liczba lordów była nieograniczona. Prawo mianowania nowych lordów było groźbą, którą rozporządzała władza króla. Środkiem, sprawowania rządów.

W początkach osiemnastego stulecia liczba członków Izby Lordów była bardzo duża. I jeszcze powiększyła się od tamtej pory. Rozcieńczanie arystokracji to dobra polityka. Kto wie, czy Elżbieta. nie popełniła błędu zgęszczając instytucję parostwa do sześćdziesięciu pięciu lordów. Im mniej jest liczna arystokracja, tym silniejsza bywa. W zgromadzeniach – im więcej członków, tym mniej głów. Jakub II pojął to i podniósł ilość członków Izby Lordów do stu osiemdziesięciu ośmiu; stu osiemdziesięciu sześciu, jeżeli odliczymy dwie księżne alkowy królewskiej, Portsmouth i Cleveland. Za panowania Anny Izba Lordów miała dwustu siedmiu członków razem z biskupami.

Nie licząc księcia Cumberland, małżonka królowej, było wówczas książąt dwudziestu pięciu, z których pierwszy, Norfolk, nie zasiadał w Izbie, był bowiem katolikiem, za to ostatni, Cambridge, elektor hanowerski, zasiadał w niej, choć był cudzoziemcem. Ponieważ Winchester, pierwszy i jedyny margrabia Anglii, jak Astorga jest jedynym margrabią Hiszpanii, był nieobecny, jako jakobita, w Izbie Lordów zasiadało pięciu margrabiów – pierwszym z nich był Lindsey, ostatnim Lothian; siedemdziesięciu dziewięciu hrabiów – pierwszym z nich był Derby, ostatnim Islay; dziewięciu wicehrabiów – pierwszym z nich był Hereford, ostatnim Lonsdale; i sześćdziesięciu dwóch baronów, z których pierwszym był Abergaveny, a ostatnim Hervey. Lord Hervey, jako ostatni z ławy baronów, był tak zwanym „młodszym” Izby. Derby, przed którym pierwszeństwo mieli hrabiowie Oxfordu, Shrewsbury i Kentu, za panowania Jakuba II był czwartym, za panowania Anny stał się pierwszym z hrabiów. Znikły ze spisu baronów dwa nazwiska kanclerzy: Verulam, pod którym to imieniem historia odnajduje Bacona, i Wem, pod którym to imieniem historia odnajduje Jeffreysa. Bacon, Jeffreys, imiona na różny sposób ponure. W roku 1705 na dwudziestu sześciu biskupów tylko dwudziestu pięciu zasiadało w Izbie, biskupstwo Chester nie było bowiem obsadzone. Niektórzy spośród biskupów byli wielkimi magnatami; a więc choćby William Talbot, biskup Oxfordu, głowa protestanckiej gałęzi swego rodu. Inni spośród nich byli to znani uczeni, jak na przykład Jan Sharp, arcybiskup Yorku, były dziekan w Norwicz, Tomasz Spratt, biskup Rochesteru, poeta apoplektycznej postaci, i ów biskup Lincolnu, który umrzeć miał jako: arcybiskup Canterbury, a zwał się Wake i był przeciwnikiem Bossueta.

W okazjach szczególnie uroczystych, kiedy Wysoka Izba zapoznać się miała z wolą i życzeniami korony, całe to zgromadzenie dostojne, w płaszczach, w perukach, w kapeluszach z piórami, w mitrach, zasiadało rzędami, na różnej wysokości, głowa przy głowie w sali parów, wzdłuż ścian, na których majaczyły niewyraźne widoki burzy unicestwiającej Niezwyciężoną Armadę. Co rozumieć należało: Burza słuca rozkazów Anglii.

## IV. STARA IZBA

Cała ceremonia uznania Gwynplaine'a, od chwili wejścia jego pod sklepienie King's Gate aż do złożenia przysięgi na wyrzeczenie się katolickiej wiary w oszklonej rotundzie, odbywała się raczej w półmroku.

Lord William Cowper nie pozwolił na to, by jemu, kanclerzowi Anglii, opisywano nazbyt szczegółowo zeszpecenie młodego lorda Fermaina Clancharlie, znajdując, iż sama już świadomość tego, że par nie jest piękny, leży poniżej jego kanclerskiej godności, że obraziłaby go zuchwałość niżej od niego postawionych, którzy by mu przynieśli tego rodzaju wiadomość. Prosty lud z przyjemnością powtarza: „Tamten książę jest garbaty.” A więc kalectwo jest ujmą dla lorda. Królowa rzuciła mu w tej materii słów kilka, na co lord-kanclerz ograniczył się do odpowiedzi, że „obliczem magnata jest wielkość jego rodu”. Czytał jednak protokoły, musiał zatwierdzać je i podpisywać – zrozumiał więc w ogólnym zarysie, jak się rzeczy mają. I stąd też ostrożności.

Twarz nowego lorda mogłaby przy wprowadzaniu go do Izby wywołać niejaką sensację. Należało temu zapobiec. Lord-kanclerz przedsięwziął stosowne środki. Jak najmniej niezwykłych wydarzeń – oto cel i zasada postępowania osób prawdziwie godnych. Wstręt do niespodzianek jest częścią powagi. Należało tak uczynić, by przyjęcie Gwynplaine'a do Izby Lordów odbyło się gładko, niby przyjęcie jakiegokolwiek innego spadkobiercy parowskiego tytułu.

Dlatego to właśnie lord-kanclerz rozkazał, aby wprowadzenie do Izby lorda Fermaina Clancharlie odbyło się podczas posiedzenia wieczornego. Kanclerz, jako strażnik wrót – *quodammodo ostiarius*, według starych kodeksów normandzkich, *januarum cancellorumque potestas*, według Tertuliana – może pełnić urząd swój poza izbą, na jej progu, i lord William Cowper skorzystał z tego przysługującego mu prawa dopełniając czynności uznania lorda Fermaina Clancharlie w oszklonej rotundzie. Przyspieszył też godzinę obrzędu, by nowy par wszedł do izby, zanim się rozpocznie posiedzenie.

Zdarzało się już zresztą, że parowi godność jego nadaną została nie w samej izbie, lecz na jej progu. Pierwszy dziedziczny baron, Jan de Beauchamp z Holtcastle, otrzymał od Ryszarda II w roku 1387 tytuł barona Kidderminster w taki właśnie sposób.

Lord-kanclerz, co prawda, odnawiając ten obyczaj samemu sobie przysporzył kłopotu i niedogodności zeń wynikające poznać miał już za niespełna dwa lata, przy wprowadzaniu wicehrabiego Newhaven do Izby Lordów.

Lord William Cowper, krótkowidz, jak wiemy, ledwie że dostrzegł coś niecoś ze szpetoty Gwynplaine'a, a dwaj wprowadzający go lordowie w ogóle nie zauważyli niczego. Starcy ci byli prawie ślepi.

Lord-kanclerz wybrał ich z rozmysłem.

Nie dosyć na tym; lord-kanclerz, który dojrzał tylko wysoki wzrost i okazałą postawę Gwynplaine'a, uznał, że ma on „znakomitą prezencję”.

Kiedy *door-keeper* otworzył przed Gwynplaine'em oba skrzydła wielkich drzwi, kilku za ledwie lordów znajdowało się na sali. Prawie wszyscy byli starzy. Starcy najpункtualniej zjawiają się na zebrania i najwytrwalej asystują kobietom. Na ławie książąt siedziało ich dopiero dwu, jeden siwy, drugi szpakowaty, Tomasz Osborne, książę Leeds, i Schonberg, syn owego Schonberga, Niemca z urodzenia, Francuza z marszałkowskiej łaski, a z parostwa – Anglika, który bił się przeciwko Anglii jako Francuz, po czym, wygnany przez edykt nantejski – bił się przeciwko Francji jako Anglik. Z lordów duchownych na najwyższej ławie siedział samotnie arcybiskup Canterbury, prymas Anglii, na najniższej zaś – doktor Simon Pa-

trick, biskup Ely, rozmawiał z Ewelinem Pierrepont, margrabią Dorchester, który tłumaczył mu, na czym polega, różnica między koszokopem a murem łączącym dwa bastiony i między palisadą a kolcami; palisada bowiem są to słupy raz koło razu ustawione dookoła namiotów, aby chronić obozowisko, kolce zaś – to pale zaostrome na końcu, które umieszcza się pod machikulami fortecy, a utrudniać mają one szturm oblegającym, i ucieczkę – obleżonym; i margrabia wyjaśniał biskupowi, w jaki sposób otacza się kolcami zamek obronny wkopując je do połowy w ziemię, a drugą połowę pozostawiając na zewnątrz. Tomasz Thynne, wicehrabia Weymouth, stanął pod świecznikiem i oglądał plany swego architekta, chciał bowiem mieć w ogrodzie swoim w Long Leate, w Wiltshire, trawnik zwany „pociętym gazonem”, na który składały się na przemian kwadraty zielonej trawy, żółtego piasku, czerwonego piasku; muszli rzecznych i węglowego miału. Na ławie wicehrabiów siedziało kilku starszych lordów – Essex, Ossulstone, Peregrine, Osborne, William Zulestein, hrabia de Rochefort – i kilku młodych, ze stronnictwa przeciwników peruki; otaczali oni Price Devereux, wicehrabiego Hereford, i roztrząsali kwestię, czy napar z liści ostrokrzewu jest herbatą. – Prawie – twierdził Osborne. – Najzupełniej – utrzymywał Essex. Dyskusji tej przysłuchiwał się Uważnie Pawlets Saint-John, kuzyn Bolingbroke'a, którego uczniem po trosze będzie później Wolter, gdyż choć ojciec Porée zaczął kształtować Woltera, dokończył tego dzieła Bolingbroke. Na ławie margrabiów Tomasz de Grey, margrabia Kentu, lord szambelan królowej, zapewniał Roberta Bertie, margrabię Lindsey, lorda szambelana Anglii, że najwyższy los na wielkiej loterii angielskiej w roku 1614 wygrany został przez dwu uchodźców francuskich, pana Lecoq, byłego radcę parlamentu Paryża, i pana Ravenel, szlachcica bretońskiego. Hrabia Wymes czytał książkę noszącą tytuł: *Ciekawe zastosowanie wyroczni sybilińskich*. Jan Campbell, hrabia Greenwich, sławny ze swej długiej brody, wesołości i osiemdziesięciu siedmiu lat, pisał list do kochanki. Lord Chandos obcinał sobie paznokcie. Posiedzenie, mające rozpocząć się za chwilę, było posiedzeniem królewskim, a koronę reprezentować na nim mieli dwaj królewscy komisarze. Pomocnicy odźwiernych ustawili dla nich u stóp tronu ławę krytą szkarłatnym aksamitem. Na drugim worze z wełną siedział kustosz archiwów koronnych, *sacrorum scri-niorum magister*, który mieszkał wówczas w dawnym domu przechrztów żydowskich. Przy czwartym worze, klęczeli dwaj niżsi pisarze i przeglądali księgi.

Tymczasem lord-kanclerz zasiadł na pierwszym worze wełny, weszli urzędnicy dworscy i jedni zasiedli, drudzy zaś stanęli na przynależnych sobie miejscach, arcybiskup Canterbury wstał i odmówił modlitwę, rozpoczynało się posiedzenie. Na Gwynplaine'a nikt jeszcze nie zwrócił uwagi, choć znajdował się on na sali już od pewnego czasu; druga ława baronów, na której było jego miejsce, stała tuż przy kracie, tak że ledwie kilka kroków miał do niej od drzwi. Dwaj wprowadzający lordowie zasiedli po obu jego stronach maskując tym sposobem obecność nowego przybysza. Nikt jeszcze nie wiedział o niczym, pisarz parlamentu odczytał półgłosem – a raczej może: wyszeptał – treść dokumentów dotyczących nowego lorda, a lord-kanclerz ogłosił akt przyjęcia go w poczet członków Wysokiej Izby wśród tego, co w sprawozdaniach zwie się „ogólną nieuwagą”. Wszyscy rozmawiali. W izbie panował gwar, wśród jakiego jakże często dzieją się na zgromadzeniach rzeczy najniezwykłejsze, którym później niejednokrotnie dziwią się sami zebrani.

Gwynplaine siedział w milczeniu, z odkrytą głową, między dwoma starymi parami, lordem Fitz Walterem i lordem Arundel.

Zaznaczyć trzeba, że Barkilphedro, który, jak zawsze szpiedzy, wiadomości miał dokładne, a postanowił sobie święcie dopiąć swego – zadbał o to, by zniekształcenie lorda Fermaina Clancharlie przedstawić lordowi-kanclerzowi w formie jak najłagodniejszej, że podkreślał z naciskiem, iż Gwynplaine, może, jeśli zechce, powstrzymać swój wieczny śmiech i nadać wyraz powagi swej oszpeconej twarzy. Barkilphedro zapewne przesadził nieco mówiąc o tej jego zdolności. A zresztą, z arystokratycznego punktu widzenia jakież mieć to mogło znaczenie? Czyż lord William Cowper, wytrawny znawca tych spraw, nie był sam osobiście autorem



maksymy, iż: „W Anglii przywrócenie do tytułu para więcej znaczy niż przywrócenie na tron króla”? Niewątpliwie, piękność i godność w parze chodzić powinny, lord o sfalszowanej, podrobionej twarzy – rzecz to nieprzyjemna, prawdziwa obelga przypadku; lecz czy w jakiegokolwiek mierze może to umniejszyć jego prawa? Lord-kanclerz przedsięwziął stosowne ostrożności i słusznie uczynił, lecz w końcu z ostrożnościami czy też bez ostrożności – któż mógłby przeszkodzić parowi w wejściu do Izby Parów? Krew wielkiego rodu wyższa jest nad wszelką brzydotę, nad wszelkie kalectwo. Czyż ryk dzikiego zwierza nie był na równi z parostwem dziedziczny w starożytnej rodzinie Cuminów, hrabiów Buchan, wygasłej w roku 1347? przecież para Szkocji poznawano po głosie tygrysa. Czyż przeszkodziły Cezarowi Borgii krwawe plamy na twarzy, kiedy zostawał księciem de Valentinois? Czyż ślepotą przeszkodziła Jerzemu Luksemburskiemu, kiedy zostawał królem Czech? Czyż garb przeszkodził Ryszardowi III w objęciu tronu Anglii? Skoro przyjrzymy się tym sprawom z bliska, przekonamy się, że kalectwo i brzydota, przyjmowane z wyniosłą obojętnością, nie przeczą wielkości, lecz potwierdzają ją, świadczą o niej. Zniekształcenie nie może zakłócić rodowego majestatu, tak jest on wielki. Oto i druga, a nienajmniej ważna przyczyna. Nic więc nie mogło stać na przeszkodzie uznaniu Gwynplaine'a i przezorność lorda-kanclerza, pożyteczna z niższego, taktycznego punktu widzenia, była zbyt, luksusem, jeżeli się ją potraktuje z wysokości zasady arystokracji.

Wchodząc – według zalecenia pierwszego herolda królestwa, które przypomnieli mu jeszcze obaj starzy lordowie – uklonił się Gwynplaine „krzesłu królewskiemu”

A więc stało się. Był lordem.

Przez całe życie swoje patrzył, jak mistrz jego i nauczyciel, Ursus, kuli się z przerażenia pod blaskiem bijącym od tej wyżyny, na której stanął teraz on, Gwynplaine.

Znajduje się oto w najjaśniejszym, choć mrocznym przybytku Anglii.

Oto stary szczyt feudalnej góry, na który od sześciu stuleci spogląda i Europa, i historia. Oto przerażająca aureola świata mroków.

Wejście jego w krąg tej aureoli dokonało się. Dokonało się nieodwołalnie.

Był tutaj u siebie.

U siebie, i zasiadał na swoim miejscu na ławie, jak król w swoim krześle zasiada.

Był tutaj, i odtąd żadna siła sprawić nie była w stanie, żeby go tutaj nie było.

Królewska korona, którą oglądał pod tym baldachimem, była siostrą jego korony. Był równy tronowi temu, był parem.

Władzy króla przeciwstawił swoją władzę feudała. Mniejszą, lecz równą tamtej.

Kim był wczoraj? Błaznem. Kim był dzisiaj? Księciem.

Wczoraj – niczym. Dziś – wszystkim.

Dokonało się nagle zderzenie nędzy i wszechpotęgi, w głębi tego samego ducha, w tym samym przeznaczeniu stanęły one naprzeciw siebie, twarzą w twarz, i stały się oto dwiema połowami tej samej świadomości.

Dwa widma – przeciwności i pomyślności – objęły w swoje posiadanie tę samą duszę i każde ciągnęło ją ku sobie. Patetyczny podział jednego rozumu, jednej woli, jednego mózgu między dwu braci-wrogów – widmo biedne i widmo bogate. Abel i Kain, co spotkali się w jednym człowieku.

## V. WIELKOPAŃSKIE ROZMOWY

Ławy izby zapępiały się powoli. Zaczęli schodzić się lordowie. Na porządku dziennym znajdowało się głosowanie nad billem zwiększającym o sto tysięcy funtów szterlingów rentę roczną Jerzego Duńskiego, księcia Cumberland, małżonka królowej. Prócz tego zapowiedziane były i inne jeszcze bille, które za zezwoleniem jej królewskiej mości wniesione być mają w Izbie przez komisarzy korony upęłnomocnionych do udzielenia im sankcji, co podnosiło posiedzenie do rzędu posiedzenia królewskiego. Wszyscy parowie na swoich zwykłych szatach lub też na dworskim stroju nosili płaszcze parlamentarne. Płaszcz taki – a był weń przyodziany również i Gwynplaine – był jednakowy dla wszystkich, z tą tylko różnicą, że książęta mieli na nich po pięć pasów gronostajowych, złotem obszywanych, margrabiowie po cztery, hrabiowie i wicehrabiowie po trzy, a baronowie po dwa. Lordowie wchodzili po kilku na raz. Spotkali się na korytarzu, nie przerywali więc rozpoczętej rozmowy. Niektórzy wchodzili samotnie. Stroje ich były uroczyste, ale nie ruchy, ale nie słowa. Wchodząc wszyscy składali ukłon tronowi.

Parowie napływali tłumnie. Ta defilada największych nazwisk w państwie odbywała się bez żadnego ceremoniału, bo nie było tu przecież publiczności. Wszedł Leicester i uściskał dłoń Lichfielda; po nim wszedł Karol Mordaunt, hrabia Peterborough i Monmouth; był on przyjacielem Locke'a, za którego to namową wysunął wniosek przetopienia monet; później wszedł Karol Campbell, hrabia Loudoun, słuchając, co doń mówi Fulke Greville, lord Brooke; później Dorme, hrabia Caernarvon; po nim – Robert Sutton, baron Lexington, syn tego Lexingtona, który doradzał Karolowi II wygnanie Grzegorza Leti, historiografa, co na tyle aż był nieroztropny, że chciał stać się historykiem; za nim – piękny starzec, Tomasz Bellasyse, wicehrabia Falconberg; po nim weszli razem trzej kuzynowie Howard; Howard, hrabia Bindon, Bower-Howard, hrabia Berkshire, i Stafford-Howard, hrabia Stafford; po nich zaś Jan Lovelace, baron Lovelace; wygaśnięcie tego parowskiego rodu wyroku 1736 pozwoliło Richardsonowi na wprowadzenie Lovelace'a do swojej powieści, na nazwanie stworzonego przez siebie bohatera tym właśnie imieniem. Wszystkie te osobistości, na różne sposoby sławne, czy to w dziedzinie polityki, czy też w dziedzinie wojny, a z których niejedna była chlubą Anglii, śmiały się i rozmawiały. Była to niby historia oglądana w domowym stroju.

W niespełna pół godziny zeszli się już prawie wszyscy członkowie Izby. Nic w tym dziwnego, posiedzeniu przewodniczyć mieli przecież komisarze w imieniu królowej. Dziwne natomiast było niezwykle ożywienie rozmów. Izba, niedawno jeszcze jakby senna, wrzała teraz jak zaniepokojony ul. Obudziło ją przybycie ostatnich, zapóźnionych lordów. Przynieśli oni nowiny. Niezwykłym trafem bowiem parowie, którzy w chwili otwarcia obrad znajdowali się w Izbie, nie wiedzieli wcale o tym, co w niej zaszło, natomiast wiedzieli to ci, których w niej nie było.

Kilku lordów przybywało wprost z Windsoru.

Przed paroma godzinami gruchnęła wieść o przygodzie Gwynplaine'a. Tajemnica jest jak siatka, naderwij w niej jedno oczko, a spruje się wszystko. Od rana już, wskutek opowiedzianych powyżej wypadków, cała ta historia parostwa odnalezionego w budzie jarmarcznego teatru i kuglarza uznanego lordem głośną się stała w Windsorze, wśród dworzan znajdujących się w pobliżu królowej. Mówili o niej książęta, mówili o niej i lokaje. Z dworu wieść o wydarzeniu przedostała się do miasta. Wydarzenia mają swój swoisty ciężar i można stosować do nich prawo kwadratu przyspieszenia. Padają one w tłum i pogrążają się w nim z niesłychaną szybkością. O godzinie siódmej w Londynie nikt jeszcze nie wiedział o tej historii. O ósmej Gwynplaine był na ustach całego miasta. Tylko kilku punktualnych lordów, co przybyli do

sali przed rozpoczęciem obrad, nie wiedziało jeszcze o niczym; nie byli bowiem w mieście, gdzie już o wszystkim mówiono, lecz w Izbie, gdzie nie zauważono niczego. I siedzieli sobie spokojnie w swoich ławach, dziwiąc się podnieceniu i wzburzeniu przybywających, którzy zarzucali ich pytaniami.

– No i co? – odezwał się Francis Brown, wicehrabia Mountacute, do margrabiego Dorchester.

– A co takiego?

– Czy to możliwe?

– Co takiego?

– A Człowiek Śmiechu?

– Co to jest: Człowiek Śmiechu?

– Nic nie wiecie o Człowieku Śmiechu?

– Nic, nic!

– To błazen. Kuglarz jarmarczny. Nieprawdopodobna twarz, którą można było oglądać za dwa grosze. Linoskok.

–No i co z tego?

– Uznaliście go przed chwilą parem Anglii.

– Sami chyba jesteście człowiekiem śmiechu, milordzie Mountacute.

– Wcale się nie śmieję, milordzie Dorchester.

I wicehrabia Mountacute dał znak pisarzowi parlamentu, a ten wstał ze swego wora z wełną, podszedł do ich dostojności i potwierdził wiadomość o przyjęciu nowego para. Opowiedział im szczegółowo o wszystkim.

– No, no, no – powtarzał lord Dorchester. – A ja rozmawiałem właśnie z biskupem Ely.

Młody hrabia Annesley zagadnął starego lorda Eure, który zmarł w dwa lata później, w roku 1707:

– Milordzie Eure?

– Milordzie Annesley?

– Czy znaliście może lorda Linneusza Clancharlie?

– Starego lorda Clancharlie? Tak.

– Tego, co zmarł w Szwajcarii?

– Tak. Byliśmy spokrewnieni.

– Tego, co był republikaninem za Cromwella i pozostał republikaninem za Karola II?

– Republikaninem? Skądże. To były dąsy. Osobisty zatarg pomiędzy nim i królem. Lord Clancharlie przystałby do króla, gdyby tylko dano mu urząd kanclerza, który otrzymał lord Hyde, wiem o tym z na j wiarygodniejszego źródła.

– Zdziwiał mnie to, co pan powiedział, milordzie Eure. Powtarzano mi zawsze, że ten lord Clancharlie był uczciwym człowiekiem.

– Uczciwym człowiekiem! Czyż tacy w ogóle istnieją? Nie ma ludzi uczciwych, młodzieńcze.

– A Katon?

– I ty wierzysz jeszcze w Katona?

– A Arystydes?

–Toteż wygnano go, i słusznie.

– A Tomasz Morus?

– Ucięto mu szyję, i tak właśnie uczynić należało.

– A więc, według waszego zdania, lord Clancharlie?...

– Był z tego samego gatunku. A zresztą człowiek, który pozostaje na wygnaniu, jest po prostu śmieszny.

– Lord Clancharlie zmarł.

– Zawiedziony w swoich ambicjach. Czy ja go znałem?! Oczywiście. Byłem jego najbliższym przyjacielem.

– A czy wiecie, milordzie Eure, że on się ożenił w Szwajcarii?

– Tak, wiem coś o tym.

– I że miał syna z tego małżeństwa?

– Tak. Ten syn zmarł.

– Ten syn żyje.

– Żyje?

– Żyje.

– Niemożliwe.

– Ale prawdziwe. Dowiedzione. Sprawdzone. Zatwierdzone. Zapisane.

– W takim razie ów syn odziedziczy parostwo Clancharlie.

– Nie odziedziczy.

– Dlaczego?

– Bo już je odziedziczył. Bo już jest parem.

– Już jest parem?

– Odwróćcie się, milordzie Eure. Siedzi on tuż za wami, w ławie baronów.

Lord Eure odwrócił się; lecz twarz Gwynplaine'a ukryta była pod gęstwiną włosów.

– Proszę – rzekł starzec widząc te włosy tylko. – Już przyjął nową modę. Nie nosi peruki.

Grantham zwrócił się do Colepepera:

– Ten dopiero wpadł.

– Kto taki?

– Dawid Dirry-Moir.

– Dlaczego?

– Nie jest już parem.

– Jak to?

Tu Henryk Auverquerque, hrabia Grantham, opowiedział Janowi, baronowi Colepepper, całą „anegdotę” o butelce wyrzuconej przez morze i odniesionej do admiralicji, o pergaminie spisany przez *comprachicos*; o *jussu regis* i podpisie Jeffreysa, o stawieniu do oczu w izbie tortur więzienia w Southwarku, o potwierdzeniu prawdziwości tych faktów przez lorda-kanclerza i przez królową, o odebraniu przysięgi w oszklonej rotundzie i wreszcie o przyjęciu lorda Fermaina Clancharlie do Izby na samym początku posiedzenia. Obaj starali się usilnie zobaczyć twarz nowego lorda Clancharlie, tam między lordem Fitz Walterem i lordem Arundel, tę twarz, o której mówiono tak wiele. Lecz tyle tylko zobaczyli co lord Eure i lord Annesley.

Zresztą dwaj starzy lordowie – przez przypadek czy też umyślnie, na zlecenie lorda-kanclerza – posadzili Gwynplaine'a w miejscu ciemnym i półmrok zakrywał go przed wzrokiem ciekawych.

– Który to? Gdzie on siedzi? – pytał podnieconym głosem każdy z nowowchodzących, ale nikomu nie udało się obejrzeć go dokładnie. Ci, co widzieli Gwynplaine'a w „Zielonym Pudding”, płonęli wprost ciekawością, lecz wysiłki ich były daremne. Zdarza się, że młodą dziewczynę otoczy przezornie obronny szaniec starych ciotek. Podobnie i Gwynplaine przysłonięty był kilku warstwami starych lordów, schorowanych, zobojętniałych. Staruszków chorujących na podagrę niewiele obchodzi cudze sprawy.

Z rąk do rąk krążyły odpisy listu – w trzech wierszach – który księżniczka Jozjana, jak utrzymywano, napisała do siostry swojej, królowej, w odpowiedzi na rozkaz jej królewskiej mości zmuszający ją do zaślubienia nowego para, prawowitego spadkobiercy rodu Clancharlie, lorda Fermaina. Oto, jak brzmiał ów list:

„Najjaśniejsza Pani,

Niech i tak będzie. A więc lord Dawid może zostać moim kochankiem.”

Podpisano: „Jozjana”. Bilecik ten – może prawdziwy, może sfingowany – wzbudzał ogromny entuzjazm.

Młody lord Karol Okehampton, baron Mohun, ze stronnictwa przeciwników peruki, odczytywał go kilkakrotnie ku swojej wielkiej radości. Lewis Duras, hrabia Feversham, Anglik o isticie francuskim dowcipie, z uśmiechem przypatrywał się Mohunowi.

– Proszę – zawołał lord Mohun – takiej kobiety pragnąłbym za żonę!

Tu sąsiedzi obu lordów usłyszeli następujący dialog między Durasem i Mohunem:

– Chciałbyś, lordzie Mohun, poślubić księżniczkę Jozjanę?

– A czemuż by nie?

– Do licha!

– Byłbym szczęśliwy.

– I to nie sam jeden.

– A czyż mąż jest kiedykolwiek sam jeden szczęśliwy?

– Masz słuszość. Jeżeli o kobiety chodzi – to my wszyscy, jedni po drugich, resztki dojadamy. Ale kto był pierwszy?

– Może Adam?

– Nawet i on nie był pierwszy.

– Rzeczywiście. Szatan!

– Tak, mój kochany – rzekł Lewis Duras – Adam był tylko mężem, użył nazwiska. Oszukano go, biedaka. Wziął rodzaj ludzki na swoje barki. A kobieta spłodziła człowieka z diabłem.

Z ławy biskupów Nataniel Crew, par podwójny – świecki jako baron Crew i duchowny jako biskup Durham – wypytywał się Hugona Cholmley, hrabiego Cholmley, wielce uczonego w prawie:

– Czy to możliwe?

– Czy to zgodne z prawem? – zastanawiał się w odpowiedzi Cholmley.

– Uznanie nowego lorda dokonane zostało poza salą Izby – mówił biskup – ale podobno zdarzało się tak już i dawniej.

– Tak. Za Ryszarda II – lord Beauchamp. Lord Chenay za Elżbiety.

– No, i lord Broghill za Crorowella.

– Cromwell nie liczy się.

– I cóż wy myślicie o tym wszystkim?

– Wiele rozmaitych rzeczy.

– Powiedzcie, hrabio Cholmley, które to miejsce w Izbie przypadnie temu młodemu Fermainowi Clancharlie?

– Przerwa republikańska zmieniła dawny porządek, lordzie biskupie. Spadkobierca parostwa Clancharlie zasiada dzisiaj między Barnardem i Somersem, a więc w wypadku głosowania lord Fermain Clancharlie zabierać będzie głos jako ósmy z kolei.

– Proszę! Kuglarz z jarmarku!

– Wypadek ten nie dziwi mnie wcale, lordzie biskupie. Zdarzają się podobne rzeczy. A nawet i jeszcze niezwyklejsze. Czyż wojna Dwóch Róż nie została zapowiedziana przez nagłe wyschnięcie rzeki Ouse w Bedford, 1 stycznia 1399 roku? Jeżeli mogła opaść rzeka, to i wielki pan mógł spaść do doli sługi. Ulisses, król Itaki, trudnił się najróżniejszym rzemiosłem. Fermain Clancharlie pozostał lordem pod powłoką komedianta. Nikczemność stroju nie umniejsza zacności krwi. Ale odebranie przysięgi i uznanie go nie na posiedzeniu Izby, jakkolwiek, ściśle rzecz biorąc, prawomocne, może wywoływać pewne zastrzeżenia. Byłbym zdania, iż trzeba naradzić się, czy nie należałoby w sposób urzędowy zażądać w tym względzie sprawozdania od lorda-kanclerza. Zobaczmy za kilka tygodni, jak postąpić wypadnie.

A biskup dorzucił:

–Wszystko jedno. To awantura, jakiej nie widziano od czasów hrabiego Gesbodusa.

Gwynplaine, Człowiek Śmiechu, gospoda „Tadcaster”, „Zielone Pudło”, *Chaos zwyciężony*, Szwajcaria, Chillon, comprachicos, wygnanie, straszna operacja, republika, Jeffreys, Jakub II, *jussu regis*, butelka otwarta w admiralicji, ojciec, lord Linneusz, lord Fermain, prawy syn, lord Dawid, syn nieprawy, wynikające stąd zawikłania, księżniczka Jozjana, lordkanclerz, królowa – oto tematy rozmów obiegające wszystkie ławy. Szept rozchodzi się jak dym po wystrzale. Każdy szczegół smakowano, przeżuвано po kilkakroć. Przygoda Gwynplaine'a stała się ogromnym szmerem całej Izby. A Gwynplaine, co znajdował się na samym dnie studni zamyślenia, słyszał ten gwar i nie wiedział nawet, że to on sam właśnie jest jego przyczyną.

A jednak uwagę miał dziwnie skupioną, lecz w głębi, nie na powierzchni. Nadmierne natężenie uwagi zamienia się w odosobnienie.

Mimo szmeru na sali posiedzenie odbywało się zwykłym swoim trybem, podobnie jak wojsko idzie naprzód mimo kurzu na drodze. Sędziowie, którzy zasiadają w Wysokiej Izbie bez prawa głosu i tylko odpowiadać mogą na pytania, zajęli miejsca swoje na drugim worze z węgą, na trzecim worze zasiadło trzech sekretarzy stanu. Przyszli spadkobiercy parostw stawali za tronem, na miejscu znajdującym się jakby i w Izbie, i poza Izbą równocześnie. Małoletni parowie zasiadali na swym podwyższeniu. W roku 1705 było tych małych lordów dwunastu: Huntingdon, Lincoln, Dorset, Warwick, Bath, Burlington, Derwentwater, co miał zginąć tragicznie, Longueville, Lonsdale, Dudley and Ward i Carteret – gromadka dzieciarni składająca się z ośmiu hrabiów, dwóch wicehrabiów i dwóch baronów.

W części sali znajdującej się poza kratą, na ławach ustawionych w trzy piętra, pozajmowali swoje miejsca lordowie. Obecni byli wszyscy prawie biskupi. Książęta przybyli licznie, poczynając od Karola Seymour, księcia Somerset, a kończąc na Jerzym Augustusie, księciu-elektorze Hanoveru, księciu Cambridge, którego tytuł był najświeższej daty, z czego wynika, że zajmował on między książętami miejsce ostatnie. Zasiadli więc w ławie według starszeństwa: Cavendish, książę Devonshire, u którego dziada w Hardwick znalazł przytułek i schronienie dziewięćdziesięciodwuletni Hobbes; Lennox, książę Richmond; trzech Fitz-Roy, książę Southampton, książę Grafton i książę Northumberland; Butler, książę Ormond; Somerset, książę de Beaufort; Beauclerk, książę de Saint-Albans; Pawlett, książę Bolton; Osborne, książę Leeds; Wriothesley Russel, książę Bedford, który miał za zawołanie i dewizę: *Che sara, sara*, co oznacza wyrażenie zgody na wszystko, co się dzieje; Sheffield, książę Buckingham; Manners, książę Rutland i inni jeszcze. Ani Howard, książę Norfolk, ani Talbot, książę Shrewsbury, nie zasiadali w Izbie, gdyż byli oni katolikami; nie zasiadał też w niej Churchill, książę Malborough – nasz francuski Malbrouck – bo był na wojnie i bił wtedy Francję. Zaś książęta szkoccy, Queensberry, Montrose i Rouxburghe, zostali przyjęci do Izby później dopiero, w roku 1707.

## VI. WYSOKA I NISKA

Nagle w Izbie zrobiło się jasno. Czterej *door-keepers* wnieśli cztery wysokie, wieloświecowe kandelabry i ustawili je po obu stronach tronu. W świetle ich ukazał się tron olśniewający purpurą. Pusty, lecz dostojny. Osoba królowej, umieszczona w środku, niewiele zaiste dodać by tu mogła jeszcze.

Wszedł odźwierny z czarną różgą, podniósł pręt swój i rzekł:

– Jaśnie oświeceni komisarze jej królewskiej mości!

Wszelki gwar ucichł.

Na progu pojawił się pisarz w peruce i w todze, niosąc poduszkę zahaftowaną kwiatami lilii. Na poduszce leżały pergaminy. Były to *bille*. Przy każdym pergaminie na plecionce jedwabnej wisiała kulka, często złota. Od tej to kulki właśnie ustawy w Anglii nazwano *billami*, a *bullami* w Rzymie.

Za pisarzem szło trzech mężczyzn w parowskich płaszczach, w kapeluszach z piórami na głowach.

Byli to komisarze królewscy. Pierwszym z nich był wielki skarbnik Anglii, lord Godolphin, drugim – prezydent rady, lord Pembroke, trzecim – lord Newcastle, kanclerz prywatnej pieczęci.

Szli jeden za drugim, według starszeństwa nie tytułów swych, lecz urzędów. Godolphine na przedzie, Newcastle na końcu, choć książę.

Podeszli do ławy ustawionej przed tronem, pochylili się w ukłonie przed królewskim krzesłem zdjęli kapelusze, włożyli je na powrót i usiedli na ławie.

Lord-kanclerz obrócił spojrzenie ku odźwiernemu z czarną różgą i rzekł:

– Zawezwijcie przed kratę Gminy.

Odźwierny z czarną różgą wyszedł.

Pisarz – a był on pisarzem Izby Lordów – położył na stole stojącym na środku czworoboku, w którym leżały wory z wełną, poduszkę z *billami*.

Tu nastąpiła kilkuminutowa przerwa w posiedzeniu. Dwaj *door-keeperzy* ustawili przed kratą podnózek o trzech stopniach. Podnózek ten kryty był szkarłatnym aksamitem i nabijany złotymi gwoździami ułożonymi w kształt kwiatów lilii.

Wielkie drzwi, które przedtem zamknęły się, teraz otwarły się znowu i głos jakiś zawołał:

– Wierne Gminy Anglii!

To odźwierny z czarną różgą oznajmiał przybycie drugiej połowy parlamentu.

Lordowie włożyli kapelusze.

Weszli członkowie Izby Gmin ze spikerem na przedzie, wszyscy z gołymi głowami.

Zatrzymali się u kraty. Ubrani byli w zwykłe suknie, po większej części czarno, u boku mieli szpady.

Spiker, wielce szanowny Jan Smyth, esquire, członek parlamentu z miasta Andover, wstał na podnózek ustawiony w środku kraty. Mówca Gmin nosił długą togę z czarnej mory, z szerokimi rękawami o rozcięciach dwustronnie obszywanych złotym szamerunkiem, i perukę, mniejszą niż peruka lorda-kanclerza. Był majestatyczny, lecz mniej niż tamten dostojny.

Wszyscy z Gmin, i mówca, i członkowie Izby, stanęli w oczekiwaniu, z gołymi głowami, przed obliczem parów, którzy siedzieli w kapeluszach.

Wśród członków Izby Gmin oglądać można było najwyższego sędziego miasta Chester, Józefa Jekyll, trzech zaprzysiężonych doradców-prawników jej królewskiej mości, Hoopera, Powysa i Parkera, Jakuba Montagu, głównego prokuratora, i Szymona Harcourt, głównego prokuratora królewskiego.

Z wyjątkiem kilku baronetów i kawalerów, i dziewięciu lordów „z kurtuazji” – Harlington, Windsor, Woodstock, Mordaunt, Gramby, Scudamore, Fitz-Harding, Hyde i Burkeley – synów parów i spadkobierców parostw, wszyscy członkowie Izby Gmin pochodzili z ludu. Byli tłumem, masą milczącą i ciemną.

Kiedy umilkły wreszcie kroki wchodzących, herold z czarną różgą krzyknął od drzwi;  
– Słuchajcie!

Pisarz koronny wstał. Rozwinął i odczytał pierwszy z leżących na poduszce pergaminów. Było to pismo monarchini, mianujące przedstawicielami jej królewskiej mości w jej parlamencie, z władzą udzielania sankcji billom, trzech komisarzy, a mianowicie...

Tu pisarz podniósł głos:

– Sydneya, hrabiego Godolphin.

Pisarz uklonił się lordowi Godolphin. Lord Godolphin uchylił kapelusza. Pisarz czytał dalej:

– ...Tomasza Herberta, hrabiego Pembroke i Montgomery.

Pisarz uklonił się lordowi Pembroke. Lord Pembroke dotknął brzegu kapelusza. Pisarz czytał dalej:

– ...Jana Hollis, księcia Newcastle.

Pisarz uklonił się lordowi Newcastle. Lord Newcastle skinął głową.

I pisarz koronny usiadł. Wstał pisarz parlamentu. Pomocnik jego również podniósł się z klęczek i stanął tuż za nim. Obydwaj obróceni byli twarzami w stronę tronu, plecami do przedstawicieli Gmin.

Na poduszce znajdowało się pięć billów. Uchwalone przez Izbę Gmin i zatwierdzone przez Lordów miały one otrzymać teraz sankcję królewską.

Pisarz parlamentu odczytał pierwszy bill.

Była to uchwała Izby Gmin przeznaczająca milion funtów szterlingów z funduszy państwowych na przyozdobienie rezydencji królowej w Hampton-Court.

Po ukończeniu czytania pisarz skłonił się nisko przed tronem. Pomocnik jego, w ślad za nim, skłonił się jeszcze niżej, po czym zwracając głowę ku przedstawicielom Gmin rzekł:

– Królowa przyjmuje powolności wasze i zgadza się.

Pisarz odczytał drugi bill.

Była to ustawa skazująca na karę więzienia i grzywny każdego, kto by się uchylał od służby w trabantach. Trabanci (oddziały, które posyła się tam, gdzie się tylko zechce) – to niby milicja miejska, co służy bez żołdu, a która za panowania Elżbiety, kiedy to Niezwyciężona Armada zbliżała się do brzegów Anglii, dostarczyła stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy piechoty i czterdziestu tysięcy jazdy.

Obaj pisarze znów pokłonili się krzesłu królewskiemu; a niższy pisarz parlamentu obrócił profilem głowę i rzekł Gminom:

– Królowa przyzwala.

Trzeci bill powiększał dziesięciny i prebendy biskupstwa Lichfield i Coventry, jednego z najbogatszych w całej Anglii, naznaczał wysokość corocznej ofiary na rzecz miejscowej katedry, pomnażał liczbę kanoników, powiększał dekanat i połączone z nim beneficja, „aby tym lepiej sprostać – jak głosił wstęp do billu – potrzebom świętej naszej wiary”. Czwarty bill wprowadzał do budżetu nowe podatki; nałożono je na papier żyłkowany; na karety do najęcia, których w samym Londynie było, według ustaleń, osiemset, a z których każdą obłożono coroczną opłatą pięćdziesięciu dwu funtów; na adwokatów, prokuratorów – po czterdziestu osiem funtów rocznie od głowy; na skóry wyprawne, „nie zważając – głosił wstęp – na ubolewania i skargi pracujących w tym cechu rzemieślników”; na mydło, „nie zważając na zażalenia miast Exeter i Devonshire, gdzie wyrabia się duże ilości serży i sukna”; na wino – w wysokości czterech szylingów od beczki; na mąkę; na jęczmień i na chmiel; odnowiono również jeszcze na lat cztery – „potrzeby państwa bowiem – głosił wstęp – winny mieć pierw-



szeństwo przed wymaganiami handlu” – podatek od ładunku okrętowego, wahający się od sześciu liwrów turskich od tony dla statków przybywających z zachodu do tysiąca ośmiuset liwrów od tony dla statków przybywających ze wschodu. Na zakończenie wreszcie bill, niewystarczającym znajdując podatek pogłównego wybrany już za rok bieżący, zarządził dodatek doń, obowiązujący na całym terytorium królestwa, a wynoszący cztery szylingi, czyli czterdzieści osiem turskich su od głowy; każdy zaś, kto by uchylał się od uiszczenia tej nowej opłaty na rzecz skarbu państwa, zapłaci za karę w dwójnasób. Piąty bill zabraniał przyjęcia do szpitala chorego, który by wchodząc nie mógł złożyć funta szterlinga na opłacenie w razie śmierci kosztów pogrzebu. Trzy te bille, jak i dwa poprzednie, zostały jeden po drugim zatwierdzone i zamienione w ustawę ukłonem złożonym tronowi przez pisarza parlamentu i dwoma słowy: „królowa przyzwala”, które pomocnik jego rzucał Gminom przez ramię.

Potem niższy pisarz ukląkł na powrót przy czwartym worze z wełną, a lord-kanclerz rzekł:

– Niechaj się stanie, jako żądano.

Z wyrzeczeniem tych słów posiedzenie królewskie było zakończone.

Spiker, czolobitnie zgięty wpół, zszedł tyłem z podnóżka, zbierając za sobą poły swojej szaty; przedstawiciele Gmin uklonili się aż do ziemi i kiedy Wysoka Izba, nie zważając na te ich ukłony, podejmowała swój przerwany porządek dzienny, Niska Izba wyszła z sali.

## VII. LUDZKIE BURZE, GROŹNIEJSZE OD BURZ OCEANÓW

Drzwi zamknęły się; odzwierny z czarną różgą wrócił do sali; lordowie-komisarze opuścili swą urzędową ławę i zasiedli teraz na samej górze ławy książąt, na miejscach przynależnych ich wysokiej godności, i oto zabrał głos lord-kanclerz.

– Milordowie, ponieważ trwające już od dni kilku obrady nad billem – zalecającym zwiększenie o sto tysięcy funtów szterlingów uposażenia rocznego jego królewskiej wysokości księcia małżonka najmiłościwszej naszej pani – za wyczerpane już i zamknięte uznać należy, przystępujemy do głosowania. Głosowanie odbędzie się według obyczaju, poczynając od najmłodszego z ławy baronów. Każdy lord, wezwany z nazwiska, podniesie się z miejsca swego i odpowie: przystaję – albo – nie przystaję. Przy czym wolno mu przedstawić powody głosu swego, jeśliby to za stosowne uznał. Mości pisarzu, przystępuj do zbierania głosów.

Pisarz parlamentu wstał i rozłożył wielki foliał umieszczony na złoconym pulpicie – *Księgę parów*.

Najmłodszym Izby był w owym czasie lord Jan Hervey; został on baronem i parem w roku 1703; od niego to pochodzą margrabiowie Bristol.

Pisarz zawołał:

– Milord Jan, baron Hervey.

Starzec w płowej peruce podniósł się z miejsca swego i rzekł:

– Przystaję.

Po czym usiadł.

Pomocnik pisarza zapisał głos do księgi.

Pisarz odczytywał dalej:

– Milord Franciszek Seymour, baron Conway de Kiltulagh.

– Przystaję – rzucił półgłosem, ledwie że podniósłszy się z miejsca, wykwinny młodzieniec o twarzy pazia, który nie domyślał się nawet, iż będzie dziadem margrabiów Hertford.

– Milord Jan Leveson, baron Gower – mówił dalej pisarz. Baron ten, od którego wywieść się mieli książęta Sutherland, szybko podniósł się i usiadł mówiąc:

– Przystaję.

Pisarz czytał dalej.

– Milord Heneage Finch, baron Guernesey.

Pradziad hrabiów Aylesford, nie mniej młodzieńczy i nie mniej wykwinny niż przodek margrabiów Hertford, potwierdził dewizę swoją *Aperto vivere voto* głośnym wyrażeniem swej zgody:

– Przystaję – krzyknął.

A kiedy on siadał na powrót na swoim miejscu, pisarz wywoływał nazwisko piątego barona:

– Milord Jan, baron Granville.

– Przystaję – odrzekł podnosząc się na chwilę lord Granville de Potheridge, na którym w roku 1709 wygasnąć miało parostwo Granville.

Pisarz wywołał szóste z kolei nazwisko:

– Milord Karol Mountague, baron Halifax.

– Przystaję – rzekł lord Halifax noszący tytuł, pod którym wygasł już ród Saville, a teraz wygasnąć miał wkrótce ród Mountague. Ród Mountague starannie odróżnić należy od rodów Montagu i Mountacute.

I lord Halifax dorzucił jeszcze do głosu swego:

– Książę Jerzy otrzymuje uposażenie jako małżonek jej królewskiej mości; drugie – jako książę Duński, trzecie jako książę Cumberland, czwarte jako lord. wielki admirał Anglii i Irlandii; ale nie otrzymuje on uposażenia jako głównodowodzący. Otóż jest to niesprawiedliwe. Trzeba kres położyć tym nieporządkom w interesie ludu angielskiego.

Po czym lord Halifax wygłosił pochwałę wiary chrześcijańskiej, surowo zganiał papizm i raz jeszcze potwierdził swoje przyzwolenie.

Kiedy lord Halifax usiadł, pisarz wywołał następnego nazwisko:

– Milord Krzysztof, baron Barnard.

Lord Barnard, od którego początek wziąć mieli książęta Cleveland, wstał słysząc swoje nazwisko.

– Przystaję.

Po czym powoli usiadł na powrót, nosił bowiem wyłogi z koronki, która zaiste warta była obejrzenia. Ów lord Barnard był zresztą godnym szlachcicem i dzielnym oficerem.

A kiedy tak lord Barnard siadał, pisarz, który odczytywał nazwiska właściwie z pamięci, zawahał się nieco. Poprawił okulary, ze zdwojoną uwagą pochylił się nad księgą, po czym podniósł głowę i rzekł:

– Milord Fermain Clancharlie, baron Clancharlie i Hunkerville.

Gwynplaine podniósł się.

– Nie przystaję – powiedział.

Obróciły się ku niemu wszystkie głowy. Gwynplaine stał. Świece ustawione po obu stronach tronu oświetlały jasno twarz jego, wydobywały ją z półmroku tej ogromnej sali ostro, wyraźnie, niby kamienną maskę spośród dymu.

Gwynplaine dokonał tego przewyciężenia samego siebie, które, jak wiemy, udawało mu się czasem osiągnąć w najwyższym wysiłku. Natężeniem woli, równym temu, które potrzebne by było do poskromienia tygrysa, powstrzymał na chwilę fatalny śmiech swojej twarzy. Nie śmiał się teraz. Nie mogło to trwać długo; bowiem wyłamać się spod tego, co jest dla nas prawem lub przeznaczeniem, potrafimy na krótko jedynie; niekiedy woda morza opiera się prawu ciężenia, wzdyma się i podnosi w kształt góry, lecz musi opaść po chwili. Walka Gwynplaine'a była walką takiej podniesionej wody. W tej uroczystej dla niego chwili iście cudownym wysiłkiem woli rzucił na czoło swoje mroczną zasłonę swej duszy; trwać to mogło nie dłużej, niż trwa błyskawica; zawiesił swój śmiech nieuleczalny; przepędził wesołość z twarzy, którą mu wyrzeźbiono. W tej chwili był już tylko przerażający. Podniósł się okrzyk:

– Kim jest ten człowiek?

Nie dający się opisać dreszcz przeszedł przez wszystkie ławy. Ta zjeżona gęstwina włosów, te czarne doły pod brwiami, to przenikające spojrzenie niewidocznych oczu, dziki modelunek tej głowy, upotwornionej jeszcze przez gwałtowne kontrasty światła i cienia – było to zjawisko zadziwiające. Przewyższające najśmielsze wyobrażenie. Choć wiele opowiadano sobie o Gwynplaine'ie – pojawienie się twarzy jego poraziło całą salę. I ci nawet, co byli na to przygotowani – nie na to przygotowani byli. Spróbujmy wyobrazić sobie, że na górze bogom tylko dostępnej, wśród pogodnego wieczornego święta, wśród zgromadzenia tych istot wszechwładnych pojawia się nagle, podobna krwawemu księżycowi na horyzoncie, twarz Prometeusza poszarpana dziobem sępa. Olimp oglądający Kaukaz – obraz to potężny! Starzy i młodzi w osłupieniu patrzyli na Gwynplaine'a.

Tomasz hrabia Warton, starzec szanowany przez całą Izbę, który widział w życiu swoim wielu ludzi i wiele wydarzeń, a który miał wkrótce otrzymać tytuł księcia, podniósł się przerażony.

– Co to znaczy? – krzyknął. – Kto wpuścił do Izby tego człowieka? Wyprowadzić go stąd.

I zwrócił się wyniośle do Gwynplaine'a:

– Kim jesteś? Skąd przychodzisz?

A Gwynplaine odpowiedział:

– Z otchłani.

Skrzyżował ręce na piersi i powiódł spojrzeniem po lordach:

– Kim jestem? Ja jestem nędza. Chcę pomówić z wami, milordowie.

Po zgromadzeniu przeszedł dreszcz i cisza zaległa salę. Gwynplaine mówił dalej:

– Milordowie, jesteście na górze. To dobrze. Trzeba wierzyć, że Bóg miał w tym swoje racje. Macie władzę, bogactwo, radość, nieruchome słońce nad głowami, potęgę bez granic, uciechę bez podziału i ogromne zapomnienie o innych. Niech i tak będzie. Lecz poniżej was, w dole, jest coś przecież. Jest też coś, być może, i w górze, nad wami. Przynoszę wam nowinę, milordowie. Rodzaj ludzki istnieje.

Zgromadzenia są jak dzieci; wydarzenia są dla nich jak pudełko z niespodzianką, i boją się go, i bardzo je lubią. Czasem wydaje się, że jakby za naciśnięciem sprężynki z dziurki wyskakujecie diabeł. Choćby Mirabeau we Francji, też przerażająco brzydki.

Gwynplaine w chwili tej poczuł w sobie dziwną wielkość. Tłum ludzki, do którego przemawia się, jest niby trójnog. Wydaje ci się, że stoisz na wierzchołku góry z dusz uformowanej. Czujesz pod stopą drżenie ludzkich wnętrzości. Gwynplaine nie był już tym człowiekiem, co to poprzedniej nocy stał się prawie małym na chwilę. Dymy tego nagłego wyniesienia, które oszołomiły go, lżejsze się stały i przezroczyste; i tam, gdzie kusiła go próżność, widział teraz Gwynplaine powołanie. Czym zrazu poniżył się, tym teraz urastał. Wielka błyskawica obowiązku olśniła go natchnieniem.

Zewsząd dookoła odezwały się okrzyki:

– Słuchajcie! Słuchajcie!

A Gwynplaine nadludzkim wysiłkiem utrzymywał na twarzy swojej naprężenie surowe i ponure, które ujarzmiło śmiech niby dzikiego konia, gotowego wyrwać się w każdej chwili. Mówił dalej:

– Jestem ten, który przychodzi z dna. Jesteście możni, jesteście bogaci, milordowie. To niebezpieczne. Korzystacie z mroku nocy. Lecz strzeżcie się, bo istnieje wielka potęga – świt. Jutrzenki nie można zwyciężyć. Ona nadejdzie. Ona nadchodzi. A z jutrzeńki nieprzepracie wytryska dzień. I któż powstrzyma tę procę wyrzucającą słońce na niebo? Słońce – to prawo. A wy jesteście przywilejem. Bójcie się. Prawdziwy pan tego domu zakołata do drzwi. Któż jest ojcem przywileju? Przypadek. A kto jest jego synem? Nadużycie. Ani przypadek, ani nadużycie nie są trwałe. I jedno, i drugie nie ma jutra. Przychodzę, aby ostrzec was. Przychodzę, aby zaskarżyć wobec was wasze własne szczęście. Zrobione jest ono z nieszczęść innych ludzi. Posiadacie wszystko, a na to wszystko składa się nieposiadanie przez innych niczego. Milordowie, jestem adwokatem rozpachy, bronię przegranej sprawy. Lecz wygra ją Bóg. Ja jestem tylko głosem. Rodzaj ludzki – to usta, i ja jestem ich krzykiem. Wysłuchajcie mnie. Oto otwieram przed wami, parowie Anglii, wielkie zgromadzenie ludu, tego władcy, który jest poddanym, tego skazańca, który jest sędzią. Uginam się cały pod ciężarem tego, co powiedzieć wam muszę. Skąd zacząć? Nie wiem. Wśród bezkreśnie rozsianego cierpienia zebrałem moją mowę obrończą, ogromną a bezładną. Cóż mam z nią uczynić? Przytłacza mnie i oto rzucam ją przed siebie, jak umiem. Czy przewidywałem chwilę podobną? Nie. Wy jesteście zdziwieni. Ja również. Wczoraj byłem kuglarzem, dzisiaj jestem lordem. Igraszka niezbadana. Czyja? Nieznanego. Zadrżymy więc, zadrżymy wszyscy. Milordowie, cały błękit nieba jest po waszej stronie. Z tego niezmiernego wszechświata wy znacie tylko święto; dowiedzcie się więc, że i cień istnieje. Wśród was nazywam się lordem Fermainem Clancharlie, lecz moje prawdziwe imię to Gwynplaine, imię biedaka. Jestem nędzarzem wykrojonym z materiału na możnowładcę przez króla, któremu tak właśnie spodobało się uczynić. Oto moja historia. Niektórzy z was znali mego ojca, ja go nie znałem. Przylega on do was swoją stroną feudalną, ja doń przyrastam od strony jego wygnania. Wie Bóg, co czyni. Rzucony zostałem w przepaść. W jakim celu? Po to, bym zbadął jej dno. Jestem nurek i oto przynoszę wam perłę – prawdę. Mówię do was, bo wiem. I wysłuchacie mnie, milordowie. Doświadczałem.

Widziałem. Cierpienie nie jest tylko pustą nazwą, o, panowie szczęśliwi! Nędza – ja w niej wyrosłem; zima – ja wśród niej drzałem z zimna; głód – poznałem smak głodu; pogarda – znosiłem pogardę; przeszedłem przez zarazę; piłem wstyd. I oto wyrzucam go z siebie i te wymioty nędzy wszelakiej ochlapia stopy wasze i zapłoną. Wahałem się, nim przystałem, aby przyprowadzono mnie w to miejsce, w którym się tu z wami znajduję, bo mam gdzie indziej inne obowiązki. Nie tu jest serce moje. Lecz nic wam do tego, co zaszło we mnie; kiedy człowiek, którego wy nazywacie odźwiernym z czarną różgą, przyszedł po mnie w imieniu kobiety, którą wy nazywacie królową – chciałem odmówić mu przez chwilę. Lecz wydało mi się, że to chyba ręka Boga popycha mnie w tę właśnie stronę, i usлуchałem. Poczulem, iż trzeba, abym przyszedł między was. Dlaczego? Dlatego że wczoraj jeszcze odziany byłem w łachmany. Bóg po to wmieszał mnie w tłum głodnych, bym zabrał głos wobec sytych. O, ulitujcie się! Wy nie wiecie wcale, czym jest ten świat straszliwy, choć sądzicie, żeście też z niego; tak wysoko będąc, poza nim jesteście; ja powiem wam, czym jest ten świat. Bo mam, o, mam doświadczenie! Wiem, co to ucisk, bo pod nim byłem, bo stamtąd przychodzę. Mogę powiedzieć wam, ile wy ważycie. O, panowie, władcy, czy wiecie, czym jesteście? Czy widzicie, co robicie sami? Nie. Ach, jakież to straszne wszystko! Pewnej nocy, kiedy była burza, mały, porzucony, sierota, sam jeden na przeogromnym świecie, wstąpiłem w tę ciemność, którą wy nazywacie społeczeństwem. Pierwszą rzeczą, którą ujrzałem, było prawo w postaci szubienicy; drugą – było bogactwo, wasze bogactwo, pod postacią kobiety zmarłej z zimna i głodu; trzecią – przyszłość pod postacią konającego dziecka; czwartą – dobro, prawda, sprawiedliwość, pod postacią włóczęgi, który za towarzysza i przyjaciela miał wilka jedynie.

I tu Gwynplaine, ogarnięty wzruszeniem najgłębszym, uczuł, że płacz ściska go za gardło.

I cóż uczynił? O rozpaczy! Wybuchnął śmiechem.

Swym porażającym, zaraźliwym śmiechem.

Nad zgromadzeniem zawisła chmura; mogła była rozpęknąć się grozą; i oto rozpękła się wesołością. Rozpasane szaleństwo śmiechu ośwładnęło całą Izbą. Nic bardziej nie cieszy dostojnego zgromadzenia władców niż krotochwila. Mści się ono tym sposobem na swej własnej powadze.

Śmiech królów podobny jest do śmiechu bogów; kryje się w nim zawsze ostrze okrucieństwa. Lordowie urządzili sobie zabawę nie lada. Śmiech ich był szyderstwem. Dookoła mówcy klaskano w dłonie i rzucano mu obelgi. Posypały się nań wykrzykniki pocieszne a okrutne, jak grad wesoły a kaleczący dotkliwie.

– Brawo, Gwynplaine! – Brawo, Człowiek Śmiechu! – Brawo, mordo z „Zielonego Pudła”! – Brawo, ryju z Pola Tarrinzaau! – Przyszedłeś, żeby dać nam tutaj przedstawienie. Świetnie! Szczekaj dalej! – Ucieszna bestia! – Umie śmiać się, to bydlę. – Jak się masz, pajacu! – Witaj, lordzie Kłownie! – Mów dalej. – I to ma być parem Anglii! – Mów dalej! – Milczeć, milczeć! – Mów! mów!

Lord-kanclerz nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić.

Lord Jakub Butler, książę Ormond, który był głuchy, zwinął dłoń w trąbkę i przyłożywszy ją do ucha zapytywał Karola Beauclerk, księcia Saint-Albans:

– Jak on głosował?

Saint-Albans odpowiedział:

– Nie przystaje.

– Do licha! – odrzekł Ormond – nie dziwię mu się. Z taką twarzą!

Spróbujcie opanować powtórnie tłum – a każde zgromadzenie jest tłumem – skoro raz się wam wymknie. Wymowa jest wędzidłem; jeżeli wędzidło pęknie, audytorium staje dęba i dopóty wierzga, dopóki nie wysadzi mówcy z siodła. Audytorium nienawidzi mówcy. Nie dosyć pamięta się o tym. Ściągnięcie cugli wydaje się być wtedy ratunkiem, lecz nim nie jest. Próbuje tego środka każdy przemawiający. Instynktownie. Spróbował go i Gwynplaine.

Chwilę patrzył na tych śmiejących się ludzi.

– A więc naigrawacie się z nędzy! – zawołał. – Zamilczcie, parowie Anglii! Sędziowie, wysłuchajcie obrony! O, zaklinam was, miejcie litość! Litość nad kim? Nad sobą. Komu grozi niebezpieczeństwo? Wam. Czy nie widzicie sami, że oto położono was na wadze i że na jednej jej szali znajduje się wasza potęga, a na drugiej – wasza odpowiedzialność? Waży was Bóg. O, nie śmiecie się! Zastanówcie się raczej! Drżenie sumienia to wahania bożej wagi. Nie jesteście źli. Jesteście ludźmi po prostu, takimi jak i wszyscy inni, ani lepszymi, ani gorszymi. Sądźcie, żeście bogami, lecz zachorujcie tylko, a zobaczycie, jak boskość wasza trząść się będzie w gorączce. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Zwracam się do umysłów uczciwych, są one przecież tu, na tej sali; zwracam się do bystrych inteligencji – i te są tutaj; zwracam się do dusz szlachetnych – i te tutaj są. Jesteście ojcami, synami i braćmi, wiecie więc, co to wzruszenie. Niejeden spośród was oglądał dziś rano, jak budzi się jego małe dziecię. Bo jesteście dobrzy. Serca jednakowe są u wszystkich ludzi. Cała ludzkość jest tylko sercem. Między tymi, którzy uciskają, a tymi, którzy są uciskani, istnieje jedynie różnica miejsca, na którym zostali oni postawieni. Stopy wasze stąpają po głowach i nie jest to waszą winą. Jest to wina społecznej wieży Babel. Złej, nieudanej cudacznej budowli. Jej wyższe piętra nadmiernym ciężarem cisną na niższe piętra. Wysłuchajcie mnie, ja wam wytłumaczę. Skoro jesteście tak potężni, bądźcie innym jak bracia; skoro jesteście tak wielcy – bądźcie dobrzy. O, gdybyście poznać mogli to, co ja widziałem! Ileż męki jest tam, w dole! Rodzaj ludzki znajduje się w więziennym lochu. Siedzą tam tłumy niewinnych skazańców! Brak im światła, brak powietrza, brak im dobra cnoty; nikt nie ma tam nadziei; lecz każdy czeka, a to bywa groźne. Zrozumcie i zważcie u siebie, jak wielki jest ogrom nieszczęścia. Są tam istoty, co żyją w śmierci. Są tam dziewczątka małe, co w ósmym roku życia zaczynają od nierządu, a w dwudziestym roku życia są już staruszkami. A jak okrutnie sroży się system karny! Mówię może bezładnie, bez wyboru. To, co wiem, to, co najlepiej pamiętam. Nie dalej jak wczoraj ja, który dziś tutaj jestem, widziałem, jak kona na torturach człowiek obnażony i przywiązany łańcuchami, pod stosem kamieni na brzuchu. Czy wiecie o tym? Nie, nie wiecie! Bo gdybyście wiedzieli, co się na świecie dzieje, żaden z was nie odważyłby się być szczęśliwy. Czy był któryś z was może w Newcastle-on-Tyne? W kopalniach są tam ludzie, co żują węgiel, aby zapłacić pustkę w żołądku i oszukać głód. Posłuchajcie tylko, w hrabstwie Lancaster miasto Ribbleschester zamieniło się w wioskę wskutek głodu. Nie sądzę, aby książe Jerzy Duński potrzebował jeszcze stu tysięcy gwinei. Wolałbym w zamian za to przyjąć do szpitala chorego nędzarza nie wymagając, aby zapłacił on z góry za swój pogrzeb. W Caernarvon, w Traithmaur, w Trait-bichan panuje straszliwa nędza wśród ubogich. W Strafford nie można osuszyć bagien, bo pieniędzy na to brak. W całym Lancashire pozamykano fabryki sukna. Nigdzie nie ma pracy. Czy wiecie, że rybacy z Harlech jedzą trawę, ilekroć zawiedzie ich połów śledzi? Czy wiecie, że w Burton-Lazars żyją jeszcze trędowaci, że urządza się na nich obławki i strzela jak do zwierząt, skoro się tylko wychylą ze swoich nor? W Ailesbury, mieście, którego lordem jest jeden z was, panuje nieustający niedostatek. W Penckridge w Coventry, tam właśnie gdzie znajduje się owa katedra, którą przed chwilą wyposażyliście tak hojnie – i ją, i jej biskupa – nie ma łóżek w chatkach, a nowonarodzone dzieci kładzie się w jamach wygrzebanych w ziemi a więc miast zacząć życie od kolebki, zaczynają je od grobu. Wszystko to widziałem sam. Czy wiecie, milordowie, kto płaci uchwalone przez was podatki? Ci, co konają z nędzy. Błądzicie, błądzicie, niestety! Złą obraliście drogę. Powiększacie nędzę nędzarza po to, by powiększyć bogactwo bogacza. A wręcz przeciwnie postępować by należało. Odbierać pracującemu po to, by dać nierobowi, odebrać głodnemu, by dać sytemu, odebrać nędzarzowi, by dać księciu! O tak, płynie w moich żyłach stara republikańska krew. Przejmuje mnie to wstrętem. Brzydzę się królami! A bezwstyd kobiet! Opowiedziano mi smutną historię. Nie nawidzę Karola II! Kobieta, którą kochał ojciec mój, oddała się temu królowi wtedy, kiedy mój ojciec umierał na wygnaniu. Nierządnicą! Karol II, Jakub II; po nicponiu – zbrodniarz. Cóż to jest – król? Człowiek, słaba i wątła igraszka swoich zachcianek i ułomności. I na cóż

potrzebny jest król? A wy tuczycie jeszcze tego pasożyta. Dzięki wam ta glista staje się wę-  
żem boa, ten tasiemiec staje się smokiem. Łaski dla ubogich! Powiększacie podatki na ko-  
rzyść tronu. Bądźcie ostrożni ustanawiając prawa. Bądźcie ostrożni, pomnijcie na miażdżone  
przez was nieszczęśliwe rojowisko. Spuście wzrok w dół. Spójrzcie pod stopy wasze. O  
wielcy, mali istnieją! Ulitujcie się! Tak. Ulitujcie się nad sobą! Bo te tłumy konają, a śmierć  
tego, co w dole, pociąga za sobą śmierć tego, co w górze. Śmierć to bezwład, który stopniowo  
ogarnia całe ciało, wszystkie jego członki bez wyjątku. Kiedy noc nadchodzi, nikt nie może  
zachować dla siebie swojej własnej części światła dnia. W imię własnego egoizmu poratujcie  
innych! Kiedy okręt tonie – żaden z pasażerów nie może patrzeć na to obojętnie. Katastrofa  
nie grozi tylko tym spośród nich czy tylko tamtym – giną w niej wszyscy bez wyjątku. Prze-  
paść jest dla wszystkich, pamiętajcie o tym.

Niepohamowany śmiech spotężniał w dwójnasób. Zresztą, by rozweselić zgromadzenie,  
wystarczyłaby już sama niezwykłość, sama dziwaczność wypowiedzianych słów.

Nie ma bardziej upokarzającego bólu, nie ma wściekłości głębszej niż ta, którą dać może  
świadomość, że tragiczny we wnętrzu swoim, na zewnątrz jesteś tylko śmieszny. Ten ból, tę  
wściekłość właśnie czuł Gwynplaine. W jednym kierunku działały jego słowa, w dru-  
gim, wręcz odwrotnym, działała jego twarz; położenie rozpaczliwe. W głosie jego odezwały  
się nagle zgrzyty.

– Wesolo wam, panowie! To dobrze. Oto ironia stawia czoło agonii. Szyderczy śmiech  
znieważa jęk konania. I wszechpotężni jesteście! Być może. Być może. Zobaczymy. I ja je-  
stem jednym z nich! I jednym z was, i jednym z was również, o ubodzy, biedni! Sprzedał  
mnie król, przygarnął mnie nędzarz. Kto okaleczył mnie? Księżę. Kto mnie uzdrowił i wy-  
karmił? Biedak sam przymierający głodem. Jestem lordem Clancharlie, lecz na zawsze pozo-  
stanę Gwynplaine'em. Pochodzę z możnych, przynależę do maluczkich. Jestem wśród tych,  
co używają, a z tymi, co cierpią. To społeczeństwo jest złe, fałszywe. Nadejdzie pewnego  
dnia prawdziwe społeczeństwo. A wtedy nie będzie już wielmożów, będą tylko wolni żywi  
ludzie. Nie będzie już panów, będą ojcowie. Taka jest przyszłość. Nie będzie już upodlenia,  
poniżenia, ciemnoty, nie będzie ludzi-zwierząt jucznych, nie będzie dworaków, nie będzie  
lokai, nie będzie królów – zajaśnieje światło! A tymczasem – oto jestem tutaj. Przysługuje mi  
prawo i z tego prawa korzystam. Czy przysługuje mi prawo? Nie – jeżeli skorzystam zeń dla  
siebie tylko. Tak – jeżeli skorzystam zeń dla dobra ogółu. Przemówię do lordów, bo jestem  
jednym z nich. O, bracia moi z nizin, opowiem im o waszym ubóstwie. Stanę przed nimi  
trzymając w garści łachmany ludu i potrząsnę nad głowami władców nędzą niewolników i nie  
będą już mogli więcej, oni, uprzywilejowani i pyszni, uwolnić się od wspomnienia nieszczę-  
śliwych, i nie oswobodzą się już ci księżęta od swędzenia i bólu, który czują biedni, a że  
strząsam na nich robactwo – trudno, a że spadnie ono na lwy – tym lepiej.

Tu Gwynplaine zwrócił się w stronę niższych pisarzy, którzy klęczeli przy czwartym wo-  
rze z wełną i pisali pilnie:

– Dlaczego tamci dwaj klęczą? Cóż wy tam robicie na kolanach? Wstańcie, ludźmi prze-  
cież jesteście!

To nagle zwrócenie się do podwładnych, których lord spostrzegać nawet nie powinien, do-  
pełniło miary wesołości. Przedtem krzyczeli: brawo! Teraz wołali: hura! Nie tylko w ręce  
klaskali, lecz i tupali z radości. Jak w „Zielonym Pudle”. Tylko że w „Zielonym Pudle”  
śmiech wyrażał, podziw dla Gwynplaine'a, a tutaj miażdżył go, w proch ścierał. Śmieszność  
zawsze sili się, by zabić. Śmiech ludzki robi nieraz wszystko, co może, aby zamordować.

Śmiech zmienił się w obelgę. Posypały się docinki. Głupota zgromadzeń w tym się obja-  
wia, że zawsze siłą się one na dowcip. Ich wymyślna i idiotyczna drwina odsuwa na bok fakty  
miast zastanowić się nad nimi, potępia zagadnienia miast je rozwiązywać. Wydarzenie jest  
znakiem zapytania. Wyśmiać je – to tyle co wyśmiać zagadkę. A za zagadką stoi sfinks. On  
się nie śmieje.

Słysząc było sprzeczne nawoływania:

– Dość! Dość – Jeszcze! Jeszcze!

William Farmer, baron Leimpster rzucił Gwynplaine'owi okrzyk obelżywy, ten sam, którym niegdyś Ryc-Quiney znieważył Szekspira:

– *Histrion! Mima!*

Lord Vaughan, miłośnik sentencji, dwudziesty dziewiąty z kolei z ławy baronetów, zawołał:

– Oto wracamy znów do czasów, kiedy przemawiały zwierzęta. Wśród ludzkich ust głos zabiera bydłęca mordą.

– Posłuchajmy osła Balaama – dodał lord Yarmouth.

Lord Yarmouth miał bystry wyraz twarzy, a zawdzięczał go krzywym ustom i nosowi jak kartofel.

– Buntownik Linneusz został oto ukarany w swej mogile. Taki syn to kara boża na ojca – mówił John Hough, biskup Lichfield i Coventry, którego Gwynplaine uraził w prebendę.

– Kłamie – twierdził lord Cholmley, uczony prawnik-prawodawca. – To, co on nazywa torturą, to kara ciężka i twarda, bardzo dobra kara. W Anglii nie ma tortur.

Tomasz Wentworth, baron Raby, upominał kanclerza:

– Lordzie-kanclerzu, racz zamknąć obrady!

– Nie! nie! nie! Niech mówi dalej! Bawi nas! hura! hip! hip! hip! Tak krzyczeli młodzi lordowie. Ogarnął ich szal wesołości i wściekłości zarazem. U czterech zwłaszcza i nienawiść, i uciecha doszły do szczytu rozjątrzenia. Byli to Laurenty Hyde, hrabia Rochester, Tomasz Tufton, hrabia Thanet, wicehrabia Hatton i księżę Montagu.

– Do budy, Gwynplaine! – wołał Rochester.

– Precz z nim! Precz z nim! – krzyczał Thanet.

Wicehrabia Hatton wyjął z kieszeni jednego penny i rzucił ten grosz Gwynplaine'owi.

A Jan Campbell, hrabia Greenwich, Savage, hrabia Rivers, Thompson, baron Haversham, Warrington, Escrick, Rolleston, Rockingham, Carteret, Langdale, Banester Maynard, Hundson Caernarvon, Cavendish, Burlington, Robert Darcy, hrabia Holderness, Other Windsor, hrabia Plymouth powitali ten gest gorącymi oklaskami.

W zgiełku tego pandemonium lub też może panteonu gubiły się słowa Gwynplaine'a. Jedno tylko zdanie dosłyszeć się dawało:

„Strzeżcie się!”

Ralf, księżę Montagu, młodzieniaszek, któremu wąż zaczynał się sypać dopiero, wychowanek Oxfordu świeżo wypuszczony ze szkół, wstał z ławy książąt, na której zajmował miejsce dziewiętnaste, i ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma stanął naprzeciw Gwynplaine'a. Na każdym ostrzu znajduje się miejsce najlepiej tnące, każdy głos ma swój akcent najbardziej obelżywy. Montagu takiego też właśnie użył akcentu wykrzykując prosto w twarz Gwynplaine'owi pogardliwe pytanie:

– Co ty tam powiadasz?

– Ja przepowiadam – odrzekł Gwynplaine.

Zawtórował mu nowy wybuch śmiechu. A pod śmiechem tym buczał nieprzerwanie basowy pomruk złości. Jeden z małoletnich parów, Lionel Cranseild Sackville, hrabia Dorset i Middlesex stanął na swojej ławie; nie śmiał się, lecz poważnie, jak na przyszłego prawodawcę przystało, i nie mówiąc ani słowa obrócił w stronę Gwynplaine'a swoją świeżą dwunastoletnią twarzyczkę, popatrzył nań i wzruszył ramionami. Na ten widok biskup Saint-Asaph pochylił się w stronę biskupa Saint-David, który siedział obok niego, i szepnął mu na ucho, wskazując na Gwynplaine'a: – Oto szaleniak! – Po czym wskazał na dziecko i dodał: – A oto mędrzec!

Z chaosu obelg i drwin wybijały się poszczególne okrzyki: – Głowo Gorgony! – Co znaczy ta cała awantura? – Zniewaga dla Izby! – Wyjątkowa, niespotykana figura! – Wstyd! wstyd! – Przerwać posiedzenie! – Nie, niech skończy! – Mów, błźnie!



Lord Lewis Duras z radości wziął się za boki i krzyczał:

– Ach, nie masz to jak śmiech! Moja śledziona jest w siódmym niebie. Proponuję uchwalenie wotum dziękczynnego takiej treści; Izba Lordów dzięki składa „Zielonemu Pudłu”.

Gwynplaine, pamiętamy przecież, inne zgoła wymarzył sobie przyjęcie.

Kto staczał się kiedy w zawrotną głębokość po piaszczystej, sypkiej, a ostrej spadzistości, kto czuł, jak mu spod dłoni, spod paznokci, spod łokci, kolan i stóp wymyka się i ucieka wszelki punkt oparcia, kto cofając się, miast naprzód iść, po tym opornym zboczku ześlizgiwał się z rozpaczą w sercu, w dół spadając miast piąć się w górę, kto całym swym wysiłkiem osiągnięcia szczytu powiększał tylko pewność katastrofy i każdym ruchem zmierzającym do wydzwignięcia się z niebezpieczeństwa pogrążał się coraz bardziej, kto czuł straszliwe zbliżanie się przepaści, czyje kości przeszywał posepny chłód upadku, tej paszczyki rozwartej pod człowiekiem – ten doświadczył tego, czego doświadczał Gwynplaine.

Czuł, jak zapada się oto pod nim wzniesienie, po którym wstępował w górę, a przepaścią była mu ta słuchająca go sala.

Zawsze znajdzie się wreszcie ktoś, kto wyrzeknie słowo streszczające w sobie wszystko.

Wrażenia całego zgromadzenia wyraził okrzyk lorda Scarsdale:

– Po co przyszedł tutaj ten potwór?

Gwynplaine, bezprzytomny z oburzenia, wyprostował się nagłym ruchem, jakby w konwulsji. I uporczywie patrząc w śmiejących się rzekł:

– Po co tu przyszedłem? Przyszedłem, żeby straszyć. Jestem potworem, powiadacie! Nie, ja jestem ludem. Jestem wyjątkiem? Nie. Jestem ogółem. Wyjątek – to wy. Wy jesteście urojeniem, ja jestem rzeczywistością. Jestem Człowiekiem. Jestem przerażającym Człowiekiem Śmiechu. Z czego się śmieję? Z siebie! Z niego! Z wszystkich! Czym jest mój śmiech? Waszą zbrodnią, moją katorgą. I w twarz wam rzucam tę zbrodnię; i tą katorgą plwam wam w oczy. Śmieję się, a znaczy to, że płaczę.

Przerwał na chwilę. Wokół umilkli. Tu i ówdzie śmiano się jeszcze, lecz ciszej. Zdało mu się, że zmusił ich jednak do wysłuchania go z pewną uwagą. Odetchnął i ciągnął dalej:

– Ten śmiech położył na moim czole król. Ten śmiech wyraża nieszczęście powszechne. Ten śmiech – to tyle co nienawiść, milczenie z musu, wściekłość, rozpacz. Ten śmiech jest produktem tortur. Ten śmiech jest wymuszony przez przemoc. Gdyby szatan śmiał się takim śmiechem, to ten śmiech jego skazywałby Boga na potępienie. Ale wieczność w niczym nie jest podobna do doczesności; absolut – to sprawiedliwość; i Bóg nienawidzi tego, co czynią królowie. Wy uważacie mnie za wyjątek! Ja jestem symbol. O wszechpotężni ślepi głupcy – otwórzcie oczy! Jestem wcieleniem ogółu. Przedstawiam sobą ludzkość całą, taką, jaką ona uczyniona została, przez władców swoich. Człowiek jest kaleką. Całemu rodzajowi ludzkiemu zrobiono tę samą co i mnie krzywdę. Zniekształcono mu prawo, sprawiedliwość, prawdę, umysł, rozum, jak mnie oczy, nozdrza i uszy; jak i mnie, wiano mu do serca cuchnące błoto złości i bólu, a na twarzy położono mu maskę zadowolenia. Tam gdzie legł palec boży, wbił się pazur króla. Monstrualna kolejność dotknięć. Biskupi parowie i książęta! Lud – to cierpiący we wnętrzu swoim, co się na zewnątrz śmieje. Mówię wam, milordowie, lud – to ja. Dziś go uciskacie, dziś mnie wyśmiewacie. Lecz przyszłość jest posepnym ruszeniem lodów. Co było kamieniem – falą się stanie. Pozorna twardość w zalew się przemieni. Nagły trzask, i oto stało się już. Nadejdzie godzina, w której wstrząs skruszy ucisk wasz, w której ryk gniewu odpowie na wasze szydercze wrzaski. Ta godzina raz już nadeszła – o, ojczy mój, ty tam też byłeś! – ta godzina boża raz już nadeszła i nazywała się Republiką, i przepędzono ją, lecz ona wróci. A tymczasem pamiętajcie, że pochód królów zbrojnych w szpady przerwany został przez uzbrojonego w topór Cromwella. Drżycie! Zbliży się nieprzejednana, nieustępliwa chwila rozrachunku, odrastają odcięte pazury, wyrwane języki ulatują i przemieniają się w języki ogniste miotane wichrami mroków, i w nieskończoności wyją; ci, którzy głodni są, ukazują swe beczynne zęby, chwieją się wybudowane na piekłach raje, ludzie cierpią, cierpią

i cierpią, i to, co w górze jest chyli się, i to, co w dole jest, rozwiera się, ciemność stać się światłem pragnie, potępiony wszczyną spór z wybranym, to lud nadchodzi, powiadam wam, to człowiek wstępuje, to koniec rozpoczyna się, to czerwona jutrznia katastrofy – oto, co jest w tym śmiechu moim z którego się naśmiewacie! Londyn jest świętem nieustannym! Dobrze! Anglia od krańca po kraniec jest jednym wielkim przyklaskiem! Tak! Ale posłuchajcie! Wszystko, co oglądacie, mną jest. Wasze święta są moim śmiechem. Wasze zabawy są moim śmiechem. Wasze śluby, uroczystości i koronacje są moim śmiechem. I narodziny książąt są moim śmiechem. Zawisł nad wami piorun – mój śmiech.

I jakże tu można było wytrzymać słysząc podobne rzeczy? Śmiech wybuchnął od nowa, tym razem ostatecznie już pognębiający. Ze wszystkich rodzajów lawy, które wyrzucać potrafi ów krater, usta ludzkie, najbardziej żrącą bywa radość. Radośnie zadawać ból – pokusa to zaraźliwa, żaden tłum jej się nie oprze. Nie wszystkie egzekucje dokonują się na szafotach, i skoro tylko zbiorą się ludzie – czy będzie to tłum motłochu, czy też zgromadzenie dostojne – zawsze znajduje się w ich gronie kat czekający w pogotowiu. Katem tym jest sarkazm. I jakież tortury przyrównać można do mąk, które znosi nieszczęśliwy wyśmiany! Gwynplaine poddany został oto takiej torturze. Ta radość ich biła w niego kartaczami i kamieniami. Był zabawką, manekinem, kukłą jarmarczną, w którą każdy uderza, by zmierzyć siłę swej pięści, tarczą strzelniczą. Wokół niego skakano, krzyczano: jeszcze! jeszcze! pokładano się ze śmiechu. Lordowie tupali z radości, chwyтали się nawzajem za wyłogi. Nie pomogła powaga miejsca, purpura płaszczy, wstydlivość gronostaj, potęga rozmiarów peruk. Śmiali się lordowie, śmiali się biskupi, śmiali się sędziowie. Rozpogodziła się ława starców, ława dzieci chichotała do rozpuku. Arcybiskup Canterbury trącał łokciem arcybiskupa Yorku, Henryk Compton, biskup Londynu, brat hrabiego Northampton, trzymał się za boki. Lord-kanclerz spuścił powieki, aby ukryć śmiech, który a nuż i jego ogarnie za chwilę. U kraty posąg szacunku i powagi – odzwierny z czarną różgą – śmiał się.

Gwynplaine, poblady, skrzyżował na piersi ramiona; otoczony tą rzeszą twarzy młodzieńczych i starczych, a promieniejących wielką, homerycką uciechą, w tym wirze oklasków, wrzasków i tupania, wśród tej szalonej krotchwili, której ośrodkiem był on sam, wśród świetności przelewającego się wesela, wśród tej radości ogromnej – on czuł w sobie chłód grobowy. Był to koniec. Nie potrafił już opanować ani twarzy swojej, która go zdradziła, ani tych słuchaczy, którzy znieważyli go.

Odwieczne, nieubłagane prawo – groteska chwyająca w swoje kleszcze wielkość, ryk gniewu odbity echem śmiechu, parodia, co jedzie w jednym siodle z rozpaczą, przeciwieństwo między tym, na co człowiek wygląda, a tym, czym jest – nigdy jeszcze nie ukazało się w aż tak przerażającej postaci. Nigdy jeszcze głębin ludzkiej nocy nie rozświetlił błysk aż tak ponury.

Oto widział Gwynplaine, jak przeznaczenie jego załamuje się pod uderzeniem śmiechu. Nieodwołalnie. Kto upadł, ten podnieść się może, nie podnosi się ten, kogo na proch starto. Ta głupia a wszechwładna drwina ścierała go na proch. Nadszedł kres jego możliwości. Wszystko jest na miarę środowiska. Co było triumfem w „Zielonym Pudle”, to w Izbie Lordów było klęską. Co tam było oklaskiem, tu było złorzeczeniem. Czuł, jakby maska jego twarzy miała dwie strony. Bo po jednej jej stronie była sympatia ludu witającego Gwynplaine'a a po drugiej – nienawiść możnych odrzucających lorda Fermaina Clancharlie. Z jednej strony przyciąganie, z drugiej strony odpychanie, wspólnymi siłami odsuwające go w cień. Wydawało mu się, że zadano mu podstępny cios w plecy. Los ludzki lubi takie zdradliwe uderzenia. Później wyjaśni się wszystko, a tymczasem przeznaczenie jest zasadzką i człowiek wpada w zastawione przez nie sidła. Sądził, że podnosi się w górę, że ten śmiech jest mu życzliwy; posepnie kończą się nieraz apoteozy. Istnieje słowo złowieszcze: otrzeźwienie. Tragiczna jest mądrość, co się z upojenia rodzi. Gwynplaine, otoczony kręgiem tej wesołej i okrutnej burzy, zamyślił się.

Śmiech szalony jest jak oddanie się na łaskę morskich prądów. Rozweselone zgromadzenie – to zagubienie busoli. Nikt już nie wiedział, dokąd idzie, co czyni. Trzeba było zakończyć posiedzenie.

Lord-kanclerz „ze względu na nie przewidziany wypadek” odłożył dalszy ciąg głosowania do następnego dnia. Izba poczęła się rozchodzić. Lordowie składali ukłon królewskiemu krzesłu i opuszczali salę. Śmiechy rozbrzmiewały jeszcze i gubiły się w głębi korytarzy. Wszelkie sale zgromadzeń mają, oprócz wejść oficjalnych, najprzeróżniejszego rodzaju drzwi i drzwiczki poukrywane pod kobiercami i w ornamentach ścian, opróżniają się więc szybko, niczym dziurawe garnki. Po upływie kilku chwil Izba była pusta. Stało się to bardzo prędko, bardzo nagle. W tych gwarnych miejscach cisza zapada prawie w oka mgnieniu.

Pograżenie się w zamyśleniu odwodzi daleko i zadumany człowiek znajduje się w końcu jakby na innej jakiejś planecie. Gwynplaine ocknął się wreszcie. Był sam. Sala była pusta. Nie spostrzegł nawet, że posiedzenie już się skończyło. Wszyscy parowie znikli gdzieś, wszyscy, nawet i dwaj patrolujący mu starcy. Tylko paru niższych urzędników Izby błąkało się po sali, czekając z zakładaniem pokrowców na ławy i gaszeniem świateł, aż „jego wysokość” wyjdzie. Machinalnie włożył kapelusz, wstał z ławy i skierował się ku drzwiom otwartym na galerię. Kiedy mijał drewnianą przegrodę, jeden z *door-keepers* zdjął mu z ramion parowski płaszcz. Zaledwie to zauważył. W chwilę później był już w galerii.

Służba obecna na sali spostrzegła ze zdumieniem, że ten lord wyszedł nie pokłoniwszy się królewskiemu krzesłu.

## VIII. BYŁBY DOBRYM BRATEM GDYBY NIE BYŁ DOBRYM SYNEM

W galerii nie było nikogo. Gwynplaine minął oszkloną rotundę, z której uprzątnięto już fotele i stoły, gdzie żaden już ślad nie pozostał po chwili przyjęcia go do Izby Parów. Kandelabry i świeczniki, rozmieszczone wzdłuż korytarzy, wskazywały, którądy iść należy do wyjścia. Dzięki tej nitce ze światła udało mu się z łatwością odnaleźć wśród labiryntu salonów i galerii drogę, po której przybył tutaj poprzedzany przez odźwiernego z czarną różgą i pierwszego herolda królestwa. Nie spotykał nikogo, tu i ówdzie tylko dostrzegał od tyłu ciężko stąpającą postać jakiegoś starego, zapóźnionego lorda.

Nagle wśród ciszy tych opustoszałych sal dobiegł doń odgłos niewyraźnych słów, dobiegły jakieś nocne hałasy, niezwykle w miejscu tak uroczystym. Podszedł w stronę, z której ten zgiełk dochodził, i oto znalazł się nagle w obszernym, skąpo oświetlonym przedsionku. Jedno z ukrytych wyjść z Izby Lordów prowadziło tutaj właśnie. W półmroku dostrzec można było duże oszklone drzwi, otwarte szeroko, podjazd, lokai, pochodnie; za drzwiami znajdował się plac; kilka karet czekało u podjazdu.

Hałas, który usłyszał, przychodził stąd właśnie.

Koło drzwi, pod latarnią oświetlającą przedsionek, stało kilku ludzi gestykulujących i rozmawiających głośno, w burzliwym podnieceniu. Gwynplaine zbliżył się ku nim, ukryty w cieniu.

Była to kłótnia. Może dziesięciu, może dwunastu młodych lordów tłoczyło się przy wyjściu, a naprzeciwko nich stał człowiek jakiś wyprostowany, z podniesioną głową, w kapeluszu, jak i oni, i zagradzał im drogę.

Kto to był? Tom-Jim-Jack.

Kilku z tych lordów miało jeszcze na sobie parowskie płaszcze, inni zdjęli już swój strój parlamentarny i odziani byli w zwykłe suknie.

Tom-Jim-Jack miał kapelusz z piórami, a pióra te były nie białe jak u parów, lecz zielone, o pomarańczowych brzegach, fryzowane; strój jego pokrywały bogate hafty i szamerunki, u rękawów i u kołnierza aż kipiało od koronek i wstążek; lewą dłonią poruszał gorączkowo rękojeść szpady, którą nosił na pasie usianym admiralskimi kotwicami. Kotwice te zdobyły również i pochwę.

To mówił on właśnie zwracając się do tych wszystkich młodych lordów i Gwynplaine usłyszał takie oto słowa:

– Powiedziałem wam, że jesteście podli. Chcecie, żebym cofnął to, co powiedziałem. Niech i tak będzie. Nie jesteście podli. Jesteście idioci. Rzuciliście się wszyscy na jednego. To nie tchórzostwo! Dobrze! A więc jest to tępota. Przemawiano do was, a wyście nie rozumieci. Starzy mają tutaj tępy słuch, a młodzi tępe mózgi. W dostatecznej mierze należę do was, żeby móc powiedzieć wam całą prawdę. Tamten nowoprzybyły jest obcy i gadał całe mnóstwo niestworzonych szaleństw, przyznaję, lecz wśród tych rzeczy szalonych były też i prawdziwe. Było to nieporządne, niestrawne, źle powiedziane; zgoda; nazbyt często powtarzał: czy wiecie? czy wiecie? ale człowiek, który wczoraj jeszcze stroił miny po jarmarkach, nie musi przemawiać jak Arystoteles czy też doktor Gilbert Burnet, biskup Sarum. Robactwo, lwy, apostrofa do pomocników pisarza, to wszystko było w złym smaku. Do licha! Któż się z wami spiera? Była to gadanina nieskładna, nedorzeczna, pomyłona, lecz tu i ówdzie wynikały z niej rzeczy prawdziwe. A to już niemało dla tego, co się nigdy nie uczył wymowy, chciałbym zobaczyć was na jego miejscu! To, co opowiadał o trędowatych z Burton-Lazers, jest najprawdziwszą prawdą; nie on pierwszy mówił głupstwa; a w końcu, milordowie, nie

lubię, żeby się rzucano kupą na jednego, taka jest moja fantazja i proszę oto wasze dostojności, aby mi wolno było dopatrywać się w tym mej osobistej zniewagi. Nie spodobał mi się i czuję się obrażony. Nie bardzo ja tam wierzę w Boga, lecz co upewnić by mnie mogło o jego istnieniu, to dobre uczynki, a te zdarzają mu się nie co dzień. Tak więc wdzięczny jestem dobremu Panu Bogu; jeśli on istnieje, że wyciągnął z dna poniżenia tego para Anglii, że oddał dziedzicowi jego dziedzictwo i – nie zastanawiając się zbytnio, czy moim interesom na dobre to wyjdzie, czy też na złe – tę nagłą przemianę stonogi w orła, Gwynplaine'a w lorda Clancharlie, uważam za rzecz bardzo piękną. Zabraniam wam być innego niż ja zdania, milordowie. Żałuję, że nie ma tu Lewisa Duras. Znieważylbym go z przyjemnością. Milordowie, Fermain Clancharlie był lordem, a wy byliście linoskokami. Śmiech jego nie jest z jego winy. A wy śmiałyście się z tego śmiechu. Nie wyśmiewa się nieszczęścia. Jesteście głupcy! I to okrutni głupcy! Jeżeli sądzą, że z was nie można się śmiać – mylicie się; jesteście brzydzy i źle się ubieracie. Milordzie Haversham, widziałem kiedyś twoją kochankę, jest okropna. Księżna, ale szpetna jak małpizyon. Panowie śmieszkuje, powtarzam, iż bardzo byłbym rad, gdyby któryś z was próbował mówić z sensem choćby przez minutę. Wielu ludzi paple, mówić potrafi niewielu. Wyobrażacie sobie, że coś umiecie, bo obijaliście wasze lenistwo o mury Oxfordu czy tam Cambridge, bo nim zasiedliście na ławach Westminster-Hallu w postaci parów, siedzieliście w postaci osłów na ławach szkolnych w Gonewill czy Caius! Mówię to wam prosto w oczy: zachowaliście się wobec tego nowego lorda nieprzyzwoicie. To potwór, zgoda. Ale rzucony zwierzętom na pożarcie. Wolałbym nim być raczej niż którymkolwiek z was. Przysłuchiwałem się posiedzeniu z mojego miejsca jako przypuszczalny spadkobierca parostwa i oglądałem wszystko. Nie miałem prawa zabierać głosu, ale być szlachcicem mam prawo. Znudziły mnie wasze rozradowane miny. Kiedy coś mi się nie spodoba, gotów jestem pójść choćby na górę Pendlehill i zerwać zioło rosnące wśród chmur, *cloudsbery*, które ściąga piorun na tego, co wyciąga po nie rękę. Dlatego też czekałem na was przy wyjściu. Nie zawadzi porozmawiać czasami, a my właśnie mamy ze sobą do pogadania. Czy zdajecie sobie sprawę, żeście po trosze mnie samemu ubliżyli? Milordowie, mam oto stanowczy zamiar pozabijania niektórych spośród was. Wszystkich, którzy tu jesteście – Tomasza Tufton, hrabiego Thanet, Savage'a, hrabiego Riversa, Karola Spencera, hrabiego Sunderland, Laurentego Hyde, hrabiego Rochester, i was, baronowie Gray Rolleston, Cary Hundson, Escnck, Rockingham, i ciebie mały Carteret, i ciebie, Robercie Darcy, hrabio Holderness, i ciebie, Williamie, wicehrabio Halton, i ciebie, Ralfie, księżę Montagu, i wszystkich tych, co tylko zechcą jeszcze; ja, Dawid Dirry-Moir, jeden z marynarzy floty, wyzywam was i nakazuję wam dobrać sobie sekundantów i świadków i oczekiwać was będę, aby spotkać się z wami twarzą w twarz, piersią w pierś dziś wieczór, natychmiast, jutro, w dzień, w nocy, w słońcu czy przy pochodniach, gdzie, kiedy i jak tylko sami zechcecie, wszędzie, gdzie dość będzie miejsca, aby skrzyżować dwie szpady, i radziłbym wam sprawdzić kurki waszych pistoletów i klingi waszych pałaszy, gdyż postanowiłem parostwa wasze wakującymi uczynić. Ogle Cavendish, poczuj przygotowania i pomnij na swoją dewizę: *Cavendo tutus* Marmaduke Langdale, dobrze uczynisz, jeśli za przykładem przodka twego, Gundolda, każesz nosić za sobą trumnę. Jerzy Booth, hrabio Warrington, nie ujrysz już więcej swego falegrafstwa Chester ani swego labiryntu na modłę Krety, ani wysmukłych wieżyczek Dunham Massie. Jeśli zaś chodzi o lorda Vaughan – jest on dość młody, by mówić impertynencje, a nazbyt stary, żeby za nie odpowiadać; za jego słowa da mi więc satysfakcję siostrzeniec jego, Ryszard Vaughan, członek Izby Gmin z miasta Merioneth. Ciebie Janie Campbell, hrabio Greenwich, zabiję, jak Achon zabił Matasa, ale otwarcie, w pojedynku, nie od tyłu, mam bowiem zwyczaj wystawiania na sztych serca swego, a nie pleców. Otóż tak będzie, milordowie. A więc czyńcie uroki, radźcie się wrózek, namaśćcie sobie skórę balsamami, co czynią ciało odpornym na miecz, pozawieszajcie na szyjach waszych amulety diabelskie czy święte, bić was będę, czy pobłogosławionych, czy przeklętych, i to nie po to, żeby wymacać tylko, czy macie na sobie te czarnoksięskie sztuczki.

Potykać się będę z wami konno lub pieszo. Na jakimkolwiek rogu, jeśli zechcecie – na Piccadilly lub też na Charing-Cross, i dla spotkania naszego rozbiorą nam bruk ulicy, jak rozebrano bruk dziedzińca Luwru dla pojedynku Gwizjusza z Bassompierre'em. Na wszystkich, słyszy-cie? na wszystkich was mam chrapkę. Śpij, hrabio Caernarvon, połkniesz klingę mojej szpady aż po rękojeść, zmuszę cię do tego, jak Marolles zmusił Lisle-Marivaux; a wtedy zobaczymy, milordzie, czy będziesz się śmiał. Ty, Burlingtonie, co masz lat siedemnaście i wyglądasz jak dziewczeczka, możesz wybierać sobie miejsce na grób; namyśl się, czy chcesz leżeć na trawni-kach przy twym domu w Middlesex, czy też może w twoim pięknym ogrodzie w Londesburg, w Yorkshire. Zawiadamiam was, mości panowie, że nie. lubię, by zachowywano się zuchwale w mojej obecności. I ukarzę was, milordowie. Wyśmianie lorda Fermaina Clancharlie było postępkem złym. Więcej jest on wart niż wy. Jako Clancharlie posiada krew szlachezną, którą i wy posiadacie, a jako Gwynplaine posiada rozum, którego wam brak. Z jego sprawy czynię moją własną sprawę, z jego zniewagi czynię moją własną zniewagę, a za wasze drwiny płacę moim gniewem. Zobaczymy, kto żywym wyjdzie z tej przygody, gdyż ja wyzywam was do walki na śmierć i życie, czyście mnie zrozumieli? – na wszelką broń i na wszelkie sposoby – i wybijajcie sobie rodzaj śmierci, jaki wam najbardziej przypada do smaku, i ponieważ tyleż chamami jesteście co i szlachtą, zastosuję wyzwanie moje do waszych przymiotów i ofiaro-wuję wam do wyboru wszelkie sposoby zabijania się, jakie tylko są ludziom znane, od szpa-dy, której używają w tym celu książęta, aż do pięści, której używa w tym celu hołota!

Młodzi lordowie odpowiedzieli wyniosłym uśmiechem na ten potok wściekłych słów. – Zgoda – rzekli.

– Ja wybieram pistolety – powiedział Burlington.

– Ja – rzekł Escrick – staroświecki pojedynek w szrankach, na sztylety i topory.

– Ja – rzekł Holderness – pojedynek na dwa noże, długi i krótki, pierś w pierś, z ciałem obnażonym do pasa.

– Lordzie Dawidzie – rzekł hrabia Thanet – jesteś Szkotem. Wybieram wielki szkocki miecz.

– Ja szpadę – rzekł Rockingham.

– Ja – rzekł książę Ralf – wolę boks. To szlachetniejsza walka.

Gwynplaine wynurzył się z ciemności.

Podszedł ku temu, którego nazywał dotychczas Tom-Jim-Jackiem, a w którym teraz kogoś zgoła innego odgadywać zaczynał.

– Dziękuję – rzekł. – Ale te sprawy do mnie należą.

Odwróciły się wszystkie głowy.

Gwynplaine przystąpił jeszcze bliżej. Coś pchało go ku temu człowiekowi, którego, jak słyszał, nazywano lordem Dawidem, a który był jego obrońcą i być może, czymś więcej jesz-cze. Lord Dawid cofnął się.

– Proszę! – rzekł – to wy! wy tutaj! To się świetnie składa. Z wami również chciałbym zamienić słów parę. Mówiliście przed chwilą o kobiecie, która najpierw kochała lorda Linne-usza Clancharlie, a później króla Karola II.

– Tak, to prawda.

– Znieważył pan matkę moją.

– Waszą matkę? – krzyknął Gwynplaine. – A więc tak, odgadłem to, jesteśmy...

– Braćmi – odrzekł lord Dawid.

I spoliczkował Gwynplaine'a.

– Jesteśmy braćmi – powtórzył. – A więc możemy się bić. Bić się można tylko z równymi sobie. A któż może mi być bardziej równy od mego brata? Przyślę wam sekundantów. Jutro poderzniemy sobie gardła nawzajem.

## KSIĘGA DZIEWIĄTA W GRUZACH

### I. POPRZEZ NADMIAR WIELKOŚCI DOJŚĆ MOŻNA DO NADMIARU NIESZCZĘŚCIA

Kiedy na wieży Świętego Pawła biła północ, człowiek jakiś, który przyszedł tu po Londyńskim moście, wchodził w wąskie uliczki Southwarku. Nigdzie nie świeciły się światła, zwyczajem bowiem czasów owych tak w Londynie, jak i w Paryżu gaszono latarnie miejskie o jedenastej, czyli wtedy właśnie, kiedy zaczynały być rzeczywiście potrzebne. Ulice były ciemne i puste. Gdy pogasną latarnie, nikną i przechodnie. Człowiek szedł szybko. Jak na taki spacer po mieście o podobnej godzinie, niezwykle był ubrany. Szaty miał z haftowanego atlasu, szpadę u boku i kapelusz z białymi piórami. Szedł bez płaszcza. Stróże nocni widząc, jak przechodzi, mówili: – To jakiś wielki pan, który się widać założył. – I usuwali się na bok z szacunkiem winnym lordowi i zakładowi jego.

Człowiekiem tym był Gwynplaine.

Uciekł.

Skąd wziął się tutaj? Sam tego nawet nie wiedział. Dusza – mówiliśmy to już – miewa swoje cyklony, swoje wiry straszliwe, w których wszystko, niebo i morze, dzień i noc, życie i śmierć, miesza się ze sobą w jakąś grozę nie do zrozumienia. Rzeczywistością trudno jest odetchnąć. Człowiek jest przyduszony przez coś, w co sam nie wierzy. Nicość staje się huraganem. Pobladł firmament. Nieskończoność jest pusta. Wchodzisz w nieistnienie. Czujesz, jak umierasz. Pożądasz gwiazdy. Czego doświadczał Gwynplaine? Jednego tylko pragnienia: chciał zobaczyć Deę.

I czuł to jedno tylko. Wrócić do „Zielonego Pudła”, do gospody „Tadcaster”, gwarnej; oświetlonej, wypełnionej serdecznym śmiechem prostych ludzi; odnaleźć Ursusa i Homo, zobaczyć znowu Deę, wrócić do życia!

Rozczarowanie przeży się z posępną siłą, jak łuk, który wyrzuca człowieka – tę strzałę – ku prawdzie. Gwynplaine śpieszył się. Coraz bliżej był Pola Tarrinzeau. Nie szedł już, ale biegł. Wzrok jego zatapiał się w ciemności. Spojrzenie jego przed nim szło, tak chciwie wypatrywał tej przystani na widnokręgu. Kiedyż ujrzy wreszcie błyszczące światłem okna gospody „Tadcaster”? Cóż to będzie za chwila!

Oto wchodzi już na łąkę. Wyłonił się zza węgła ściany – tam, na wprost niego, po drugiej stronie pola, już blisko, stoi gospoda! Jedyne, jak pamiętamy, dom na jarmarcznym placu.

Spojrzał. Nigdzie światła. Tylko martwy, czarny kształt.

Zadrzał. Lecz natychmiast powiedział sobie, że jest już późno, że gospodę zamknięto, że wszyscy śpią przecież, po prostu, że trzeba będzie obudzić Niclessa czy Govicum, że trzeba iść do gospody i zapukać do drzwi. I poszedł. Nie biegł już, ale pędził.

Stanął przed gospodą bez tchu w piersi. Człowiek miotany nawałnicą straszliwą, co walczy i szamoce się wśród niewidzialnych wstrząsów targających duszą jego, co sam już nie wie, czy żywym jest, czy umarłym – dla tych, których kocha, zachowuje jednak najtkliwsze staranie; tak to rozpoznać można prawdziwie wielkie serca. Choć zawierucha pochłoneła wszystko

– ostaje się na powierzchni czułość. Gwynplaine troszczył się teraz o jedno tylko: żeby nie obudzić nagle Dei.

Podszedł do gospody, jak umiał, najciszej. Znał tu każde miejsce, wiedział dobrze, gdzie znajduje się dawna psia komórka, w której teraz sypiał Govicum; komórka ta, przylegająca do niskiej izby gospody, miała okienko wychodzące na plac; Gwynplaine zaskrobał lekko w szybę. Dość będzie, jeśli obudzi Govicum.

Nic nie drgnęło nawet w komórce Govicum. „W jego wieku – pomyślał sobie Gwynplaine – śpi się mocno.” Uderzył w szybę wierzchem dłoni. Nic się nie poruszyło.

Znów zapukał, dwukrotnie, silniej nieco. I tym razem bezskutecznie. Wtedy, z pewnym już niepokojem, podszedł do drzwi gospody i zakolał w nie.

Nikt się nie odezwał.

Poczuł jakby jakiś chłód w sercu, lecz jeszcze pomyślał sobie:

„Imć Nicless jest stary; dzieci mają mocny sen, a starcy – ciężki. Trzeba mocniej zakolać.”

Skrobał. Pukał. Kołał. Wreszcie zaczął bić pięściami w drzwi. Przywiodło mu to na pamięć dawne wspomnienie, Weymouth, kiedy to jako dziecko jeszcze niósł małą Deę na rękach.

Bił pięścią w drzwi z całej siły, jak lord, którym był przecież.

Niestety!

Dom pozostawał niemy.

Czuł, że ogarnia go rozpacz.

O nic już nie dbając zaczął wołać głośno: – Nicless! Govicum!

A krzycząc tak zaglądał do okien, aby zobaczyć, czy nie zapali się wreszcie jakaś świeca.

Ale w gospodzie nic nie drgnęło nawet. Ni głosu ludzkiego, ni hałasu, ni światła.

Podbiegł do bramy wjazdowej i uderzał w nią, i pchał, i potrząsał nią ze wszystkich sił, wołając: – Ursusie! Homo!

Wilk nie zaszczekał.

Zimny pot wystąpił na czoło Gwynplaine'a.

Rozejrzał się dookoła. Noc była ciemna, lecz w poświacie gwiazd można było widzieć jarmarczne pole. I oto ujrzał, że wszystko gdzieś przepadło. Ani jednej budy nie było już na całej łące. Cyrk znikł. Ani jednego namiotu, ani jednego wozu, ani jednej skleconejsz desek sceny. Całe to wędrowne, hałaśliwe mrowie, które się tam roiło, ustąpiło nagle miejsca jakiejś straszliwej czarnej próżni. Wszystko poszło sobie precz.

Ogarnęło go szaleństwo trwogi. Co to znaczyć mogło? Co się tutaj stało? Czyżby ani żywej duszy nie było na całym placu? Czyżby jego dawne życie zapadło się nagle w przepaść? Co z nimi wszystkimi zrobiono? O, Boże! Runął na budynek gospody jak burza. Walił w furtkę, w bramę, w okna, w okiennice, w ściany, pięściami i nogami, rozwścieczony przerażeniem i rozpaczą. Wołał Niclessa, Govicum, Fibi, Vinos, Ursusa, Homo. Ciskał w te mury wszelkim krzykiem i wrzaskiem. Chwilami milkł, nieruchomiał i nasłuchiwał – dom stał martwy i ciemny. Więc rozpoczynał od nowa, zażarcie. Krzyki i odgłosy uderzeń i wstrząsów echem tylko odbijały się. Rzecz by można, że był to piorun próbujący rozbudzić grobowiec.

Przy pewnym natężeniu przerażenia człowiek staje się straszliwy. Kto lęka się wszystkiego, ten niczego się już nie lęka. Kopie się wówczas sfinksa. Szturcha nieznanie. Wciąż od nowa, wciąż od nowa dobijał się do zamkniętej gospody; na wszelkie sposoby, niezmordowany w wołaniu i krzyku, przypuszczał szturm do tej tragicznej ciszy.

Po stokroć zawezwał już wszystkich, którzy mogli być tam w środku, wywołał wszystkie imiona z wyjątkiem imienia Dei. Była to ostrożność, której sam nie rozumiał, lecz zachowywał ją instynktownie przy całym swoim obłąkaniu.

Po wyczerpaniu wołania i krzyku pozostawało już jedno tylko – dostanie się do środka przemocą. Rzekł sobie: – muszę tam wejść. – Ale jak? Stłukł szybę w okienku komórki Govi-



cum, wsunął do wewnątrz rękę raniąc sobie ją o szkło, odsunął zasuwę i otworzył lufcik. Spostrzegł, że szpada zawadza mu będzie; szarpnął ją z gniewem, zerwał z siebie i wszystko razem, pas, pochwę i klingę, odrzucił na bruk. Potem wspiął się na występ muru i choć okienko było wąskie, przecisnął się przez nie do wnętrza gospody.

Łóżko Govicum, ledwie dostrzegalne w ciemności, stało w kącie, lecz Govicum na nim nie było. A jeżeli Govicum nie leżał na swoim pościeliu, to zapewne i z Niclessem podobnie się działo. W całym domu było ciemno. W tym czarnym wnętrzu wyczuwało się tajemniczy bezruch pustki i tę jakąś nieokreśloną grozę, która mówić się zdaje: nie ma nikogo. Gwynplaine jak w gorączce przebiegł przez izbę gospody, roztrącając stoły, depcząc po naczyniu, przewracając ławy, tłukąc kufle, potykając się o krzesła i stołki, dotarł do drzwi prowadzących na podwórze i wyważył je jednym uderzeniem buta. Klamka ustąpiła. Drzwi otworzyły się. Spojrzał w dziedziniec. „Zielonego Pudła” nie było.

## II. OSAD

Gwynplaine opuścił gospodę i zaczął przeszukiwać dokładnie całe Pole Tarrinzeau; chodził, chodził wszędzie, gdzie tylko, wczoraj jeszcze, widać było jakąś budę, namiot czy wóz. Ale nic nie znajdował. Pukał do drewnianych kramów, choć wiedział, że nikt w nich nie mieszka. Kołatał we wszystko, co tylko podobne było do drzwi lub do okna. Nie odezwał się żaden głos z ciemności. Przeszło tędy coś na kształt śmierci.

Mrowisko zostało rozdeptane. Najwidoczniej władze miejskie uprzątnęły stąd wszystko. Odbić się tu musiało to, co dziś nazwali byśmy obławą policyjną. Pole Tarrinzeau było bardziej niż puste, bo spustoszone wszędzie znać było ślad okrutnego pazura, który je przeorał. Rzec by można, że wyrócono kieszenie tego nędznego jarmarcznego rynku i opróżniono je doszczętnie.

Gwynplaine, przepatrzywszy dokładnie cały plac, zszedł z łąki i zapuścił się w kręte uliczki podmiejskiej dzielnicy, zwanej East-point, prowadzące ku Tamizie.

Szedł przez płataninę zaułków, wśród opłotków i murów, i już po chwili owiał go świeży powiew zwiastujący bliskość wody, usłyszał głuchy plusk płynącej rzeki i oto stanął nagle przed jakąś poręczą. Była to balustrada bulwaru Effroc-stone.

Balustrada ta zamykała bardzo krótki tylko i bardzo wąski odcinek wybrzeża. Pod nią wysoka ściana Effroc-stone spadała prostopadle w ciemne nurty rzeki.

Gwynplaine stanął u balustrady, wsparł się na niej, ujął głowę w obie dłonie i zamyślił się, pochylony nad tą wodą.

Czy patrzył w Tamizę? Nie. A w co patrzył? W mrok. Nie w ten mrok, który otaczał go, lecz w mrok, który był w nim samym.

W tym melancholijnym nocnym krajobrazie, na który nie zwrócił nawet uwagi, w tej głębi dookolnej, w którą wzrok jego nie wchodził zgoła, dostrzec można było sylwetki rej i masztów. U stóp Effroc-stone wprawdzie wody rzeki tylko uderzały o mur; lecz wysokie wybrzeże w kierunku biegu Tamizy obniżało się niedostrzegalnie a coraz bardziej i wreszcie nie opodal miejsca, w którym znajdował się Gwynplaine, tworzyło przystań, przy której zatrzymało się kilka statków. Jedne z nich niedawno przybyły, inne miały wkrótce odpłynąć; niektóre z nich przycumowane były do niewielkich kamiennych lub też drewnianych występów, umyślnie w tym celu zbudowanych, inne połączyły się z lądem za pomocą kładki z desek. Statki te stały nieruchomo, zakotwiczone lub też uwiązane na linie. Nie dobiegały stamtąd odgłosy rozmów czy kroków; dobry marynarski obyczaj nakazuje spać, ile tylko można, i wstawać tylko do roboty. Niektóre z tych statków odjechać miały zapewne z odpływem, w nocy; lecz załoga ich jeszcze się nie zbudziła.

Z trudem rozróżnić można było kadłuby czarne i pękate i drabinki, i liny ożaglowań, przysnute ciemnością. Tu i ówdzie czerwony błysk latarni przebijał mgłę.

Gwynplaine nic z tego nie spostrzegął. Zapatrzył się w swoje przeznaczenie.

Zamyślił się, marzyciel szalony, postawiony wobec nieubłaganej rzeczywistości.

Wydawało mu się, że słyszy poza sobą niby jakieś trzęsienie, ziemi. Był to śmiech lordów.

Tylko co wyszedł stamtąd, z tego śmiechu. Wyszedł stamtąd spoliczkowany.

Spoliczkowany.

I przez kogo?

Przez brata swego.

I wybiegł z tego śmiechu, z tym policzkiem na twarzy, i chciał schronić się, ptak zraniony, do gniazda swego, chciał uciec od nienawiści i odnaleźć swoją miłość. I co odnalazł?

Ciemność.

Nikogo.

Wszystko znikło.

Ciemności te porównywał z marzeniem, które pieścił w sobie.

Zawaliło się marzenie!

Gwynplaine stanął na posepnym brzegu pustki. Odjechało „Zielone Pudło”, przepadł cały świat.

Dusza jego zamknęła się.

Rozmyślał.

Co z nimi stać się mogło? Gdzie byli? Porwano ich zapewne. Przeznaczenie porażając jego, Gwynplaine'a, wielkością, ich poraziło unicestwieniem. Wiedział, że nigdy ich już nie zobaczy. Dobrze się o to postarano. I równocześnie położono rękę na wszystkim, co żyło tylko na jarmarczonym placu, poczynając od Govicum i Niclessa, aby nikt nie mógł mu dać żadnej wiadomości. Bezlitośnie rozgromiono wszystko. Ta sama groźna siła społeczna, ścierając go na proch w Izbie Lordów, zmiażdżyła ich wszystkich w nędznej chacie, jego tam, ich tu, równocześnie. Byli już straceni. I Dea była stracona. Stracona dla niego! Na zawsze! O, potęgi niebieskie! Gdzie ona jest! A jego nie było przy niej, a on jej nie obronił!

Kto snuje przypuszczenia o losie zaginionych, których kocha, ten samego siebie bierze na tortury. Gwynplaine zadał sobie tę mękę. A gdziekolwiek zagłębił się myślą, a cokolwiek uświadomił sobie – odzywał się w nim głuchy ryk rozpacz.

Przeglądając kolejno wstecz wspomnienia, z których każde sprawiało mu ból przejmujący, przypomniał sobie tego człowieka, tę postać złowrobną, która nazywała sama siebie Barkilphedrem. Człowiek ten wpisał mu w mózg coś, coś niewyraźnego z początku, co teraz pojawiało się znowu, a wpisane to zostało atramentem tak straszliwym, że oto zapłonęły ogniem litery i Gwynplaine na dnie myśli swoich odczytywał słowa z płomienia, niegdyś tajemnicze, dziś już jasne: „Przeznaczenie otwiera przed nami jedne drzwi wtedy tylko, kiedy drugie są już zatrzaśnięte.”

Wszystko się skończyło. Legły na nim ostatnie cienie. Każdego człowieka w przeznaczeniu jego spotkać może taki własny koniec świata. Nazywa się to rozpaczą. Dusza pełna jest wtedy spadających gwiazd.

Tak to się działo z Gwynplaine'em!

Dym rozwiął się. Ogarnięty był i przeniknięty cały tym dymem; legł mu on gęstą warstwą na oczach; przedostał się do mózgu. Na zewnątrz był oślepiiony, oszołomiony we wnętrzu swoim. Trwało to tak długo, jak długo trwać potrafi dym, nim się rozwieje. A potem wszystko znikło, rozproszyło się, i dym, i jego życie. Kiedy przebudził się z tego snu – był sam.

Wszystko się rozwiało. Wszystko odeszło. Wszystko zginęło. Noc. Pustka. Był to cały widnokrąg Gwynplaine'a.

Był sam.

Sam. A synonim słowa tego brzmi: umarły.

Rozpacz jest rachmistrzem. Sumuje. Nic nie uchodzi jej uwagi. Rachuje wszystko, każdy grosik. W równej mierze wytyka Bogu i uderzenie gromu, i szpilki ukłucie. Chce dowiedzieć się, czym jest właściwie ludzki los. Rozumuje, waży i liczy.

Pod zewnętrznym pozornym chłodem nieustannie płynie paląca lawa.

Gwynplaine rozpatrywał z uwagą samego siebie i swój los.

Rzut oka wstecz; streszczenie niebezpieczne.

Kiedy człowiek znajdzie się na szczycie góry – w przepaść spogląda. Kiedy zaś spadnie na dno przepaści – patrzy w niebo.

I mówi sobie: „Tam byłem!”

Gwynplaine znajdował się na samym dnie niedoli. Jakże prędko się stało! Potworna bywa szybkość nieszczęścia. Nieszczęście jest ciężkie i wydawać by się mogło, że porusza się po-

woli. Lecz nie jest tak. Wydaje się również, że śnieg ma w sobie odrętwienie zimny, bo jest zimny, i bezruch całunu, bo jest biały. A wszystkiemu temu przeczy lawina!

Lawina – to śnieg, co stał się piecem piekielnym. Jest lodowaty – a pożera. Gwynplaine'a porwała lawina. Porwała go niczym szmatę, wyrwała go z korzeniem na podobieństwo drzewa, niby kamieniem rzuciła nim.

Rozpatrywał szczegółowo historie swojego upadku. Stawiał pytania i dawał odpowiedzi. Ból jest śledztwem. Żaden sędzia nie bywa tak dokładny i staranny jak sumienie przygotowujące swój własny proces.

Ile było w tej rozpaczycy jego własnej winy?

Z tego chciał zdać sobie sprawę i rozczłonkował własną świadomość; bolesna wiwisekcja.

Nieobecność jego spowodowała katastrofę. Czy nieobecność ta zależała od jego woli? Czy w tym wszystkim, co się stało, działał swobodnie? Nie, na pewno nie. Poczł się więźniem. A cłż to uwięził go i zatrzymał? Czy mury twierdzy? Nie! Czy łańcuch? Nie! A więc co? Lep! Ugrzał w wielkości.

I komuż nie zdarzyło się choć raz być pozornie swobodnym, a mieć skrzydła spętane?

Zastawiono na niego pułapkę. Co najpierw kusilo, później uwięził.

Lecz – i o to najgwałtowniej nagabywało go sumienie – czy tylko znośił biernie to, co los mu nastęrczył? – Nie. On to przyjął dobrowolnie.

Zapewne, że w pewnej mierze zaskoczono go, że gwałt mu zadano; lecz on, ze swej strony, też w pewnej mierze na ten gwałt się zgodził. Nie to było jego winą, że się dał porwać, ale to było jego słabością, że się dał oszołomić. Boć przecież była taka chwila, chwila przełomowa, kiedy zostało mu postawione pytanie; ów Barkilphedro właśnie postawił go wobec możliwości wyboru i dał mu sposobność rozstrzygnięcia o swoim losie jednym słowem. Gwynplaine mógł powiedzieć: nie. Powiedział: tak.

I z tego: tak, wymówionego w oszołomieniu, wynikłło wszystko. Gwynplaine zrozumiał; gorzki jest posmak zgody.

Ale – bo sam ze sobą się spierał – czyż było w istocie winą aż tak wielką wejście w posiadanie praw należnych sobie, swego dziedzictwa, swojej ojcowizny, swego domu? Czy to było złe, że on, patrycjusz, wrócił na należne mu po przodkach miejsce, że, sierota, odzyskał imię ojców? Bo co przyjął? To, co mu się należało. A kto mu to oddawał? Opatrzność.

Tu zerwał się w nim bunt przeciwko logice własnego rozumowania. Głupia zgoda! Pięknego dobił targu! Pięknę dokonał zamiany! Jakże niedołążnie układał się z tą opatrznością, jakże wiele przy tym stracił. Na Boga! Za dwa miliony rocznej renty, za siedem czy osiem dóbr lennych, za dziesięć czy dwanaście pałaców, za własne wille miejskie i własne zamki wiejskie, za stu lokai, psiarnie, karety i tarcze herbowe, za urząd prawodawcy i sędzi, za płaszcz purpurowy i koronę, do królewskiej podobną, za tytuł margrabiego i barona, za potęgę para Anglii – oddał wóz Ursusa i uśmiejch Dei! Za ten bezkres ruchomy, wśród którego człowiek rozbija się i tonie – on oddał szczęście! Za ocean oddał perłę! O, bezrozumny! głupi! oszukany!

A jednak – i tu zastrzeżenie odradzało się znowu, na trwalszym gruncie – w tej gorączce wielkiego powodzenia, która schwyciła go, nie wszystko przecież było niezdrowe. Kto wie? – a może w odmowie kryłby się egoizm, a może w wyrażeniu zgody krył się obowiązek? Przeobrażony nagle w lorda – co powinien był uczynić? Powikłanie wydarzenia wywołuje niepewność w umyśle. Tak się też i z nim stało. Obowiązek wydający najsprzecznějšíe rozkazy, obowiązek targający go ze wszystkich stron równocześnie, obowiązek wieloraki, sam ze sobą wewnętrznie skłócony – i cłż dziwnego, że wpał w przestrach wobec tak złożonego obowiązku? I ten przestrach poraził go, obezwładnił na chwilę – na tę chwilę, kiedy to z Corleone-lodge jechał do Izby Lordów, kiedy to nie potrafił się oprzeć. To, co się w życiu zowie wznoszeniem się w górę, jest przejściem z prostego szlaku na szlak niepokojący, trudny. Któł-

ędy wiedzie droga? Względem kogo ma się obowiązki przede wszystkim? Czy wobec bli- skich swoich? Czy też wobec rodzaju ludzkiego? Czyż nie zamieniłeś małej rodziny na wiel- ką? Im wyżej wstępujesz, tym większy ciężar ciąży na twej uczciwości. Im wyżej stoisz, tym bardziej czujesz się zobowiązany. Rozszerzenie prawa zwiększa powinność. W sposób natar- czywy – a może tylko złudny? – nastęcza ci się co chwila kilka dróg równocześnie i wydaje ci się, że na każdą z nich wskazuje drogowskaz sumienia. Którędy pójść? Naprzód? Czy w tył? Zostać? Czy wyjść? Nikt by nie uwierzył, jak wiele rozstajów i zakrętów miewa obowią- zek. Odpowiedzialność jest labiryntem.

Kiedy zaś ideę zawrze w sobie i streści jedna istota ludzka, kiedy jest ona żywym wciele- niem faktu, człowiekiem-symbolem i człowiekiem z krwi i kości zarazem, odpowiedzialność budzi niepokój jeszcze większy. I stąd stroskana powolność i niemy lęk Gwynplaine'a, stąd jego posłuszne podporządkowanie się wezwaniu do zasiadania w parlamencie. Człowiek za- myślony często bywa bierny. Wydało mu się, że taki jest rozkaz obowiązku. Czy wejście do tego miejsca, gdzie można przeciwstawić się uciskowi i walczyć z nim, nie było urzeczywist- nieniem jednego z najgłębszych jego pragnień? Kiedy dano mu głos, jemu, straszliwej próbie stosunków społecznych, jemu, żywemu przykładowi samowoli, pod którą od sześciu tysięcy lat jęczy rodzaj ludzki – czyż odmówić miał prawo? Czy miał prawo uchylić głowy, kiedy język ognisty spadał na nią z góry?

Wśród tamtej ciemnej, szarpiącej rozprawy z własnym sumieniem i cóż to mówił samemu sobie? – Lud jest milczeniem. Stanę się wielkim adwokatem tego milczenia. Przemówię w imieniu niemych. Opowiem wielkim o małych, opowiem potężnym o słabych. Oto jest cel mego losu. Tak chce Bóg i tak trzeba. Zaiste, zadziwiającą jest rzeczą, że flaszka Hardquanona, w której zamknięta była metamorfoza Gwynplaine'a w lorda Clancharlie, pływała przez pięć- naście lat po morzu wśród bałwanów, pian i burz i że nic jej złego nie uczyniła wściekłość rozpasanego żywiołu. Wiem, dlaczego tak się stało. Zdarzają się przeznaczenia-zagadki; mam klucz od mego przeznaczenia i otwieram nim tę zagadkę. Jestem predestynowany, mam speł- nić misję! Będę lordem ubogich. Przemówię w imieniu wszystkich milczących a rozpaczo- nych. Przetłumaczę ich bełkot rozpaczliwy. Przetłumaczę warczenie, wycie, szemranie, szum tłumy, niewyraźne skargi, niezrozumiałe głosy, przetłumaczę te wszystkie krzyki zwierzęce, które ciemnota i cierpienie wydawać każą człowiekowi. Szum ludzki jest bezsłowny jak szum wiatru. Krzyczą. Ale nikt ich nie rozumie. Kto tak krzyczy – ten jakby milczał, a milczenie to wypuszczenie broni z ręki. To wymuszona bezbronność, która wzywa pomocy. Ja im dam tę pomoc. Ja będę oskarżeniem. Ja będę Słowem Ludu. Dzięki mnie – zrozumieją wreszcie. Bę- dę jak usta krwawe, z których knebel zdarto. Powiem wszystko. I wielkie to będzie.

Tak, pięknie jest przemawiać w imieniu niemych; lecz smutno jest przemawiać do głu- chych. Oto. druga część jego przygody.

Niestety! Chybił.

Chybił beznadziejnie, bezpowrotnie.

To wyniesienie, w które uwierzył, to szczęście wysokie, ten pozór zapadł się pod nim, za- walił.

Spadł! W pianę śmiechu.

Sądził, że jest silny, on, który przez lat tyle żeglował, czujny i uważny, po wielkim rozle- wisku cierpienia, on, który z tej ciemności przynosił krzyk rozpaczliwy. I przyszedł, aby rozbić się o potężną skałę – o lekkomyślną beztroską szczęśliwych. Zdawało mu się, że jest mści- cielem, a był kłownem. Zdawało mu się, że gromem poraża, a zaledwie połaskotał. Miast wzruszenia zebrał szyderstwo. Szlochał – i wywołał radość w odpowiedzi. I utonął sam w tej radości. Pochłonęła go, pogrzebała w sobie.

I z czegoż to śmiano się? Z jego śmiechu.

A więc ta przemoc wstrętą, która na zawsze naznaczyła go swym śladem, to okaleczenie, co stało się wieczystą wesołością, ten śmiech-stygmat, obraz mniemanego zadowolenia ucie-

mięzonych narodów, ta maska radości, zrobiona za pomocą tortury, ta otchłań szyderstwa, którą nosił na swej twarzy, ta blizna oznaczająca: *jussu regis*, to świadectwo zbrodni dokonanej na nim przez króla, symbol zbrodni dokonywanej przez władzę tronu na całym ludzie – to właśnie nad nim zatriumfowało, to go właśnie zgmiotło, oskarżenie przeciwko katu obróciło się w wyrok na jego ofiarę. Zadziwiająca odmowa wymierzenia sprawiedliwości! Władza królewska, zwyciężywszy ojca, zwyciężała teraz syna. Krzywda, którą zrobiono mu, stała się powodem i przyczyną dalszej krzywdy. Na kogo oburzyli się lordowie? Na dręczyciela? Nie! Na udręczonego. Tu tron, tam lud; tu Jakub II, tam Gwynplaine. Zaiste, konfrontacja taka pokazywała jasno, jakiego zamachu dokonano, jakiej zbrodni. Co było zamachem? Skarga. Co zbrodnią było? Cierpienie. Niechaj nędza ukrywa się i milczy – bo inaczej stanie się obrazą majestatu. Czy byli oni źli, ci ludzie, co położyli Gwynplaine'a na strasznym ruszcie sarkazmu? Nie, ale nad nimi również zaciężała fatalność; byli szczęśliwi. Byli katami, sami o tym nie wiedząc. Byli zadowoleni. I na cóż im Gwynplaine? Brzuch sobie rozpruwał i pokazywał wnętrzności swoje, i wyrwał sobie serce i wątrobę – a oni krzyczeli mu: Graj dalej swoją komedię! O, bólu straszliwy, i on też śmiał się! Potworny łańcuch skrępował mu duszę i nie pozwalał, by myśli dotarły do twarzy. Zniekształcenie doszło aż do mózgu i kiedy świadomość jego oburzała się – oblicze kłam jej zadawało swym szyderczym śmiechem. Skończyło się! Był Człowiekiem Śmiechu, kariatydą świata płaczu! Był udręką skamieniałą w kształt weselości, dźwigającą na sobie ciężar całego wszechświata niedoli i klęski, zamykał go na wieki mur ironii, szyderstwa i zabawy innych ludzi, mur nie do przebiccia. Dzielił los niešťczęsny wszystkich uciskanych, których był wcieleniem – rozpaczy jego nikt nie brał na serio. Bawiono się jego nędzą; był niesamowitym, monumentalnym błaznem, co wyskoczył ze straszliwego zagęszczenia wszelkiej niedoli, co wymknął się ze swej katongi i awansował na boga, co z samego dna motłochu wznosił się aż do stóp tronu i stanął na wysokości sięgającej gwiazd ku rozweseleniu wybranych, jak niegdyś pojawiał się ku rozweseleniu potępionych. Cała szlachetność jego, entuzjazm, wymowa, serce, dusza, wściekłość, gniew i miłość, i ból nie do wysłowienia – wszystko to jaki wynik dało? Wybuch śmiechu! I zrozumiał oto, że – jak powiedział lordom – nie było to nic wyjątkowego, lecz fakt normalny, zwykły, powszedni, tak niezmiennie towarzyszący codziennym wydarzeniom życia, że nikt go nawet już nie spostrzegał. Głodny śmieje się, żebrak śmieje się, galernik śmieje się, prostytutka śmieje się, sierota, żeby na życie zarobić, śmieje się, niewolnik śmieje się, żołnierz śmieje się, lud śmieje się; społeczeństwo ludzkie tak zostało ukształtowane, że wszelka strata, wszelkie ubóstwo, wszelka katastrofa, wszelkie choroby, wrzody, agonie rozpuszczają się na powierzchni otchłani – w przerażający grymas wesela. On to był właśnie tym powszechnym grymasem. I tylko tym, i aż tym. To prawo niebieskie, siła nieznaną, która sądzi, postanowiła, żeby widmo dostrzegalne i namacalne, widmo z krwi i kości zawarło w sobie monstrualną parodię, która światem się zowie; widmem tym był on.

Nieuleczalne przeznaczenie!

Wołał: – Łaski dla cierpiących! – Na próżno!

Chciał obudzić litość; obudził wstręt i strach. Takiemu bowiem prawu podlegają pojawiające się widma.

Był widmem – a zarazem był człowiekiem. Na tym też właśnie polegało bolesne powikłanie jego istnienia. Z wierzchu, widmo, wewnątrz człowiek. Człowiek, bardziej może człowiek niż wielu innych ludzi, gdyż jego los podwójny był podsumowaniem losu całej ludzkości. I nie tylko nosił w sobie tę ludzkość, lecz odczuwał jej istnienie dookoła, odczuwał żarliwie.

W losie jego tkwiła sprzeczność nie do rozwikłania. Kim był? Wydziedziczonym? Nie, bo był lordem. Kim był? Lordem? Nie, bo był buntownikiem. Przyniósł światło; a zmaćcił tylko radość świętą. Nie był szatanem, nie, był Lucyferem. Pojawił się, złowrogi, z pochodnią w dłoni.

Komu złowrogi? Złowrogim. Dla kogo groźny? Dla groźnych. Więc i odepchnęli go. Miałbyż wejść między nich? Miałbyż zostać przyjęty do ich grona? Nigdy! Przeszkoda, którą nosił na swej twarzy, była olbrzymia, lecz przeszkoda, którą nosił w świadomości swojej, bardziej jeszcze była nie do przezwyciężenia. Słowa jego bardziej potworne wydawały się niż twarz. Ani jedna z myśli jego nie nadawała się do przyjęcia w ten świat możliwych i wielkich, w którym jedno fatum urodzić mu się kazało, z którego drugie fatum wypędziło go. Twarz jego odgradziła od społeczeństwa wymodelowana w ciele maska, ducha jego odgradził od społeczeństwa mur. Kuglarz wędrowny, od dzieciństwa wtopiony w to szerokie środowisko, żywotne i krzepkie, które nosi nazwę masy prostego ludu, przesycił się jej magnetyczną siłą, przepojony był cały ogromnym duchem człowieczeństwa i w poczuciu powszechnej wspólnoty zatracił możliwość zrozumienia panujących klas. Tam, na górze, był nie do przyjęcia. Przybywał cały ociekający wodą ze studni Prawdy. Cuchnął odmętem. Wstrętny był dla tych książąt kłamstwem uperfumowanych. Temu, co żyje urojeniem, prawda śmierdzi. Ten, co pragnie pochlebstw tylko, wymiotuje nieoczekiwanie wypitą rzeczywistością. To, co on przynosił, obrażało ich oczy. Bo i cóż to było? Słuszność, mądrość, sprawiedliwość! Odwrócono się od niego z niesmakiem.

Byli tam i biskupi. Im przynosił Boga. Kim jest ten intruz?

Skrajne bieguny odpychają się. W żaden sposób nie można połączyć ich ze sobą. Przejścia brak. Cóż, stanęły naprzeciw siebie, twarzą w twarz, z jednej strony cała nędza zawarta w jednym człowieku, z drugiej – cała pycha zawarta w jednej kaście. I jaki był wynik? Krzyk wściekłości tylko.

Niepotrzebne jest oskarżenie. Stwierdzenie wystarczy. Gwynplaine, rozmyślając tak nad brzegiem swego przeznaczenia, stwierdził daremność bezmierną swojego wysiłku. Stwierdził, że przez wysokie progi nie przejdzie głos. Uprzywilejowani są głusi na to ucho swoje, przez które mogliby usłyszeć wydziedziczonych. Czy jest to winą uprzywilejowanych? Nie. Jest to prawo, któremu podlegają, niestety! Wybaczcie im. Gdyby się wzruszyli – musieliby wyrzec się swoich przywilejów. Od magnatów i książąt niczego oczekiwać nie należy. Zadowolony jest bezlitosny. Dla sytego nie istnieje głodny. Szczęśliwi nie chcą wiedzieć o niczym, umywają ręce. Na progu: raj, jak na progu piekła, trzeba położyć napis: „Porzućcie wszelką nadzieję.”

Gwynplaine doznał takiego przyjęcia, jakie należy się widmu nawiedzającemu bogów.

Burzyło się w nim wszystko na to wspomnienie. Nie, on nie był widmem, był człowiekiem. Mówił im to, krzyczał: Jestem Człowiek!

Nie był zjawą. Był żywym, pulsującym ciałem. Miał mózg i myślał; miał serce i kochał; miał duszę, a więc miał nadzieję. Miał nazbyt wielką nadzieję i to była cała jego wina.

Niestety! wyolbrzymił nadzieję swą do tego stopnia, że uwierzył w to zjawisko świetne a ciemne, w społeczeństwo. I wrócił do niego, on, co się już znajdował poza nim.

A społeczeństwo, natychmiast i równocześnie, obdarowało go potrójnym podarunkiem: małżeństwem, rodziną i kastą. Małżeństwo? Na jego progu ujrzał nierząd. Rodzina? Brat spoliczkował go i oczekiwał nazajutrz ze szpadą w dłoni. Kasta? Parsknęła mu śmiechem prosto w twarz, jemu – patrycjuszowi, jemu – nędzarzowi. Został odrzucony, zanim jeszcze zdążył zostać przyjętym. I trzy pierwsze kroki jego wśród tych głębokich społecznych mroków były rozwarciem się pod nim trzech przepaści.

A klęska jego rozpoczęła się zdradliwym przeobrażeniem. A katastrofa podeszła doń z twarzą apoteozy. – Wstąp wyżej! – znaczyć miało: – Spadaj!

Był przeciwieństwem Hioba. Nieszczęście przyszło nań poprzez pomyślność.

O, tragiczna zagadka ludzkiego istnienia! Ileż zasadzek kryje się w tobie! Jako dziecko walczył z nocą i zwyciężył noc. Jako mężczyzna walczył z przeznaczeniem i powalił przeznaczenie. Potworny – uczynił się promiennym, nieszczęśliwy – uczynił się szczęśliwym. Z wygnania swego zrobił sobie schronienie. Włóczęga – walczył z przestrzenią i jak ptaki nie-

bieskie znalazł swoją okruszynę chleba. Samotny i dziki – walczył z tłumem i zrobił sobie z tłumem przyjaciela. Atleta – walczył z tym lwem, prostym ludem, i oswoił go. Nędzarcz – walczył z niedolą, zajął w oczy ponurą konieczność życia i połączywszy z nędzą wszelkie radości serca, z ubóstwa uczynił sobie bogactwo. Miał prawo uznać samego siebie za zwycięzcę w walce z życiem. I oto nagle nowe siły wyłoniły się przeciwko niemu z głębi nieznanego, siły nie grożące mu, lecz uśmiechnięte, pieszczotliwe; jemu, przenikniomemu anielską miłością, zjawiała się miłość ziemską, smocza, pochwyciło go ciało, jego, który żył ideałem; usłyszał słowa rozkoszy do wściekłego krzyku podobne; poczuł uścisk ramion kobiecych, co oploty go na podobieństwo węży; po olśnieniu prawdą nastąpiło zafascynowanie przez fałsz; bo to nie ciało jest rzeczywiste, lecz dusza. Ciało jest popiołem, dusza – płomieniem. Miejsce tej gromadki związanej z nim pokrewieństwem biedy i pracy, która była jego prawdziwą rodziną naturalną, zajęła rodzina społeczna, związana z nim węzłami krwi, lecz krwi mieszanej, i nim zdążył wejść do niej – stanął wobec zamierzonego bratobójstwa. Niestety! dopuścił, aby z powrotem wprowadzono go do tej klasy społecznej, o której Brantôme, którego nie czytał, mówi, iż „syn słusznie wyzwąć może na pojedynek ojca”. Los, fortuna ślepa krzyknęła mu: – Nie jesteś z tłumu, jesteś z wybranych! – i rozsunała nad głową jego, niby drzwi jakiejś niebieskiej pułapki, sufit społeczny, i cisnęła nim w ten otwór wysoki, i sprawiła, że pojawił się nagle, nieoczekiwany i nieoswojony, wśród grona książąt i władców.

I oto niespodzianie zobaczył dokoła nie lud, co cieszył się nim, lecz magnatów, co mu złorzeczyli. Posepna metamorfoza! Sromotne wywyższenie! Nagłe rozgrabienie wszystkiego, co było jego szczęściem. Splądrowanie całego jego życia przez szydercze wrzaski! Rozszarpanie Gwynplaine'a, Clancharlie, lorda, kuglarza, jego dawnego losu, jego nowego losu przez dra pieżne dzioby tych orłów!

I na cóż zdało się zaczynać życie zwycięstwem nad przeciwnością? Na cóż zdało się od razu zatriumfować? Niestety! trzeba zostać strąconym, bez tego nie dopełni się przeznaczenie człowieka.

Tak tedy na pół pod przemocą, na pół z dobrej woli – gdyż po wapentake miał do czynienia z Barkilphedrem, a w porwaniu była część jego zgody – porzucił rzeczywistość dla złudny, prawdę dla fałszu, Deę dla Jozjany, miłość dla pychy, wolność dla potęgi, pracę skromną i godną dla bogactwa nakładającego nań jakąś nieokreśloną a dręczącą odpowiedzialność, cień, w którym Bóg mieszkał, dla blasku, wśród którego mieszkają demony, raj dla Olimpu!

Pokosztował złotego owocu. I oto wypluwał popiół.

Rozpaczliwy wynik. Ruina, klęska, rozpadnięcie się w gruzy, bezlitosne przegnanie wszystkich jego nadziei wychłostanych przez drwinę, rozczarowanie niewymierne. I co uczynić teraz? Kiedy spoglądał w jutro, cóż widział! Obnażoną szpadę, której ostrze dotykało jego piersi, a której rękojeść trzymał w dłoni jego brat. Widział jedno tylko – wstrętny błysk tej szpady. Reszta – Jozjana, Izba Lordów – skryła się gdzieś dalej, w potwornym półcieniu, wśród którego poruszało się całe mnóstwo tragicznych postaci.

Ten brat, co mu się pojawił, taki rycerski, taki mężny! Niestety! zaledwie ujrzeć zdążył tego Tom-Jim-Jacka, co bronił Gwynplaine'a, tego lorda Dawida, co bronił lorda Clancharlie, zaledwie zdążył pokochać go, a otrzymał od niego policzek.

Cóż za ciężar!

A teraz nie miał już gdzie pójść. Wszystko dokoła waliło się w gruzy. Zresztą – po co? Całe znużenie ludzkie znajduje się na dnie rozpacz.

Próba dokonała się. Nie można było już rozpocząć jej od nowa.

Gwynplaine był jak gracz, co stawiał po kolei na wszystkie swoje karty i przegrał. Dał się ogrzać straszliwie. Nie zdając sobie jasno sprawy z tego, co czyni, gdyż takie jest działanie subtelnej trucizny złudzenia, przegrał Deę za Jozjanę i otrzymał monstrum. Przegrał Ursusa za rodzinę i otrzymał obelgę. Przegrał swój teatr jarmarczny za miejsce na ławie lordów; miał oklaski uznania, otrzymał przekleństwo. Jego ostatnia karta upadła przed chwilą na zielone



sukno pustej łąki Tarrinzeau. Gwynplaine przegrał wszystko. Teraz musiał płacić. Płać, nieszczęsny, płac!

Rażeni gromem nie bywają zazwyczaj zbyt ruchliwi. Gwynplaine stał nieruchomo. Kto by go dojrzał z daleka wśród tej ciemności, wyprężonego tak przy balustradzie, ten sądziłby, że to głaz.

Piekło, wąż i zaduma owijają się we własne zwoje. Gwynplaine schodził coraz niżej po żalonych spiralach swoich myśli.

Świata temu, który ujrzał był przed niedawną chwilą, przypatrywał się spojrzeniem chłodnym, ostatnim. Małżeństwo, lecz nie miłość; rodzina, lecz nie braterstwo; bogactwo, lecz bez sumienia; piękność, lecz bez cnoty; sprawiedliwość, lecz bez słuszności; porządek, lecz bez równowagi; potęga bezrozumna; władza, lecz bezprawna; blask, który nie świecił. Taki był bilans bezlitosny, nieubłagany. Raz jeszcze ogarnął spojrzeniem tę wizję ostateczną, w której pograżyła się myśl jego. I przypatrywał się po kolei przeznaczeniu, położeniu swemu, społeczeństwu i samemu sobie. Czym było przeznaczenie? Zasadzką. A położenie jego? Rozpaczą. A społeczeństwo? Nienawiścią. A on sam kim był? Tym, co poniósł klęskę. I w głębi duszy swej zawołał: – Społeczność jest macochą! Przyroda jest matką! Społeczność to świat ciała; przyroda to świat duszy. Pierwsze wiedzie do grobu, do skrzynki z sosnowych desek w dół wrzuconej, do stoczenia przez robaki, i tam się kończy. Drugie wiedzie do rozwinięcia skrzydeł, do przemiany w zorzę, do wstąpienia na nieboskłon i tam się znowu rozpoczyna.

Coraz silniejsze ogarniało go obłąkanie. Wciągnął go zgubny wir. To, co się kończy, zapala się ostatnią błyskawicą, ukazującą w blasku swoim całą przeszłość.

Kto sądzi, ten zestawia. Gwynplaine porównywał to, co społeczeństwo dla niego uczyniło, z tym, co uczyniła dla niego przyroda. Jakże przychylną była mu przyroda! Jakże opiekowała się nim ona, która jest duszą! Wszystko mu odebrano, wszystko, nawet i twarz; a dusza zwróciła mu to, co utracił. Wszystko, nawet i twarz; gdyż znalazła się na tym padole niebiańska niewidoma, umyślnie dla niego stworzona, która nie widziała jego brzydoty, a widziała jego piękność.

A on dopuścił do rozłąki! A on odszedł od tej istoty uroczej, od tego serca, od tego przyciągnięcia, od tej czułości, od tego boskiego niewidomego spojrzenia, od jedyne go spojrzenia, które na tej ziemi widziało go takim, jakim naprawdę był. Dea była siostrą jego; bo połączyło go z nią wielkie braterstwo błękitów, spójnia tajemnicza, która całe niebo mieści w sobie. Kiedy był mały, Dea była jego oblubienicą; bo każde dziecko ma oblubienicę i życie zawsze rozpoczyna się małżeństwem dusz, dopełnionym w pełni niewinności przez dwie istoty młodziutkie, dziewicze i nieświadome. Dea była jego małżonką, gdyż uwili sobie wspólne gniazdo na najwyższym konarze Hymenu, drzewa o potężnych korzeniach. Dea była mu czymś więcej jeszcze – jego światłem: bez niej wszystko było nicością i próżnią, jej włosy rozjaśniały ciemność. Co pocnie bez Dei? Co ma uczynić z tym wszystkim, co jeszcze nim było? Bez niej nie żyło w nim nic! I jakże mógł stracić ją z oczu choćby na chwilę? O, nieszczęsny! Dopuścił, by od gwiazdy jego oddzieliła go odległość, a wśród praw przyciągania, nieznanych i niebezpiecznych, odległość w mgnieniu oka staje się przepaścią. Gdzie była ona, gwiazda? Dea! Dea! Dea! Dea! Niestety! utracił swoje światło! Odejmij gwiazdę – i czym stanie się niebo? Tylko czernią. Ale dlaczego to wszystko przeminęło? O, jak ogromnie był szczęśliwy! Bóg odtworzył dla niego raj – odtworzył ten raj za bardzo, niestety, bo wpuścił do tego raj u węża! Lecz tym razem skuszony został mężczyzna. Został wywabiony za wrota, a tam – o, zasadzko straszliwa! – wpadł w chaos czarnego śmiechu, który jest piekłem! Nieszczęście! Nieszczęście! Jakie potworne, jakie straszne było to wszystko, co go zafascynowało! Jozjana – czym ona była? – okropna kobieta, prawie zwierzę, prawie bóstwo! Gwynplaine stanął teraz na przeciwległym zboczu swego wyniesienia i oglądał odwrotną stronę tego, co go olśniło. Posępny był to widok. Władza przejmowała wstrętem, obrzydła była korona, żalobny ten płaszcz purpurowy, pałace okazały się zatrute, trofea, posągi i tarcze herbowe – nieczyste,

niezdrowe i zdradliwe powietrze, którym się tam oddycha, zarażało obłędem. O, jakimż blaskiem jaśniały łańchmany linoskoka Gwynplaine'a! Gdzie się podziało „Zielone Pudło”, bieda, radość, pogodne życie razem z nimi, wędrowne, jaskółcze? Nie rozłączali się nigdy, widzieli się nieustannie, i wieczorem, i z rana, dotykały się przy stole ich ręce i kolana, z tej samej szklanki pili, słońce wpadało przez okienko, ale ono było tylko słońcem, a Dea była miłością. W nocy, uśpieni, czuli siebie blisko i sny Dei kładły się na Gwynplaine'a i sny Gwynplaine'a rozpościerały się tajemniczo ponad Deą. Budząc się uwierzyć mogli, że chyba się całowali w błękitnym obłoku nocnych snów. W Dei mieściła się cała niewinność, w Ursusie mądrość cała. Jeździli od miasteczka do miasteczka; a wszędzie żegnała ich i krzepiała szczerą, życzliwą wesołość prostych ludzi. Byli jak wędrowne anioły, w których dość jest człowieczeństwa, by chodzić mogły po ziemi, a nie dość jeszcze skrzydeł, by ku niebu ulecieć. A teraz znikło wszystko! I gdzie się podziało? Czy to możliwe, żeby tamto życie przepadło już na zawsze? Jaki wiatr cmentarny zdmuchnął je? Wszystko przepadło! Wszystko stracone! Tak, głucha wszechpotęga, ciężąca nad maluczkimi, rozporządza wszelkim mrokiem i zdolna jest do wszystkiego. Co z nimi zrobiono? A jego tam nie było, żeby ich chronić, żeby zastąpić drogę, żeby ich obronić swoim lordowskim tytułem, swoją władzą i swoją szpadą, swymi pięściami i pazurami jarmarcznego kuglarza! I tu pojawiło się gorzkie stwierdzenie, najbardziej chyba ze wszystkich gorzkie: otóż nie, nie mógłby ich obronić! Bo to on właśnie ich zgubił. Gdyż to dla uchronienia od nich jego, lorda Clancharlie, dla zabezpieczenia jego godności przed zeknięciem się z nimi niecna wszechpotęga społeczna położyła na nich swoją rękę. Mógłby ich ocalić wtedy tylko, gdyby znikł, bo z nim razem znikłaby przyczyna ich prześladowania. Gdyby jego nie było – ich pozostawiono by w spokoju. Myśl Gwynplaine'a pochyliła się nad czeluścią, z której wiało chłodem. Ach, i dlaczego dopuścił, by ich rozłączono? Czyż obrona Dei nie była jego pierwszym obowiązkiem? Chciał służyć sprawie ludu i bronić jej? Lecz to Dea przecież była ludem! Dea – sierota, Dea – niewidoma, to Dea właśnie była ludzkością całą! O, cóż z nimi uczyniono? Żał go palił. Nieobecnością swoją dopuścił do katastrofy. Byłby podzielił ich los. Albo zabrałby ich, porwał ze sobą, albowiem razem z nimi zginął. Co teraz pocznie bez nich? Czy Gwynplaine może istnieć bez Dei? Kiedy nie było Dei, nie było świata! Tak, to już koniec. Ukochani ludzie przepadli na zawsze, znikli bezpowrotnie. Wszystko wyczerpało się do dna. I po cóż miałyby walczyć dalej, on, Gwynplaine, skazany i przeklęty? Niczego już nie oczekiwał ani od ludzi, ani od nieba. Dea! Dea! Gdzie jest Dea? Stracona! Jak to stracona? Kto duszę swoją stracił, ten odnaleźć ją może w śmierci jedynie.

Gwynplaine, obłąkany rozpaczą, silniej uchwycił dłońmi krawędź balustrady, jakby tu właśnie znajdował rozwiązanie, i popatrzył na wodę.

Była to już jego trzecia bezsenna noc. Miał gorączkę. Myśli jego, które mu się tak jasne wydawały, były skłócone, mętne. Czuł nieprzewartą potrzebę snu. Stał pochylony nad tą wodą przez chwil kilka; oto mrok rozścielał przed nim wielkie, spokojne łóża, bezkres ciemności. Złowieszczą pokusa!

Zdjął z siebie zwierchni kubrak i położył go na balustradzie. Potem rozpiął kamizelkę. Kiedy miał ją już zdjąć, natrafił dłonią na jakiś przedmiot wsunięty w kieszeń. Była to książeczka, którą wręczył mu *librarian* Izby Lordów. Wyjął ją z kieszeni obejrzał w niepewnym świetle nocy, dostrzegł ołówek, wziął go i napisał na pierwszej białej karcie następujące słowa:

„Odchodzę. Niech brat mój, Dawid, zajmie moje miejsce i niech będzie szczęśliwy.”

I podpisał: „Fermain Clancharlie, par Anglii.”

Potem zdjął kamizelkę i położył ją na kubraku. Zdjął kapelusz i położył go na kamizelce. Do kapelusza włożył książeczkę otwartą na zapisanej przez niego stronicy. Spozstrzegł kamień na ziemi, podniósł go i również włożył do kapelusza.

Dokonawszy tego spojrział w nieskończoną ciemność co zawisła mu nad czołem.

A potem głowa jego zaczęła się opuszczać powoli, jakby jakaś niewidzialna nić ciągnęła ją w dół, w przepaść.

W cokole balustrady znajdował się otwór; wsunął tam stopę dźwignął się wyżej; kolana jego znajdowały się nad krawędzią, dość było niewielkiego kroku, by znaleźć się po przeciwnej stronie balustrady.

Założył ręce w tył i pochylił się.

– Stało się! – rzekł.

I utkwiał spojrzenie w nurtach rzeki.

I w tej chwili poczuł, że jakiś język liże mu dłońe.

Zadrżał i odwrócił się.

Stał za nim Homo.

## ZAKOŃCZENIE MORZE I NOC

### I. I PIES BYWA ANIOŁEM STRÓŻEM

To ty, wilku! – krzyknął Gwynplaine.

Homo poruszył ogonem. Oczy iskrzyły mu się w ciemności. Patrzył na Gwynplaine'a.

I znów zaczął mu lizać ręce. Gwynplaine stał jak pijany. Wstrząsnął nim ogromny powrót nadziei. Homo! Cóż za zjawisko! W ciągu czterdziestu ośmiu godzin pokosztował kolejno wszelkich – rzecz by można – odmian uderzenia gromu; wszelkich prócz jednej – uderzenia gromu radości. I oto spadał na niego wreszcie i taki piorun. Odzyskana pewność, a przynajmniej światełko do niej prowadzące, nagła interwencja jakiejś tajemniczej łaskawości, która – kto wie? – bytuje może gdzieś wśród przeznaczenia, życie, które odzywa się: – Oto jestem – wśród najczarniejszych mroków grobu, uzdrowienie, oswobodzenie, którego kształt pojawia się w chwili, kiedy niczego już nie oczekiwałeś, coś niby punkt oparcia odnaleziony w najkrytyczniejszym momencie osuwania się w dół. – Homo był tym wszystkim. Wilk pojawił się Gwynplaine'owi jakby w aureoli światła.

Tymczasem Homo odwrócił się. Zrobił kilka kroków i obejrzał się jakby chcąc sprawdzić, czy Gwynplaine idzie za nim.

Gwynplaine ruszył w ślad za wilkiem. A Homo, machając ogonem, powędrował przed siebie.

Szedł w dół po pochyłym wybrzeżu Effroc-stone. Pochyłość ta wiodła aż nad sam brzeg Tamizy. Gwynplaine, prowadzony przez Homo, schodził ku rzece.

Co kilka chwil Homo odwracał głowę, by upewnić się, czy Gwynplaine idzie za nim.

W pewnych okolicznościach ostatecznych nic nie bywa bardziej podobne do wszechogarniającego rozumu niż prosty instynkt przywiązanego zwierzęcia. Zwierzę to jasnowidzący lunatyk.

Pies wie, kiedy powinien iść za swoim panem, a kiedy powinien poprowadzić go. Zwierzę obejmuje wówczas kierownictwo rozumu człowieka. Nieomylny węch jasno widzi wśród naszych mroków. Jakaś nieokreślona konieczność popycha zwierzę i każe mu stać się przewodnikiem. Czyżby wiedziało, że przejście jest trudne i że trzeba pomóc człowiekowi w jego przebyciu? Chyba nie; a może i wie? W każdym razie ktoś za nie o tym wie; wspominaliśmy już, że często wspaniałomyślna pomoc, o której mniemamy, iż z dołu przychodzi, naprawdę dana jest nam z góry. Nikt nie wie nawet, w jak wielu postaciach Bóg może się objawiać. Czym jest takie zwierzę? Opatrznością.

Kiedy zeszli na sam brzeg, wilk począł iść wzdłuż Tamizy wąskim skrawkiem ziemi.

Przez cały ten czas nie wydał głosu, nie zaszczekał, szedł w milczeniu. Homo w każdej okazji słuchał instynktu i spełniał swój obowiązek, zawsze jednak z roztropną wstrzemięźliwością pozbawionego praw.

Uszedł tak z pięćdziesiąt kroków i stanął. Po prawej stronie ich drogi znajdował się tutaj pomost. U końca tego pomostu – rodzaju przystani zbudowanej na palach – dostrzec można było ciemny, niewyraźny kształt dość dużego statku. Na pokładzie jego, niedaleko dzioba, migotało niewielkie światełko, podobne do gasnącej lampki nocnej.

Wilk po raz ostatni upewnił się, czy Gwynplaine idzie za nim, i wskoczył na ten długi pomost, zrobiony z desek pociągniętych smołą i przybitych do poprzecznie ułożonych belek, pod którym przepływały wody rzeki. Po chwili Homo i Gwynplaine znaleźli się na końcu tej przystani.

Statek zakotwiczony u pomostu był galiotą holenderską o dwu pokładach, przednim i tylnym, bez nadburcia, w środku zaś, między dwoma pokładami – na modłę japońską – znajdowało się obszerne wgłębienie, odkryte, do którego schodziło się po umocowanej pionowo drabince; tam umieszczano ładunek. Statek miał więc dwa pokłady – jeden przy dziobie, drugi przy rufie – a w środku wgłębienie, jak starofrancuskie rzeczne statki celne. Wgłębienie obciążano ładunkiem. Taki właśnie kształt mają dziecinne okręciki z papieru. Pod pokładami znajdowały się kajuty, do których wchodziło się z części środkowej przez poumieszczone tam drzwi; oświetlały te kajuty wycięte w odyłowaniu okienka. Zapełniając zagłębienie ładunkiem pozostawiano między pakami swobodne przejścia. Dwa maszty umocowane były na dwu pokładach. Maszt dziobowy nazywał się „Pawłem”, maszt rufowy – „Piotrem”, i statek prowadzony był przez te dwa swoje maszty jak kościół przez swoich dwóch apostołów. Oba pokłady łączyła kładka przerzucona nad środkową, wgłębioną częścią i podobna do chińskiego mostku. W niepogodę obie poręczce mostku – klapy drewniane – opuszczano na specjalnych mechanizmach i nad wgłębieniem tworzył się dach. Tak więc na burzliwym morzu statek był szczelnie zamknięty. Barki te, bardzo masywne, miały zwykle sterownicę z belki, gdyż siła steru dostosowana być musi do ciężaru kadłuba. Dość było trzech dorosłych ludzi – szypra i dwóch marynarzy – i jednego dziecka, chłopca okrętowego, by manewrować swobodnie taką potężną morską machiną. Wspominaliśmy już, że obydwa pokłady nie miały nadburcia. Galiota zakotwiczona u pomostu była potężnym, ciężkim, wybrzuszonym kadłubem, na którym białymi literami, dostrzegalnymi wśród nocy, wypisane było: „Vograat, Rotterdam”.

W tej epoce różne wydarzenia na morzu – szczególnie zaś niedawne rozbicie ośmiu okrętów barona de Pointi<sup>11</sup> u przylądka Carnero, co zmusiło całą flotę francuską do cofnięcia się aż po Gibraltar – oczyściły kanał La Manche ze wszystkich okrętów wojennych, szlak z Londynu do Rotterdamu był wolny i statki handlowe mogły swobodnie, bez żadnej eskorty, pływać tam i z powrotem.

Statek zwany „Vograat”, do którego zbliżył się właśnie Gwynplaine, przytykał lewą burtą tylnego pokładu do pomostu na równej z nim prawie wysokości. Wystarczyło zejść w dół, niby po stopniu schodów. Homo i Gwynplaine jednym skokiem znaleźli się na statku. Stanęli na tylnym pokładzie. Pokład był pusty, cichy; na statku znajdowali się zapewne jacyś podróżni, gdyż skończono już ładowanie i galiota miała wkrótce odpłynąć; wskazywały na to paki i skrzynie zapełniające środkową, wgłębioną część. Lecz leżeli już chyba, a może nawet i spali w kajutach pod pokładem, podróż odbywała się bowiem nocą. A wtedy pasażerowie pojawiają się na pokładzie dopiero nazajutrz rano, po przebudzeniu. Załoga zaś, czekając na bliską już chwilę odjazdu, spożywała prawdopodobnie wieczerzę w pomieszczeniu, które nazywano wówczas „kajutą marynarzy”. I stąd pustka na obu pokładach, dziobowym i rufowym, połączonych ze sobą kładką.

Na pomoście wilk biegł prawie; na statku iść zaczął powoli, ostrożnie, jakby cichaczem. Poruszał ogonem, już nie radośnie teraz, lecz jakoś smutnie, słabo, jakby chciał wyrazić swój psi niepokój. Idąc ciągle przodem, przeprowadził Gwynplaine'a przez cały tylny pokład, aż do kładki.

Kiedy wchodzili na kładkę, Gwynplaine zobaczył przed sobą światełko. To samo, które dostrzegł jeszcze z pomostu. U stóp przedniego masztu stała latarnia; w blasku jej z ciemnego tła nocy wydobywał się jakiś czarny kształt na czterech kołach. Gwynplaine poznał starą budę Ursusa.

---

<sup>11</sup> 21 kwietnia 1705 roku.

Biedna stara buda sklecona z drzewa, wózek i chatka zarazem, w której przetoczyło się całe jego dzieciństwo, przywiązana była do podstawy masztu za koła grubymi sznurami. Od dawna już nie pełniła swojej służby i wygląd jej był rozpaczliwy; nie niszczy tak i ludzi, i rzeczy jak beczynność; przedstawiała się jakże mizernie! Przez wyjście z użycia rozklekotała się, rozeschła, jakby paraliżem tknięta, prócz tego zaś powaliła ją nieuleczalna choroba – starość. Koślawa, zbutwiała, drżała, jakby miała się rozpaść za chwilę. Wszystkie materiały, z których ją niegdyś wykonano, były istnym obrazem zniszczenia, żelazo pokryła rdza, skóra popękała, drzewo spróchniało. Szyby okienka na przodzie, przez które przeświecał blask latarni, były potłuczone. Koła wypaczyły się. Ściany, podłoga i osie wyglądały na wycieńczone zmęczeniem, wszystko razem sprawiało wrażenie czegoś bardzo żalosego, wołającego o litość. Oba dyszle, sterczące ku górze, wyglądały jak ramiona wzniesione ku niebu. Buda rozpadała się. Ze spodu jej zwisał łańcuch Homo.

Kto odnajduje swoje życie, swoje szczęście, swoją miłość, ten biegnie ku niej jak szalony i rzuca się w jej objęcia – tak chce natura, tak nakazuje jakieś prawo chyba, rządzące człowiekiem. Lecz bywają też i wyjątki: w chwilach najgłębszego, trwożliwego wzruszenia. Człowiek sterany, udręczony całą serią katastrof, tak bardzo przypominających podstępą zdradę, staje się ostrożny nawet i wobec radości, lęka się, by swego złego fatum nie przynieść tym, których kocha, wydaje mu się, że nosi w sobie jakąś ponurą zarazę, i wchodzi w swoje szczęście uważnie, nieśmiało. Oto otwiera się raj; rozejrzyjmy się jednak, nim tam wejdziemy.

Gwynplaine, chwając się na nogach od nadmiaru wzruszeń, stał i patrzył.

Wilk cicho położył się przy swoim łańcuchu.

## II. BARKILPHEDRO MIERZYŁ W ORLICĘ A TRAFIŁ W GOŁĄBKĘ

Stoپیeń budy był opuszczony; drzwi uchylone na pół; w środku nie było nikogo; w skąym świetle, przedostającym się przez szybkę na przedzie, można było dostrzec jej smutne wnętrze. Na ścianach zbitych z pojedynczych, popróchniałych desek widać było jeszcze napisy Ursusa sławiące wielkość lordów. Tuż koło drzwi, na gwoździu, ujrzał Gwynplaine swój płaszcz i napierśnik skórzany, niby odzienie po zmarłym wiszące w kostnicy.

Nie miał na sobie w tej chwili ani kaftana, ani kamizelki.

Buda zasłaniała sobą coś, co rozłożone było na pokładzie, u stóp masztu, koło latarni. Był to siennik, róg jego wystawał zza wózka. Na sienniku zapewne ktoś leżał. Poruszały się tam jakieś cienie.

Ktoś mówił. Gwynplaine, ukryty za budą, słuchał.

Był to głos Ursusa.

Ten głos, tak szorstki po wierzchu, a tak czuły na dnie swoim, ten głos, który tyle razy zgromił Gwynplaine'a i tak dobrze kierował nim od dzieciństwa – utracił swoje żywe, przenikliwe brzmienie. Był matowy, niepewny, przechodził w westchnienie u końca każdego zdania. Ledwie że był podobny do dawnego głosu Ursusa, pełnego prostej siły. Była to mowa człowieka, którego szczęście już umarło. Głos także może stać się cieniem.

Ursus rozmawiał chyba sam ze sobą przede wszystkim. Zdarzało mu się to często, jak wiemy. Dlatego też właśnie uchodził za dziwaka.

Gwynplaine wstrzymał oddech. Nie chciał utracić ani jednego słowa Ursusa. Oto, co usłyszał:

– Takie statki są bardzo niebezpieczne. Nie ma tu nadburcia. Staczasz się w morze i nic cię po drodze nie zatrzyma. Jeżeli pogoda będzie zła, wypadnie przenieść ją pod pokład, a to byłoby straszne. Jeden niezręczny ruch, chwila lęku – i anawryzm pęka. Nieraz te rzeczy widywałem. O, mój Boże, co się z nami stanie? Śpi? Tak. Śpi. Zdaje mi się, że śpi. A może zemdlą? Nie. Puls ma dobry. Na pewno śpi. Sen – to odroczenie wykonania wyroku. To dobre oślepienie. Co zrobić, żeby nikt tutaj nie łąził, nie stukał. Panowie, jeżeli jest tam kto na pokładzie, proszę was, nie hałasujcie. Nie zbliżajcie się tutaj bez koniecznej potrzeby. Widzicie, istotę o delikatnym zdrowiu trzeba oszczędzać. Ona ma gorączkę. I taka jeszcze młoda. Mała, chora dziewczynka. Położyłem jej tu siennik, na powietrzu, żeby miała czym oddychać. Mówię o tym, bo chciałbym, żebyście mieli jakiś wzgląd na nią. Ze zmęczenia padła na posłanie jak zemdlona. Ale ona tylko śpi. I chciałbym, żeby jej nikt nie obudził. Zwracam się też i do kobiet, jeżeli są tam jakieś *ladies*. Młoda dziewczyna to stworzenie wątłe, słabe. Jesteśmy ubodzy kuglarze, bardzo was proszę o odrobinę dobroci; może zapłacić trzeba za to, żeby nikt nie hałasował? Ja zapłacę. Dziękuję wam, panie i panowie. Czy jest tam kto? Nie. Zdaje mi się, że nikogo nie ma. Mówię niepotrzebnie. Tym lepiej. Panowie, dziękuję wam, jeżeli tam jesteście, dziękuję wam jeszcze goręcej, jeżeli was tam nie ma. – Całe czoło ma w pocie. – Tak, wracajmy tam, skąd wyszliśmy, wkładajmy na powrót szyję w obrozę. Wróciła nędza. Płyniemy z jej prądem. Ręka, ta straszna ręka, której się nie widzi, a której obecność nad sobą czuje się nieustannie, odnalazła nas i zawróciła nagle ku czarnej stronie przeznaczenia. Trudno; znajdzie się odwaga. Byleby tylko ona nie chorowała. Sam do siebie głośno mówię i wyglądam na niespełna rozumu, ale trzeba, żeby wiedziała, że ktoś jest przy niej, kiedy się obudzi. Byleby tylko nic jej nie przebudziło nagle. Na litość boską, żadnych hałasów. Wstrząs, po którym zerwałaby się, zaszkodziłby jej. Chwała Bogu, że jakoś nikt tu nie przychodzi. Zapewne na statku śpią wszyscy. Dzięki składam opatrności za to ustępstwo. No, a Homo!

Gdzie jest Homo! Zapomniałem go uwiązać, w tym całym bałaganie sam nie wiem, co robię, i masz – nie widzę go już przeszło od godziny, poszedł poszukać sobie gdzieś wieczerzy. Żeby mu się tylko nie przytrafiło jakieś nieszczęście! Homo! Homo!

Homo lekko zastukał ogonem o deski pokładu.

– Jesteś! No, jesteś, chwała Bogu! Gdyby i Homo zginął – to by już było zbyt wiele. Poruszyła ręką. Może się obudzi. Cicho, Homo. Zaczyna się odpływ. Zaraz pojedziemy. Zdaje mi się, że tej nocy będzie pogoda. Nie ma wiatru. Chorągiewka zwisa na maszcie, będziemy mieli dobrą podróż. Nie wiem nawet, jaka to teraz odmiana księżycy. Ale chmury nie poruszają się prawie. Nie będzie fali. Będzie pogoda. Błada jest. To z osłabienia. Lecz nie, zarumieniła się. To z gorączki. Nie, nie, jest różowa. Jest zdrowa. Już sam nie wiem, co widzę. A więc trzeba zaczynać życie od początku. Znów zabierzemy się do pracy. Widzisz, zostaliśmy we dwóch tylko. Będziemy na nią pracować, ty i ja. To nasze dziecko. O, statek drgnął. Jedziemy. Żegnaj, Londynie! Dobranoc, dobranoc, do diabła! Przeklęty Londyn!

Statek rzeczywiście drgnął głuchym wstrząsem odjazdu. Burta pokładu odsuwała się od pomostu coraz dalej. W przeciwległym krańcu, na rufie, stał teraz jakiś człowiek, szyper zapewne, który wyszedł przed chwilą z kajuty, ściągnął cumę i począł kierować sterem. Człowiek ten, jak przystało, skoro zrobionym się jest z podwójnej, holenderskiej i marynarskiej, flegmy, uważał tylko na kanał, nie widział i nie słyszał niczego oprócz wody i wiatru i uginając się pod ciężarem sterownicy, cały zmieszany z mrokiem, chodził powoli po tylnym pokładzie, od prawej burty do lewej burty, tam i na powrót, podobny do widma z belką na ramieniu. On jeden tylko wyszedł na pokład. Dopóki znajdowano się na rzece, nie było tu roboty dla reszty marynarzy. Po kilku minutach statek popłynął z prądem. Płynął gładko, bez kołysania. Tamiza była spokojna, odpływ nie zmącił dziś jej wód. Zagarnięty tym odpływem statek oddalał się szybko. Za nim czarna sylwetka Londynu coraz to bardziej nikła we mgle.

Ursus znów się odezwał:

– Dam jej się jednak napić naparstnicy. Boję się maligny. Dłonie ma zwilgotniałe od potu. I cóż to złego uczyniliśmy Panu Bogu? Jak prędko zważyło się na nas to nieszczęście. Potworna bywa szybkość zła. Spada jak kamień, co ma szpony, jak jastrząb na skowronka. Takie jest przeznaczenie. I oto leżysz i konasz tutaj, moje miłe dziecko. Przybywa człowiek do Londynu i mówi sobie: to wielkie miasto, piękne ma gmachy. Southwark – a cóż za wspaniałe przedmieście! No, i osiedla się tam. Teraz dopiero widzę, jak nieprzyjemne są te strony. Czegóż miałbym tam jeszcze szukać? Odjeżdżam i bardzo się z tego cieszę. Mamy dziś trzydziestego kwietnia. Nigdy nie ufałem kwietniowi, kwiecień ma tylko dwa dni szczęśliwe, piąty i dwudziesty siódmy, a cztery dni nieszczęśliwe – dziesiąty, dwudziesty, dwudziesty dziewiąty i trzydziesty. Zostało to ponad wszelką wątpliwość ustalone rachunkami Cardana. Chciałbym, żeby ten dzień minął już wreszcie. Dobrze, żeśmy ruszyli. O świcie będziemy w Gravesend, a jutro wieczorem w Rotterdamie. I rozpocznę od nowa dawne życie w mojej budzie. Będziemy ją ciągnąć razem, prawda, Homo?

Lekkie uderzenie ogonem o pokład przyświadczyło, że wilk zgadza się.

Ursus mówił dalej:

– Gdyby to można było wyjść z cierpienia, jak się wychodzi z miasta! Wtedy, Homo, moglibyśmy jeszcze być szczęśliwi. Niestety! zawsze będzie z nami ten, którego nie ma. Cięń zostaje i kładzie się na tych, co przeżyli. Ty wiesz, Homo, co chcę powiedzieć. Było nas czworo, teraz jest nas tylko troje. Życie to długa, powolna utrata wszystkiego, co się kocha. Człowiek pozostawia za sobą smugę bólu. Los zarzuca nas hojnie przewlekłymi, nieznośnymi cierpieniami. A potem wszyscy się dziwią, że starzy ludzie dziwaczejają. To rozpacz robi z nich safandulów. Tak, mój dzielny Homo, wiatr stale nam sprzyja. Już nie widać kopuły Świętego Pawła. Za chwilę przejeżdżać będziemy koło Greenwich. Zrobiliśmy już ze sześć mil. Ach, odwracam się na zawsze od tych wstrętnych stolic, pełnych księży, urzędników i motłochu. Wolę patrzeć, jak poruszają się liście w lesie. – Czoło ma spotniałe. I nie podobają mi się te



nabrzmiałe, fioletowe żyły na rękach. To z gorączki, która tam w nich siedzi. Wszystko to zabija mnie! Śpij, dziecinko moja! Tak, śpij.

I tu odezwał się głos, głos niewysłowiony, co wydawał się daleki, co – rzekłbyś – przychodził i z wysokości, i z głębi zarazem, głos grobowy a boski, głos Dei.

Wszystko, czego aż do tej chwili doświadczył Gwynplaine, niczym się nagle stało. Przemówił jego anioł. Wydało mu się, że słyszy słowa wymawiane gdzieś poza życiem, w jakimś niebiańskim omdleniu.

Głos mówił:

– Miał słuszność; że odszedł. Ten świat nie jest taki, jakiego jemu trzeba. A teraz ja muszę pójść za nim. Nie jestem chora, ojcze. Słyszałam, co mówiłeś przed chwilą, jestem zdrowa, dobrze się czuję, spałam. Ojcze, wkrótce już będę szczęśliwa.

– Moje dziecko – zapytał Ursus z akcentem rozpaczony – co ty przez to rozumiesz?

A ona odrzekła:

– Ojcze, nie martw się mną.

Umilkła na chwilę, jakby dla zaczerpnięcia oddechu, po czym takie oto słowa, wymawiane powoli, doszły aż do uszu Gwynplaine'a:

– Nie ma już Gwynplaine'a. Dopiero teraz jestem ślepa. Nie wiedziałam, co to mrok. Mrok to nieobecność.

Znów zatrzymała się i znów się odezwała:

– Zawsze obawiałam się, żeby nie odleciał, czułam, że on należy do nieba. I nagle odfrunął. Tak się musiało skończyć. Dusza odlatuje jak ptak. Lecz gniazdo duszy znajduje się w głębinach, w których ukryty jest ogromny magnes, co przyciąga wszystko; wiem, gdzie mam odszukać Gwynplaine'a. Wiem, którądy iść mi trzeba. To tam, ojcze. A później i ty przyjdiesz do nas. I Homo także.

Homo słysząc, że o nim mowa, znów uderzył lekko ogonem o pokład.

– Ojcze – głos odezwał się znowu – rozumiesz przecie, że odkąd nie ma Gwynplaine'a, wszystko skończyło się. Gdybym nawet chciała zostać – nie mogłabym, bo człowiek musi oddychać. Nie trzeba żądać tego, co jest niemożliwe. Byłam z Gwynplaine'em i żyłam, to bardzo proste. Teraz nie ma Gwynplaine'a, więc umieram. To przecież jedno i to samo. Albo on wróci, albo ja muszę odejść. A ponieważ on nie może wrócić – odchodzę. Tak dobrze jest umierać. I wcale nie trudno. Ojcze, to, co tutaj gaśnie, gdzie indziej zapala się. Życie na tej ziemi jest jak jeden skurcz serca. Nie można przecież być zawsze nieszczęśliwym. Więc pójdziemy sobie między gwiazdy – jak wy mówicie – i tam się pobierzemy, i nie rozstaniemy się już nigdy, i będziemy się kochać, kochać, kochać – i to wszystko właśnie jest Bogiem.

– No, no, nie mów tyle, nie męcz się – rzekł Ursus.

Głos mówił dalej:

– O, w zeszłym roku, na przykład, w zeszłym roku na wiosnę byliśmy razem, byliśmy szczęśliwi, a teraz jest tak bardzo inaczej. Już nawet nie pamiętam, w jakim byliśmy wtedy miasteczku, drzewa tam rosły, słuchałam, jak śpiewają ptaki. Przyjechaliśmy do Londynu i wszystko się zmieniło. Ja ci, ojcze, nie robię wyrzutów. Człowiek jedzie gdzieś i skąd ma wiedzieć, jak mu tam będzie. Pamiętasz, ojcze, jednego wieczora przyszła do łóżki jakaś kobieta, powiedziałaś, że to księżniczka, było mi potem smutno. Sądzę, że lepiej było zostać w miasteczkach, we wsiach. No tak, ale Gwynplaine dobrze uczynił. Teraz na mnie kolej. Przecież ty sam opowiedziałaś mi, że byłam taka mała, że moja matka umarła, że leżałam na ziemi wśród nocy, pod śniegiem, który padał i zasypywał mnie, i że on, też mały jeszcze i też zupełnie sam, podniósł mnie, i że dzięki temu właśnie żyję; więc nie możesz się dziwić, ojcze, że ja muszę odejść dzisiaj, że chcę zajrzeć do mogiły i zobaczyć, czy jest tam Gwynplaine. Bo w tym życiu jedno serce istnieje, a później już tylko dusza. Rozumiesz to wszystko, co mówię, prawda, ojcze? Co to się rusza? Wydaje mi się, że jesteśmy w ruchomym domu. A przecież nie słyszę turkotu kół.

Po krótkiej przerwie głos odezwał się znowu:

– Nie bardzo potrafię odróżnić wczorajszy dzień od dzisiejszego. Ja się nie skarżę. Nie wiem, co się stało, ale stało się na pewno niejedno.

Słowa te wyrzeczone zostały z głęboką, rozpaczliwą słodyczą. Potem w cichym westchnieniu, które usłyszał Gwynplaine, głos dorzucił jeszcze:

– Muszę odejść, chyba że on powróci.

Ursus mruknął ponuro:

– Nie wierzę w duchy.

I odezwał się głośniejsze:

– To barka. Pytałaś, dlaczego dom się rusza; bo jesteśmy na barce. Uspokój się. Nie trzeba tyle mówić. Moja córko, jeżeli masz dla mnie choć odrobinę serca, nie podniecaj się, bo dostaniesz silniejszej gorączki. Stary już jestem, nie przeżyję twojej choroby. Oszczędź mnie, bądź zdrowa.

Głos znów odezwał się:

– Po co szukać na ziemi, kiedy można znaleźć tylko w niebie.

Ursus próbując nadać słowom swoim pozór stanowczości, odpowiedział:

– Cicho bądź wreszcie. Chwilami zupełnie już rozum tracisz. Masz, leżeć i nie ruszać się, ja ci to przykazuję. Cóż, ty nie musisz wiedzieć, co to znaczy – wklęśnięcie żyły sercowej. Moje dziecko, pomyśl trochę i o mnie. On cię podniósł, ale ja cię przygarnąłem. Sama pogarszasz swój stan. To bardzo źle. Trzeba uspokoić się i zasnąć. Wyzdrowiejesz... Przysięgam ci na mój honor, że wyzdrowiejesz. I pogodę mamy bardzo piękną. Jakby umyślnie dla nas stworzono tę noc. Jutro będziemy w Rotterdamie, w takim mieście, w Holandii, u ujścia Mozy.

– Ojciec – odezwał się głos – kiedy się od dzieciństwa było razem, stale razem – to trzeba, żeby tak było zawsze, bo inaczej trzeba umierać, nie ma sposobu, nie ma rady, trzeba. Bardzo, bardzo cię kocham, a przecież czuję, że nie całkiem już jestem z tobą, choć i z nim też jeszcze nie jestem.

– Dobrze, dobrze – mówił Ursus – postaraj się zasnąć.

A głos odrzekł:

– Usnę jeszcze, na długo, na długo.

Ursus przerwał jej niepewnie:

– Mówię ci przecież, że jedziemy do Holandii, do miasta Rotterdamu.

– Ojciec – odezwała się znowu – nie jestem chora; jeżeli cię to martwi, to uspokój się, nie mam gorączki, jest mi tylko bardzo ciepło, nic więcej.

– U ujścia rzeki Mozy – wyjąkał Ursus.

– Ja jestem zdrowa, ojciec, ale widzisz, czuję, że umieram.

– I jak ci nie wstyd mówić coś podobnego – rzekł Ursus.

I dorzucił ciszej:

– Mój Boże, byleby tylko nie wzruszyła się.

Zapadło milczenie.

Nagle Ursus krzyknął:

– Co ty robisz? Czemu się podnosisz? Błagam cię, leż!

Gwynplaine zadrżał i wysunął się zza budy.

### III. RAJ ODNALEZIONY NA ZIEMI

Zobaczył Deę. Podniosła się na swym posłaniu. Nosila długą suknię, białą, zapiętą starannie pod samą szyję. Rękawy zakrywały ramiona, pod fałdami spódnicy nie widać było stóp. Na dłoniach jej wystąpiła błękitna siatka żyłek nabrzmiąłych z gorączki. Drżała i chwiała się niczym trzcina. Oświetlała ją stojąca na pokładzie latarnia. Jakże niewysłowienie piękna była jej twarz. Rozplecione włosy spływały na ramiona. Na policzkach jej nie było ani jednej łzy. A w źrenicach – ogień jakiś i noc. Była blada bladością przypominającą przejrzystość boskiego już życia, co kładzie się na ziemskiej jeszcze twarzy. Jej członki, śliczne i wątłe, jakby stopniały wśród fałdów sukni. Stała tak, cała chwiejna, podobna do płomyka. A zarazem wiedziało się, że zaczyna już stawać się cieniem. Oczy jej, otwarte szeroko, pały blaskiem. Wydawała się i zjawą grobową, i duszą rozświetloną jutrenką.

Ursus, tyłem odwrócony do Gwynplaine'a, z przestraczem wyciągnął ręce.

– Moje dziecko, ach, mój Boże, przyszła na nią maligna, maligna, tego obawiałem się! Najmniejsze wzruszenie, najłżejszy wstrząs może ją zabić, a zarazem tylko wstrząs może ją uratować od obłędu! Śmierć albo obłęd! Cóż za położenie! Co robić! o, mój Boże! Połóż się, moje dziecko.

A Dea mówiła tymczasem. Głos jej był niewyraźny, niedosłyszalny już prawie, jakby jakaś mgła niebieska legła pomiędzy nią i ziemią.

– Mylisz się, ojcze, ja jestem przytomna, całkiem przytomna. Słyszę i rozumiem wszystko, co do mnie mówisz. Mówisz, że już dużo ludzi zeszło się, że czekają, że trzeba, żebym dziś wieczór też grała, i ja chcę grać, widzisz, że rozumiem wszystko, ale nie wiem, jak to zrobić, bo przecież umarłam i Gwynplaine też umarł. Ja pójdę, trudno. Będę grać. Już idę. Ale Gwynplaine'a nie ma.

– Dzieciatko moje – powtarzał Ursus – uspokój się, posłuchaj mnie, połóż się.

– Nie ma go, nie ma go, o, jak ciemno.

– Ciemno – wyjąkał Ursus – po raz pierwszy w życiu wymówiła to słowo.

Gwynplaine bezszelestnie, zwinnie wszedł po schodkach do budy, zdjął z gwoździa swój płaszcz i napierśnik skórzany, przyodział się w nie i z powrotem zszedł na pokład. Odbyło się to wszystko za osłoną, którą tworzył wózek, olinowanie i maszt.

Dea ciągle szeptała coś, poruszała wargami, a szept ten stawał się zwolna melodią. I oto głosem drżącym od gorączki i rwącym się co chwila, nucić zaczęła tajemnicze wołanie, którym tyle razy przyzywała Gwynplaine'a w *Chaosie zwyciężonym*. Śpiewała, a śpiew ten był wątki, słaby jak brzęczenie pszczoły:

*Noche, quita te de alli  
La alba canta...*<sup>12</sup>

Przerwała swój śpiew.

– Nie, to nieprawda, ja nie umarłam. Co ja przedtem mówiłam... Żyję, niestety. Ja żyję, a on umarł. Ja jestem na ziemi, a on w niebie. On odszedł, a ja zostałam. I nigdy już nie usłyszę, jak chodzi, jak mówi. Bóg dał nam odrobinę raj na ziemi. Bóg zabrał nam ten raj. Gwynplaine'ie! Wszystko skończyło się. Już nigdy nie będę czuła go przy sobie. Nigdy. Jego głos! Już nigdy nie usłyszę jego głosu.

I znów zanuciła:

---

<sup>12</sup> Idź precz, nocy,  
Śpiewa jutrenka.

*Es menester a cielos ir...*  
*...Dexa, quiero*  
*A tu negro*  
*Caparazon*<sup>13</sup>.

Wyciągnęła rękę, jakby szukała wśród nieskończoności czegoś, na czym by złożyć i oprzeć ją mogła.

Gwynplaine, pojawiając się nagle Ursusowi, który skamieniał ze zdumienia, ukląkł u jej stóp.

– Nigdy! – rzekła Dea. – Już nigdy go nie usłyszę.

I znów zanuciła w obłąkaniu:

*Dexa, quiero,*  
*A tu negro*  
*Caparazon.*

I usłyszała głos, głos ukochany, który odpowiadał jej:

*O ven, ama,*  
*Eres alma,*  
*Soy corazon*<sup>14</sup>.

I równocześnie uczuła pod dłonią głowę Gwynplaine'a. Z piersi jej wydarł się krzyk nie do wysłowienia:

– Gwynplaine!

Na jej bladej twarzyczce pojawiła się jasność promienna; zachwiała się.

Gwynplaine porwał ją w ramiona.

– Żyje! – krzyknął Ursus.

Dea powtórzyła: – Gwynplaine.

I przytuliła twarz do jego policzka.

– Zstąpiłeś z nieba! Dziękuję ci – szeptała cichutko. Siedziała na kolanach Gwynplaine'a, wtulona w jego ramiona. Podniosła głowę, obróciła ku niemu swoją słodką twarz i utkwiała w oczach jego swoje oczy pełne mroku i promieni, jakby na niego patrzyła.

– To ty! – powtarzała.

Gwynplaine pokrył suknię jej pocałunkami. Zdarzają się słowa, które są zarazem i krzykiem, i łkaniem. Całe uniesienie i cały ból roztapiają się w nich i przelewają się bezładnie. Nie mają sensu, a wyrażają wszystko.

– Tak, ja, to ja, ja, Gwynplaine! Ten, którego jesteś duszą, słyszysz? Ja, któremu ty jesteś dzieckiem, żoną, gwiazdą, oddechem, któremu ty jesteś wiecznością całą! To ja jestem tutaj, trzymam cię w ramionach. Żyję. Jestem twój. Ach, gdy pomyślę sobie, że już miałem skończyć ze wszystkim! Jedna chwila tylko! Gdyby nie Homo! Opowiem ci później. Jakże radość bliska jest rozpaczy! Żyjmy! Deo, Deo, przebacz mi! Tak, twój na zawsze! To prawda, dotknij mego czoła! Przekonaj się, że to ja. Gdybyś ty wiedziała! Nic już nas nie może rozłączyć. Wychodzę z piekła i wracam do raju. Mówisz, że zstąpiłem z nieba, nie, ja dostałem się do nieba. Oto znów jestem z tobą. Na zawsze – wiedz to! Razem! Jesteśmy razem! I któż by mógł przypuścić! Odnajdujemy się znowu. Wszystko zło skończyło się. Czeka nas już tylko zachwycenie. Rozpocniemy od nowa nasze szczęśliwe życie i drzwi zamkniemy tak starannie, że zły los nie będzie już mógł wejść do nas więcej. Wszystko ci opowiem. Zdziwisz się.

---

<sup>13</sup> Trzeba iść do nieba

... Zrzucić, proszę,  
Twoją czarną  
Skorupę.

<sup>14</sup> Pójdź, kochaj,  
Tyś jest duszą,  
Jam jest sercem.

Statek ruszył. Nikt go zatrzymać nie zdoła. Jesteśmy w drodze, jesteśmy wolni. Jedziemy do Holandii i pobierzemy się, nie potrzebuję martwić się o pieniądze na życie i któż nam może przeszkodzić? Niczego już obawiać się nie musimy. Ubóstwiam cię.

– Nie tak prędko! – bąknął Ursus.

Dea drżała i oprowadzała rękę po twarzy Gwynplaine'a, i dotykała jej lekkim, niezmiernym muśnięciem. Usłyszała, jak sama do siebie szepcze:

– Taki sam jest Bóg na pewno.

Z kolei dotknęła odzienia jego:

– Napierśnik skórzany – rzekła, – I płaszcz. Nic się nie zmieniło. Wszystko jest tak jak dawniej.

Ursus, oszołomiony zdumieniem i szczęściem, śmiał się i płakał równocześnie, i patrzył na nich, i mówił sam do siebie:

– Nic nie rozumiem. Jestem starym głupcem. Widziałem przecie, jak go w ziemię kładli. Śmieję się i płaczę. I nic już nie wiem. Zdurniałem, jakbym i ja był zakochany. Bo i jestem. Kocham się w nich obojgu. No, dość już, stary błaznie! Dość wzruszeń! Dość wzruszeń! Tego się właśnie obawiałem. Nie, tego właśnie pragnąłem, oszczędzaj jej, Gwynplaine'ie. A zresztą, niech się całują. Co mnie to obchodzi. Ja jestem tylko świadkiem wydarzenia. Dziwnie się czuję. Jestem pasożytem ich szczęścia, a biorę w nim udział. W niczym się do niego nie przyczyniłem, a jednak zdaje mi się, że coś powinienem tu zrobić. Błogosławię was, moje dzieci.

A kiedy Ursus pomrukiwał sobie, Gwynplaine wołał:

– Jesteś nazbyt piękna, Deo! Sam nie wiem, gdzie się podziewał przez te dni mój rozum. Tylko ty jedna jesteś na ziemi. Znów cię widzę, a jeszcze w to nie wierzę. Tu, na tej barce! Powiedz, co się stało? Co oni zrobili z wami? Gdzie jest „Zielone Pudło”? Ograbili was i wygnali. To niktzemne. Ale ja was pomszczę, ja pomszczę ciebie, Deo, ze mną będą mieli do czynienia. Jestem parem Anglii.

Ursus cofnął się, jakby meteor jakiś w pierś go uderzył, i spojrzał z natężoną uwagą na Gwynplaine'a.

– Nie umarł, to pewne, ale czyżby zwariował?

I nieufnie przysłuchiwać się zaczął temu, co mówił Gwynplaine.

A on ciągnął dalej:

– Bądź spokojna, Deo. Zaniosę skargę do Izby Lordów.

Ursus znów spojrzał na niego i palcem puknął się w czoło.

Lecz szybko pogodził się z losem.

– Wszystko mi jedno – mruknął. – Jakoś tam będzie. Chcesz – to miej sobie bzika, mój Gwynplaine'ie. Człowiek ma prawo do tego. Ja jestem szczęśliwy. Ale co to wszystko znaczy?

Statek wciąż płynął gładko i prędko, noc stawała się coraz bardziej ciemna, mgły nadciągające od strony oceanu zasnuły zenit, a nie rozpędzał ich żaden wiatr, w górze widać było jeszcze kilka większych gwiazd, lecz i one znikły kolejno, aż znikły wszystkie i całe niebo stało się czarne, nieskończone, łagodne. Rzeka coraz bardziej rozszerzała się, obydwaj jej brzegi, i lewy i prawy, podobne były już tylko do dwu brunatnych kresiek, nieomal wtopionych w ciemność nocy. Jakiś ogromny, głęboki spokój szedł od tego mroku. Gwynplaine siedział przy maszcie tuląc do piersi Deę. Mówili do siebie, szeptali, z ust ich wyrzywały się okrzyki i westchnienia. I jakże tu odmalować cię, o radości?

– Życie moje!

– Niebo moje!

– Miłości moja!

– Moje całe szczęście!

– Gwynplaine!

– Dea! Zmysły tracę! Daj, niech ucałuję twoje stopy!

- To ty!
- Tak wiele maro ci do powiedzenia. Zbyt wiele. Nie wiem sam, od czego zacząć!
- Pocałuj!
- Żono moja!
- Nie mów, że ja jestem piękna, Gwynplaine'ie. To ty jesteś piękny.
- Odnalazłem cię i mam cię, tu na sercu. Tak! Jesteś moja! To nie sen. To ty. Czy możliwe? Tak. Wracam do życia. Gdybyś ty wiedziała, co mi się przydarzyło, ile przygód. Dea!
- Gwynplaine!
- Kocham cię!

A Ursus pomrukiwał.

– Czuję radość dziadka, jakbym patrzył na własne wnuczęta. Homo wyszedł także spod budy i chodził między nimi pokornie, cicho, nie wymagając zgoła niczyjej uwagi, i lizał językiem swym to grube buty Ursusa, to płaszcz Gwynplaine'a, to suknię Dei, to siennik. Błogosławił swoim sposobem ich szczęściu.

Statek przepłynął już koło Chatham koło ujścia rzeki Medway. Zbliżano się do morza. Pogodny spokój ciemnych przestworzy był tak ogromny, że statek płynął z biegiem Tamizy bez jakichkolwiek trudności i powikłań; żaden z marynarzy nie wyszedł na pokład, nie było potrzeby. W drugim końcu statku szyper, samotny, sterował. On jeden tylko stał na rufie; a na dziobie latarnia oświetlała szczęście tych kilku istot, które na samym dnie rozpaczy, co nagle radością się stała, połączyły się oto ze sobą nieoczekiwanie.

## IV. NIE NA ZIEMI, LECZ W NIEBIE

Nagle Dea wyrwała się z objęć Gwynplaine'a, stanęła. Obie dłonie przyłożyła do serca, jakby chciała zatrzymać je w piersi.

– Co mi jest? – rzekła. – Co mi jest? Radość dech zapiera, dusi. Ale to nic. Już dobrze. Kiedyś się tak nagle pojawił, Gwynplaine'ie, zadałeś mi cios. Cios szczęścia. Całe niebo weszło mi do serca, jakieś odurzenie, takie wielkie. Kiedy ciebie nie było, czułam, że powoli uchodzi ze mnie życie. A tyś mi je oddał. Coś się we mnie jakby rozdarło, rozdarły się ciemności i poczułam przypływ życia, płomiennego życia, gorącego, rozkosznego. Jakże niezwykle jest to życie, które ty mi dałeś. Tak niebiańskie, że trochę boli. Jakby dusza powiększała się, powiększała i mieściła się w ciele z coraz większym trudem. To życie serafinów, ta pełnia napływa mi aż do głowy i przenika mnie całą. A w piersi jakby trzepotały skrzydła. Dziwnie mi, ale tak dobrze, tak szczęśliwie. Wskrzесиłeś mnie, Gwynplaine'ie.

Zaróżowiła się, zbladła, znów się zaróżowiła i upadła.

– Niestety! – rzekł Ursus – zabiłeś ją.

Gwynplaine wyciągnął ku niej rękę. Najwyższa rozpacz pojawiająca się wśród najwyższej ekstazy – wstrząs to nie lada. Sam upadłby, gdyby nie musiał jej podtrzymać.

– Deo! – zawołał drżąc cały. – Co ci jest?

– Nic – odrzekła. – Kocham cię.

Leżała w ramionach Gwynplaine'a Jak podniesiona z ziemi chusta. Ręce jej zwisły bezwładnie.

Gwynplaine i Ursus ułożyli Deę na sienniku. Odezwała się cichutko:

– Nie mogę oddychać leżąc.

Posadzili ją.

Ursus rzekł:

– Trzeba poduszki.

A ona odpowiedziała:

– Po co? Przecież jest Gwynplaine.

I oparła głowę o jego ramię, a on usiadł za nią i podtrzymywał ją, a spojrzenie miał błędne z rozpaczy.

– O! – powiedziała – jak dobrze!

Ursus schwycił ją za rękę i liczył puls. Nie poruszył głową, nie wyrzekł ani słowa, a to, co myślał, odgadnąć można było tylko po ruchu powiek, które trzepotały szybko, konwulsyjnie, jakby usiłowały powstrzymać cały potok łez.

– Co jej jest? – zapytał Gwynplaine.

Ursus przyłożył ucho do lewego boku Dei.

Gwynplaine jeszcze natarczywiej powtórzył swe pytanie. Przeraził go brak odpowiedzi.

Ursus podniósł głowę, popatrzył na Gwynplaine'a, na Deę. Był błady. Rzekł:

– Jesteśmy już chyba na wysokości Canterbury. A stąd niedaleko już do Gravesend. Przez całą noc pogoda będzie piękna. Nie trzeba obawiać się napaści na morzu, gdyż okręty wojenne znajdują się u wybrzeży Hiszpanii. Będziemy mieli dobrą podróż.

A Deę opuszczały siły. Coraz bardziej bladła, a w palcach miała konwulsyjnie materię swej sukni. Westchnęła jakby w zamyśleniu i odezwała się:

– Już rozumiem teraz. Umieram.

Gwynplaine zerwał się. Był przerażający. Ursus podtrzymał Deę.

– Umierasz! Umierasz! Nie, nie umrzesz! Nie możesz umrzeć! Miałabyś umrzeć teraz, natychmiast? Nie, to niemożliwe! Bóg nie jest tak okrutny! Tej samej nocy oddać mi ciebie i

zabrać znowu! Nie. To się nie zdarza. Chyba że sam Bóg chce, aby zważyć w niego. Chyba że wszystko jest zasadzką, ziemia, niebo, dziecinna kołyska, mleko matki, serce ludzkie, miłość, gwiazdy. Chyba że Bóg jest zdrajcą, że człowiek jest tylko oszukany! Chyba że nic nie ma, że przekląć trzeba wszechświat cały! że wszystko jest przepaścią tylko! Sama nie wiesz, co mówisz, Deo! Będziesz żyła! Żądam, żebyś żyła. Musisz słuchać mnie. Jestem twoim mężem i panem. Zabraniam ci porzucić mnie. O nieba! O nędzni ludzie! Nie, to niemożliwe! I ja miałbym zostać bez ciebie na tej ziemi! To nazbyt straszne, zagasłoby wtedy słońce. Deo, Deo, ocknij się! To nic, to tylko chwila bólu, to minię. Człowiek miewa takie dreszcze i po sekundzie nawet już o nich nie wspomni. Musisz być zdrowa i silna, musisz, ja potrzebuję tego! Chcesz umierać! Co ja ci złego uczyniłem? Obłąd czuję na samą myśl o tym. Jesteśmy połączeni ze sobą, należymy do siebie, kochamy się. Po cóż miałabyś odchodzić? To by było niesprawiedliwe! Czy popełniłem zbrodnię? Przecież przebaczyłaś mi. Nie chcesz przecie, żebym stał się z rozpaczy zbrodniarzem, szaleńcem, potępieńcem! Deo, proszę cię, błagam, na kolanach zaklinam, nie umieraj!

I chwyciwszy się za włosy, półżywy z trwogi, dławiąc się łzami rzucił się do jej stóp.

– Mój Gwynplaine'ie – rzekła Dea – to nie moja wina.

Odrobina różowej piany wystąpiła na jej usta. Ursus otarł je krajem sukni. Gwynplaine leżał na ziemi i nawet nie spostrzegł tego. Obejmował stopy Dei i błagał ją, zaklinał szalonymi słowami:

– Mówię ci, że nie chcę. Ty miałabyś umrzeć! Nie mam na to siły! Umierać, tak, ale razem. Nie inaczej. Nie umrzesz, Deo! Ja się na to nie zgodzę za nic. Bóstwo moje! Miłości moja! Zrozum wreszcie, że jestem z tobą! Przysięgam ci, że będziesz żyła! Umrzeć! Nie obrażasz sobie chyba, co by się ze mną stało po twojej śmierci. Gdybyś wiedziała, jak bardzo potrzebuję ciebie, jak bardzo nie mogę cię stracić – zrozumiałabyś, że to jest najzupełniej niemożliwe! Bo widzisz, Deo, nikogo nie mam prócz ciebie. Działy się ze mną rzeczy niezwykłe. Nie domyślasz się nawet, a ja w kilka godzin przeżyłem całe jedno życie. I poznałem, że nic nie ma. Że tylko ty istniejesz. Jeżeli ciebie nie stanie – świat straci swój sens. Zostań! Ulituj się nade mną! Jeżeli kochasz mnie, żyj! Odnalazłem cię po to, żeby na zawsze pozostać z tobą. Zaczekaj! Jesteśmy razem od kilku chwil dopiero, nie możesz przecież tak odchodzić. Zaczekaj! Boże mój, jak cierpię! Nie gniewasz się na mnie, prawda? Rozumiesz, że nie mogłem uczynić inaczej, bo przecież przyszedł po mnie wapentake. Zobaczysz, już za chwilę będzie ci lżej oddychać. Wszystko będzie dobrze, Deo! Będziemy szczęśliwi! Nie doprowadzaj mnie do rozpaczy! Deo, przecież nie uczyniłem ci nic złego.

Nie słowa to już były, lecz łkanie. Zmieszała się w nich i rozpacz, i bunt. Z piersi Gwynplaine'a dobył się jęk zdolny wzruszyć gołębicę i ryk, przed którym lew cofnąłby się w przestraszu.

A Dea, głosem coraz to słabszym, przerywając po każdym słowie, odpowiedziała mu:

– Niestety! Wszystko na próżno! Ukochany mój, wiem, że nic już więcej dla mnie nie możesz uczynić! Przed godziną chciałam umierać, teraz już nie chcę. Gwynplaine'ie, mój najmilszy Gwynplaine'ie, jak bardzo byliśmy szczęśliwi! Bóg wprowadził cię w moje życie i on mnie z twego życia zabiera. Odchodzę. Będziesz zawsze pamiętał o „Zielonym Pudle”, prawda? I o twojej biednej, niewidomej Dei? Nie zapomnij mojej piosenki! Nie zapomnij dźwięku mego głosu i sposobu, w jaki mówiłam ci: kocham cię. Nieraz jeszcze przyjdę, by ci to powtórzyć nocą, kiedy będziesz spał. Odnaleźliśmy się i radość była nazbyt wielka. Nie mogła trwać długo. Ja pierwsza odchodzę, nie ma rady. Tak bardzo kocham Ursusa, mego ojca, i Homo, naszego brata. Jesteście dobrzy. Brak mi tu powietrza. Otwórzcie okno. Gwynplaine'ie, nigdy ci o tym nie mówiłam, ale razu pewnego, kiedy przyszła jakaś kobieta, ja byłam zazdrosna. Nie wiesz już nawet, o kim mówię. Prawda? Okryj mnie! Trochę mi zimno. A Fibi? A Vinos? Gdzie one są? Człowiek w końcu wszystkich kocha. Przywiązuje się do tych, co oglądali jego szczęście. Jest im wdzięczny, że byli wtedy, kiedy jemu było dobrze. Dla-



czego wszystko przeminęło? Nie rozumiem, co się dzieje od dwóch dni. A teraz umieram. Pozostawcie mnie w tej sukience. Niedawno, kiedy kładłam ją, pomyślałam sobie, że będzie to mój śmiertelny całun. Chcę ją zachować do trumny. Są na niej pocałunki Gwynplaine'a. O, tak bym chciała jeszcze żyć. Jakże urocze było nasze życie w tej ubogiej chateczce na kółkach! Śpiewaliśmy. Słyszałam, jak klaszczą. I nie rozstawaliśmy się nigdy, i tak nam było dobrze. Wydawało mi się, że razem z wami jestem na obłoku, choć niewidoma, odróżniałam dzień od nocy, słysząc Gwynplaine'a poznawałam, że to ranek być musi, poznawałam, że to noc, bo w nocy śniłam o Gwynplaine'ie. Dusza jego otulała mnie. Kochaliśmy się tak słodko, tak tkliwie. I to wszystko odchodzi już, i nie będzie już więcej piosenki. O Boże, czy nie można by jeszcze żyć trochę! Będziesz myślał o mnie, ukochany mój!

Głos jej słabnął. Traciła już oddech w posępnym opadzie konania. Skurczyła palce, zaciśnęła dłoń. A więc zbliżała się już chwila ostatnia. W głosie tej umierającej dziewczyny odzywać się zaczęły jakby anielskie jakieś dźwięki.

Szeptała:

– Będziecie pamiętać, prawda, bo to by smutne było, gdybym ja umarła i gdybyście wy o mnie zapomnieli. Bywałam niedobra czasami. Przepraszam was wszystkich. Pewna jestem, że gdyby dobry Bóg tak chciał, bylibyśmy jeszcze szczęśliwi, bo tak mało nam trzeba, zarobiliśmy na życie i wędrowali razem po innym kraju, ale dobry Bóg nie chciał tego. Sama nie wiem, dlaczego muszę umierać. Nie skarżyłam się przecież na moją ślepotę, nie obraziłam nikogo. Niczego więcej nie pragnęłam, chciałam tylko na zawsze pozostać przy tobie, ślepa, niewidoma. O, jak mi smutno, że muszę odejść!

Dyszała ciężko, głuche słowa jej gasły jakby zdmuchiwane. Stawały się prawie niedosłyszalne.

– Gwynplaine'ie – odezwała się – prawda? Pomyślisz czasem o mnie! Tak bardzo mi będzie trzeba twojej pamięci, gdy umrę.

Wyszeptała nagle:

– O, zatrzymajcie mnie.

I umilkła. Lecz odezwała się jeszcze po chwili:

– Przyjdź do mnie, jak tylko będziesz mógł najprędzej. Nawet i tam, u Boga, bardzo będę nieszczęśliwa bez ciebie. Bo tutaj był raj, tam jest tylko niebo. Duszę się! Ukochany mój, ukochany, ukochany!

– Łaski! – krzyknął Gwynplaine.

– Żegnaj! – powiedziała.

– Łaski! – powtórzył Gwynplaine. I przyłgął ustami do pięknych, stygnących już rąk Dei. Przez chwilę wydawało się, że dziewczyna już nie oddycha. Nagle wsparła się na łokciach, oczy jej zabłyśły i uśmiechnęła się przecudnie. Rozległ się głos jej, żywy:

– Światło! – zawołała. – Widzę!

I skonała.

Sztywna, nieruchoma, upadła na posłanie.

– Umarła – rzekł Ursus.

I biedny starzec runął pod ciężarem rozpaczony i uderzył łusą głową o pokład, i szlochając ukrył twarz w fałdach sukni Dei, koło jej stóp. Zemdlał.

A Gwynplaine? Strach było spojrzeć na Gwynplaine'a.

Zerwał się, podniósł głowę i spojrzał w górę, w przeogromną mroczną noc.

A potem nie widziany przez nikogo – chyba że z tych mroków spoglądał nań ktoś niewidzialny – wyciągnął ramiona ku górze i rzekł:

– Idę!

I zaczął iść po pokładzie statku w kierunku burty, jakby jakaś wizja prowadziła go za sobą.

O kilka kroków dalej leżała przepaść.

Szedł powoli, nie patrzył pod stopy.

Miał na ustach ten sam uśmiech, którym Dea uśmiechnęła się przed zgonem.  
Szedł przed siebie. Wydawać by się mogło, że coś widzi. W jego źrenicy błyszczało światło, niby odbicie czyjejś duszy dostrzeżonej z daleka.  
Krzyknął: – Tak!  
Był coraz bliżej burty.  
Szedł niby widmo, sztywny, wyprostowany, z ramionami podniesionymi do góry, z głową w tył odrzuconą, z okiem utkwionym nieruchomo w jeden punkt.  
Szedł bez pośpiechu i bez wahania, z jakąś złowrogą pewnością, jakby nie znajdowała się tuż obok czarna otchłań, rozwarły grób.  
Szeptął: – Bądź spokojna. Idę za tobą. Widzę znak, którym przyzywasz mnie.  
Nie odrywał spojrzenia od jakiegoś punktu na niebie, wysoko, w górze. Uśmiechał się.  
Niebo było czarne, bez żadnej gwiazdy, ale on widział gwiazdę na tym niebie.  
Przeszedł przez cały pokład.  
Sztynnymi krokami widma doszedł do samej krawędzi.  
– Idę – rzekł. – Oto jestem, Deo!  
I postąpił znowu. Nie było tu poręczy. Przed nim znajdowała się próżnia. Postawił na niej stopę.  
Upadł.  
Noc była głucha i niema, woda głęboka. Utonął od razu. Znikł spokojnie, posepnie. Nikt nic nie zobaczył, nikt nic nie usłyszał. Statek płynął dalej, dalej płynęła rzeka.  
Wkrótce potem „Vograat” znalazł się na oceanie.  
Kiedy Ursus ocknął się z omdlenia, nie ujrzał już Gwynplaine'a. Homo tylko stał u burty i wył w ciemność, patrząc na morze.

KONIEC

## OBJAŚNIENIA

### Str.5

Vaugirard – dzielnica w pld-zach. Paryżu, w okresie pisania *Człowieka śmiechu* świeżo przyłączona do miasta; współcześni pamiętali jeszcze Vaugirard jako niepozorne przedmieście.

Galiota – lekki żaglowiec, używany jeszcze w XVIII w. do żeglugi przybrzeżnej.

### Str.6

Foxhall – foksal, popularna w XVIII w. nazwa ogrodów publicznych, w których odbywały się zabawy (od Faukesa, właściciela posesji w Londynie, gdzie urządzone taką imprezę).

*Boulevard* (fr.) – bulwar, nie pochodzi w rzeczywistości z francuskiego, lecz z holenderskiego i oznaczał pierwotnie ochronne rusztowanie, szaniec z desek.

### Str.9

*Pseudodoxia Epidemica* (gr.) – nagminna fałszywa mądrość.

Demokryt – filozof grecki z przełomu V i IV w. p. n. e., jeden z wybitnych przedstawicieli materializmu w starożytności; tradycyjnie nazywano go „śmiejącym się filozofem”.

Laktancjusz – teolog z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Dioskurides – lekarz grecki z II w. n. e., Chryzyp – filozof ze szkoły stoickiej (III w. p. n. e.), Józef – Józef Flawiusz, historyk żydowski (I w. n. e.); cynopast – grecka nazwa głogu; moly – odmiana czosnku, której Homer przypisuje własności magiczne.

Kadmos – mityczny król grecki, założyciel Teb, zamieniony przez Zeusa w węża i w tej postaci przeniesiony do krainy zmarłych.

### Str.10

Klaudiusz Pulcher – konsul rzymski; przed bitwą morską z Kartagińczykami, w której został pobity, dla wróżby chciał nakarmić kury specjalnie do tego celu trzymane przez kapłanów – wróżba wypadła niepomyślnie, kury nie zjadły ziarna.

### Str.11

A lupu principium (łac.) – od wilka początek.

### Str.12

Westa – rzymska bogini domowego ogniska.

*Chirurgus sum* (łac.) – jestem chirurgiem.

### Str.13

„Glob” – teatr trupy aktorskiej Szekspira.

### Str.15

Wolter, czego sam później gorzko żałował... – Wolter istotnie z biegiem lat ochłódnął w swoim entuzjazmie dla Szekspira, ale pierwsze jego wypowiedzi wystarczyły, aby zainteresować Francuzów genialnym dramaturgiem.

Trinobanci – plemię zamieszkałe w starożytności na terenie późniejszego hrabstwa Essex (na pñ.-wsch. od Londynu); Berks i Somerset – hrabstwa na zachód od Londynu, York – północna prowincja Anglii.

### Str.16

Blagier – pochodzi w rzeczywistości od holenderskiego *blagen* – nadymać się.

### Str.23

De Foë Daniel – autor *Robinsona Kruzoa*; swoim ironicznym pamfletem *Najprostszy sposób na innowierców* naraził się torysom i został skazany m. in. na karę pręgiarza.

### Str.24

*Wapentake* (ang.) – jednostka administracyjna, powiat (*hundred*); tu w znaczeniu przedstawiciela władzy sądowej na terenie powiatu; przysięga na nią i dlatego nosi imię wapentake – bo pierwotnie słowo to oznaczało podnoszenia w górę broni przy głosowaniu.

*Str.26*

*Garrule, sana te ipsum* (łac.) – gaduło, ulecz sam, siebie.

Minos, Eak i Radamant – mitologiczni sędziowie dusz zmarłych.

*Tres faciunt capitulum* (łac.) – trzech tworzy kapitułę, tzn. wystarczy, żeby zebranie było ważne.

*Str.27*

Bitwa pod Farsalą – epizod z walk między Cezarem a Pompejuszem o władzę w Rzymie (I w. p. n. e.); po stronie pokonanego wtedy Pompejusza brali udział w bitwie republikanie Brutus i Kasjusz, późniejsi uczestnicy zamachu na Cezara.

Akteon – w mitologii greckiej, młodzieniec, który odważył się podglądać boginię łowów Artemidę w kąpiel; został za to zamieniony w jelenia i rozszarpany przez psy Artemidy.

*Str.30*

Feniks – legendarny ptak egipski, który miał być nieśmiertelny, bo co pięćset lat odradzał się z własnych popiołów.

Paryzatis – żona króla perskiego Dariusza.

*Str.31*

Tremellius – orientalista włoski z XVI w.

Cyweta – gryzoń, którego wydzielina służyła do wyrabiania pachnidel.

*Str.33*

*Turdus sibi malum cacat* (łac.) – drozd własnym kałem przynosi sobie nieszczęście.

Cerber – w mitologii pies o trzech głowach, strzegący wejścia do krainy umarłych.

*Str.35*

Fryzyjskie płótno – holenderskie.

Anna Austriaczka – królowa Francji, matka Ludwika XIV.

*Str.43*

*Abyssus abyssum vocat* (łac.) – otchłań przyzywa otchłań; wyrażenie z psalmów oznaczające, że jedno nieszczęście pociąga za sobą drugie.

*Str.46*

Filemon i Baucis – mitologiczna para małżeńska, która do późnej starości wytrwała w harmonijnym pożyciu.

Avicenna – wielki filozof, matematyk i lekarz tadżycki z przełomu X i XI w.

*Str.48*

Pigmalion – legendarny rzeźbiarz zakochany w wyrzeźbionym przez siebie posągu Galatei, który ożył za sprawą bogów.

*Str.55*

Adonis – urodziwy młodzieniec, w którym zakochała się Wenus.

Gnafron – groteskowa kukła w ludowym teatrze marionetek.

Antinous – ulubieniec cesarza rzymskiego Hadriana (II w.), słynny z urody.

*Str.60*

Mère l'Oie – Matka Gęś, postać z francuskich bajek ludowych.

*Str.63*

Meduza – w mitologii greckiej skrzydlaty potwór o kobiecej głowie z wężami zamiast włosów; na jej widok ludzie obracali się w kamień.

*Muta Themis* (łac.) – niema Temida (bogini sprawiedliwości).

*Pro signo exeundi, sursum trahe* (łac.) – dając znak wyjścia, podnieś w górę.

Kartularz (z łac.) – zbiór przepisów.

*Str.66*

*Lex, rex, fex* (łac.) – prawo, król, motłoch.

*Habeas corpus* (łac.) – „Miej ciało do stawienia przed sądem”, uchwalone za Karola II prawo, które gwarantowało aresztowanemu przedłożenie jego sprawy sądowi, ograniczając w ten sposób samowolę królewską.

*Lettres de cachet* (fr.) – „listy opieczetowane” (królewską pieczęcią), nakazy uwięzienia w Bastylii lub wygnania, którymi absolutyzm francuski posługiwał się, aby utrzymać poddanych w posłuszeństwie.

Neuhoff, baron – awanturnik francuski z pierwszej połowy XVIII w.; ogłosił się królem Korsyki.

Sądy świętej Voehme – działające z ukrycia sądy w średniowiecznych Niemczech.

Justynian – władca cesarstwa wschodnio-rzymskiego (VI w.).

*Canes latrant...* (łac.) – Psy szczekają, strażnicy milczą. – Występować jako strażnik, to znaczy milczeć... Cesarz nakazuje milczenie... Będziemy mieli wielu strażników urzędujących z laską, którzy potrafią działać w milczeniu... Wstań na dany rozkaz, przestań mówić – tak się trzeba zachowywać w areszcie królewskim.

*Vetus Consuetudo...* (łac.) – Stary statut Normandii, rękopis. ...Strażnicy mieczowi z Karty normandzkiej Ludwika Hutin (tzn. Ludwika X, który panował we Francji w XIV w.).

*Str.67*

Mortimer – faworyt królowej Izabeli, razem z nią zamordował jej męża, Edwarda II (XIV w.).

Warwick Ryszard – polityk angielski z XV w.; podczas wojny Czerwonej i Białej Róży między dynastią Lancastrów a książętami Yorku kreował dwóch królów: pomógł zasiąść na tronie księciu Yorku, po czym, poróżniwszy się z nim, przywrócił do władzy zdetronizowanego Lancastra.

Steele wypędzony z parlamentu – Robert Steele, komediopisarz i znakomity eseista, wybitny przedstawiciel Oświecenia w Anglii, stronnik wigów, został za swoją działalność publicystyczną wykluczony z Izby Gmin. Locke Jan, naraziwszy się Stuartom, pod koniec panowania Karola II utracił katedrę i schronił się w Holandii. Hobbes Tomasz, jeden z czołowych przedstawicieli ówczesnego materializmu, emigrował wprawdzie w okresie rewolucji angielskiej, ale po restauracji Stuartów był ustawicznie prześladowany jako ideolog antyfeudalnej burżuazji. Gibbon Edward, historyk z XVIII w., zdecydowany antyklerykał, wiele lat spędził na kontynencie. Współczesny mu satyryk Churchill Karol, filozof Hume Dawid (idealista i agnostyk), a zwłaszcza Priestley Józef, wybitny chemik (odkrywca azotu) oraz publicysta sympatyzujący z rewolucją francuską – wielokrotnie napotykali trudności; Priestley był wprost brutalnie prześladowany, podobnie jak Wilkes Jan, polityk i publicysta, który gwałtownie krytykował parlamentaryzm angielski.

*Seditious libel* (ang.) – ustawa o działalności przeciw monarchii, po raz pierwszy wprowadzona w końcu XVII w. i wielokrotnie później uzupełniana.

*Str.71*

Tristan Pustelnik – znany z okrucieństwa naczelnik francuskiej policji królewskiej w XV w.

*Str.73*

Howard Jan – filantrop z XVIII w., walczył o poprawę stosunków w więzieniach angielskich.

*Str.75*

Saint-Simon, książę – najwybitniejszy pamiętnikarz francuski z czasów Ludwika XIV.

*Custos turre* (łac.) – stróż wieży.

*Str.76*

*Esquire* – tytuł pisany po nazwisku, pierwotnie oznaczający szlachectwo, z czasem tylko poważną pozycję społeczną; kawaler – *knight*, szlachcic (używający przed nazwiskiem tytułu *Sir*).

*Illustris* (łac.) – znakomity, *clarissimus* – prześwietny.

*Billa vera* (łac.) – akt prawdziwy, *ignoramus* – nie wiemy.

Str.86

*Qui faciunt vastum...* (łac.) – którzy robią szkody w lesie, gdzie żyją sarny.

*Prodigus, devorator* – (łac.) – Marnotrawca, rozrzutnik, utracjusz, dziewkarz, stręczyciel, pijak, rozpustnik, obłudnik, trwoniciel ojcowizny, lekkomyślnie szastający pieniędzmi, żarłok... Kłamca i ojcobójca.

Str.87

*Anglica charta...* (łac.) – Karta angielska. ...Żelazo, loch, widły i inne środki... I więcej... Dopuszczone prawnie więzy... To znaczy post absolutny.

Str.88

*Adde augmentum...* (łac.) – Dodaj zwiększenie abstynencji przez zmniejszenie jadła... Śmierć winnego jest holdem wobec sprawiedliwego prawa... Gardłem, brodą... Przyznający się do winy niech uzyska *meldefeoh*. Dziewka przed śmiercią.

Str.89

*Quarta die* (łac.) – Na czwarty dzień postaw oko w oko... Wyrok śmiertelnego chłodu, przed którym należy dawać wiarę odpowiedziom tak i nie. (*Frodmortell* oznaczał właściwie sąd nad zabójcą szlachcica.)

Str.90

*Probe, da diagnosticum* (łac.) – zbadaj, postaw diagnozę.

Str.102

Bidloo Robert – współczesny lekarz i przyrodnik holenderski.

Str.103

Bacon Franciszek, lord Verulam – filozof i mąż stanu z przełomu XVI i XVII w.; Blackstone Wilhelm – prawnik z XVIII w.

*Jussu regis* (łac.) – z rozkazu królewskiego.

*Et se cupit ante videri* (łac.) – „ucieka pod wierzby i pragnie, żeby ją przedtem zobaczono”, mówi Wergiliusz o kochance kochanki.

Str.104

Krystyna – królowa Szwecji (XVII w.); skazała na śmierć swojego faworyta Monaldeschi, którego podejrzewała o kłótnię przeciw niej.

Tyberiusz – cesarz rzymski z I w. n. e., okrutny i podejrzliwy.

Filip II – król Hiszpanii w XVI w., jeden z najbezwzględniejszych despotów w dziejach absolutyzmu.

Str.105

*E senioratu eripimus...* (łac.) – wyrzucamy z rzędu panów, niech spadnie między pospólstwo.

Str.106

*In abeyance* (ang.) – w momencie zawieszenia przysługujących uprawnień.

Str.110

*Masca ridens* (łac.) – śmiejąca się maska.

Str.113

Humboldt Aleksander – przyrodnik i podróżnik niemiecki z końca XVIII i pierwszej połowy XIX w.

Str.119

Jakub VI i I – król Szkocji i Anglii, który zjednoczył oba królestwa (początek XVII w.).

Str.133

*Turpe senilis amor* (łac.) – starcza miłość jest rzeczą wstrętną.

Str.137

Proteusz – symbol zmienności w mitologii greckiej; bóstwo morskie, które posiadało dar przedzierzgnięcia się w niezliczoną ilość postaci.

Gineceum (z gr.) – u Greków i Rzymian część domu przeznaczona wyłącznie dla kobiet.

Str.138

*Plebs, fex urbis* (łac.) – plebs, męty miasta.

O *chodzie zwierząt* – jedno z mniejszych dzieł przyrodniczych Arystotelesa; w pracach tego największego myśliciela starożytności znajduje się istotnie szereg naiwnych informacji.

Albuquerque Alfons – podróżnik i kolonizator portugalski z okresu wielkich odkryć geograficznych.

Str.139

*Sylvae sunt consule dignae* (łac.) – lasy są godne konsula.

*Garrula pericula* (łac.) – gadatliwe niebezpieczeństwa; Juwenal – satyryk rzymski.

Str.140

*Plaudite, cives* (łac.) – klaskajcie, obywatele.

Str.142

*Bos in lingua* (łac.) – wół na języku.

Str.145

*Moenibus surdis campana muta* (łac.) – w głuchych murach niemy dzwon.

Str.156

*Post hoc, non propter hoc* (łac.) – po tym, nie z powodu tego (ozn. że następstwo dwóch wydarzeń w czasie nie dowodzi, że wydarzenie wcześniejsze było przyczyną następnego).

Str.160

*Fiat lux* (łac.) – niech się stanie światłość.

Str.163

Atrydowie – starożytny ród grecki, którego dzieje liczyły wiele krwawych epizodów; Plantagenetowie – dynastia angielska, której panowanie (XII–XV w.) było burzliwym okresem w historii Anglii (wojna stuletnia, wojna Dwóch Róż); Medyceusze – patrycjuszowski ród rządzący Florencją w XV i XVI w.; Elz – średniowieczny zamek niemiecki na granicy Lotaryngii.

Str.164

*Error circumflexus, locus implicitus gyris* (łac.) – miejsce pełne zakamarków, splot błędnych dróg.

Str.166

Kanapa – nie ma w swojej etymologii nic wspólnego z „pieskiem u stóp”; nazwa jej pochodzi z greckiego i oznaczała pierwotnie zasłonę nad łóżkiem dla ochrony przed komarami.

Str.168

*Sub clara nuda lucerna* (łac.) – naga pod jasno płonąca lampa.

*Alcoranus Mahumedis* – Koran, święta księga islamu zawierająca nauki Mahometa.

Str.171

Hebe – bóstwo młodości u Greków, piękna dziewczyna usługująca Zeusowi na Olimpie.

Damiens – sprawca nieudanego zamachu na Ludwika XV, stracony za pomocą bestialskich tortur.

Str.175

*Sen Scypiona* – utwór, w którym Cyceron pisze, że są ludzie wybrani przez los do nieustannego doskonalenia się duchowego.

Str.176

Pani de Chevreuse, pani de Longueville – arystokratki francuskie z XVII w., znane z bujnego życia i awanturnictwa politycznego.

Str.178

*Fluctivoma Amphitrite* (łac.) – wyrzucona przez fale Amfitryta.

Str.179

Rodope – kurtyzana grecka; miała zostać żoną władcy Egiptu.

Phteh – bóstwo egipskie, stwórca świata.

Pentesilea – królowa mitycznych Amazonek, plemienia wojowniczych kobiet.

Behemoth i Lewiatan – potwory występujące w Biblii; Tyfon – egipskie bóstwo ciemności.

Str.180

Dodona – miasto w Grecji, miejsce czci Zeusa; szelest wiatru w poświęconych mu dębach, które tam rosły, interpretowano jako słowa wyroczni.

Str.189

*Curia erat serena* (łac.) – posiedzenie było spokojne.

Str.193

*E pur si muove* (wł.) – „a jednak się porusza”, słowa wypowiedziane przez Galileusza, gdy inkwizycja zmusiła go do wyrzeczenia się nauki Kopernika i przekonania, że ziemia się obraca (XVII w.).

Str.197

Bitwa pod Fontenoy – zwycięstwo Francji za panowania Ludwika XV podczas wojny o sukcesję austriacką. Francja popierała przeciw Anglii bawarskiego pretendenta do tronu cesarskiego.

Str.201

*Sine Prece, sine Pretio, sine Poculo* (łac.) – bez próśb, bez zapłaty i bez pucharu.

Str.202

Tyler Wat – przywódca powstania chłopskiego w XIV w.

Lollardowie – uczestnicy antyfeudalnego ruchu ludowego, który na przełomie XIV i XV w. towarzyszył w Anglii pierwszemu przejawom reformacji.

Samozwańczy Ryszardowie – po usunięciu z tronu i zamordowaniu w tajemniczych okolicznościach Ryszarda II (koniec XIV w.) występowali samozwańcy podający się za niezującego króla i wykorzystywani przez panów feudalnych w ich rozgrywkach z Henrykiem IV, następcą Ryszarda.

Str.203

Wolsey Tomasz – kardynał i kanclerz, popadł w konflikt z Henrykiem VIII z okazji jego rozrodu. Jako organizator angielskiego absolutyzmu miał też przeciw sobie feudałów.

Maria Tudor – następczyni Henryka VIII, poprzedniczka Elżbiety; zwana Marią Krwawą, gdyż patronowała bezwzględnej reakcji katolickiej przeciw angielskiemu protestantyzmowi.

Str.204

Maria Medycejska – żona francuskiego króla Henryka IV, który padł ofiarą swojej tolerancyjnej wobec protestantów polityki i został zamordowany przez sfanatyzowanego mnicha.

Skazali Bacona – został on oskarżony przez wrogów jego antyfeudalnej polityki o przekupstwo i pozbawiony swoich godności.

Stafford – powiernik Karola I; parlament rewolucyjny postawił go przed sąd i skazał na śmierć, na co Karol zgodził się sądząc, że w ten sposób uratuje siebie.

Str.207

Akt nawigacyjny – ustawa z połowy XVII w. zabraniająca importu do Anglii towarów przywożonych na statkach zagranicznych, o ile nie należały one do krajów importujących dany towar.

Str.209

Długotrwały parlament – tzw. „długi parlament”, zwołany w roku 1640 przez Karola I pod naciskiem rewolucyjnej burżuazji i po trzynastu latach zlikwidowany przez Cromwella.



Str.214

*Quodammodo ostiarius* (łac.) – jak gdyby odźwierny.

*Januarum cancellarumque potestas* (łac.) – zarząd drzwi i krtek.

Tertulian – pisarz łaciński z pierwszych wieków chrześcijaństwa, apologeta Kościoła.

Str.217

Borgia Cezar – syn papieża Aleksandra VI, głośny na przełomie XV i XVI w. włoski awanturnik polityczny, uosobienie okrucieństwa i cynizmu.

Str.219

Richardson Samuel – znakomity powieściopisarz angielski z XVIII w., autor m. in. *Klarysy Harlowe*, historii młodej dziewczyny, która staje się ofiarą cynicznego uwodziciela nazwiskiem Lovelace (stąd też pochodzi określenie „lowelas”).

Str.221

Arystydes – polityk i wódz grecki z końca V i początku IV w. p. n. e. jego prawy charakter zjednał mu ogromny szacunek współczesnych.

Morus Tomasz – angielski mąż stanu z XVI w., autor *Utopii*, popadłszy w konflikt z Henrykiem VIII został przez niego skazany na śmierć.

Str.225

*Che sara, sara* (wł.) – co będzie, to będzie.

Nasz francuski Malbrouck – to znaczy znany we Francji pod tak uproszczonym nazwiskiem.

Str.226

Wory z wełną – poduszki na miejscach przydzielonych w parlamencie, symbolizujące jeden z głównych czynników ekonomicznych, którym burżuazja angielska zawdzięczała swą potęgę – handel wełną w XV i XVI w.

Str.227

Spiker – dosłownie: mówca, urzędowy tytuł przewodniczącego Izby Gmin.

Str.231

*Aperto vivere voto* (łac.) – żyć nie ukrywając zasad.

Str.240

Histrion! Mima! – histrion, komediant!

Str.241

Pandemonium (z gr.) – „przybytek wszystkich demonów”, stolica piekła w *Raju utraconym* Milтона; panteon – „przybytek bogów”, nazwa świątyni starożytnych.

Str.249

*Cavendo tutus* (łac.) – dzięki ostrożności bezpieczny.

Str.266

Brantôme Piotr – pisarz francuski z okresu Odrodzenia; w swoich barwnych książkach utrwalił obyczaje epoki.

## SPIS TREŚCI

### KSIĘGA TRZECIA – POCZĄTEK PEKNIĘCIA

- I. Gospoda «Tadcaster»
- II. Elokwencja na wietrze
- III. W którym znowu pojawia się przechodzień
- IV. Sprzeczności bratają się ze sobą w nienawiści
- V. Wapentake
- VI. Mysz przeszukiwana przez koty
- VII. Z jakich powodów złoty dukat zawieruszyć się może wśród miedziaków
- VIII. Objawy zatrucia
- IX. Abyssus abyssum vocat

### KSIĘGA CZWARTA – LOCH WIĘZIENNY

- I. Kuszenie świętego Gwynplaine'a
- II. Radość przechodzi w grozę
- III. Lex, rex, fex
- IV. Ursus śledzi policję
- V. Straszne miejsce
- VI. Jakie sądownictwo kryło się pod ówczesnymi perukami
- VII. Dreszcz
- VIII. Jęk

### KSIĘGA PIĄTA – I MORZE, I LOS SĄ TYM SAMYM WIATREM PORUSZANE

- I. Trwałość rzeczy kruchych
- II. Nie myli się to, co się błąka
- III. «Nie ma człowieka, który by przerzucony nagle z Syberii do Senegalu – nie stracił przytomności» (Humboldt)
- IV. Oczarowanie
- V. Myślisz, że pamiętasz, a zapominasz

### KSIĘGA SZÓSTA – URSUS POJAWIA SIĘ POD ROZMAITYMI POSTACIAMI

- I. Co powiedział mizantrop
- II. A co robi
- III. Komplikacje
- IV. Moenibus surdis campana muta
- V. Racja stanu nie zapomina ani o wielkim, ani o małym

### KSIĘGA SIÓDMA – TYTANKA

- I. Przebudzenie
- II. Pałac podobny jest do lasu
- III. Ewa
- IV. Szatan
- V. Twarz znajoma, człowiek nieznajomy

### KSIĘGA ÓSMA – KAPITOL I JEGO OTOCZENIE

- I. Jak rozdrabniają się sprawy majestatu
- II. Bazstronność
- III. Stara sala
- IV. Stara Izba
- V. Wielkopańskie rozmowy
- VI. Wysoka i niska

VII. Ludzkie burze, groźniejsze od burz oceanów

VIII. Byłby dobrym bratem, gdyby nie był dobrym synem

KSIĘGA DZIEWIĄTA – W GRUZACH

I. Poprzez nadmiar wielkości dojść można do nadmiaru nieszczęścia

II. Osad

ZAKOŃCZENIE – MORZE I NOC

I. I pies bywa aniołem stróżem

II. Barkilphedro mierzył w orlice, a trafił w gołąbkę

III. Raj odnaleziony na ziemi

IV. Nie na ziemi, lecz w niebie

Objaśnienia